

Pola Gojawiczyńska

**Dziewczęta
z Nowolipek**



TOWER PRESS, 2001

CZEŚĆ PIERWSZA
PIEŚŃ

NIEZNANYMI ULICAMI

Nie posuwały się dalej niż do Leszna, tej połowy Leszna od Karmelickiej do Żelaznej i dalej do Nowolipek w głąb, uliczkami w smrodliwych rozgałęzieniach biegnącymi ku Powązkom i Nalewkom. Plac Bankowy, tak bliski, już nic nie oznaczał i wcale nie można go było sobie wyobrazić. Ich ciekawość świata została tu nasycona, och! – nie starczało dnia, miesiąca, roku, aby wchłonąć wszystko, co się działo, co się stawało! Tu była ojczyzna, zanim się dostrzegło i uznało wielką ojczyznę z „Historii w dwudziestu czterech obrazach”; tu była ojczyzna, dzielnica warsztatów stolarskich i tokarni żydowskich. Drzewo, pachnące deski, góry wiórów i trocin z obfitością pcheł o każdej porze roku. Dla sióstr Mossakowskich centrum ogromnego świata stanowi oficyna w głębi podwórza, z malutkim placykiem, kasztanami i ławką. Dla grubej Kwiryny sklepik jej rodziców w cichym zaułku ulicy Mylnej. Dla całej gromady Raczyńskich – frontowy parter dawnej pracowni tapicerskiej.

Tylko Franka była bez domu. Franka nie miała ojczyzny. Nie była domem suterena ciotki, gdzie sypiała, i nie była domem kuchnia matki na służbie. Franka – tak. Franka widziała coś więcej z tego ogromnego miasta. Ale przechodziła obojętnie tak samo Leszнем jak i Marszałkowską. Jedyne okna na tej drodze, okna cudzych mieszkań, gorejące – to było coś warte uwagi. Przystawała i wspinała się na palce, jeśli parter był wysoki. Tam był czyjś dom, lampa wisiała nad stołem. Tam było czyjeś ciepło.

To samo można by pomyśleć o Rózi, Sabinie i Reginie Rubinrot, choć mieszkaly na pierwszym piętrze od frontu. Ale wisiały cały dzień u żelaznych kwiatów balkonu, tyłem do ojcowskiego domu, do pokoiów z pluszowymi portierami, i jęczały w głąb podwórza:

– Bronia! Oj, chodź do nas! Czy przyjdiesz do nas? My cię tak prosimy!

Z dołu odpowiadano:

– A czy twoja mama pozwala?

Trzy siostry Rubinrot wrzeszczały teraz już radośnie:

– Co znaczy?! Mama bardzo prosi! Będziemy się bawić w przyjęcie!

Odwracały się i wołały w głąb mieszkania:

– Mama, powiedz, żeby ona przyszła!

Pani Rubinrot trzęsa się nad swymi dziećmi, nie chciała ich puszczać na podwórze; z dwojga złego niech lepiej tamte dzieci, z podwórza, przyjdą na górę. Wychodziła naprzeciw małego gościa w szlafroku, zwanym chlamidą, i prosiła boleśnie i nieśmiało:

– Moje dziecko, umyj ręce, dobrze? Ja cię bardzo proszę, umyj ręce.

I od tego psuła się zabawa. Wiadome już było wszystko. Umyje się ręce, siądzie się koło stołu, podadzą na podwieczorek kakao i obwarzanki z masłem. Nudno i mdło. Więc trzy blade siostry Rubinrot znów wisiały u żelaznych kwiatów balkonu i jęczały:

– Frania! Bronia! Janka! Oj, chodźcie do nas!

Pierwsza wyprawa na Chłodną odbyła się z racji interesu u tokarza. W czasie gorącej roboty przy końcu tygodnia ojciec otworzył drzwi do pokoju i krzyknął na Jankę:

– Idź mi zaraz do tokarza i dowiedz się, czy te nogi będą dziś obtoczone, czy nie?!

Ale Janka nie chciała iść sama, przeto wypchnięto razem z nią i młodszą Bronię. Ile razy czegoś potrzeba, dzieciaki okazują się bezużyteczne, nie słuchają. Nawet posłuszna zwykle Bronia odęła się, ale matka bezlitośnie wypchnęła je za drzwi.

– Czy chcecie, żeby ojciec się rozzłościł?

Tego nikt nie chciał. Najwięcej tego nie chciał brat Mietek, więc krzyknął:

– Pójdziecie wy, czy nie?

Janka próbowała się stawiać:

– Mamo, a dlaczego Mietek nie pójdzie, co?

– Czy nie wiesz, że on ma lekcje?

– A czy my nie mamy lekcji?

Bronka najchętniej teraz poszłaby po te nogi, nawet sama, ale już było za późno, bo oto Janka rzekła:

– Znów przyniesie dwóje w sobotę.

Wszyscy naraz rozniewali się, matka i Mietek, i Janka. Bronka milczała, stojąc w drzwiach. Jeśli Mietek przyniesie dwóje w sobotę, dzień ten będzie okropny. Matka go będzie osłaniać sobą i ojciec uderzy matkę. Matka wyciągnie ręce, będzie chciała powstrzymać ojca i wszystkie uderzenia spadną na te ręce.

Bronka krzyknęła:

– Ja pójdę po nogi, mamo!

Na ulicy dopędziła ją Janka.

– Czy to jest sprawiedliwe? – rzekła. – Czy Mietek to taki niedotknięty pan? My też mamy lekcje.

– Ale on chodzi do gimnazjum – szepnęła Bronia.

– To co? – krzyknęła Janka. I zadała nagle pytanie: – Czy pani Raczyńska wysłałaby Cechnę i Amelkę po nogi stołowe?

Bronka musiała odpowiedzieć uczciwie:

– Nie.

– Widzisz.

Czy mają tylko dowiedzieć się, czy zabrać nogi, jeśli będą gotowe? Cztery duże i grube nogi do rozsuwanego stołu! Janka zawzięła się:

– Nie, nie i nie! Ojciec nic nie mówił o przyniesieniu nóg!

Bronka, bliska płaczu, jęczała:

– Ja sama nie poradzę, Janiu, ja sama nie udźwignę...

Na rogu Żelaznej stała Franka. Musiały jej powiedzieć, dokąd idą. I okazało się, iż Franka nic sobie nie robi z noszenia nóg w biały dzień, w mundurkach szkolnych. Zamyśliła się.

Gdyby tu była Kwiryra, wzięłyby każda po jednej nodze. Ale Kwiryra mieszka na samym końcu Nowolipia, na Mylnej.

Gdzie Rzym, gdzie Krym...

Dlaczego jednak to wszystko ma się odbyć bez Kwiryry? Skłonne teraz były uważać tę wyprawę za coś pysznego, były podniecone. Puścili się klusem w stronę Mylnej. Dobięły zdyszane, wszystkie trzy stanęły na schodku, przyłożyły dłonie do czoł i zajrzały w głąb.

Kwiryry w sklepiku nie było. Jeden szary tułub (to była matka) tkwił przy szufladzie kasy – drugi (zupełnie taki sam, ale to był mężczyzna, ojciec) poruszał się leniwie przy półkach z towarem. Od zasłoniętych przez dziewczęta szyb wewnątrz, w sklepie, uczyniło się całkiem mroczno. Tułuby, rozgniewane, podniosły głowy. Patrzono na siebie: ogromne, nalane twarze z głębi i trzy drobne z ulicy jak urzeczony wpatrywały się w siebie. Ten sklepik w cichej uliczce, na uboczu, z dwoma tułubami, z których jeden strzegł kasy, a drugi półki z towarem, wydawał się straszny. Janka pierwsza osunęła się na schodek, na kolana. Szepnęła:

– Ile razy przyjdziemy, zdaje im się, że Kwiryra wynosi ich parszywe cukierki dla nas. Chodźmy do kuchni, żadne z nich nie ruszy się teraz z tej dziury.

Pobladła Bronia wyobraziła sobie od razu słój kolorowych landrynek, strzeżony przez potężne tułuby o ogromnych twarzach.

Kwiryra zmywała statki po obiedzie.

– Czy nie możecie poczekać?

Nie, musiały się śpieszyć, przecież posłano je, bo nogi pilnie potrzebne. Ale Kwiryra, nie przerywając swej roboty, rzekła rozsądnie:

– Można powiedzieć ojcu, żeście czekały u tokarza.

Uspokoily się.

Co mogło być na obiad w tym domu, że Kwiryra babrała się w takiej tłustej wodzie, niczym gęsta zupa? Grube jej ręce lśniły od tej tłustości – wcale nawet nie były mokre, woda ściekała zaraz po lśniącej skórce. Na szczęście w drugim drewnianym szafliku stała gorąca woda do płukania. Z prawdziwą ulgą patrzyły, jak talerze wychodzą z tej kąpieli czyste.

– Wycierajcie, to będzie prędzej.

Powstała kłótnia przy ścierkach między siostrami, Bronką i Janką. Kwiryra podziękowała Bogu, że nie obdarzył jej rodzeństwem:

– Ciągłe się żrecie między sobą – rzekła.

Janka domagała się przyznania jej racji:

– Młodsza siostra powinna ustępować starszej.

Kwiryra rozstrzygnęła bezapelacyjnie:

– Jesteście w jednej klasie, cóż to za różnica, żadna!

Franka, dotąd jakby nieobecna, raczyła zstąpić na ziemię, do kuchni Kwiryry, do szaflika z tłustymi pomyjami, aby wybąkać, iż czytała dopiero co nadzwyczajną książkę.

– Jaki tytuł?

– „Madonna Busowiska”.

To brzmiało rzeczywiście pięknie. Podczas gdy Kwiryra upinała swe ogromne warkocze w wianek dookoła wielkiej głowy, powtarzały wszystkie w różnych intonacjach:

– Madonna... Madonna Busowiska.

– Czy to jest coś pobożnego?

Franka wzruszonym głosem zaprzeczyła gorąco. Ale, choć tyle czyta, nie umie pięknie i wyraźnie opowiedzieć treści swoimi słowami. Rzekła tylko:

– Tam jest malarz, który się kocha w jednej pani. Maluje Matkę Boską do kościoła i daje jej twarz tej pani, którą kocha.

Zapanowało głębokie milczenie. Zdawało się, że oddechy zamarły w piersiach. Wreszcie Kwiryra ze szpilek w ustach wykrztusiła:

– Będiesz musiała wypowiadać się, to grzech.

Nic z tego. Franka, taka cicha, nagle oparła się Kwiryrynie. Wyjawiała swoje postanowienie: ze wszystkiego będzie się spowiadała, ale z czytania książek, nie.

– Jak to? – krzyknęły z przestraczem.

Zupełnie zwyczajnie, nie powie księdzu nic o książkach. Wszystkie trzy, Kwiryra, Janka i Bronia przypomniwały jej bezlitośnie:

– Zatajenie czegoś na spowiedzi jest grzechem śmiertelnym. Śmiertelnym!

„Ksiądz z Noskiem”, prawdziwy hrabia, z parafii Najświętszej Marii Panny na Lesznie, mógł być zadowolony ze swych penitentek.

Bronka, która tak bardzo i instynktownie nie znosiła smutku ani dla siebie, ani dla drugich, postanowiła błagać Franię, aby ta wyznała na spowiedzi swój grzech. Dla Bronki Bóg był zupełnie bliski i żywy, i dotykalny – z jej zdolnością widzenia to była łatwa i prosta sprawa.

Nad łóżkiem sióstr wisiał ogromny obraz Wniebowzięcia. Wieczorem matka chowała się za skrzydło łóżka i pac-pac! z ciemności padały na kołdrę suszone śliwki. Bronka wierzyła, iż te śliwki rzuca Matka Boska ze swego niebieskiego płaszcza. Jeśli zgrzeszyła, otrzymywała natychmiast karę z rąk matki lub ojca, chociaż niby o tym przewinieniu nie wiedzieli. Co czeka Frankę za jej grzech śmiertelny? Przysunęła się do niej i najpierw pocałowała, potem nastąpiły jęki i prośby:

– Franiu, ja cię proszę...

Ale właśnie Janka krzyknęła z przest్రachem:

– A nogi?!

Kwiryna, już gotowa, otworzyła drzwi do sionki i oznajmiła głosem stanowczym:

– Mamo, zmyłam statki i wychodzę.

Poszły uliczką koło szpitala ewangelickiego; nie można było biec ze względu na Kwirynę, która i tak była zasapana. Na rogu odnawiano sklep. Cóż tu będzie się mieścić? Stara Żydówka, która zimą sprzedawała szproty, teraz miała w swoim koszyku groch gotowany i drewnianą miarkę. Na skwerze leżał jeszcze brudny śnieg, zimny wiatr wypadł z Karmelickiej i Leszna, na skrzyżowaniach ulic zakręcił dziewczętami, spódnice załopotwały, warkocze wzniosły się i spłynęły za plecami. Na schodkach mydlarni stoi pani Ziemska. Okna szkoły wyglądają ciemno, jakby od wieków niemyte.

Och, właśnie ten wiatr! Przez ten wiatr poczuły nagle głód i pragnienie, na cokolwiek spojrzały, łaknęły tego. Chciały jeść groch z koszyka starej Żydówki, chciały porozmawiać z panią Ziemską. Można by też dowiedzieć się, co będzie w sklepie na rogu? Czy nie wpaść na chwilę do szkoły? Jakże wygląda sala, pusta? Ławki, bez dziewcząt?

Ale – te nogi! Mogli przez ten czas przynieść nogi z tokarni do domu. Mógł też ktoś wyjść z domu i napotkać je tutaj, wałęsające się bez nóg. Zaczęły biec, zostawiając Kwirynę w tyle.

Na rogu Żelaznej i Chłodnej dopędziła je zasapana.

– Ostatni raz idę z wami! – krzyknęła z gniewem.

W tokarni w suterenie taki był hałas, że ani jednego słowa nie można było usłyszeć.

Bronka i Janka zaczęły nagle gestykulować bezradnie, jak nieme. Ale Kwiryna odepchnęła je, rycząc po prostu:

– Czy nogi dla pana Mossakowskiego są już gotowe?

Wszyscy robotnicy zwrócili głowy w jej stronę, stała tak, w pośrodku

izby, potężna, o policzkach rumianych i pięknych, czarnych oczach. Zaśmieli się bezgłośnie, otworzywszy szeroko ciemne jamy ust.

Nogi właśnie się obtaczały.

Dziewczęta siadły na schodkach, prowadzących do sutereny tokarza, oszołomione hukiem.

Okazało się, że jednak Kwiryra ma landrynki. Wyjęła je z kieszeni spódniczki, zlepione od gorącego sąsiedztwa ciała, tak że ledwie można było odłączyć je od papieru. Kwiryra zapraszała ceremonialnie:

– Proszę cię, Franka... Bronia... – Aż raptem rozgniewała się i krzyknęła:

– No, bierzcie! Długo mam was prosić?!

Landrynki były tak kwaśne, że usta wykrzywiały się same.

Siedziały cmokząc głośno i kołyszac nogami, choć było to zabronione, bo matka mówiła, iż na takich rozkołysanych stopach siada diabeł. Niespodziewanie, jakby nigdy nic. Franka podała nowy projekt:

– Czy nie możemy się przejść przez ten czas?

– Tak, a nogi? – siostry Mossakowskie zadały to pytanie bez żadnego przekonania, nawet Kwiryra nie wyjechała ze swoim rozsądkiem. Nawet tu, na schodki sutereny, dolatywał tamten wiatr ze skrzyżowania ulic. Skoro już są w tych stronach, mogłyby przecie zobaczyć, jak tu jest?

Wymknęły się, ledwie rzuciwszy okiem na wirujące na tokarni nogi.

Rozczarowanie – zanim zdolały pochwycić małe różnice. Czyż nie jest tak samo jak na Nowolipkach? Domy były większe, tak. Na rogu Żelaznej i Chłodnej duża cukiernia Sommera, której przecież na Nowolipkach nie było. Ale w miarę jak się posuwały w głąb, w stronę Żelaznej, wahające się i baczne, uczuły jakiś prąd, który je porywał, usłyszały ogromny głos, który je popędzał. Nie mogły już zawrócić, wszystko pędziło naprzód, nic nie biegło w stronę Nowolipek, tylko naprzód, przed siebie, w głąb. Jakieś ogromne wozy pełne skrzyń. Pełne huczących, pustych beczek, grzmiącego żelastwa, węgla. W oknach wysokich i ponurych domów ledwo się ćmiły małe światła lamp, umieszczonych wysoko przy ścianach. Widać było brudne sufity, światło padało z góry i oświetlało akurat te miejsca, które były ważne. Więc piec kuchenny, kuchnię, gdzie gotowała się kolacja. Warsztat szewca, mały stolik, czterech mężczyzn siedzących wokół z grzbietami zgiętymi. Białę praczeki w oparach. Maszynę i parę rąk przytrzymujących materiał pod igłą, ręce te nie wiadomo do kogo należały. Żałobne strzępy firanek, w cieniu, zwisały smutnie za mętnymi szybami. Z małych, zapadłych w ziemię szyncków buchały zapachy. Z dużych, narożnych restauracji dobiegała huczna muzyka. Przy sklepikach monopolowych mężczyźni z siłą uderzali otwartą dłonią w dna flaszek.

Tam, na Nowolipkach, wiadomo było, że szewc nazywa się Fiszel. Pracza – to wdowa Janowa. Sukienki szyje pani Podgórska. W sklepiku

Kwiryny ludzie siadywali przy rogu stołu i jedli wędlinę z ogórkiem. Można było o wszystkich mieszkaniach za szybami powiedzieć, kto tam jest. Tu nic nie było wiadome.

Już nie rozmawiały. Oszołomione szły w milczeniu. Franka naprzód z głową wtuloną w podniesione ramiona. Potrażano je. Mogły przystanąć koło wystaw sklepowych, wystawy były tu większe. Ale szły jak oczadziały, odurzone, wystraszone. Nigdy już chyba nie wrócą do domu. Było im tak, jakby zostały nagle sierotami. Umarła matka siostr Mossakowskich, ciotka i matka Frani – och, nie do uwierzenia, nawet tułuby poumieraly i wielka Kwiryna była też sierotą. Błądzą ulicami, nigdzie nie mają domu, nigdy go już chyba nie odnajdą!...

Koło browaru Habermuscha, pod czerwonymi latarniami, buchnął krzyk. Biją się! O, to znały, to było wszędzie, na Nowolipkach też, tak samo, wrzask i szamotanie się, i brzęk tłuczonych szyb. Wszystkie naraz zawróciły, biegly z powrotem, potrącając się. Kwiryna dyszała ciężko:

– Stójcie, wariatki!

A ulica uspokoiła się, tak jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Po prostu – cisza.

Gdzieś się rozjechały wozy, gdzieś już zwieziono węgiel i żelazo, i puste beczki. Sklepy były ciemne. A w mieszkaniach za małutkimi szybkami migały złote błyski świec w srebrnych lichtarzach. Lśniące obrusy leży na ubogich, pokaleczonych stołach. To był piątek, święto sabatu. Tokarz na pewno zamknął już tokarnię!

Ta wyprawa, pełna strachu, obaw i udręczeń... Miały przecież przyspieszyć robotę nóg, a oto wrócą z pustymi rękoma. Co je czeka w domu? Znow pobiegly co sił, w nieodstępnym towarzystwie grzechu nieposłuszeństwa – grzechu, winy, kary i żalu. Okna sutereny tokarza były ciemne. Ale Kwiryna weszła od podwórza i zawołała:

– Chodźcie tu!

Nogi stały rzędem, oparte o ścianę przy schodkach.

Można by odetchnąć i pomyśleć, że to już koniec. Ale nie. Ojciec nie czekał na nogi. Szły właśnie z nogami stołowymi w objęciach, z miłym poczuciem spełnionego obowiązku, zadyszane i zmęczone, a ojciec przeszedł mimo tego dziwnego pochodu i nawet okiem nie rzucił. Zupełnie zapomniał, może mu wcale o te nogi naprawdę nie chodziło? Miał na sobie już letnie jasne sakpalto, miękki kapelus z oparł wraz z dłonią na rączce laski. Szedł w stronę Żelaznej z dwoma nieznanymi panami, sam jakby nieznanym, obcy, obojętny – wcale nie tatuś.

W dodatku Kwiryna, ochłonawszy ze zmęczenia, znow groziła:

– Więcej już z wami nie pójdę nigdy, z takimi wariatkami!

Nikt nie domagał się żadnych wyjaśnień, nikt nie spowiadał się ze swych

strachów podczas tej wędrówki, ale ona wyłożyła dobitnie:

– Te wozy tak pędziły, bo tam jest stacja towarowa za przejazdem, głupie. Ludzie piją, bo u Żydów była dziś wypłata.

Przed samym domem zwała nogę na bruk i odeszła rozgniewana.

Był już fajerant w warsztacie.

Matka nakładała w kuchni na miski, pełne barszczu, śnieżne kupki tłuczonych kartofli.

Piękna kuzynka Helena siedziała na kuftrze, w boa z piórek na szyi, a piórka te drżały przy każdym jej oddechu. W pokoju brat Mietek i kuzyn Olek, i Narcyz, uczeń na stacji, kiwali się zgodnie i bezgłośnie nad zadanymi lekcjami. Siostra Maria ściboliła coś pilnie.

Nic się nie stało. Ojciec poszedł na wiec.

Zapalono ogromną, wiszącą lampę nad stołem.

TEN I TAMTEN ŚWIAT

Rosyjski mąż pani przyszedł po nią do szkoły, tego więc dnia lekcje nie przeciągnęły się poza przepisane godziny. Bronka rzekła, aby w taki dzień nie zawracać pani głowy.

Rosyjski mąż przychodził i stawał na progu klasy, i mruzczał niecierpliwie:

– Nu da, pora już, pora, droga moja...

Miał piękną, lśniącą brodę i oczy tak piękne patrzyły na panią groźnie i błagalnie. Nikt z całej dzielnicy, nie brał pani za złe, że miała rosyjskiego męża, ona, Polka. Taki mąż. Zdawał się ją brać za rękę i prowadzić jak dziecko, zdawał się ją bezustannie osłaniać swą potężną postacią. Inaczej przecież nie mogłaby wykładać wszystkich przedmiotów po polsku i na robotach mówić o Polsce.

Zresztą – to była historia miłosna.

Poświęcała tak wiele czasu i uwagi swoim dziewczętom; zdawało się, że jest rozdarta na dwie części między swego rosyjskiego męża i szkołę. Chciała chyba okupić swe szczęście osobiste – ona, która wyszła jakby z szeregu – przygotowywała swe następczynie. W jej tajnym kajeciku widniały nazwiska dziewcząt „materiału najwartościowszego” – i liczne uwagi świadczyły, iż nie wypuszczała ich z kręgu swej opiekuńczej myśli. Były to dziewczęta niekoniecznie te najpilniejsze, niekoniecznie te najlepsze uczennice. Jednakże każda z wybranych i zapisanych zdradzała ów blask inteligencji wrodzonej, płynącej raczej z uczucia, niż z rozwijającego się umysłu. Nie mogło być inaczej, właśnie dla pani wszystko rozstrzygnęło się w sferze uczuć.

Lecz czy to było dobre dla nich samych?

Niejednokrotnie po lekcjach, gdy stały tak na wprost katedry, jej ulubienice, Franka i Bronia, i Janina, i Cechna, dziewczęta z Nowolipek, z jednego domu – o twarzach tak wrażliwych, iż każde jej słowo znajdowało tam natychmiast swój wyraz i oddźwięk, o oczach szeroko otwartych, burych, piwnych, szarych – z palcami umazanymi atramentem – wydawały jej się czemuś tak straszliwie bezbronnymi. Inne dziewczęta posiadały ową dozę rozsądku, pozwalającą im kłamać, uprawiać ściągaczkę, płakać przy złym stopniu, pochlebiać, przylizywać się. Te były po prostu jak nagie w swej szczerości i podświadomym dążeniu do dobra. Odgadywała te bezustanne walki wewnętrzne, które przechodziły, aby określić słowo: zło i grzech. W obcowaniu z innymi, w rozstrzygnięciach sporów zdobywały się na jakąś swoistą, surowo pojętą sprawiedliwość. Śmieszna rzecz, zdawały się cierpieć, gdy Kwiryna częstowała je landrynkami, aczkolwiek ich dziecinne pożądania nie mogły się zdobyć na wyrzeczenie się słodkiego daru. Okropny wydawał jej się ten brak bez troski, te ciągle walki z samym sobą, jak chmura ciężąca nad dzieciństwem. Zrobiła raz uwagę, powiedziała przy takim poczęstunku, iż to są landrynki dobrze zapracowane przez Kwirynę. Ujrzała, jak po prostu odetchnęły z ulgą. Tajny kajecik miał właśnie za zadanie regulować te sprawy.

Cóż jednak znaczyło w tej małej litanii imion – imię rozsądnej Kwiryny?

Kwiryna chodziła do szkoły aby-aby. Naprawdę, to miała szkołę za jakąś zabawę niepoważną, odkąd nauczyła się dobrze czytać i pisać. Co do rachunków, to posiadała tę umiejętność wcześniej niż sztukę czytania, w sklepiku. Poza tym nie mogła się zmieścić w ławce; za każdym razem, kiedy pani wzywała ją do tablicy, Kwiryna nie mogła się wydostać z ciasnej ławki – zdawało się, że razem – ławka i ona – powędrują do tablicy. Dziewczęta śmiały się głośno, panią to znów bardzo gniewało, nie znosiła, aby kogoś ośmieszano.

Nieważność szkoły wynikała jakby z ważności roli Kwiryny w domu. Tułuby poruszały się ciężko, jakby nieżywe. Wydawały rozkazy, to prawda, ale ona dopiero była ważna, ponieważ robiła, czyniła. Na przykład teraz, na wiosnę, ciągle przebywała w piwnicy i spiżarni.

Kamienie z beczki od kapusty trzeba było wyjąć, wymyć, to samo zrobić z deseczkami i szmatką. Kapustę czuć było bardzo pleśnią, ratowało ją tylko to mycie i mycie. To samo z ogórkami. Trzeba było też ciągle przebierać kartofle.

Kiszono barszcz, marynowano śledzie. W nocy z czwartku na piątek, dzień postny, Kwiryna opieką śledzie w mące, a nawet siekała je i robiła kotlety. Przyrządzano także szczaw, pomidory w butlach – nie od dostawców, wszystko w domu.

Przez te zajęcia domowe, smrody, bezustanne spaleniźny i dymy czym była szkoła? Zabawą i zapachem. Czymś nieważnym, ale mimo bagatelności – wyższym.

Janka Mossakowska uczyła się źle, ciągle czymś się namiętnie zajmowała i rzucała to zaraz, aby chwycić za coś innego, czemuś innemu znów się namiętnie oddać. Zdradzała pociąg do ozdobności, lubiła przystrajac klasę, kołnierzyki jej jednak, sporządzone nie z płótna czy batysty lecz ze skrawków materiału czy koronki, mówiły o zamiłowaniu do ubogiej ekscentryczności. Ciągle chciała coś osiągnąć, coś zdobyć, lecz sama, swoimi środkami i umiejętnościami. Wszelki dar i wszelka pomoc odbierała od razu wartość sprawie, o którą akurat szło. Z jej to ust słyzało się najczęściej zażarte pytanie, z góry potępiające:

– Czy to jest sprawiedliwie?

Uwagi i notatki w tajnym kajeciku pani przypominały o konieczności czujnego, rzetelnego postępowania z Janką.

Bronia, ta była biedna ze swym wiecznym pragnieniem, aby wszystko było dobrze, aby nikt się nie smucił i nie cierpiał, a ona sama tak bardzo właśnie smuciła się byle czym. Podpowiadała. Podsuwała karteczki z rozwiązaniem zadań. Aby zaspokoić pytania pani, aby pani też była zadowolona z klasy, trzymała ciągle rękę w górze, w pogotowiu, dwa palce na znak gotowości do odpowiedzi. To Bronia właśnie skłonna była do kłamstw, do przemilczeń, nie aby uchronić siebie, ale tylko aby było „dobrze”. Ułagodzić, ułagodzić, ułaskać wszystko dokoła... Oczekiwała od ludzi tylko dobra, była tak ufna. Cóż urodzi się z tej ufności później w życiu? Notatki w tajnym kajeciku przy imieniu Broni przypominały niejako o kubie zimnej wody, o trzeźwości.

Cechny Raczyńskiej dotyczyła uwaga: „Nie uśmiechać się zbyt często do C. R., zważać na sposób odnoszenia się do niej”. Cechna była łasa na miłe spojrzenia i uśmiechy pani, wydzielala z siebie jakąś wielką czulość, dość było jednego dobrego słowa, aby rozpływała się z miłości. Ciągle musiała osobę kochaną dotykać, głaskać, mieć ją koło siebie. Była niemądra z tą swoją uczuciowością.

Przy imieniu Frani szereg pytań: „Co się dzieje z Franią?” „Skąd bierze książki?” „Skąd w niej ta zmiana?” Pytania te nie zostały rozstrzygnięte, nie było dalszych uwag.

Tego dnia Frania właśnie po raz pierwszy deklamowała wiersz „Do bociana”. Ostatnia lekcja zwykle była pełna szeptów, sekretnego pakowania książek, umawiania się „na po lekcjach”. Tym razem panowała cisza. Dziewczynka mówiła niewdzięczny, pełen pompy wiersz prosto i melodyjnie, z wielką szczerością i zrozumieniem. Jej podłużne, piwne oczy patrzyły wprost na nauczycielkę, błada twarzyczka zdumiewała nieruchomością.

Słowa: „maj”, „kwitnie”, „miły” rozwijały się w ustach tej mieszkanki suterren istotnie niczym kwiaty, miały barwę i wdzięk. Pani nadstawiała ucha tym melodiom nieoczekiwany; „Pędź, niewierny, lotem strzały – tam gdzie miłe są upały, tam gdzie wiecznie kwitnie maj. – Mnie niech zimno krew tu zetnie, nie polecę w strony letnie – bo mnie milszy ojców kraj”.

Właśnie wtedy wszedł rosyjski mąż z zegarkiem w dłoni. Pani niecierpliwie syknęła, rosyjski mąż przeraził się tego syknięcia i cofnął się do przedpokoju. Frania kończyła swój wiersz. Pani powiedziała łaskawie:

– Bardzo dobrze, Franiu, bardzo dobrze.

Znów wszedł rosyjski mąż, nachmurzony. Pani wstała, aby zejść z katedry i jak zwykle stanąć w szeregach dziewcząt twarzą do obrazka, wiszącego na ścianie, odmówić krótką modlitwę po lekcjach.

Potknęła się przy zejściu, byłaby upadła, gdyby rosyjski mąż nie chwycił jej i podtrzymał.

Twarz pani była czerwona, usta zaciśnięte surowo. Stała w pierwszym szeregu – natychmiast poczuła specyficzny, odstręczający zapach od przesiąkłej wilgocią odzieży Frani.

Frانيا stała tuż przy jej boku, przed sobą miała pani święty obrazek na ścianie – a we drzwiach twarz męża. Podniosła rękę do czoła i zaczęła:

– W imię Ojca i Syna... – Chór głosów dziecinnych poderwał i rozwinął słowa modlitwy.

Suterena, to się wie, tyle zostało napisane i powiedziane o tych oknach przyziemnych, na wysokości rynsztoków. Nogi ludzkie, stopy w kamazach, trzewikach, kapiach, trepach!

Stopy gołe. Franka przeszła ten okres jak ciężką chorobę.

Jej się też zdawało z początku, że ją te stopy ludzkie wdepczą na zawsze w ziemię. Czyż okno nie zapadało się coraz niżej i niżej? Szyby mętniały zielone, matowe. Ludzie całego domu wylewali tu swoje brudy do rynsztoka, płynącego wyżej niż okno. Odpryski tych brudów padały na szyby. Słychać było ciągle bulgotanie wody w jakichś rurach; zaraz koło okna wodociąg podwórzowy kapał ciężkimi kroplami.

Czuła swą niższość wobec siostr Mossakowskich z osobnego drewniaka, wobec czarnej Wikty, szwaczki żołnierskiej, mieszkającej na facjatce nad Mossakowskimi. Nie ma mowy o Raczyńskich z parteru od frontu! A cóż dopiero o państwie Rubinrot.

Ale właśnie w tym czasie, gdy zaczynała coraz częściej zamyślać się o suterrenie, pani pożyczyła jej „Nieznajomą z poddasza” i „Gwiazdę przewodnią”. Wtedy suterena zniknęła.

Nie przebywała tu, ponieważ przebywała gdzie indziej. Wstąpiła na taką drogę, iż musiała bezustannie wędrować, nigdy nie była akurat tu, tylko zawsze tam. Ludzie z książek ciągle zmieniali miejsce i ciągle coś się z nimi

działo. To, co ją otaczało, przestało istnieć, a tamto urojone, wymyślone przez kogoś, zaczynało żyć. Życ w sposób inny dla niej, czarodziejski, przesycony jakimś światłem, smakiem i zapachem. Jeśli było trochę smutku, to ostatnia karta była kartą pocieszenia. Skończyły się biedy „Nieznajomej z poddasza”. Marjorie odnalazła swego ojca i bogactwo.

Ciągle ściągano ją gwałtem do tego tu świata, do sutereny. Ciotka krzyczała:

– Franka, słyszysz, co się do ciebie mówi?!

Koleżanki wołały filuternie:

– Frania, budzę cię! W kolorze?!

Pani w szkole zmienacka wyrwała do lekcji:

– A teraz dalej powie nam Frania!

Już wcale nie dbała o zaproszenie sióstr Rubinrot, Raczyńskie z parteru były głuptasami.

Kwiryna kupowała w kiosku na rogu zeszyty z Sherlockiem Holmesem i Barbarą Ubryk. Ale te zeszyty to było co innego, czuło się to od razu. Już odrzucony został nawet Przyborowski i Gąsiorowski. Zaczęły się snuć dziwne, zawikłane historie Madonn Busowiskich, pochłaniające, urocze – czy nie dlatego że niezupełnie dostępne?

Na płycie kuchennej stoi garneczek z burą kawą, ciotka jeszcze o ciemnym świetle wyszła do fabryki na Wolę. Przylepka odkrojona z bochenka chleba i nóż leży na brzegu stołu.

Smalec ze skwarkami oblepia cienką warstwą wewnątrz garnka – to wszystko, jadło i picie na cały dzień. Jeśli bardzo dokucza jej głód, idzie tak długo i daleko do matki na pański obiad.

Staje u drzwi kuchennych i słucha. Jeśli nie słyhać rozmowy, tam, wewnątrz, porusza lekko klamkę. Dlaczego w pewne dni wolno wejść do kuchni i spożywać obiad przy stole kuchennym, a w inne otrzymywać talerze zupy na schodach?

Przez uchylone drzwi wysuwa się ręka matki z talerzem. Franka siada na parapecie okna, tyłem do podwórza, plecami do wszystkich okien oficyny. Je.

Nikt z przechodzących schodami nie ośmielił się rzucić słowa temu dziecku w brązowym mundurku uczennicy, pożywiającemu się na schodach ukradkiem, wśród wystawionych za drzwiami kubłów ze śmieciem i otwartych okienek ubikacji. Ta twarz pobladła, to spojrzenie spod pochylonego czoła, spode łba, zamyka usta.

Tak, w niedzielę matka miała wychodne i gościła w suterenie, przynosiła resztki pańskiego, jedzenia: pokruszoną szarlotkę i kawał pieczeni. Wódka w zielonkawej flasze stała na stole, była mowa o tym, że stara znów się wściekla, była mowa o jakimś Romanie:

– Cóż to za drań, powiadam ci, tobyś nie wierzyła!

Ale ciotka przerywała ciągle, bo jej Stanisław był gorszym draniem.

– Cały tydzień czekałam – rzekła z rozżaleniem – aby ci opowiedzieć wszystko, a ty mi tylko swoje i swoje.

Możliwe, że Romana i Stanisława wcale nie było, nigdy się ich nie widziało. Z czasem dopiero wynikło, że Stanisław był chyba w mieście Łodzi, ciotka ciągle wzdychała do miasta Łodzi, za to matka wybierała się często na Bródno. Czyżby Roman leżał tam, na Bródnie, w grobie?

Czytelnia na Dzielnej mieściła się w domu na pozór zwykłym, a jednak od razu, gdy wchodziła do bramy, przebiegał ją dreszcz, ogarniało zimno. Tu był ten inny świat, do tego świata należała pani ze szkoły i pani wydająca książki w czytelni, i nawet – rosyjski mąż. Oni wiedzieli, co znaczą niezrozumiałe słowa, znali tajemnicę ksiązek, umieli „mówić” treść namalowanego obrazu, umieli mówić słowa o dźwięku, o muzyce. Ach, nie tylko ustami, poruszeniem warg – ich oczy także mówiły, ich ręce białe i czyste także mówiły. Jakież był blask w tamtych oczach, jakie ruchy rąk, ciała, co za uśmiechy...

O tej pani, która wydawała książki w czytelni, mówiono, iż uciekła wprost spod szubienicy, może dlatego nie badała:

– Dla kogo bierzesz książki? Dla starszych? To nie jest książka dla młodzieży.

Nie, dawała wszystko, czego się żądało, z katalogu, nie patrząc. Gdy się uciekło spod szubienicy, nie przywiązuje się wagi do ksiązek dla młodzieży, nie chce się pilnować ludzi i rozkazywać im. Czasem spojrzenie pani przemknęło po twarzach zawisłych tuż nad barierką, powieki podnosiły się i ukazywały ciemne, gorejące oczy. Było to tak, jak gdyby chciała im coś powiedzieć albo oczekiwała, iż oni powiedzą coś ważnego.

Franka zakochała się w tej pani, to była jej tajemnica, pierwsze drgnienie miłości. Już się tej godziny doczekać nie mogła, kiedy otwierano czytelnię. Stała przed bramą lub szła naprzeciw pani wstydliwie, drugą stroną ulicy, aby widzieć, jak tamta nadchodzi, jak idzie naprzeciw. Lub czekała, aż światła zagasną w czytelni, czekała przed bramą i szła za panią.

Dreszcz spływał po całym ciele, aż do stóp, gdy pani zza barierki spojrzała na nią swymi gorejącymi oczyma – z jej śnieżnych rąk otrzymała książkę. Śniła o niej nocami, myślała o niej rankiem zaraz po przebudzeniu, w mętym świetle sutereny. Ciągle i ciągle.

Wtedy właśnie do książki wtargnęły wiersze.

Dokądże odchodzi, wśród tych dźwięków melodyjnych, od swej sutereny? Dokądkolwiek bądź – zawsze to będzie za daleko, za wysoko, zawsze tam będzie zbyt dziwnie, zdumiewająco, trudno.

CHLEB SUCHY I CHLEB Z POWIDŁAMI

Kosz matki, kosz, w którym matka nosi żywność z miasta, z targu. Wisi zwykle na gwoździu za drzwiami. Podarty i ponaprawiany, tu łykiem, tu kawałkiem grubego płótna, tu jeszcze zczepiony sznurkiem.

– Przypomnijcie mi, żebym kupiła nowy kosz – mówi matka.

Nikt nie pamięta, nikt nie przypomina. Ten sam stary kosz wisi na gwoździu za drzwiami.

Rano, w drodze do szkoły, spotykają matkę przy bazarze na Nowolipiu. Wraca już z targu, idzie przegięta w bok pod ciężarem wyładowanego kosza, twarz jej promienieje – wcale nie trzeba spojrzeć na kosz, aby wiedzieć, że jest pełny. Twarz matki promienieje, kosz jest pełny! Biegną co sił naprzeciw Janka i Bronia.

Cechna i Frania, obce, zostają w tyle. Matka zatrzymuje się, niby zmęczona, stawia kosz na skraju chodnika. Przypadają do tego kosza.

– Nie grzebcie, nie przewracajcie mi w koszu – mówi matka.

Znajdują obwarzanki związane sznurkiem, pomarszczone jabłka lub jędrne, mokre rzodkiewki, suszone śliwki czy bajgełe żydowskie z cebulką przypieczoną na wierzchu.

Pachnie to wszystko warzywem. Frania i Cechna też otrzymują swoje porcje. Całują matkę w rękę i rozstają się. Idą do szkoły, po drodze odgadują z zawartości kosza, co będzie dziś na obiad. Chyba sztuka mięsa, rosół z makaronem i sałata.

W te dni, kiedy w koszu telepie się funcik kartofli i torebka z kaszą, matka wraca innymi ulicami do domu. Dziewczęta stoją rozczarowane. Franka i Cechna kroczą razem z nimi, nie potrzebują zostawać w tyle. Siostry Mossakowskie idą z opuszczonymi głowami, nie chce się im udawać wesołości, cała nędza świata i głód, i tysiące strachów towarzyszą im w tej drodze.

Kosz jest pełny, dziewczęta dostają sukienki w kropki, białe z granatowym, i fartuszki domowe w paseczki – drzwi do mieszkania pani Podgórskiej skrzypią co chwila. Małe klientki dygają i wykładają swe prośby:

– Proszę pani, żeby w pasie była marszczona, dobrze? Sute sukienki są ładniejsze...

A kapelusze? Kapelusze kupione na Długiej, z jasnej słomki, mają falbankę z ażurowej plecionki i pęczki wiśni z boku. Sam ojciec kładzie je ostrożnie na pięść i ogląda dookoła uważnie.

– Hm, ujdzie... – powiada.

Wąsy i broda tak mu dziwnie drżą – uśmiech ma taki wstydlivy. Trzyma na zaciśniętej pięści kapelusz dziecienny, zapracował więcej i sprawił

dzieciom sukienki i kapelusze.

Na niedzielne śniadanie je się kiszkę, kaszankę w grubych plastrach, przysmażoną na smalcu i zrumienione kartofle. Terminatorzy klepią się po brzuchach z ukontentowania – na mieszkalnej stronie mają te same gusta, jeśli chodzi o niedzielne śniadanie.

Wydaje się na życie dziennie rubel i pięćdziesiąt kopiejek, rubel, a czasem złotówkę, a czasem grosze.

Jest beczułka śliwek jesienią i worek jabłek, kupiony na galarach nad Wisłą. Dom pachnie powidłami. Chleb z powidłami na drugie śniadanie do szkoły, zamiast chleba ze smalcem!

O głębokim wieczorze, gdy wszyscy już śpią, w ponurej ciszy i ostrożnie ludzie wynoszą z drewniaka Mossakowskich rzeczy. Rzeźbioną, ogromną szafę dębową i piękny kredens, i toaletę z lustrem, i nawet słupki do kwiatów, i klęcznik matki, z podnóżkiem. Gdzie się to podziewa? Rano budzą się w ogołoconych ze sprzętów izbach. Zostały aby łóżka i stół na środku lichey, i zwykle taborety do siedzenia. W warsztacie cisza. Wiadomo już teraz, że ojciec znów poręczył za kogoś i trzeba skryć meble przed zajęciem.

Bronka dostaje polecenie:

– Tu masz siedzieć, przy oknie, i patrzeć, czy nie idą obcy ludzie.

Ogarnia ją strach, czy będzie umiała akurat wypatrzeć tych obcych, o których matce szło. Siedzi przy oknie, wytęża oczy i uszy, szeptem także pacierz. Maria wychodziła prędko do pani Podgórskiej. Mietek i Narcyz, i Olek do progimnazjum. Nieuważna Janka nie jest dobra do takich rzeczy. Bronka więc siedzi przy oknie i wypatruje. I widzi ich, tych obcych, trzech, widzi ich! Zdławionym głosem szeptem:

– Idą, idą. – Lęka się, że nie dosłyszano ostrzeżenia, i krzyczy spazmatycznie: – Idą, mamó, idą!

Ojciec przemyka pośpiesznie przez pokój, w marynarce narzuconej na ramiona, z włosami wzburzonymi. Jego silne ręce drżą.

Znika za drzwiami, słychać cichy skrzyp schodów. Ojciec skrył się. U Wikty, żołnierskiej szwaczki, na poddaszu. Teraz stukają. Matka otwiera sama i zaraz od progu woła:

– Nie ma go, nie ma od dwóch tygodni! Wyszedł z domu jakby nigdy nic i nie wrócił!

Mimo to obcy wchodzi do warsztatu. Wygląda tu tak, jakby od dawien dawna nikt nie pracował. Piły wiszą na ścianach, narzędzia pochowano do szafek. To nie podlega zajęciu. Ani jednego wiórka, ani pyłu trocin.

Obcy załamują ręce.

– Pani Massakowska, gdzie pani podziała stoły?

– Stoły?

– Tak stoły. Były tu przecież, brakowało im tylko nóg, stoły rozsuwane,

dębowe, z blatami. Stała tu cała sterta, pod sam pawlacz! Sztuka w sztukę po rubli chyba trzydzieści.

Jakie stoły? Od świętej pamięci odstawione na Nowowiniarską do Hajtlera. To można sprawdzić. I po jakie znów trzydzieści rubli, żartuje pan chyba? Może kupiec bierze tyle, ale żeby to dostał rzemieślnik, pierwsze słyszę.

– Niech państwo się ugodzą – mówi jeden z panów.

Lecz matka wzrusza ramionami.

– Nie ja weksle podpisywałam i nie ja ugadzać się będę. Wróci, to niech się ugadza. Ja nawet pisać nie umiem – mówi ze wstydem.

Obcy chodzą po całej oficynie, przechodzą przez sień do mieszkania, gniewają się i kłócą.

Matka i Bronka trop w trop za nimi. Ale nie wejdą chyba na górę do Wikty! Bronka drży ze strachu, dlaczego ta Janina wyszła z domu, a ona musi to wszystko widzieć? Dlaczego Janka wyszła? Zjawia się akurat, gdy obcy już wychodzą. Matka wpada na nią:

– Gdzie ty lafrujesz, ty – dziecko bez serca!

Ojciec długo, długo jeszcze siedzi na facjatce u Wikty.

Słysząc stamtąd bezustanny warkot maszyny. Ojciec schodzi wreszcie na dół, nie patrzy na nikogo, ubiera się i wychodzi.

– Szanujcie chleb – mówi matka, ciągle to przypomina domownikom i dzieciom.

Jeśli ktoś upuści kromkę chleba na ziemię, musi podnieść i otrzeć z pyłu, i ucałować. Można potem taką okruszynę chleba rzucić na płonący w piecu ogień – ale nigdy porzucić gdzie bądź lub do kubła z odpadkami jedzenia. Matka zaczynała świeży bochen chleba, opierała go o pierś i błyszczącym ostrzem wielkiego noża kreśliła znak krzyża na grubej skórce.

– W imię Ojca i Syna... – mówi, a z końca stołu, gdzie siedzą dzieci, rozlega się błagalny szept:

– Mamo, przylepka dla mnie, dobrze, mamo?

Nigdy, przenigdy nie odda matka noża Marii, nigdy nie pozwala się wyręczyć w czynności krojenia chleba. Zdaje jej się, że nikt nie potrafi tego dobrze zrobić, że kroji krzywo, byle jak, właśnie bez uszanowania. I czyż nie miała racji?

Wybuchł strajk. Nie było chleba.

Matka piecze najrozmaitsze placuszki i racuchy z kartofli na oleju i przypomina wszystkim, jak to natrzęsali się nieraz nad chlebem, nie chcieli jeść suchego. Suchy, to nie znaczy czerstwy, tylko niczym nie posmarowany. Teraz łaknęli tego suchego chleba, nie mogli już patrzeć na racuchy.

– Obejdźcie się smakiem! – mówi matka.

Na kolację i śniadanie racuchy lub kluski z kartofli, na obiad kartofle. Bez

chleba w takim gospodarstwie, przy tylu ludziach i dzieciach, to jak bez rąk. Janka próbuje grymasić, ale matka woła ją do kuchni i tam gromi. Taki Narcyz, który jest obcy i płaci za pożywienie, ani słówka nie piśnie, a rodzone dziecko jest takie niewyrozumiałe?

– Czy ci nie wstyd?

Janka uważa, że za dużo wymaga się od „rodzonych dzieci”, ciągle się słyszy uroczyste słowa o rodzonych dzieciach. Czy to sprawiedliwie?

Ale w nocy, gdy już się pokładli spać, ktoś wali w zamknięte okiennice po mieszkalnej stronie domu. Słychać tubalny głos ojca Narcyza:

– Swój, swój! Pani Mossakowska, to ja, swój!

Na Woli, w cegielni Odolany, którą ojciec Narcyza zarządza, też strajkują, ale kobiety upiekły chleb. Ojciec Narcyza, w najgłębszej tajemnicy, nocą, przyniósł sam na plecach w worku świeże bochny chleba. Wszyscy budzą się i wstają z łóżek. Tylko ojca nie ma.

Wyjmują ten chleb, duże bochenki, chleb sitkowy – a co za zapach! Niech się schowa chleb warszawski. Stają wokół stołu, matka chwyta nóż, nareszcie może uczynić znów znak krzyża na grubej, spieczonej skórce, na widocznych źdźbłach słomy.

– W imię Ojca i Syna – mówi, głos jej jest drżący i nagle rzęsiste łzy biegną przez jej pobladłe policzki, wcale się nie wstydzi tych łez, nie ociera. Wszyscy stoją jak oniemiała, ojciec Narcyza zmieszał się okropnie.

– Masz ci! – powiada i chrząka ze wzruszenia. – A to ci dopiero!

Gotują na gwałt herbatę, w nocy. Zapalają dużą lampę. Uroczystość. Ogromny czajnik bezustannie szumi na blasze kuchennej; jeśli nie stać jest na urządzenie przyjęć, na porządne uczęstowanie gości, to jednak zawsze jest w domu herbata i chleb, i smalec.

Przychodzi Ignas Piędzicki, kolega Mietka, który tu przedtem mieszkał w drewniak, zanim Piędzicy wzbogacili się tak, że pobudowali na Koszykowej – fabrykę, a nie zwykły warsztat. Przy każdej wieczery Bronia pyta:

– Mamo, czy mogę zawołać Franię?

Przychodziła Frania, przychodziła kuzynka Helena z pięknego pensjonatu w śródmieściu, którym zarządzała. Aż z Dzielnej przychodziła pani Zembrzuska, żona starszego dozorczy więziennego. Zajrzała pani Podgórska, oderwała się od swej maszyny na momencik, aby odetchnąć.

Ale chleba i herbaty zawsze musiało starczyć.

– To jedno mogę wam dać – mówiła matka.

Nie było się głodnym, jeśli był ten bochen chleba, u matki, na stole kuchennym.

OJCZYŻNA

Kiedy się ujawnia wreszcie Ojczyżna, to już nie jest dom na Nowolipkach i już nie jest miasto Warszawa ani nawet Polska Chrobrego z „Dwudziestu czterech obrazów”, z Leszkim Czarnym i Białym, z Heleną w stroju niedbałym. Z początku są to tylko wiersze, odpisywane troskliwie, z początku to są pieśni, śpiewane przy zamkniętych okiennicach. Wiersz o tajnym sowietniku, który się chciał dostać do raję, ale święty Piotr go nie wpuścił i powiedział brzydkie słowo. Brzydkie słowo opuszczało się w deklamacji, a w piśmie stawiało się kropki, tylko kuzyn Olek wcale się nie wstydził i uzupełniał za każdym razem:

– Won, ty sukinsyn.

Wiersz o podarku cara, wiersz o więźniu.

Ale to także nie była jeszcze Ojczyżna, trzeba się było nieraz wstydzić śmiesznego wzruszenia po tych wierszach. Ojczyżna ujawniła się nagle, groźna i wspaniała; to było wtedy, gdy ludzie podnieśli pochylone twarze, gdy wyciągnęli w uniesieniu ramiona, gdy zakrzyczeli głośno.

Objawiła się Ojczyżna bolejąca; to było w kościele Najświętszej Marii Panny na Lesznie; siostrze Marii, która miała tak piękny głos, pierwszej przypadło w udziale zaintonować, jak to było umówione, pieśń „Z dymem pożarów”. Słowa te padły z chóru na zapchany ludźmi kościół – ach, głos Marii, głęboki i niski, wzniecił pożar! Ludzie dźwignęli się z klęczek, podnieśli głowy do góry, zwarli się, kobiety zaszlochały. Nie, „Książd z Noskiem” nie uciekł od ołtarza, jak to czynili inni księża – nawet nie zamachał ramionami, nie uciszał – ukląkł tylko na stopniach ołtarza i chyba pogrążył się w modlitwie. Ludzie tedy mogli śpiewać, mogli skarżyć się swojemu Bogu, mogli ujawnić sobie i światu, że „my już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń”.

Groźna Ojczyżna ujawniła się wtedy, gdy ludzie szli środkiem ulicy, śpiewając, kiedy nie rozpierchli się na widok konnych kozaków. Groźna Ojczyżna wrzasnęła nagle suchym szczękiem salw rewolwerowych – żalona, pokonana Ojczyżna legła trupem na placu Teatralnym, zawiśła świętym obrazkiem pamiętki na parkanach Alej Jerozolimskich, padła kwiatem na grobie pięciu poległych. Mściwa Ojczyżna sztyletem wbiła się w serce człowieka, który runął pod domem na Nowolipkach, z piętnem białej karteczki „prowokator”.

Nieubłagany Jej głos usłyszeć można było w jękach zruszczonej pani Zembrzuskiej z więzienia na Dzielnej, gdy przychodziła i jęczała, że „znów ich wyłapali na mieście” – „znów ich wywieźli do Cytadeli”. Ślepa Jej dłoń pchnęła matkę z malutką Bronią na rękę na ulicę, w samą zawieruchę

czerwonego pochodu. Jej tajemny urok wywabił ojca, którego „to nic nie obchodziło”, z domu, od warsztatu. Ona to podawała śnieżnymi rękoma pani, ucieklej wprost spod szubienicy, książki w czytelni. Ona to nie pozwoliła pani ze szkoły utonąć całkowicie w ramionach rosyjskiego męża. Ona to wreszcie zaznaczyła różową twarz spokojnego brata Mietka białą, szeroką blizną.

Mietek ma szramę na twarzy, na policzku; o tej szramie mówi się w domu, że to pamiątka.

Mietkowi Mossakowskiemu przypadła w udziale szrama, biała blizna na twarzy, a Ignasiowi Piędzickiemu błękitna czapka szkoły Chrzanowskiego.

Ignas przyszedł po raz pierwszy w tej błękitnej czapce akurat wtedy, gdy Mietek wychodził na miasto. Jakoś nie mogli słowa do siebie przemówić Z wrażenia. Mietek miał granatową sztywną czapkę ze srebrnymi palmami i cyfrą progimnazjum, a Ignas błękitną jak niebo, mięką.

Stanęli w sieni naprzeciw siebie i milczeli.

– Dokąd idziesz? – spytał wreszcie Ignas, a Mietek odsapnął ostrożnie i rzekł, że idzie na Rymarską do Grimma obejrzeć mandoliny. Powinien był zawrócić i zaprosić kolegę do pokoju, ale właśnie wyszło tak, jakby Mietek chciał, aby się rozeszli każdy w swoją stronę.

Ignas w pierwszej chwili obraził się i już miał odejść.

– I cóż znów ma być z tymi mandolinami? – ale przestraszył się takiego rozstania z przyjacielem: – Pójdę z tobą, Mietek.

Przez drogę nie mówili ze sobą nic a nic. Cóż tu można było sobie powiedzieć? To się zupełnie nie mieściło w słowach, ta sprawa, te dwie czapki, błękitna i granatowa. Razem przecież wtedy wybiegli ze swojej klasy, wpadli do pętałów, pierwszoklasistów, z okrzykiem.

Co do Mietka, to wszyscy zgodnie zeznali, i pętaki, i woźny, i nawet gospodarz klasowy, iż nic nie krzyczał, tylko wył. Wył nieludzko, wniebogłoso. Może właśnie przez to wycie nieludzkie żołnierz podniósł karabin i kolbę trzasnął w wyjąca twarz.

Ach, to tylko na obronę swego syna mogła ostatecznie powiedzieć matka inspektorowi, tak tę sprawę sprytnie odwrócić i przedstawić: że ani słowa nikt nie słyszał, żadnego buntowania, tylko ten krzyk Mietka. Tak, ona jedna знаła sprawę dwu czapek, błękitnej i granatowej, o, znała całkowicie. Inni znali z niej tylko okruchy, kawałeczki. Mietek i Ignas znali tylko uniesienie tamtej chwili, gorzką i strasliwą rozkosz buntu – ojciec, niestety, ciągle powtarzał o straconym roku, a dopiero ona znała tę sprawę ze wszystkich stron.

W te dni okropne nie było mowy o jakimś przyzwoitym ubieraniu się i dbałości o wygląd, nie było mowy o kapeluszu. Matka narzuciła płaszcz i czarny jedwabny szal na głowę i w tajemnicy przed całym domem wędrowała

z Nowolipek do Kuriera na Krakowskie, o wpis.

Wystawała tam na chodnikach pod zamkniętymi drzwiami i czekała, aż się te drzwi otworzą, aż będzie mogła wejść i wyłożyć swoją sprawę. Ale czy to raz tam była, czy raz przemierzała tę drogę, czy raz stała w obcej sieni z swą twarzą strapioną, jękami załamanymi? Nic z tego nie wyszło, tyle tam stało matek z załamanymi rękoma, o twarzach strapionych, i nawet żadna z nich nie miała tego jedwabnego szala na głowie. Matce uczyniło się wstyd, przestała chodzić na Krakowskie.

Kiedy jednak przypominała sobie ten ucisk, w jakim Mietek żył i uczył się – ten ucisk w domu – lanie za każdą sobotnią dwójkę – i ten ucisk w szkole – zrozumiała, iż trzeba by jakoś tą sprawą pokierować. Mówiono, że w tamtej szkole inaczej uczą, że wszystko jest dla chłopaków dostępne w mig, w lot – jasne i łatwe. Więc niechby już miał tę swoją szkołę, niechby nie odczuwał zewsząd tego ucisku, nakazu, musu. Tym bardziej że mu życie i tak łatwym nie będzie. Miała swoje ubogie klejnoty, za dobrych, miłosnych czasów kupione przez Andrzeja.

– To dostałam od ojca – mówiła i lubiła dzieciom opowiadać, kiedy i jak to się stało, i co to za niespodzianka dla niej była!

Rozkładała na stole, na obrusie: kolczyki, broszkę i bransoletę, i pierścionek, złote, z ametystami. Był to cały garnitur. Poszła i zastawiła ten garnitur, w tajemnicy przed ojcem. Rozharatana twarz Mietka, zszyta w szpitalu, uczyniła jej to wszystko łatwym.

– Z każdego dnia życia ujmę sobie po trochu i odłożę na opłacenie procentów, a wykupię, jak mi zapłacą za Narcyza i za Olka.

Ale okazało się, że szkoła nie ma praw. Chodzili tam chłopcy z bogatych domów, którym nie zależało na żadnych rosyjskich prawach i na „skończonych czterech klasach”.

Te cztery klasy. Mówiło się o tym i mówiło w całym drewniaku, nawet przy terminatorach. Gdyby nie ten strajk, Mietek już byłby w czwartej klasie, za rok skończyłby progimnazjum. Cztery klasy skończone, papier w ręku. Ciągłe o tym mówiono, aż raz stanął Mietek przed matką w kuchni, oczy miał skryte pod powiekami i tak, nie patrząc na nią, rzekł:

– Może by mama poszła do inspektora i poprosiła, żeby mi pozwolono zdawać do trzeciej. Tamten rok przepadł, ale jakby mi pozwolono jeszcze raz zacząć, to dołożyłbym starań...

Zaczął gładko, ale przy końcu głos jego stał się ochrypliwy, aż się załamała całkiem po dawnemu, po dziecinnemu. Patrzyła na niego, na białą bliznę, widniejącą na różowej twarzy.

To był jej pierworodny, tak podobny, z tą różowością i niebieskimi oczyma, które teraz za nic nie chciały spojrzeć na matkę. To był chłopak spokojny, ale i wesoły, nieraz przecież pościągali z Narcyzem i Olkiem

kołdry i poduszki i dusili się na podłodze, i toczyli takie wojny, aż dom drżał. Ale teraz coś się w nim przerobiło, coś się w nim takiego stało, że wygląda jak stary. Już dawno nie miała czasu na żadne czułości, od świtu do nocy stała przy kuchni, a teraz oto przygarnęła go do siebie, przytuliła, gotowa do łez. I uczuła sztywną jego nieprzychylność, stał prosto, nie skłonił się ku niej.

Znów szal jedwabny wywłókł się z szuflady niczym cień strapienia i smutku, znów uroczysty płaszcz świąteczny i torebka zniszczona, pełna wszelkich popierających papierków.

Ale od tej chwili czarność zaległa oczy matki – powstaje jakaś luka w pamięci – ciemność – i – biała ręka, pulchna ręka męska, leżąca nieruchomo na błękitnym biurku. Jakże się to stało, że do tej ręki nienawistnej przypadła gorącymi wargami, że ją naznaczyła gorącymi łzami pokornej prośby? Tak, ona jedna знаła sprawę dwóch czapek – błękitnej i granatowej, od samego dna.

W sklepie u Grimma na Rymarskiej mandoliny były różne: od trzech rubli do czterdziestu, może i były droższe. Oglądali je razem z Ignasiem, Ignas okazywał zainteresowanie sprawą mandolin, choć był zły i pojęcia nie miał o żadnym grananiu. Siadali co chwila na krzeselkach sklepowych z nogą założoną na nogę, z mandoliną wspartą na kolanie i próbowali jej głosu.

Mandoliny stare były lepsze od nowych – kto by to pomyślał – ale były też wcale nie tańsze.

Mandoliny wygrane głos miały łagodny, nowe brzęczały. Stary Grimm dał im kostki i nie spuszczał oka z twarzy Mietka. Co się działo z tym chłopakiem, gdy spod struny wypłynął dźwięk! Bardzo mu się to podobało, staremu Grimmowi, to zainteresowanie – ze względu na takie zainteresowanie gotów był oddać pewną mandolinę włoską, inkrustowaną dookoła i w dodatku z pięknym motylem pośrodku, za psi grosz, za bezcen. Ale Mietek nie miał nawet tego psiego grosza, zamierzał dopiero składać na mandolinę. Ignas zawstydził się takiego obrotu sprawy, ale stary Grimm nie wydawał się zniecierpliwiony daremnym zabieraniem mu czasu. Przez ostatnie wydarzenia ludzie przestali interesować się muzyką i instrumentami, powitał tych dwóch młodzieńców w czapkach błękitnej i granatowej jak pierwsze jaskółki zwrotu na lepsze.

– Znam pańskiego tatę – rzekł do Mietka – pewnego razu złamał mi się gryf u skrzypiec, trzeba było zaraz naprawić, poszedłem sam, osobiście do warsztatu i pański tata zrobił mi to od ręki. Niech pan pomówi z tatą, dojdziemy do porozumienia. To zdolny człowiek, pański tata, do delikatnej roboty, można powiedzieć, artysta.

Siostrę Marię znał także; przychodziła tu raz kupować nuty do śpiewu. I dlatego wcale się nie zdziwił zapałowi Mietka do mandoliny.

– Ja to rozumiem – rzekł – takie zamięłowanie rodzinne.

Mietek wyszedł ze sklepu pogrążony w jakichś myślach. Nie tak dawno, bo jeszcze w pierwszej klasie, wołali za nim: „skrobidecha”, a tu, w szacownym sklepie, nazwano ojca – artystą. W tym momencie było mu tak dziwnie, jakby wszedł na nową drogę, a raczej jakby się w czymś bajecznym, niejasnym głęboko utwierdził. Na rogu Rymarskiej i Leszna znów wyciągnął do Ignasia rękę, jakby koniecznie rozejść się musieli. W lewo i w prawo, na Koszykową i Nowolipki. Ale Ignas potrząsnął głową:

– Gdzie ty idziesz? Pójdę z tobą.

Dawniej, gdy mieli takie wolne popołudnie, szli na Długą, niby tak sobie, na spacer – a w rzeczywistości, aby wyjść naprzeciw pannom od kapeluszy, nieznanym dziewczętom.

Wyjść naprzeciw i zawrócić, iść krok w krok za nimi, ująwszy się pod rękę i z czapkami na bakier. To była przyjemność, dziewczęta chichotały i robiły miny, i szeptały:

– Patrz, sztubacy idą...

Lub też na Daniłowiczowską, pod operetkę, spacerować cichą uliczką, widzieć artystki, zajeżdżające w dorożkach na gumach, w olbrzymich kapeluszach, pod którymi tak tajemniczo jaśniały w mroku wieczoru ich twarze. Ale dziś Mietek ani wspomniał o spacerze, zaraz z Rymarskiej, zamiast iść Przejazdem, skręcił w Leszno. Wracał więc do domu.

Czyż mógł Ignas rozstać się tak z przyjacielem, tak dać się zbyć milczeniem, bez żadnego gniewu, bez widocznego powodu? Zaczął mówić o nowej szkole, o kolegach, o profesorach, o kółkach młodzieży i zupełnie innych w ogóle porządkach niż w progimnazjum. Czuł, jakby wyciągnął błyszczącą szpadę przeciwko mandolinie Mietka. Szedł zwycięsko uśmiechnięty, wyprostowany. I oto na twarzy Mietka pojawił się uśmiech. Przy takim uśmiechu blizna na twarzy rozszerzyła się – biała, szeroka wstęga przecięła różowy policzek, a usta skrzywiły się boleśnie. Ignas odwrócił oczy.

– To przecież tylko przez tę bliznę – tłumaczył sobie – tylko przez bliznę. I z mandoliną, to głupstwo. Zamiłowanie rodzinne – rzekł Grimm. I Maria także przecież śpiewała.

TEN PAN

Ojciec poznał pewnego faceta na jakimś zebraniu, młody był to sobie jeszcze człowiek i jakoś przyłgnął do ojca. Rozgadali się o sprzętach, o gatunkach drzewa, o stylach. Okazało się, że ten facet to był nie byle kto, bogacz, a do socjalistów przyplątał się akurat tak jak ojciec – z samej

ciekawości świata i rzeczy. Nie było czego skrywać, każdy mógł dostrzec, że ojcu po pewnym czasie wszystko z rąk wypadło i to, co dziś było ważne, jutro stawało się głupstwem wierutnym. Ale właśnie ze znajomości z tamtym człowiekiem wynikało tylko dobre.

Ojciec wziął się do rzeźby.

Pojawiły się najprzeróżniejsze dłutka, cienkie sztamajzy i pilniki, grube i małe klocki drzewa. Pojawiły się kartony z rysunkami. Już raz próbował ojciec rzeźby, była więc to niejako sprawa odłożona. Chodziło niby tylko o naprawę starych sprzętów tamtego pana, o przyklejenie poobtrącanych kantów, wygładzenie, pociągnięcie politurą, powstawianie wypryśniętych kawałków dykty czy forniru. Nigdy się nie chciał parać takimi sprawami i drobiazgami, odwalał dużą, masywną robotę, zmagął się z ogromnymi dechami, a oto nagle utonął w tej dłubaninie po uszy. Utonęły w niej nie tylko długie, wyrobione, żyłaste dłonie, ale i oczy. Najpierw to była ciekawość: czy to da się zrobić? Zrobić niewidocznie, bez fuszerki, nie do rozpoznania? To go bardzo zaprzętnęło, oczy jego błyszczały bystro i porozumiewawczo, gdy obmacywał mebel uważnymi palcami, gdy pochylał się tak, iż od jego oddechu matowiała lśniąca powierzchnia. Ale oto ruchliwe palce spoczęły, ustały – oczy pełne zadumy ogarniały całą tę sztukę, ten sprzęt, zachwyconym spojrzeniem. Jakież tu były wygięcia wdzięczne, polotne wiązania, łagodne wypukłości i śliskie gładziny! Czym były jego ogromne, dębowe stoły, rodzinne szafy, kredensy i łóża! Uczuwał piekący żal, że tyle czasu zmarnował na latania, na gawędy. Bo przecież i to by osiągnął, i to by zdobył, i to by też umiał. A więc dalejże do roboty, pokaże jeszcze, co potrafi!

Błogosławione dni, matka niejeden pacierz odmówiła na intencję owego „faceta”, który spowodował taką zmianę w ojcu. Oto siedzi ten Andrzej w warsztacie i dłubie, już nie słyhać złego, zniecierpliwionego głosu, obwieszającego „fajerant” przed samą siódmą. Starsi czeladnicy sami sobie ogłaszają fajerant i wychodzą, ale terminatorom po zjedzeniu kolacji udziela się pilność majstra. Już teraz dla przyjemności i bez przymusu chwytają się roboty, ten ma ambicję zrobić stolnicę do gospodarstwa, ten majstruje malutkie meble dla lalki, tamten półkę. Zwracają się z zapytaniem do majstra i odpowiada, poucza, pokazuje.

Błogosławiona praca, która udziela takiej łagodności człowiekowi i wprowadza w dom spokój!

Mietek dostaje swoją mandolinę.

Ojciec idzie do miasta z Marią – kupować dla niej wiosenny kapelusz. To się zdarza pierwszy raz; idą nie na Długą, lecz w eleganckie dzielnice miasta; idzie ojciec z Marią, która jest jego ulubienicą i oczkiem w głowie. Przystają przed różnymi wystawami, wchodzi i Maria przymierza kapelusze tak piękne! Nosiła dotąd jasną słomkę, przepasaną wąską wstążką, rokrocznie to

samo. Ale oto na jej ciężkie, miedziane włosy ekspedientka wkłada czarną słomkę, przybraną tiulem i aksamitem, roziskrzoną lśnieniem brylantowej agrafki – i ojciec kupuje ten kapelusz bez wahania. Wracają ożywieni na Nowolipki, z paczką ciastek od Lourse'a pod filarkami i z dwiema bombami czekoladowymi, z niespodzianką wewnątrz.

Kapelusz podoba się wszystkim, wszystkim, oglądają z nabożeństwem siostrę Marię, wydaje im się zupełnie inną, nie tą samą Marią, o której można było w złości powiedzieć „rudzielec”.

Janka zapytuje:

– Czy to sprawiedliwie, żeby tak wyróżniać Mietka i Marię?

W czekoladowych bombach jest pierścionek z oczkiem błękitnym i blaszany zegareczek. Ale nazajutrz wraca Maria z miasta ze łzami w oczach, wzburzona. Nie będzie nosić tego kapelusza, za nic w świecie, za nic!

– Czyś ty zwariowała, dziewczyno! – gniewa się matka. – Mów, co się stało?

Maria bąka:

– Tak się na mnie gapią. Zaczepiają mnie.

Ojciec zrozumiał od razu i bierze Marię w obronę. Kapelusz jest „wyzywający”.

– Co tam ma byle łobuz czepiać się mego dziecka. – Kapelusz został zmieniony, ten drugi jest zupełnie prosty, przepasany wstążką związaną na kokardę.

Już od dawna nie wykupywał ojciec rocznego biletu do Zachęty, ale oto udaje się tam, na Królewską, i wykupuje. W niedzielę zabiera najmłodsze, Jankę i Bronię – niech zobaczą, jeszcze nigdy tam nie były. Ubierają się w nowe sukienki, nowe trzewiczki i kapelusze z wiśniami. Bronia nie może nie zadać swego wiecznego pytania:

– Mamo, czy mogę iść po Franię?

– Nie, Frania nie ma świątecznej sukni, w dodatku tak ją czuć wilgocią!

Bronia z szelestem wykrochmalonej spódniczki zbiega do Frani, wywołuje ją na schody i w kącie piwnicznym, który jest przecież sienią do mieszkania Frani, obiecuje żarliwie:

– Wszystko ci opowiem, Franiu, wszystko!

Ach, cóż to można opowiedzieć, jak to opowiedzieć, te wszystkie drzewa, cieniste ogrody, najcudniejsze kwiaty, najcudniejsze kobiety? Ojciec kupił katalog i nie szczędzi objaśnień, mówi, co to za malarz, co to za obraz. Janka prędko wymknęła się spod ręki ojca, przystaje i ogląda, co się jej podoba, siada na aksamitnej kanapce i gładzi palcami aksamit. Ale Bronka drepcę wraz z ojcem, kapelusz zsunął się jej na plecy, ledwo wisi na gumce, oczy jej są szeroko otwarte. Co to? To są góry i jeziora, i niebo... Czy to jest naprawdę? Czy to możliwe, aby to było, aby to istniało? Hm... Ojciec chrząka

i szuka w katalogu – to Szwajcaria.

Od tej chwili Bronka jest w rozpacz. Jakże to opowie Frani, jakie tu znaleźć słowa dla tej piękności świata, dla tego niewysłowionego błękitu i pogody? Czy Frania uwierzy, skoro nie mogła uwierzyć Bronka? Po południu, na schodach, osowiała Bronia mówi:

– „Bitwa pod Grunwaldem”, to wiesz. I „Śmierć Barbary Radziwiłłówny”, taki duży obraz.

Tego można uczynić Frani: ojciec zaabonował „Tygodnik Ilustrowany”. Tygodnik składa się w szufladzie szafy, gdy już jest przeczytany. Wtedy można wyciągnąć go z powrotem, zaprosić Franię i przeglądać razem. Są tu i wiersze, Frania czyta półgłosem, ale tak pięknie.

Ojciec wszedł do pokoju i słucha. Opuszcza głowę na piersi i medytuje długo. Myśli, żeby odrobić to wszystko, czego zaniedbał, wykształcić dzieci, żeby mogły dać sobie radę, żeby wyszły na ludzi i nie szarpały się tak jak on w ciągłych pragnieniach. Maria, na przykład, nie skończyła szkoły, nauka jej szła ciężko, chodzi do tej Podgórskiej i niby uczy się krawiecczyny, ale i do tego nie ma wielkiego pociągu. Ma zamiłowanie do śpiewu – co się robi z takim zamiłowaniem, aby to dało chleb człowiekowi, który musi pracować?

Wraca do warsztatu i pracuje do późna, wszyscy już śpią, gdy po drugiej stronie w warsztacie słychać zgrzyt piły i stukot młotka. Już się wcale nie chce wierzyć, że to ten sam ojciec, który bił Mietka za przyniesioną dwójkę i który uderzył matkę. To zostało zapomniane.

Po kilku dniach Maria opuszcza chór kościelny, w którym dotąd śpiewała. Ojciec zaprowadził ją i zapisał do chóru świeckiego pana Konopaska.

– Bardzo chwalił głos Marii – rzekł ojciec do zgromadzonej przy stole rodziny.

CZARNA WIKTA I RACZYŃSCY

Jakże można mieć pretensje do ludzi, że poumierali? Czy człowiek chce umrzeć? Jednakże wszyscy ludzie wokół mieli pretensje do rodziców czarnej Wikty, że poumierali i zostawili ją z takim ciężarem, kaleką. Nogi miał jak dwa suche patyczki – czy można chodzić na takich nogach? Za to znów głowę miał ogromną, ta głowa mu tak ciążyła, że jej utrzymać prosto nie mógł na cienkiej szyi.

Wikta siedziała na facjatce i szyła. Nic więcej tylko kalesony i koszule żołnierskie – jedno i to samo w kółko. U Mossakowskich słychać było warkot jej maszyny, bezustannie prawie – i śpiew. Wikta, taka młoda i o smolistych,

czarnych oczach, musiała śpiewać ciągle i nawet była z usposobienia wesoła. Ale marny był jej los – cóż za życie, cały dzień uwiązana przy maszynie, a wieczorem ani nie wyjdź, ani nie przespaceruj się sobie, bo jakże tu takiego pokrakę zostawić samego? Niby głupi, a do drzwi się na czworakach dowlecze, raz spadł ze schodów – cała kamienica wtedy stanęła przeciwko Wikcie. Że laufduje i tego nieszczęsnego stworzenia nie dopilnuje albo zamknie na klucz. Boże, święty, czy można takiego diabła zamknąć? Zepsuł jej maszynę, wylał wodę, ponurzał w brudzie gotową już robotę. Nogi ma jak patyki, ale ręce jak dorosły chłop, ramiona takie, że zdają się wszędzie sięgać. Jedyna przyjemność Wikty to stanąć przed bramą i popatrzeć na świat – ale i to pod strachem bożym, ciągle musi odrywać się od gadania ze stróżką i pędzić na górę – czy tamten śpi?

Dziewczyna ma życie zmarnowane.

To ludzie wiedzą i to mają do zarzucenia tym starym, którzy umarli. To się litują nad Wiktą, to się znów litują nad kaleką. Oho, dojrzą, czy umyty, czy odzież ma jaką taką, czy wszy go nie oblaży – cała kamienica opiekunów. Niejedno trzeba skrywać przed oczyma ludzkimi, kiedy jednak nastąpi lato i Wikta mogła znosić kalekę do ogródka, to się nie dało ukryć, iż ta stwora zaczyna uczuwać męskie popędy, iż się obnaża i babrze z sobą bezustannie. Kiedy to wyszło na jaw, Mossakowska z pąsami na twarzy wyrzucała Wikcie, że zanosí go do ogródka pełnego dzieci – na takie zgorzenie i zły przykład! Więc cóż ma robić, trzymać go ciągle na facjatce, czy ma go zatłuc, czy co?! I tak go tłukła po łapach, czy co pomogło? Pani Raczyńska, która niejedno słyszała i widziała w przytułkach dla sierot, doradziła sporządzenie specjalnej odzieży. To tyle pomogło, że się znów moczył bezustannie i siedział tak w mokrym, cuchnący – bo czyż mogła Wikta odrywać się ciągle od roboty?

Ale oto, gdy tak w kącie pokoju siedział, na górze na facjatce, gdy musiała coraz to rzucić okiem w jego stronę, coś się dziwnego zaczęło z nią stawać. Zmagala się ze sobą, wypiełgnowała przecież dużo fuksji na oknie, na ścianie wisiały święte obrazy; starała się przecież, aby tu wyglądało po ludzku, chyba czyściej było niż przy matce. Myślała sobie, że może tu przecież zajdzie któryś z czeladników od Mossakowskich, choćby ten dziobaty Jan.

Słońca było też pod dostatkiem. Ale oto coś się zaczęło z nią dziać, ciemność padła na izbę, mrok zasnuwał oczy, omdlałe ramiona rozkładały się beczynninie na maszynie. Wiedziała o swym cieie, że jest zmęczone, że jest głodne – to dawało jej się przede wszystkim we znaki.

Teraz dowiedziała się, że huczy krwią, że uderza krwią do głowy, że rozwiązuje palce omdlałą słodyczą. Świństwo i grzech – to sobie mówiła, to sobie powtarzała i pokrzykiwała ostro na kalekę, tym samym krzykiem siebie

karcąc, siebie upominając. Ale wszystko tężało w oczekiwaniu, w znieruchomieniu, gdy tylko ucichł warkot maszyny. Padała twarzą na skrzypiące, nędzne, zapluskwione łóżko, w miękką pulchność pierzyny. Ci tam, na dole, u Mossakowskich, w rozśpiewanych, pełnych ruchu izbach, nic nie wiedzą, ani Raczyńska na parterze od frontu. Tu jest ciemność, na facjacie, niech diabli wezmą fuksje, życie ma i tak zmarnowane, kto ją tam pojmie i poprowadzi do ołtarza z takim świńskim kaleką? Pada całym ciałem na skrzypiące łoże – oddaje się tej ciemności. – I tak też można żyć – mówi, uspokojona, ukojona wreszcie.

Pani Raczyńska nie ma wcale pretensji do swego nieboszczyka męża, że umarł i że ją też zostawił samą z gromadą dzieci. Owszem, czci jego pamięć, przez cały miesiąc klepsydra pogrzebowa wisiała w mieszkaniu nad jej łóżkiem. Dzieci pogodziły się z tym, były tak wesołe z usposobienia. Bronka Mossakowska nie mogłaby spać w pokoju z klepsydrą. Ale pani Raczyńska powiedziała córkom, że:

– Niech on tu jeszcze pobędzie z nami, biedaczek – i przybiła klepsydrę do ściany.

Tapicer już dawno leżał w grobie, już od dawna wyprzedano wszelkie po nim pozostałości, garderobę i zapasy obić, i chyba ostatni strzępek włosia, ale wszystko u Raczyńskich pozostało niezmienione. Oczywiście, że nie można było jeść tego co dawniej, opychać się smakołykami – ale o tym też ludzie nie potrzebują wiedzieć. Pani Raczyńska ani na krok nie ustąpiła z życia, owszem, ludzie przyznają, że dobrze pokierowała swymi sprawami, skoro mieszkanie zatrzymała to samo i mebli nie posprzedawała. W pracowni tapicerskiej urządziła elegancki pokój, z kanapką, portretami, stoliczkami i kwiatami. Kuchnia była ciemna, można powiedzieć, że wszelkie sprawy kuchenne też były ciemne, nigdy na przykład nie gotowano tam długo, tylko jakoś raz-dwa, prędko i chyłkiem. W drugim pokoju stały łóżka i stół, tu sypiano i tu jadano. Tapicer już od dawna leżał w grobie, ale pani Raczyńska wchodziła jakby nigdy nic o godzinie szóstej rano do pokoju i mówiła głosem świeżym i wesołym:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dzieci, wstawać! Słońce już świeci, ptaszki śpiewają, myślałam, żeście już wstały, że Cechna rozpałiła ogień.

Lub też:

– Mróz na dworze, śnieżek, powietrze jak balsam, byłam już na rannej mszy, ksiądz Kłopotowski wyglądał dziś jak święty!

Cechna zapytywała:

– Mamo, co na śniadanie?

– To samo, co zawsze. Dziękujcie Bogu za te dary i jedzcie bez szemrania. No, wstawać, wstawać, śpioszki!

I intonowała: „Kiedy ranne wstają zorze...”

Cztery Raczynskie śpiewały, wraz z matką, ubierając się. Dwie najmłodsze, które chodziły do ochrony przykościelnej, śpiewały najgłośniej. Najstarsza, Amelia ze złotymi włosami i wesołymi, błękitnymi oczyma, śpiewając pomagała im się ubrać. Cechna marudziła.

– Cechna, nie marudź, bo już daję znak – raz, dwa, trzy – i proszę do stołu.

Każdy miał swoje nakrycie i serwetkę w drewnianym kółku, i swoje raz na zawsze wyznaczone miejsce przy stole. Małe umyły się grzecznie i siadły oczekując. Amelcia długo stała przed lusterkiem.

Cechna poleciała do drugiego pokoju, by wyjąć z kołyski i usadować na kanapie trzy lalki.

– Amelciu, nie stój tak długo przed lusterkiem, bo diabeł ci się ukaze, zły kusiciel. A ty, Cechno, nie wstydzisz się bawić jeszcze lalkami? Mogłabyś się nimi zająć po powrocie ze szkoły.

Ale Cechna nie mogła usiedzieć w szkole spokojnie, jeśli rano nie wyjęła lalek z kołyski. Duża nie duża, stara nie stara, kto może wiedzieć, czy lalki nie czują się nieszczęśliwe z takiego zaniedbania i zapomnienia?

Usiadły wreszcie i znów powstały, bo matka dała znak do modlitwy: „Boże, pobłogosław te dary...” Te dary to był dzbanek gorącej wody, zabieleny mlekiem i osłodzony, bo cukru nie podaje się do stołu – i puszka blaszana, w której z dnia na dzień składa się czerstwe bułki.

Esencja szkodzi na nerwy i wysusza, a świeże pieczywo szkodzi żołądkowi. Amelka wybuchała śmiechem:

– Mamo, niech mama da spokój, ja bym wolała zjeść świeżą, chrupiącą bułkę.

Mówi to tak wesoło, że małe śmieją się do rozpuku.

– I mocną herbatę?

– I mocną herbatę, z cytryną, tak jak było przy tatusiu.

– Biedaczek – wdychała matka – widzicie, że to mu zaszkodziło na płuca.

Amelka na to z niezmaconą wesołością, że nie herbata, ale ciągły pył z włosów, ze starych kanap, które przerabiał. Matka przerywa, niezadowolona:

– Ach, nie naruszajmy jego spokoju grobowego.

Powstaje, bo spożyto już bułki co do okruszyny, i znów: „Boże, dziękujemy ci za te dary, które żeśmy spożywali z Twej świętej szczodroblivości”. Najmłodsze nie mogą wymówić ostatniego słowa, można im to jeszcze darować. W końcu chyba się i tak nauczą.

Cechna idzie do szkoły, małe do ochrony, dostały czyste fryzki i wyglądają jak aniołki.

Amelcia odprowadzi je po drodze na Sewerynów. Tam, na Sewerynowie,

w zakładzie, oprócz nauki tak pięknych haftów i mereżek, dostanie Amelcia życie: drugie śniadanie, obiad i podwieczorek. Ale najważniejsze, co matka ciągle powtarza – to stosunki. Tam się haftuje bieliznę niejednej pobożnej hrabiny i księżny, nie wiadomo nigdy, co z przebywania w takiej pracowni może dobrego dla Amelci wynikać... To brzmi tajemniczo, Amelka kiwa głową i z ironiczną powagą, z cicha pęk oznajmia:

– Dziś na przykład przyszła do zakładu sama pokojowa księżnej, we własnej osobie, przyniosła starą bieliznę, aby powstawić łatki i pocerować koronki. Zresztą ta pokojowa to dawna wychowanka zakładu, też uczyła się mereżek i haftów i spotkało ją takie szczęście, oko księżnej na nią padło i zabrano ją do pałacu.

Całe szczęście, że dziewczęta zachowały swoją wesołość. Nieboszczyk bardzo lubił wesołość w domu.

Wreszcie matka je wyprawia. Wtedy zabiera się do sprzątania, zamiata, ceruje, pierze – nikt by nie poznał po jej białych rękach, że wszystko robi sama. Wychodzi koło południa na miasto, w czarnej, długiej mantylce, w kapeluszu i czarnych mitenkach na białych dłoniach.

Kiedy powraca, ręce ma schowane pod mantylką. Jednego razu wiatr odwinął brzegi mantylki i Bronka Mossakowska zobaczyła garnek – garnek, podtrzymywany przez białe dłonie w czarnych mitenkach! Zaleciał ją zapach zupy.

– Ona chodzi do zakonnic na Dzielną – rzekła Kwiryna.

A Bronka wzdrygnęła się. Iść do zakonnic po zupę, po lekarstwo! Przecież tam chodzili biedacy, ci sami, którzy w piątki pukali do drzwi po proszonym. Żeby tylko Cechna nie dowiedziała się o tym! Cechna jest taka dumna, iż wstydzi się, że jej ojciec umarł w szpitalu. Franka rzekła:

– A jak się dowie, to co? Prędzej czy później musi się dowiedzieć, że jej mama chodzi z garnuszkiem do zakonnic. Ja się też dowiedziałam dużo rzeczy i nic.

– Ach, Franiu, co takiego? Powiedz mi, przecież mnie możesz powiedzieć, wiesz, że ja nikomu nie powtórzę.

Tak, na Broni można polegać.

– Wiesz – mówi Franka – że ten ciocin Stanisław to naprawdę mieszka w mieście Łodzi.

Bronka ożywia się:

– A skąd wiesz?

– Wiem, bo ciotka mówi, że już nie może wytrzymać i że pojedzie do miasta Łodzi, a matka się gniewa i pyta, co będzie ze mną?

Tego Franka nie powtarza, że w rozmowie oddawały ją sobie wzajem, i znów nie była pewna taka sprawa: kto jest prawdziwą matką – ciotka czy matka? Tego Broni powtórzyć nie można, wstyd.

– To ja ci też coś powiem – mówi Bronia – ale pamiętaj, tajemnica! Wchodzę cichutko do warsztatu i słyszę, jak kuzynka Helena mówi do ojca:

– Ach, wujaszku, ja sama nie wiem, po co tu przychodzę i co mnie tu ciągnie!

Bronka powtórzyła to z takim uczuciem, głosem kuzynki Heleny, błysnęła i przewróciła oczyma tak samo. Dla Franki nie było wątpliwości.

– Ona się kocha w twoim tacie.

– Nieee? Co ty mówisz? Przecież ojciec jest wujaszkiem i ona całuje go w rękę, i mamę też całuje w rękę. Ojciec jest stary, a ona młoda.

Franka jest zachwiana w swej pewności. W książce jednak byłoby to możliwe – nie tylko możliwe, ale i piękne.

ĆWICZENIE STYLISTYCZNE NR I

Teraz już jest wiadomo, co będzie w odnawianym sklepie narożnym: wspaniała cukiernia. Codziennie, gdy idą do szkoły, coś innego przybywa za lśniącymi szybami, dwa widoczne pokoje są odmiennie wytapetowane: jeden czerwony, drugi błękitny ze złotym. W czerwonym ustawiono bufet koloru krwi i oszklone ogromne półki za bufetem. W błękitnym – stoliki i kanapki wybite aksamitem. Ale gdy zawieszono landszafty z paniami w długich, powłóczyстых sukniach, z rozpuszczonymi złotymi włosami, przeglądającymi się w wodzie, gdy na półkach ustawiono w kolorowych wazonach płaskie bukiety – wtedy też zaciągnięto u okien żółte firanki. Nic już nie można było zobaczyć.

Pani Ziemska stała bezczynnie przed swoją mydlarnią, ludzie zawsze przypominają sobie o nafcie wieczorem, gdy czas zapalać lampy. Wtedy jest tłok w sklepie, nie można się doczekać swojej kolejki. Pani Ziemska rzekła:

– To ten Kac otwiera cukiernię.

– Kac?

Nie znaly żadnego Kaca. Pani Ziemska roześmiała się i najspokojniej w świecie powiedziała, że był już dzwonek w szkole. Już po dzwonku?! Pędziły na górę, szkoła mieściła się akurat nad mydlarnią.

Żółte zasłony zaciągnięto na okna, ale i tak na tym rogu zrobiło się jakoś niezwykle gwarno. Tam uwijali się teraz chłopcy z gazetami, tam gromadzili się mężczyźni, stali grupkami, rozmawiając, wchodzili do wnętrza i wychodzili z zapalonymi papierosami. Tam wreszcie, gdy się szło wieczorem po naftę do pani Ziemskiej lub na spotkanie z Kwiryną, po raz pierwszy ujrzano się i widywało umalowane dziewczyny w chustkach na ramionach.

Miały głowy pięknie uczesane, ufryzowane, widać, że na podkładkach z fałszywych włosów, nic nie rozmawiały ze sobą, tylko chodziły, mijały się, chodziły prędko i niespokojnie, zwracały raptem i znów odbywały tę samą drogę. Janka pożerała je wprost oczyma, miały lśniące agrafki wpięte we włosy, w formie półksiężyca. Kwiryna przeszła ze spuszczonej powiekami i pociągnęła siostry Mossakowskie za sobą.

– Nie gapcie się, bo nam nawymyślają.

Także i matka zabroniła surowo przystawać przed Kacem, miały nakazane chodzić drugą stroną ulicy. Tym razem ojciec był zgodny z matką.

– Jeśli was tam kiedy zobaczę, to popamiętacie!

Przy końcu tygodnia pani wprowadziła nowość do klasy, napisała na tablicy swym pięknym pismem: „Ćwiczenie stylistyczne nr 1”. I wyjaśniła, że to ćwiczenie stylistyczne mają napisać w domu, do soboty, na temat dowolny.

– Dowolny, proszę pani? – zapytała Kwiryna.

To znaczy, że można sobie wymyślić, co się komu podoba.

– W sobotę zbiorę kajety, a w poniedziałek nastąpi głośne odczytanie najlepszych opowiadań.

Cała klasa zaczęła narzekać.

– Czy nie lepiej, żeby pani powiedziała od razu, o co chodzi, co jest zadane?

Były oszołomione. Ale pani roześmiała się i rzekła, że właśnie o to chodzi, aby zaczęły myśleć same, bez zadanego.

– Możecie napisać o książce, którą czytaliście, o miłej jakiej niedzieli, możecie wymyślić bajkę...

– Czy dużo ma być napisane? Ile stron?

Pani rozgniewała się i puknęła linią w stół:

– Cisza! Powiedziałam już raz, że jak kto chce i ile kto chce.

I oto w poniedziałek pani zasiadła na katedrze tak podniecona, iż ciągle załamywała ręce.

Przed nią leżał stos kajetów w kolorowych okładzinach, kajety nowe, niezniszczone i niepotłuszczone: Ćwiczenie stylistyczne nr 1.

– Ach, zgroza! – powiedziała mimo to pani.

Najpierw Kwiryna z swą historią o Barbarze Ubryk. Po co Kwiryna czyta takie głupstwa?

W dodatku trzeba się było domyślić, o co chodzi, tak niezdarnie napisane. A błędów gramatycznych... raz, dwa, trzy... nie do obliczenia. Dwójka!

Cechna opisała historię jakiejś lalki, tak strasznie płaczkliwie, że pani doczytać do końca nie mogła. Ciągłe tęsknoty i ciągłe rozstania „mateczki z córeczką”, a przecież Cechna jest taka wesoła i łobuz co się zowie. Trójka z minusem.

Inne były jeszcze gorsze, okropne; kto właściwie od kogo ściągał?

„Wstałam rano, umyłam się i zmówiłam pacierz, zjadłam śniadanie i poszłam do kościoła, przyszłam, do domu i zjadłam obiad, wieczorem zjadłam kolację i położyłam się spać”. Jak to, i nic więcej się nie wydarzyło? Co było na obiad, co matka ugotowała, o czym rozmawialiście przy stole?

Dziewczętom powoli rozjaśniało się w głowie – ach, rzeczywiście, tyle można było napisać różnych rzeczy! Mogłyby opowiadać dzień i noc! Ale opisać jakoś trudniej!

– Trzeba myśleć – rzekła pani. – Frania myślała i jej wypracowanie jest najlepsze! Wstań, Franiu.

Frانيا wstała, taka blada, ramiona jej drżały. Stała z opuszczoną głową, miała oto sama przeczytać swoje „Ćwiczenie stylistyczne nr 1”, ale nagle pani rozmyśliła się i powiedziała z naciskiem, że wypracowanie jest tak piękne, iż odczyta je sama, a klasa niech słucha uważnie.

Była to historia o oknach.

O oknach o zmierzchu. Jakiś człowiek idzie pustą ulicą, jest samotny, a tu zapalają się światła w oknach. Tu siedzi rodzina przy stole, tu pani z panem czytają książki, tu dzieci uczą się lekcji. Najrozmaitsze okna, najrozmaitsze światła, nawet światła świec w srebrnych lichtarzach, okna jasne i tajemnicze. Są tu i okna z żółtymi zasłonami, okna cukierni Kaca.

Ale na samym końcu, ulicy jest okno ciemne, opuszczone, bez firanek i kwiatów. Człowiek staje tam, stoi i czeka długo. Stoi bez końca, nikt nie zapala światła. Wreszcie podchodzi blisko, wspiera się ramionami o gzyms, przytyka czoło do szyby. Widzi tylko niezgłębioną ciemność, tam jest mrok.

Pani skończyła. W klasie jest cicho, klasa nie może ochłonąć ze zdumienia. Frania, Frania wymyśliła taką historię! Nagle pani pyta:

– Co chciałaś przez to, Franiu, powiedzieć, przez to ciemne, ostatnie okno?

Frانيا nie odpowiada: ona nie wie. Bąka:

– To się tak samo ułożyło.

Wygląda w tej chwili jak oskarżona, jak oskarżona o coś złego. Pani przyrzekła sobie w domu, że nie powie nic ponad zwykłą pochwałę, ale teraz, wobec tego nieszczęsnego, skurczonego stworzenia, nie może się opanować. Przecież tu nie ma żadnej miary między tym, co napisały dziewczęta – a tym, co „wyszło” spod pióra Frani.

– Powinnaś być szczęśliwa, Franiu! Bóg cię obdarzył takimi zdolnościami, dotychczas niczym tego nie zdradzałaś, opowiadania ustne wychodziły ci słabo. Ale umiesz pięknie czytać wiersze i pięknie pisać. Kto wie, co z ciebie będzie! – Pani mówi to głośno, wyraźnie, nie tylko Franiu, ale całej klasie. Wszyscy patrzą na Franię. Ona płacze, płacze w objęciach Bronki!

Pani jest zgnębiona tym cichym płaczem. Myśli: – To dziecko nie może

znieść szczęścia. Zbyt długo było smutne. – Odkłada zeszyt Frani, z piątką nakreśloną czerwonym ołówkiem, i nagle zaczyna się śmiać:

– A czy wiecie, co napisała Bronia?! „Historię o pani, która uciekła spod szubienicy”! Ale to jest nadzwyczajne, jak to sobie Bronię wyobraziła!... – śmieje się pani.

Bronię napisała krótko: „Jedną panią prowadzili pod szubienicę. Było to rano. Szła ze skrzepowanymi rękoma i opuszczoną na piersi głową. Ale pod samą szubienicą podniosła głowę i spojrzała. Dozorcy zostali porażeni tym wzrokiem i upadli na ziemię. Ręce pani rozwiązały się same, pani odeszła z tego miejsca, poszła do czytelnicy i wydaje książki”. Tak, ale co z dozorcami! Czy możliwe, aby Bronię uśmierciła dozorców? „Dozorcy podnieśli się, było to tylko porażenie tymczasowe”.

Wszystko skończyło się dobrze. W szkole też. Śmieli się wszyscy. Bronia najgłośniej, aż do łez. „Ćwiczenie stylistyczne nr 1” – to wyszło zupełnie wesoło. I nawet nikt nie przypuszczał, że w tajnym kajeciku pani nie tylko Franka otrzymała czerwony krzyżyk, ale i Bronia. „Zdolności pisarskie” napisała pani przy imieniu Franki – a przy Broni: „Bronia widzi”.

ŚPIEW ANIOŁÓW

– Gdzie moja kostka? – spytał Mietek.

Znalazł kostkę w szufladzie toaletki, siadł na najlepszym krześle z nogą założoną na nogę, palcami jednej ręki nacisnął struny, a druga, uzbrojona w kostkę, zaczęła skakać po strunach, niżej. Liczył głośno: raz, dwa, trzy – raz, dwa, trzy – i nawet wybijał takt nogą. Mandolina ozdobiona błyszczącym motylem z miki, czy jeszcze czegoś lepszego – nie wolno jej nikomu dotknąć – miała też ceratową sukienkę.

Jednakże z tych wspaniałości wychodziło tylko brzęczenie.

Bronka siadywała teraz w kącie między szafą a łóżkiem ojca, na małym stołeczku od klęcznika. Oczekiwała. Coś po prostu drżało jej w piersiach, jakby tam właśnie rozpięto srebrne i złote struny. Ale pieśń wcale się nie rodziła. Patrzyła na brata w granatowym mundurku ze srebrnym obszyciem i właśnie ze względu na ten mundurek spodziewała się odeń wiele a wiele. Ale nie wychodziło nic, tylko brzęczenie. Bronka cierpiała.

Jance wcale to nie przeszkadzało, zaplatała swe długie, kasztanowate warkocze, kiwała się przed lustrem z przymkniętymi oczyma, uczyła się tabliczki mnożenia, po rosyjsku, na wrywki. Mietek odłożył mandolinę i wziął się do nut. Zapewnia papier drobnymi, czarnymi znaczkami – może to

coś pomoże mu do zagrania pieśni?

Wreszcie to się stało. Tego samego dnia przyjechali Czesi i ludzie ciągle krzyczeli: „Na zdar!” i biegli, kto tylko mógł, na Krakowskie Przedmieście pod pomnik Mickiewicza, aby zobaczyć i przywitać Czechów. Ojciec też poszedł, wyciągnęła go kuzynka Helena, która „wpadła na chwilę” – ale dzieciom matka iść nie pozwoliła.

– Czy z tych powitań nie będzie znów plac Teatralny – rzekła z gniewem.

Nie, było znów dużo śpiewów i uniesień, ale pan Buchner w „Musze” napisał: „Ja do ciebie z sercem, z wszystkich uczuć warem – i ty do mnie z sercem – ale i z towarem”. Ojcu oczy się nagle otworzyły. Dobrobyt kraju, jeśli już nie ma tej wolności – a co za tym idzie, dobrobyt rodziny. Żeby dzieci można wykształcić. Taki Piędzicki nie oglądał się. Moskał czy nie Moskał, i na nic nie zwracał uwagi, tylko na rynek rosyjski. Rynek rosyjski – ogromny.

Związał się z kupcami rosyjskimi – i oto ma dom na Koszykowej. Albo ten szewc z Leszna, też się dorobił. Polski rzemieślnik ceniony jest na rynku rosyjskim, warszawskie trzewiczki idą do samego Petersburga, warszawskie meble do najbogatszych domów.

I to się właśnie stało tego samego dnia. Mietek zagrał. Już lekko i bez zahaczeń, z brzęku wypłynęła czysta łagodna nuta, rozwijała się jak tęcza na niebie po deszczu, sięgała nieba i obejmowała dwoma końcami ziemię. Błękit się otwierał, tam, wewnątrz, w blasku stał Michał Archanioł z błyszczącą trąbą. Skrzydła jego były uniesione w górę. Bronka widziała to wyraźnie, zanim zapytała:

– Co to za pieśń?

Mietek odpowiedział szeptem:

– *Chant des Anges*, Broniu, Śpiew Aniołów.

A więc to prawda, widziała akurat w sam raz, dobrze. Zdawało się, że od tej pieśni dom odmienił się już zupełnie, całkowicie. Przybył nowy obraz na ścianę, premium Towarzystwa Zachęty. Były to „Klejnoty”. Ojciec sam sporządził ramę z ciemnego drzewa, ale w to drzewo wpuścił lśniąca żyły miedzi. Przybyły też książki, oprawne w płótno, to znów jest premium dla czytelników tygodnika „Nad Poziomy”. Ojciec sporządził etażerkę na książki. A siostra Maria poznała u pana Konopaska chłopca, który co dzień pocztą przysyła jej piękne karty, karta i wiersz na odwrocie. A więc kupiono do tych kart album.

MIŁOŚĆ MARI

Nikt nie wiedział, jaka ta siostra Maria jest ładna, dopóki pierwszy chłopiec nie zaczął jej asystować, i to asystować w tak szczególny sposób. Nie narzucał się, a swą miłość wyrażał przez karty, które były reprodukcjami słynnych obrazów i rzeźb – i przez wiersze. Wiersze te mógł czytać w domu każdy, nawet Bronia. Wtedy to dopiero zauważono w domu, że Maria jest ładna, tylko taka cicha i tak mało miejsca zajmująca, a przez to i nieznaczną. Ale dopiero historia z tym panem, znajomym ojca, sprawiła, że Maria stała się zupełną pięknocią.

To ojciec posłał Marię po rysunki i pieniądze do mieszkania tego pana. Tak rzadko teraz wychodził z domu, tak tkwił w warsztacie. Rzekł:

– Jak będziesz wychodzić z próby, z Filharmonii, o kawałek drogi nadłożysz i zajdziesz.

Dał jej adres. Poszła tam wieczorem. Czekwała w przedpokoju, ten pan wyszedł i długo nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

– Więc pani jest córką Mossakowskiego? – rzekł wreszcie i prędko otworzył drzwi do pokoju. Musiał pewnie doszukiwać się śladów podobieństwa w twarzy Marii, bo znów długo i uporczywie patrzył na nią. Maria nie była nieśmiała, była cicha, ale już razem z lekcjami śpiewu u pana Konopaska weszła między ludzi, spotkała się tam z wielką ich sympatią i życzliwością.. Miała też już przecież swego chłopca, który obdarzał ją wierszami. Wracała zawsze z próby taka ożywiona i wesoła. Idąc tu myślała, że „załatwi interes” i wyjdzie. Jej chłopiec odprowadził ją pod samą bramę, może nawet nie odszedł i czeka? Ale oto, zaproszona, usiadła i nawet pomogła zwinąć w rulon rysunki. Nagle ten pan rozmyślił się i poprosił Marię, aby ojciec wstrzymał się z robotą pewnych rzeczy. Właśnie przyszło mu na myśl, czyby raczej nie zamówić całkiem nowych mebli? Na przykład stołowego. Krzesła obite skórą, wysokie, rozumie się, że obicia dokona tapicer, ale to już będzie całkowicie rzecz ojca.

Maria posmutniała trochę, chodziło jej o pieniądze; wychodząc z domu wiedziała, że ojcu zależało na pieniądzach, bo przez rzeźbę zaniedbał inną robotę, robotę dla Hajtlera. Zapewne teraz ten pan nie da pieniędzy, póki nie rozmówi się z ojcem? Ale okazało się zaraz, że to nic wspólnego jedno z drugim nie ma, owszem, nowe zamówienie wymagało większej zaliczki.

Ten pan sięgnął po portfel, ale nagle zmieszał się najokropniej i długo stał z otwartym portfelem w ręku, zanim wydobyl papierowe pieniądze i położył na stole między sobą a Marią. Maria nieraz załatwiała także sprawy ojca, odbierała pieniądze na przykład u Hajtlera, czemuż teraz jednak wydało jej się trudnym „niemożliwie” sięgnąć ręką, otworzyć torebkę – wziąć! Stali tak

oboje naprzeciw siebie, paczka pieniędzy papierowych leżała na stole.

– Jakże tu wziąć? – biedziła się Maria. Wreszcie uczyniła to. Ale już nie podnosiła głowy, mruknęła: – Do widzenia – i pośpieszyła do drzwi. Szedł za nią, ani słowa nie powiedział, otworzył drzwi z zatrasku. Maria uczuła przez to jego i swoje milczenie, jakby zaszło coś nadzwyczajnego.

Chłopiec czekał przed bramą. Był także milczący.

Poszli razem, chciał ją odprowadzić jeszcze kawałek, Maria nie mogła sobie dać rady z ogarniającym ją pragnieniem snu. Oczy jej wprost przymykały się, uciekały pod powieki, odgradzały się od świata. Zapragnęła nagle być sama, pomyślała z niechęcią, aby już ten chłopiec odszedł, aby nikt nie szedł u jej boku. Ale nie mogła tego zrobić, opuścić go w połowie drogi, pożegnać się raptem i odejść. Nie umiała też odpowiedzieć na jego pytanie:

– Jak tam było u tego pana?

Nie pamiętała pokoju, w którym siedzieli, nie pamiętała nawet tamtej twarzy.

– Ja chyba jestem chora – rzekła nagle i wstrząsnęła się od niespodziewanego dreszczu.

Więc ojciec dostał nową robotę i wcale go to nie ucieszyło, miał jakby pretensję do tego pana, że może się tak oderwać od pięknych, starych sprzętów i zabrać do nowych.

– Pańska fantazja – rzekł ojciec i gniewał się na Marię, że pewnie nie rozumiała, o co chodzi.

Poszedł sam i wrócił rozpromieniony. Na świstku papieru nagryzłolili sobie razem z tym panem krzesło, stół, kredens i szafkę podręczną – ale cóż to był za rysunek – to znów była pańska fantazja i dopiero on sam miał wykonać porządny projekt, technicznie, żeby to było zrozumiałe dla czeladnika.

Maria siedziała przy oknie i szyła. Piękny żabot do czarnej sukni dla matki, żabot z koronki. Na oknie stały kwiaty, Maria odsunęła je trochę w bok. Teraz dopiero zobaczyli wszyscy w domu jej piękność, ogromny węzeł miedzianych włosów, upiętych nisko na karku, czarne, ogromne oczy, brwi cienkie i białosc twarzy. Maria przypadała teraz często do ramion ojca, a on trzymał ją w objęciach, uderzał lekko palcami po barkach i mówił:

– No, no, starucho, co tam? – Rozłączali się zaraz, ojciec chwycił za hebel czy za piłę, Maria za igłę.

Strach, jak wstydzili się tutaj wszyscy okazywania swych uczuć, słowo miłości było zawsze słowem zdławionym.

Maria kręciła się teraz często po domu ze śpiewem na ustach. Narcyz i Olek, i Mietek hałasowali wieczorem na mieszkalnej stronie. Maria podeszła pod drzwi i bębniąc pięściami zaśpiewała: „Pan burmistrz i ławnicy ślą ostrzeżenie nam, by nie zapalać świecy i nie otwierać bram, i nie otwierać

bram! Gdy przyjdzie pora ta, spać w domu każdy ma. Tak, spać, mieszczanie, spać mieszczanie, spać, ciicho sza!”

– To było naprawdę ostrzeżenie, ojciec idzie do was z pasem! – krzyknęła Maria.

Ale drugą piosenkę śpiewała sobie cichutko, pod nosem, w swym kąciku przy oknie, śpiewała łagodnie: „Jam pereł nie szukał ni złota, ni blasków, co ładnie tak lśni. Mnie wiodła miłości tęsknota i w tobie znalazłem ją”. Ręce jej opadały beczynn timer na kolana, głowa odchylała się na poręcz krzesła.

Jednego dnia ten pan przyszedł niespodziewanie, do ojca, do warsztatu. Matka schowała się w popłochu w kuchni. Bronia i Janka zaglądały przez szparę w uchylonych drzwiach.

Janka szepnęła:

– O, jaki on piękny!

Ten pan stał tyłem do drzwi, rozmawiał z ojcem i nagle odwrócił się. Janka pchnęła Bronkę – bęc! – drzwi otworzyły się i oto stały teraz obydwie zawstyżone. Janka, taka odważna, uciekła, ale Bronka stała jak wryta.

– Czy to pana córeczka? Wcale niepodobna do... – Pan przerwał, podszedł do niej, schwycił za łokcie i podniósł wysoko. – Wygląda jak bury kociak! – Ojcu podobało się to określenie. Bronia była cała ciemna, brunatna, oczy miała krągłe i naprawdę bure. Skoro ją tylko postawiono na ziemi, uciekła.

Na mieszkalnej stronie Maria szła pilnie, powiedziały jej, że „ten pan przyszedł” – a ona szepnęła:

– Tak? – Ręce jej zadrżały, raptem krzyknęła: – Dlaczego tak gapicie się na mnie, co? Ach, mój Boże!... – opanowała się zaraz. – No, więc co? Nie łażcie tam i nie przeszkadzajcie ojcu.

Nikt nawet nie zauważył, że karty z wierszami przestały przychodzić, a chłopiec Marii nie odprowadza już jej do samej bramy.

Czy dlatego Maria była taka smutna? Matka zapytała:

– Co się stało z twoim chłopcem?

Wszyscy myśleli, że Maria chyba się rozplacze na wspomnienie kart i wierszy, ale Maria wzruszyła ramionami:

– Nie przychodzi na próby, nie wiem... i co mnie to obchodzi?

– Taak – matkę to obchodziło, przy tym coraz częściej nie mogła ruszyć się z kuchni i przejść przez warsztat, bo w warsztacie siedział często „ten pan”. Miała też zły sen.

– Śniło mi się, żem Marii kładła wieniec na głowę. A że sen się tłumaczy odwrotnie, to znaczy, że będzie smutek.

Ach, czyż matka nie otrzymywała znaków, czy nie mówiła ciągle: „otrzymałam znak”?

Czy się jej nie sprawdzały te znaki i te przestrogi? – Bronia widziała

nieraz, jak matka rosła do sufitu, jak przemieniała się jej twarz nie do poznania. Była chora i matka pochyliła się nad łóżkiem, i dotknęła jej głowy i szyi dwoma palcami. Wtedy od razu było lżej, zasypiała.

Matka zjawiała się z pieniążkiem srebrnym w dłoni i kieliszkiem.

– Wypij to, masz to...

Srebrny pieniądz padł na gorącą dłoń – to był już pieniądz Broni. Matka teraz trzymała w palcach skórkę od chleba razowego.

– Zjedz ta zaraz.

Obok, na talerzyku, leżało ogromne ciastko z kremem. Bronka łykała posłusznie skórkę chleba razowego. Ojciec się gniewał, że po rycynie stawia się chorej przed oczy ciastko z kremem. Ale matka wiedziała, co robi.

Nadzieja zjedzenia ciastka sprawiała, że lekarstwo „nie zwracało się samo”.

Kiedy Mietka zraniono w policzek, matka siedziała na placyku za domem, o niczym nie wiedziała. Raptem zjawił się pies – czarny. Skąd tu się wziął, jak przeszedł przez sień, że go nikt nie zauważył? Stał przed matką i zawył. Raz – i drugi – i trzeci! Wył ponuro, z pyskiem wzniesionym do góry. Matka zerwała się i krzyknęła:

– Mietek! – Potem dali znać, że Mietek już jest w szpitalu.

Drzwi od szafy skrzyknęły i otworzyły się same, coś łupnęło w szafie, to było wtedy, kiedy ojciec podpisał weksle. Szkiełko u lampki pękło w kawaleczki, choć płomień był taki ledwo-ledwo: umarła babka w dalekim mieście. Dzieciaki całego domu bawiły się w procesję, pozakrywały sobie głowy chusteczkami i huczały po kościelnemu, nabożnie – i masz pogrzeb. Stróż Prymasiak pożegnał się z tym światem. Śniło się, że Bronia malutka tańczy w białej sukieneczce, tymczasem o mało co nie wytańczyła się na cmentarz, taką miała szkarlatynę.

Z kuchni, ze stołu zginęły pieniądze; matka wzięła swój stary, ogromny modlitewnik, włożyła między karty koniec klucza, owiązała sznurkiem i klucz zahaczyła ostrożnie na palcu. Terminatorzy stali wokół, dzieciom dla sprawiedliwości także kazano stanąć razem z nimi. Bronka drżała. Janka nie spuszczała oczu z dłoni matki, czy matka nie poruszy umyślnie palcem? Zanim jednak klucz drgnął i modlitewnik poruszył się, z zatrwożonego grona rozlega się krzyk:

– To ja! pani majstrowa, na rany boskie! – to ja!

Dziobaty Janek. Wszyscy się rozstąpili i został sam jeden na środku warsztatu.

Modlitewnik z hukiem pada na podłogę z trzęsących się palców matki. Nie wiadomo, kto jest więcej przestraszony – matka czy Janek. Bronia w płacz.

Takiego stracha się ten Janek najadł, że do końca życia ręki po cudze nie

wyciągnie. Przeto matka przebacza mu.

– Przyznałeś się – mówi – będziesz miał na ten raz darowane.

Stary dywanik leży pod łóżkiem matki, jeśli ktoś nie wierzy w piekło, niebo i czyściec, to wypalone czarne ślady na tym dywaniku zmuszą go, aby uwierzył przynajmniej w istnienie piekła. Matka zwątpiła. Już trzy razy opuściła przy wieczorowych modlitwach „Zdrowaś” za dusze zmarłych w czyśćcu pokutujące. Leży w łóżku, zwątpiła, nie śpi, jest niespokojna, ale sama nie wie, z jakiego powodu ten niepokój. Raptem drzwi otwierają się z hukiem, rozlega się jęk, coś jak płomień, jak dym i chmura idzie w stronę łóżka. Słysząc brzęk łańcuchów, czuć swąd spalenizny i żar płomienia obejmuje leżącą na łóżku. Wśród straszliwych skarg i jęków rozlegają się słowa:

– „Wierz! jest piekło! jest ogień piekielny!”

Matka traci przytomność. Gdy już potem przyszła do siebie, schodzi z łóżka i widzi ślady potępionego, czarne ślady po ogniu.

Może spała? Może w pokoju stał piecyk i iskry padały na dywanik? Potrząsa głową. Uch, niedowiarki, niedowiarki! Mogą sobie wierzyć czy nie, jej to wcale nie uwalnia od rozmyślań i przewidywań. Otrzymała znak teraz, dotyczący najstarszej córki, Marii. Ma przecucie, że coś złego spotka Marię. Co to będzie, co to się zbliża?

Raz i drugi, i trzeci nie może wyjść z kuchni do warsztatu, bo tam jest gość, ten pan.

Wtedy się jakoś zbiegają w jej sercu te dwie sprawy, sen o uwieńczonej kwiatami Marii i obecność obcego. To jest gorsze niż wszystkie znaki i wszystkie tajemne ostrzeżenia. Maria siedzi w pokoju przy oknie, nie rusza się stamtąd, ten zaś przebywa tylko w warsztacie. Ale zbiegają się oboje w jej drżącym, pełnym najgorszych przeczuć sercu.

Jęknęła.

KOŚCI KUPUJĘ, GAŁGANY!...

Stróżka Prymasiakowa czyha od samego rana na matkę. Siada w stróżówce przy oknie, to znów kręci się po bramie, odkąd jej Józek poszedł do terminu do mechanika na Dobrą, musi wszystko sama zrobić. Cała kamienica co dzień może się naocześnie przekonać, co to jest za życie wdowy. Idzie, idzie, idzie! Z koszem, na targ.

– Pani Mossakowska, tu za Marią jeden taki chodzi, czy pani wie?

– Wiem – odpowiada matka – to jej chłopiec. – Matka myśli o chłopcu,

ale to wcale nie o chłopca chodzi, chłopiec to wiadomo, że swój, z drugiej ulicy – a ten – to obcy.

– Elegant. Moich oczów ani serca mojego nie oszuka, nie. Za moją Mańką też taki chodził, ale ja głupia jeszcze byłam, o koronie królewskiej dla niej myślałam, jak każda matka dla swego dziecka. Później to i drewnem, i miotłą, i czym popadło waliłam, ale już nie pomogło. Zamknęłam ją wieczorem, ale rano ma się wiedzieć do roboty trzeba było wypuścić – i zaraz, jak się tylko dostała na wolność – kamień w wodę. Życia takiego zakosztowała i już się odeń oderwać nie mogła.

Cóż to było za „takie” życie, tam za Nowolipkami, w świecie – na wolności; cóż to było za życie, dla którego się znosiło bicie drewnem i miotłą, i „najgorsze” wyzwicka, ale zamknięcia nie można było znieść? Wabiło, przywoływało, lśniło jedwabną pończoszką i strusim piórem na kapeluszu.

– Jedwabnych pończoch jej się zachciało – rzekła Prymasiakowa. – Ciastek i słodkiego winka.

Pani Podgórska zamykała swoje córki na klucz, a co się miało stać, stało się. Stróżka Prymasiakowa waliła drewnem i miotłą, i czym popadło, i też nic nie pomogło. Stała teraz z matką w sionce i wypominała:

– A Podgórszczanki, pamięta pani? A znów Zosię Kowalską – od szewca? Rózię Fiszłów to mój Józek widział w mieście na rogu, na własne oczy, tak ją ten najdroższy wykierował.

Wyliczały je, wypominały, nie tak jak umarłych ludzi z tego samego domu, nie ze smutkiem, ale ze zgrozą i wstydem. Aż się matka wzdrygnęła, że w tej litanii ponurej płacze się imię jej najstarszej, Marii, że z jej to racji wynikła ta rozmowa.

– Ten pan – rzekła – przychodzi do nas do warsztatu – czy pani go nie widziała? Nieraz już tu był.

– Ale cóż on ma za interes do paniny córki? Mnie tam nic do tego, a przestrzegałam, bo akurat tak samo z Mańką było.

Cóż on ma za interes do Marii – o, to matka wie, to wie od dawna, czyż nie otrzymała znaku? Matka traci swój spokój, zawraca do domu, pyta, pyta, pyta!

– Co to ja słyszę od Prymasiakowej?

– O czym mama mówi?

– Ty wiesz dobrze, o czym ja mówię, ty niedobre dziecko, bezwstydnico!

– Mamo, niech się mama zastanowi, mamu, bo takich słów nie zniosę!

– Mów mi zaraz, wszystko, od a do zet, jeśli cię to obraża! Mów zaraz!

Wszystko od a do zet wypowiada Maria, a to jest głupstwo i nic po bliższym zastanowieniu. Spotkał ją pod Filharmonią, ten pan. Odprowadził. Tak samo jak przedtem chłopiec.

– O czym żeście mówili?

– Mamo, co mama ode mnie chce? – łamie Maria rękę.

Ale matka jest nieubłagana.

– Albo powiesz mi wszystko, albo ja powiem ojcu, jakie to są interesa z tą rzeźbą i przychodzeniem do warsztatu.

– Już mówię, mamó, wszystko mamie powiem – woła Maria z rozpaczą – tylko ojcu niech mama nie mówi, mamó, ojcu nie!

Spotkał ją pod Filharmonią, podszedł i przywitał się, i zapytał, skąd wraca?

Odpowiedziała, i znów zapytał:

– Czy tak bardzo lubi śpiew?

– Tak – powiedziała – bardzo.

– Co robi w domu?

– Szyje.

Mówił, że to jest ciężko dla młodej dziewczyny siedzieć tyle godzin nad maszyną, że to jej musi szkodzić na zdrowiu, bo taka jest blada, tak bardzo blada.

Zawsze się pytał przy spotkaniu:

– Jak pani się czuje? – albo: – Jak się pani miewa? – Pytał, czy głowa nie boli?...

Opowiadając, Maria przymykała oczy, teraz oto blady rumieniec przemknął przez tę jej zawsze bladą twarz. Opowiada i widzi to wszystko, jeszcze raz przeżywa, jeszcze raz przenika ją słodycz, cudowność tamtych chwil i zdarzeń. Tu mówi całą prawdę, nawet zdaje się przypominać, rozważać – czy tak było, czy nie opuściła? Ale w głębi siebie, w myślach to opowiadanie ma zupełnie inne znaczenie, tu – tylko słowo, a tam – dziwny, przenikający ucisk serca, najogromniejsza tęsknota. Matka widzi, co się z nią dzieje, nie da się oszukać takimi słowami prawdy.

– Nie wierz mu, nie wierz takiej trosce o twoje zdrowie, z jakiego bo powodu miałby litować się nad twoją bladością? Przecież to obcy człowiek. On tylko chciał ci ukazać, jakie to marne masz życie, jak biedna jesteś – a potem ci zacznie opowiadać o innym życiu, o innych krajach, zacznie ci prawie różne piękne rzeczy, aż cię znęci, zbałamuci, aż ci tu wszystko w domu dookoła zbrzydnie. Co wtedy będzie z tobą, Maniu, jak ci dom zbrzydnie? Pójdiesz z domu i dokąd – i czy ty potrafisz żyć bez domu, żyć grzesznym życiem? Zapamiętaj sobie, co ja ci tu mówię, że nic od ludzi darmo nie dostaniesz, że nic ludzie darmo ci nie dadzą, i ten pan za swoją sympatię też czegoś zażąda, i jemu musisz się czymś odplacić. Idź do spowiedzi, idź do księdza Łubieńskiego, on ciebie do pierwszej spowiedzi przygotował i zna od dziecka. Niech on tobą pokieruje, niech on ci poradzi, jak masz postępować.

Maria wzdryga się, nie, nie chce iść do spowiedzi, za nic. Matka zrozumiała, że ona się wstydzi.

– Mamo, ja sama pomyślę, ja będę unikać tego pana. Tylko ojcu niech mama nic nie mówi.

– Ojcu nie trzeba mówić, boby go to znów oderwało od roboty.

Maria siedzi przy oknie, szyje.

– Co mam robić z tą dziewczyną? – zadaje sobie matka pytanie. Czy może zabronić jej teraz chodzić na śpiewy do pana Konopaska? Ale czuje, że to będzie jeszcze gorzej, że tylko jeszcze ten śpiew daje Marii trochę wesela i ożywienia. Ten pan przyszedł do warsztatu, matka przyjrzała mu się przez szparę we drzwiach. Zmartwiła, gdy się uśmiechnął do ojca i z tym uśmiechem zniewalającym, z blaskiem w oczach coś mówił prędko, coś wykladał przekonywająco. Jak sobie tu Maria da radę, jak zapomni, jak się przemoże? Co by tu jej powiedzieć?

Maria płacze. Czy długo będzie płakać, czy popłacze i przestanie? Przed samym zmierzchem na placyk za domem przychodzi śmieciarka, stara babina. Dźwiga cuchnący worek na plecach, w rękę trzyma pogrzebacz. Nawet dzieci wiedzą, że to była „taka”. Co to słowo znaczy – coś strasznego, co się kończy chodzeniem po podwórzach, z pogrzebaczem w rękę, w cuchnących szmatach przyodziewku.

– Kości kupuję, gałgany kupuję, kości!

Choć matka surowo zakazała raz na zawsze, któryś z terminatorów wychyla się przez okno i krzyczy:

– Babciu, coś robiła w młodości?

Śpiew z facjatki, to czarna Wikta śpiewa. To czarna Wikta wybuchnęła śmiechem i zaśpiewała na cały dom:

Nosiłaś modne sukienki.

Hersego najnowszy krój,

Cukiernia, spacer w Łazienki,

To dawny proceder twój!...

Kości kupuję, gałgany!

Ach, jakież smutny to los!

Honor na wieki stargany...

W oknie kuchennym stoi matka i patrzy na śmieciarkę. W oknie po stronie mieszkalnej stoi Maria, zbielała jej twarz widnieje wśród kwiatów fuksji.

Honor na wieki stargany...

Dziewczyny na rogu przed Kacem uciekają. Idzie rewiry. Dziewczyny na rogu przed Kacem uciekają, choć to idzie tylko stójkowy. Dziewczyny przed Kacem krzyczą nieludzkim głosem: pijak jakiś chwycił jedną za kok i ciągnie po bruku. Dorożkarz śmignął batem po umalowanych twarzach. Kobiety skłęły. Ktoś splunął. Ktoś kopnął.

Marii nie trzeba zamykać.

NOWA PANI ROSYJSKA

Padał deszcz ze śniegiem, zmarzły idąc do szkoły, oczekiwały wiosny i żadna nie chciała chodzić już w palcie, a Franka nie miała palta. Pani Ziemska krzyknęła żartami:

– Już po dzwonku! – pobiegły na górę, pani jeszcze wcale nie było.

Pani spóźniła się.

– Która jest dyżurną? Czy nie można odmówić modlitwy bez pani i przygotować wszystkiego do pierwszej lekcji?

Dyżurną była Aniela Sawicka, ale modlitwy bez pani odmówić nie chciała. Za to trzasnęła linią w katedrę i zawołała, naśladując panią:

– Cicho!

Gdy jej nie usłuchano, starła do czysta tablicę i zapisała do kary Cechnę Raczyńską.

– Ty, Sawicka, dlaczegoś mnie zapisała?

– Bo rozmawiasz. – Janka Mossakowska zaprotestowała gwałtownie.

– Ona tylko opowiada o wczorajszym przyjęciu.

– Coo? Urządzałyście przyjęcie? U kogo?

– U pani Raczyńskiej. – Sawicka zapomniała o zapisywaniu, całe grono skupiło się koło ławki Cesi.

Pani Raczyńska pozwoliła urządzić przyjęcie w ładnym pokoju z kanapą i miękkimi krzeselkami. Były pestki, orzechy-żydki, jedna pomarańcza i torebka okruszków za pięć groszy od Kaca z cukierni. Frania przyniosła serdelek od matki, siostry Mossakowskie dwa kotlety i chleb z podwieczorku. Kwiryna landrynki. Amelcia grała na grzebieniu, tańczyły.

Frانيا wypowiedziała wiersz, potem śpiewały...

– Dlaczego nie siedzicie na miejscach?

To pani. Sawicka zapomniała zetrzeć Cechnę Raczyńską z tablicy. Zaczęły ją upominać gwałtownym szeptem:

– Sawicka, zetrzyj! wstań i zetrzyj!

Pani spojrzała na tablicę.

– Zetrzyj, Sawicka. I zapomnijcie, moje dziewczynki, o tych różnych zapisywaniach, nie skarżcie się i postarajcie się jak najlepiej przedstawić, bo będziecie miały nową panią.

Nikt nic nie zrozumiał, nikt nic nie odpowiedział. Pani podniosła głowę i dokończyła wesoło:

– A ja będę miała nową klasę. – Ale jeszcze nikt się nie odezwał ani poruszył, pani zmuszona była powiedzieć wyraźnie: – Przeniesiono mnie, rozumiecie? Będziecie miały nową panią, Rosjankę, i ja się bardzo boję, czy wy pamiętacie, czego was uczyłam po rosyjsku?

Wiersze. Geografię, o dopływach do Wisły. Tabliczkę mnożenia, a to, a tamto – pani zasypywała klasę pytaniami, rzuciła się na klasę ze swoim rosyjskim, tak jak gdyby to było w tej chwili najważniejsze. Wcałe zdawała się nie widzieć i nie słyszeć, że płacze Cechna, że wtóruje jej Bronia. Kwiryna przerwała odpowiedź w pół słowa i uciekła od tablicy.

– Co to się dzieje, moje dzieci, co to się dzieje? – pyta pani bezradnie. – No, Kwiryna, albo Janka Mossakowska, dalej! – Janka potrząsa głową, nawet Bronia nie wyciąga ręki do góry.

Teraz już nic powiedzieć nie można, pani siedzi wśród płaczu całej klasy, płaczu bolesnego, rozdzierającego, siedzi z głową pochyloną.

– Przecież ja do was jeszcze przyjdę! – woła nagle – będę pisać do was! będę pamiętać.

Nieprawda. Oszukała ich, wywiodła w pole, może dlatego że tak bardzo płakały, ona też zaczęła płakać. Jeśli miała jeszcze przyjsć, to po cóż mówiła do każdej z osobna i prosiła o dobre przyjęcie nowej pani, aby jej wstydu nie przyniosły złym zachowaniem się, niegrzecznością. Dlaczego objęła milczącą Frankę i rozplakała się, dlaczego zapisywała adresy w kjecyku?

Na drugi dzień zastały już w klasie nową panią. Była wysoka, tęga, miała taką piękną koronkową bluzkę. I od razu przyszła z czajnikiem, na przerwie dostały dziewczynki herbatę do swoich śniadań, czaj. Jak ona to robiła, że zaraz były kubeczki – a cukier dała swój.

Mówiła pełnym głosem, wyraźnie, śpiewnie – ciągle, ciągle mówiła i klasa siedziała jak zaczarowana tym głosem i słowami. Czy lubią roboty ręczne, takie hafty na bębenku z rzemykiem? Ona wprowadzi roboty ręczne, umie tyle robót, najpiękniejszych. Serwetki na stół czy patarafka z włóczki pod lampę, czy zakładki na kanwie do książek. Janka zapytała:

– A kołnierzyki?

– Da, da – odpowiedziała pani – *dorogaja moja, wsio*.

Mówiła tak samo jak rosyjski mąż.

– *Dorogaja* – mówiła śpiewnie do każdej dziewczynki.

Patrzajcie, zaczęto chwalić nową panią, herbatę, kubeczki, roboty ręczne. A kiedy nowa pani gniewała się, że tak mało umieją po rosyjsku, Sawicka powiedziała:

– Przez tamtą panią teraz nic nie umiemy.

Ale Kwiryna na pauzie zagroziła, że:

– Powiedz jeszcze słówko, a dostaniesz w łeb, ty podlizuchu.

Klasa podzieliła się: za nową i za dawną panią.

A potem Bronkę wyrzucono ze szkoły.

MARIA UMIERA Z MIŁOŚCI

Dzień jest bardzo długi, rano jest bardzo długi, kiedy się nie chodzi do szkoły. Ktoś puka do okna, to Cechna. Janka odpowiada:

– Zaraz, zaraz, co ci się tak śpieszy, a czy Franka już gotowa? – Franka też stała za oknem, ukazała się na chwilę w szybie. Bronka zostaje sama.

Pani napisała list do rodziców i list do ciotki Franiej. Ponieważ opuszcza szkołę – napisała – więc poczuwa się do obowiązku stwierdzenia, jak zdolne są te dwie dziewczynki. I jeśli jej wolno coś radzić rodzicom i o coś prosić, to radzi i prosi, aby nie zaniedbano nauki dziewcząt, a ona sama po rozejrzeniu się przyśle pewne adresy, gdzie będą dziewczynkom wykładać przedmioty dodatkowe.

Ojciec był poruszony listem pani. Teraz, w domu, można już uczyć się rosyjskiego bez żadnej złości, ojciec postanowił, iż po wakacjach Bronia będzie zdawać do progimnazjum na Kapucyńską. Niech i ona skończy te cztery klasy. Ale ciotka Frani roześmiała się po przeczytaniu listu.

– Mądrała. Radzić to i ja potrafię. I po co ta nauka, kiedy nie uniknie się swego losu. Czy mądra, czy głupia, jednakowoż nie da sobie rady, jak będzie miała do czynienia z takim Stanisławem!

– O, niech mi ciocia da pokój z tym swoim Stanisławem!

– Co – ty mi będziesz odpowiadać? Wara ci od Stanisława!

Na tym się skończyło.

Dopiero po obiedzie odrabia Bronia lekcje. Mietek daje jej rosyjskiego, Narcyz – rachunków. Kuzyn Olek miał niby uczyć Niemieckiego, bo potrzebny jest chociaż jeden język, ale kuzyn Olek praktykuje już w składzie aptecznym i ciągle nie ma czasu. Z językiem więc sprawa zostaje w zawieszeniu.

Przyjemnie jest być w domu rano. Rozpakowywanie kosza w kuchni po powrocie matki z targu. Obieranie kartofli, cały duży, żelazny sagan. Matka mówi co chwila:

– Bronka, cienie, cienie, przecież ty marnujesz pół kartofla na obierzyny.

Czasem też ojciec krzyknie z warsztatu:

– Broniu! pół paczki gabinetowych!

Matka gniewa się:

– Ach, jak ten Andrzej pali, takie drogie papierosy! – Ale gdy Bronia wraca, matka mówi: – Nigdy nie kupuj ojcu innych papierosów, tylko

gabinetowe, bo od gorszych boli go gardło. Jak już musi palić, to trudno.

Przy obieraniu kartofli siedzi się na małych stołeczkach nad drewnianym szaflikiem z czystą wodą. Wtedy to przesuwają się całe życie ojca i matki, aż strach pomyśleć, jakie to życie długie, przeogromne, ile trzeba żyć! Albo jeden taki dzień. Ledwo się wydało śniadanie, a tu już obiad perkoce w garnkach, a gdzie sprzątanie, a gdzie cerowanie i łatanie, i pranie? Matka wychodzi tylko do kościoła.

– To cała moja przyjemność.

A odmawianie różańca? Różaniec matki jest ogromny, z paciorków rzeźbionych w drzewie. Samych „Ojcze nasz” jest siedemnaście, a „Zdrowaś” sto i cztery. Smutek ogarnia Bronkę. Sto cztery „Zdrowaś”;

Jedyne, co ją pociesza, to napis na pamiątkowym medalu w końcu różańca, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. To brzmi pięknie, gdy czyta się głośno:

Trzysta lat w Jeruzalem,
Pięćset w Carogrodzie
Byłam wszechwładną Panią
Na Ziemi i Wodzie,
Pięćset na Bełzkim Zamku
Byłam Strażnikową,
Pięćset Jasna Góra
Czci mnie Nieba Królową.

Matka nie miała z kim rozmawiać, gdy one były w szkole. Zapewne dlatego mówi teraz tak dużo przy obieraniu kartofli. Nie można się ustrzec, aby nie mówić także do rzeczy martwych. A one zdają się jej odpowiadać.

– No, no – mówi do garnka z kaszą – nie gniewaj się, poczekaj – i odkrywa pokrywę, a garnek wzdycha potężnym kłębem pary. – Za gorąco ci? – pyta matka gniewnie warczącego czajnika – zaraz cię zdejmę z ognia. – I odstawia czajnik z odkrytej fajerki na blachę i czajnik się uspokaja. Szumi łagodnie, dziękczynnie. – Tak, tak, dobrze cię przypaliło, nie ma co.

Taboret godzi w matkę ostrym kantem.

– Cóż ty znowu? Żle ci tu stać? – Kosz odmawia już naprawdę dalszej służby. Ale – ja cię tu chwycę igłą i dratwą. – Żadna rzecz nie chce zapomnienia, każda domaga się pamięci i dotknięcia. Lepiej się trzyma w ciągłym ruchu i użyciu przez człowieka, niż w odłożeniu jej na stronę, w zapomnieniu.

Koło kwiatów ciągle trzeba chodzić.

Kuzynka Helena przyniosła mirt w podarunku, duża to jest doniczka, cały krzew.

– Czy przypominasz sobie, Maniu, starą piosenkę o mircie?

Maria ożywia się, zmarszczyła brwi i poszukała tamtych słów w pamięci.

Zanuciła cicho: „... Mirtowy daję ci kwiatek – miłości mej zadatek – nie dozwól, żeby zwiądnął, nie pozwól, żeby zwiądnął...”

– Dalej zapomniałam. – Ale nuciła melodię i słowa znalazły się same i znów zaśpiewała półgłosem: „Ach, uwiądnął kwiat mirtowy – ach! zwiędło serce me”.

Teraz przerwała, prędko i gwałtownie krzyknęła:

– Nie pamiętam dalej, daj mi spokój.

Matka wyniosła doniczkę z mirtem do kościoła. Mirt to smutek w domu. Też podarunek!

Matka rzekła z niechęcią do kuzynki Heleny:

– Że ty też możesz tak często wychodzić ze swojego pensjonatu.

– Czy ja jestem przywiązana do kuchni, ciociu? To sobie wymówiłam.

– Matka jest przywiązana do kuchni:

– Ciągłe te gary i gary! – Albo: – Ciągłe muszę myśleć o waszych brzuchach.

Przy obieraniu kartofli matka zwierza się Bronce, iż kuzynka Helena to dziesiąta woda po kisielu. Przyszywana kuzynka.

– Ja nawet nie wiem, dlaczego ona całuje mnie w rękę i nazywa ciocią.

Bronka sprząta na mieszkalnej stronie. Najwięcej roboty jest przy lampie i ojciec od dawna odgraża się, że wyrzuci ten grat. Ogromna lampa, ciężka jak nieszczęście, jedni utrzymują, że z kutego żelaza, inni, że tylko z lanego. Wisi nad stołem na potężnym haku. Najpierw są ogniwa, potem kwiaty, całe wieńce i girlandy kwiatów, małe aniołki podtrzymują krągłą wagę i tam się wstawia szklany rezerwuar. Kiedy Janka nalewa naftę przez lejek. Bronia przykuca koło stołu, aby dobrze widzieć, jak się zapelnia szklany rezerwuar, żeby nie przelać nafty.

Mówi monotonicznie:

– Jeszcze, jeszcze, jeszcze – aż wreszcie gwałtownie: – Już!

Janka przeraża się, ręka jej podskakuje, nafta wypływa na stół. Awantura. Nigdy się nie obejdzie bez tego wypadku.

Klosz na lampie jest mleczny. W kwiatkach zbiera się strasznie dużo kurzu, na kloszu też znać najmniejszy nawet pyłek.

– Jak wytarłaś kurz, Broniu, to się nazywa wytarte?

Janka, gdy wypadnie na nią kolej sprzątaniam, życzy lampie, by się urwała z haka i potłukła w drobne kawałeczki, amen. Mietek ma zamiar, jak tylko zacznie pracować, kupić lampę stojącą na postumencie z brązu. Matka macha ręką. Jaki ten dom jest, to jest, dziękuję Bogu, że jest.

Wikta bez przerwy szyje na facjatce – wrz, wrz – bezustannie warczenie. Narcyz wyjął swemu ojcu z biurka kajecik i poprzykładał stemple cegielni Oddany. Poszedł do apteki Manduka na Woli, gdzie cegielnia miała otwarty rachunek, wziął czekoladki na przeczyszczenie i poczęstował dziewczęta.

Nikt nie mógł dociec, z czego się pochorowały, nawet Kwiryra. Matka rozgniewała się, gdy Narcyz powiedział:

– Z jedzenia.

– A dlaczego ty nie chorujesz, ani Mietek, ani terminatorzy; tylko dziewczęta?

Na złodzieju czapka gore – pomyślała matka. Weszła do pokoju z uśmiechem i rzekła tak komicznie:

– Mój mały paluszek powiedział mi Narcyz, że to twoja sprawka... przyznaj się.

Narcyzowi ani się śniło przyznać. W niedzielę drzwi otwierają się, ojciec Narcyza wchodzi z krzykiem:

– A ty, huncwocie jeden, ty hyclu!

Żeby mu sprawić lanie, ojciec go musiał zabrać aż na Wołę. – Bo nie chce obrażać tego domu krzykami.

Zeszty w kratkę, to pamiętnik. Pierwsze słowa: „Mam chodzić do progimnazjum”. Potem następuje historia z czekoladkami Narcyza. Z muzyką Mietka. Dlaczego jedno słowa są głuche, a drugie dźwięczą? Jednego dnia nic nie można napisać w pamiętniku, a drugi układa się sam, jak piosenka. Szczególnie zdanie o Marii napisało się samo: „Maria umiera z miłości”.

Maria umiera z miłości. Czyż można umierać z miłości? I co to jest miłość? Z której się umiera? Przez którą trzeba chodzić po ulicy, w deszcz i słońce, patrzeć uporczywie na dom na Nowolipkach, tak jak ten pan? Widziała go, gdy biegła po sześć gabinetowych, pół paczki gabinetowych – ten pan stał po drugiej stronie ulicy i patrzył na dom. Ale okna mieszkania wychodziły na placik za domem, tam, za fuksjami, siedzi Maria i szyje. On jej nie widzi.

Bronka przeszła na drugą stronę i dygnęła. Gdzieś ulotniła się jej nieśmiałość, musiała powiedzieć to zdanie:

– Maria umiera z miłości.

Ten pan strasznie się przeraził, okropnie.

– Co ty mówisz, moje złotko?

Moje złotko. Jeśli mówił tak samo do Marii, to nic dziwnego, że umiera z miłości. Bronka podnosi głowę do góry, patrzy wprost w twarz tego pana i powtarza ponuro:

– Maria umiera z miłości. – Po czym odchodzi. Jeśli mu nikt nie powiedział tajemnicy, to ona mu powiedziała.

Moje złotko...

Chciała jeszcze coś napisać o miłości w zeszycie w kratkę, w pamiętniku, ale teraz poczeka. Czeka, może się coś stanie. Nazajutrz ojciec mówi przy kolacji:

– Mój facet wyjeżdża za granicę. – Maria wstała od stołu z talerzem w rękę i wychodzi do kuchni.

Wyjechał. Pozostało więc tylko to zdanie, jedyne w pamiętniku, co brzmi pięknie i złowrogo jak muzyka: „Maria umiera z miłości”.

Ręce jej są przezroczyste, miedziane włosy jak chmura skryły w sobie bladą, wychudłą twarz. Matka biedzi się:

– Czyby nie przyciąć tych włosów?

Zdają się wyciągać z Marii wszystkie siły, wszystką krew z jej ciała. Rozpuszczono je: sięgały do kostek stóp.

– Po co ci takie włosy? Tylko kłopot przy czesaniu i myciu.

Maria rozplakała się. Płacze o byle co.

– Dajcie jej spokój – mówi ojciec.

Wyjechał. Ale przed wyjazdem zostawił na wszelki wypadek list polecający, gdy Mietek skończy swoje cztery klasy. List do Komisji Emerytalnej na Rymarską. Mietek będzie urzędnikiem. To można napisać w zeszycie w kratkę, a obok widnieje: „Maria umiera z miłości”.

GORZKIE PIEŚNI

Przez całą zimę dom rozbrzmiewał pieśniami. Wieczory były takie długie. W pokojach mieszkalnych śpiewano smętnie i niezrozumiale: „Nad Ebrą, fale goniąc spojrzeniem, młoda Cyganka siedziała”. To była ulubiona pieśń dziewcząt. Ale Mietek, Narcyz i Ignasz Piędzicki buczeli basem: „Gdy naszej pieśni ozwie się chór, w piersi niewieściej odpowie mu wtór: O piękna pani, słuchajże jej i dla śpiewaka swe serce miej!”

Dziewczęta chichotały wstydliwie, robiło się weselej niż przy smętnej nucie „Cyganki”. Za to znów w warsztacie czeladź szorstkimi głosami wywodziła: „Ulica Kościelna numer domu trzeci, zabił pan Kwiatkowski żonę, troje dzieci”.

Matka otwierała z trzaskiem drzwi od kuchni.

– Czy przestaniecie z tym Kwiatkowskim?!

Tego nie mogła słuchać, bo była pieśń straszliwa. Terminatorzy jednak czuli się pokrzywdzeni. To i tylko to chcieli śpiewać. To była ich pieśń. Wszystkim bez wyjątku robiło się mroczno od tej pieśni, tkwiła ona jak drzazga zła i grzechu, teraz wiadomo już, że nawet nie przez treść, lecz przez swój wyraz. Nikt o tym głośno nie mówił, nikt się niby nad tym nie zastanawiał, ale tak czuli wszyscy niejasno, aż wreszcie ojciec ujawnił tę sprawę przy jakiejś bójce terminatorów. Rąbnął ich wtedy potężnym łokciem drewnianym i krzyknął w okropnym gniewie:

– Pan Kwiatkowski, co?!

A kiedyś, gdy był w dobrym humorze, a znów śpiewano pana Kwiatkowskiego, podniósł dłoń do góry i zapytał złośliwie:

– Czy barszcz dziś na obiad był niedobry, czy porcje małe?

Była to pieśń niezadowolenia i buntu, pieśń goryczy.

Maria znów zaczęła nucić, słuchano jej wśród głębokiej ciszy, chór pana Konopaska miał wziąć udział w prawdziwej operze, w Teatrze Wielkim, pod filarkami. Maria ożywiła się, wracała z prób tej opery z oczyma świetlistymi jak gwiazdy. Jasno się robiło, straszliwie szeroko czyniło się w mieszkaniu, gdy zaśpiewała:

– „Dalej na morze, na morze, na morze, na przestwór wód!”

Ściany padały. Otwierał się wielki świat. Przy odrobinie dobrej woli można było w świście pił usłyszeć poświst wichru, a w zgrzytach, hukach i trzaskach dobiegających z warsztatu – odgłosy morza. Z tej racji, z racji wciąż nowego świata pieśni. Bronka nie mogła dołączyć swego głosu do ogólnego chóru domu.

Tyle było do myślenia. Taki był natłok tych obrazów świata...

Siedziała w kącie, przy rzeźbionym klęczniku matki, i jej zadaniem było czuć nad czerwoną lampką oliwną. Tu, na białej serwetce stało tekturowe pudełeczko z knotami i szczypczykami. Lecz często właśnie obrazy świata wiodły ją zbyt daleko i zbyt były pochłaniające. Knot w lampce skwierczał, płomień stykał się z wodą, roznosił się przykry swąd. Skądże matka wiedziała o tym zaniedbaniu, w dalekiej kuchni? Dość, że drzwi otwierały się zaraz. Bronka zrywała się, za późno było na operację ze szczypczykami.

Płomień parzył gołe ręce... Oliwa kapnęła obrzydłą kroplą na biel serwetki.

... Cóż to była za rzeka, Ebra, nad którą siedziała młoda Cyganka? Głucho o niej w geografii szkolnej. Jakież były jej wody, co za drzewa rosły nad brzegami? Nic nie było wiadome, nic nie było pewne. Ale gdy pieśń rozwijała się dalej i dalej, wypływała nagle w oczach ta woda, ciemna i tajemnicza. Drzewa zaś były czerwone jak w jesieni.

Natłok obrazów był tak wielki, pieśni zmieniały się, przechodziły, przemijały, zanim dźwięk ich i barwa zdołały stworzyć obraz. Nie wiadomo już było, co jest obrazem pieśni, a co obrazem życia: życie zmieniało się wokół też tak prędko...

Przecież już dawno zapadł w mrok „Góral”, nie pytano się już bezustannie: „Góralu, czy ci nie żal?” Ach, przebrzmiały też, dopiero co, posępne: „Wyrzwał z kibitki, potrząsnął głową, nie dbał, że wzbudzi w żandarmie gniew...” Runęły „Barykady”, krew okazała się czerwienią od „Czerwonego Sztandaru”. Dawniej, gdy matka napędzała kuzyna Olka do pacierza, padał przed podobizną Okrzei na kolana i wołał bluźnierczo:

– O, przenajświętszy Okrzejo!

Ale oto pył zasnuł czerwone oblicze... Kuzyn Olek marzy o farmacji. Ojciec już dawno machnął ręką na wiece i z zaciekłością wziął się do rzeźby.

U pani Zembrzuskiej, w więzieniu na Dzielnej, śpiewają już „Czajkę” i „Ugoloł”...

Ale oto przerywają się te wszystkie pieśni, jakby w pół słowa, z kuchni dobiega nikły a tak silny głos matki. Śnieg stopniał na dachach przybudówki, okropna szarość objęła w posiadanie podwórze i dom, i ulicę, i świat cały. Czerwona lampa oliwna zgasła. Matka śpiewała:

Serca nasze przenikajcie!

Gorzkie żale, przybywajcie!

Jej głos objął warsztat i izby mieszkalne, i sień. Wszyscy milkli. Zdawało się, że piły płaczą żalonym zgrzytem, że śmigle heble jęczą głucho. Trzask pękającego drzewa stawał się wrzaskiem cierpiącego człowieka. Nieskończony lament ogarniał mroczne izby od parteru do facjtki:

Żal mi – ach! żal mi, ciężkich moich złości

Dla Twej miłości...

Wszystko stawało się ciemne, bolesne, nie do pojęcia smutne. Zdjęto firanki z okien, dom stał nieosłonięty niczym i nagi, wiosenne deszcze lały bezustannie strugi łez po obliczach szyb. Strach i smutek, i niepewność... Czy podłoga nie rozewrze się pod stopami? Czy dach nie runie na pokorne głowy?

Zasłona się popadała,

Ziemia rwie się, ryczy skała.

Jezus! Jezus! – na krzyżu umiera...

Cóż robić, ażeby to wszystko nie stawało się? Jak pomóc cierpiącemu Jezusowi? Ach, jakże ulżyć cierpiącemu człowiekowi? W swym kącie za klęcznikiem Bronka płacze, pobladłymi wargami szeptem ze skruczą:

– Jezu mój, Jezu, przebac mi.

Czyni rachunek sumienia, ogłasza „mocne postanowienie więcej niegrzeszenia”. Ale z kuchni, ze świata, z nieba, jak nieodparty wyrzut, dobiega głos żalony:

Ach! Ach! dla mojej swawoli

Jezus umiera i boli.

Tego znów nie może znieść ojciec. To go odrywa od rzeźby i wypędza z domu, ten lament nieskończony głosów kobiecych i dzieciennych. Ten pan mógł się oderwać od swych pięknych sprzętów i wyjechać, czyż ojciec jest przywiązany sznurem do warsztatu? Zresztą oto odjechały ciężkie wozy, pełne bogato rzeźbionych sprzętów, w warsztacie wzbijają się teraz tumany kurzu, po czym wszechwładnie zapanował plusk wody i odgłosy szorowania. Ojciec przepada, ojciec znika. Ale nim się to stało, rzuca jeszcze na stół błyszczące, srebrne ruble i mówi:

– To musi wystarczyć, nie dam więcej.

A matka:

– Bój się Boga, człowieku, na taki dom! – I wreszcie razem, w gniewie: – Najwyżej nie wyprawi się świąt.

Bronka notuje w zeszycie w kratkę:

– „Tego roku nie będziemy mieli szynki”. Ciągłe myśli o tej szynce, stokrotnie zapytuje: – Mamo, czy naprawdę nie kupi mama szynki?

Ale przecież nie chodziło o szynkę, o ten kawał brunatnego mięsa na świątecznym stole. Szło o zapach, o śnieżny obrus i malowane jaja, i pieczenie bab w domu, o biały hiacynt, tak pachnący. O ów nastrój uroczysty, który nakazuje ojcu spożywać pierwsze kęsy święconego stojąc – który skłoni go do łagodnego uśmiechu i serdecznych dla wszystkich życzeń.

Tego wszystkiego nie ma być, wraz z szynką.

Ale w miarę uprząwania domu coś jaśniało nikle, mroki rozstępowały się. Dziobaty Janek sklepił mały piękny stolik na dziecinne święcone, w podarunku.

– To dla Broni – rzekł. – I niech się Bronia nie martwi – pocieszał.

Terminatorzy odbyli rekolekcje w kościele Najświętszej Panny na Lesznie, a „Książd z Noskiem” zmiękczył ich: otrzymali kartki, które okazali posłusznie matce, otrzymali rozgrzeszenie. Zaraz potem na przypiecku spoczął duży woreczek mąki, tej najlepszej z młyna na Solcu. Mąka musi przeschnąć. Po trochu, po troszeczkę, co dnia matka kupuje to rodzynki, to migdały, to gałkę muszkatołową. Wreszcie mięso na kielbasy. Wieczorem grzmi tasak w kuchni, czuć czosnkiem. Nie można się doczekać tego końca siekania. Zасыpiają, Bronia i Janka, a rano nad płytą kuchenną, z boku, na drążku kołyszą się już pachnące czosnkiem kielbasy.

Już teraz wiadomo, że będzie szynka. W warsztacie skądś się wziął duży kocioł do gotowania.

Maria z pomocą pani Podgórskiej szyje Broni i Jance sukienki z wełny bordo. Ale gdy matka wspomniała o trzewikach, że takie trzewiki mają zniszczone, ojciec schwycił kapelusz i przepadł. Matce nóż z brzękiem wypadł z rąk, wbił się ostrzem w podłogę. Matka chwyciła się nagle za serce.

– Broniu! idź mi zaraz! Idź mi za ojcem, zobacz, dokąd ojciec poszedł!

Ojciec siedzi u Kaca, w cukierni, na rogu. Rzucił rzeźbę dla Kaca, tak jak pierwiej rzucił wiece dla rzeźby. Ojciec tu siedzi, u Kaca, w innym, jakimś błyszczącym, wesołym świecie, gdzie nie śpiewają „Gorzkich żali”. Można było widzieć na żółtej satynowej zasłonie u okna jego wyostrzoną bródkę, ściętą ostro, i rozwichrzone nad czołem włosy. Tylko nie widziało się oczu – w tym miejscu był jakby dół.

Cóż tam było dalej, za tą zasłoną w widzianej kiedyś sali o czerwonych ścianach, u Kaca, na rogu? Nie mogła sobie teraz Bronka przypomnieć i wyobrazić. Chyba: blask. I czerwień. Ale z boku, w rozchyleniu firanki

wydała się oczom część tego utajonego świata.

To kuzynka Helena, ona i ojciec. Kuzynka Helena, która tak skromnie i pokornie mówiła: „wujaszku”. Która tak pieszczotliwie wołała: „Broniu”.

Jakże góruje teraz, w szparze tej firanki, na jakiej ogromnej wysokości przebywa, jak tajemniczą, groźną jest jej twarz miła. Ma koronkową szmizetkę z riuszką koło twarzy, ma czarny wiosenny kapelusik z płasko ułożonym strusim piórem na rondku. Krągła jej szyja pulsuje pod gipiurą, a niżej – coś żywego, coś straszliwego porusza się łagodnie. Chciałoby się ułożyć tam głowę, na falujących wypukłościach i zapłakać. Lub ścisnąć pięść i uderzyć w to mocno.

Gdzieżby chciała być Bronka, tam w kuchni, z matką, z ostrzem noża, który wbił się w podłogę – czy tu, u Kaca, na rogu?

Grzech. Oto jest grzech, za żółtymi firankami. Grzech siedzi naprzeciw ojca i uśmiecha się czerwonymi wargami, nieprzewyciężonym uśmiechem, pokusą.

Nigdy nie będzie całkowitego święta Zmartwychwstania! Zawsze się snuć będą po domach „Gorzkie żale”, ciągle i ciągle, rokrocznie, po stokroć Jezus będzie umierał, oto tu siedzi grzech. Helena – Bronia? Z pulsującą szyją, z ziarnem dobra i zła, szaleństwa i skruchy, przekazujące sobie niewidocznie płomień poprzez lata, wieki...

Nigdy nie będzie Wielkiej, Białej Niedzieli.

PRÓG

Lato. Nikt nie wyjeżdża z Nowolipek na wieś, nie, stąd nie wyjeżdża się na lotnisko ani na kolonie letnie. Lotnisko jest dla bogaczy, a kolonie dla ubogich. Tu się wychodzi w piękne wieczory przed dom, na schodki sklepów, na dziedziniec przykościelny. Nikt się nie chce przyznać do ubóstwa, nawet pani Raczyńska. Ubiera najmłodsze i prowadzi je „na spacerek”.

Franka o mało co nie pojechała na kolonie, ale w ostatniej chwili ciotka uniosła się honorem.

W biurze na Świętokrzyskiej chcieli Frani obciąć warkocze. Jeszcze czego. Jak aresztantowi.

– Tak się zdenerwowałam, że niech choroba weźmie! – powiedziała ciotka.

Czyżby Franka miała wszy? Głowę jej czuć było naftą. Siostry Rubinrot wyjeżdżają. Leczą:

– Nie zazdroście nam – rzekła Regina – mama jest jeszcze gorsza na

letnisku niż w Warszawie. Nie wolno bawić się piaskiem. Nie wolno iść do rzeki. Nie wolno leżeć na gołej ziemi. Nic nie jest wolno.

Lato. Siedzi się przed domem lub w drodze łaski za drewniakiem na placu Mossakowskich. Kasztany tego roku nie puściły jakoś liści. Między gluche mury przyległych kamienic wciska się zielona gałąź drzewa nad czarnym parkanem. To jest drzewo z zupełnie obcej ulicy. Franka i Bronia okrążyły dom, obliczyły odległość. Ten ogród też był w tyle jakiejś zwyczajnej kamienicy na Dzielnej. Nikt by się nie domyślił, że za domem, w głębi jest ogród.

O, to drzewo z obcej ulicy, w szczelinie domów – o, ogrodzie niewidomy! Przycisnęły twarze do czarnych desek, wycelowały okiem w szparę między deskami, ażeby uchylić rąbka tajemnicy, uszczknąć coś z zielonego uroku świata. Podchwyciły smugę zieloności, pewnie to jest trawa, bujna. Ale nie trawa przejęła je zachwytem – to była cisza, odosobnienie, opuszczenie, urok tajemnicy – to przejęło je dreszczem. Westchnęły.

– Mogłybyśmy kiedyś iść do Ogrodu Saskiego – rzekła sennie Frania.

Czy je tam wpuszczą? Ciągle się wybierały, od samego rana, ale przy wejściu stał stójkowy i podobno zawracał z drogi źle ubranych ludzi. Czy one są dość przyzwoicie ubrane? Siostry Mossakowskie mogły wziąć świąteczne sukienki. Kwiryra też – ale Frania?

Nawet jej tego powiedzieć nie można. W końcu zdecydowały, że pójdą wszystkie w mundurkach szkolnych.

Był ranek. Nim doszły do placu Bankowego, uczuły już zmęczenie, mundurki były wełniane. Przystanąły przy sklepie Grimma – tu Mietek kupował swoją mandolinę, a tu znów w tym olbrzymim pałacu mieści się Komisja, gdzie Mietek zapewne otrzyma pracę. Chciały poprzestać na tym, plac Bankowy też jest dostatecznie piękny jak na spacer. Ale Kwiryra nie chciała nawet o tym myśleć, miały iść do Saskiego Ogrodu, więc nie ma o czym mówić.

Doszły do bramy od strony Żabiej, z drzeniem nóg przeszły obok stójkowego w białych rękawiczkach. Teraz pomknęły spiesznie – nie zostały zatrzymane.

– Tak mi serce bije! – rzekła Cechna Raczyńska, a Kwiryra przedrzeźniała ją.

– Mój ty delikatesik!

To, że Kwiryra miała zawsze parę groszy przy sobie, a w rękę niosła pakiecik z jedzeniem, użyczało jej pewności.

Na co najpierw spojrzeć? Gdzie przystanąć? Jedna przez drugą wydawały stłumione okrzyki, nawoływały się, zwracając uwagę na swoje odkrycia. Róże na klombie, bladoróżowe, o delikatnym zapachu, fontanna, staw. Łabędzie. Studnia ze staruszką z dobroczynności. Cukiernia. Szklany

budynek i palmy. A posągi? Franka odkryła posągi i teraz nic już nie chciała oglądać, tylko szukała posągów, na skrzyżowaniu alei, pod drzewami.

Były nieruchome, o ślepych oczach i kamiennych, zawartych ustach, ale przemówiły do niej, jak nigdy nic i nikt nie przemówił. Więcej niż książki? Tak, więcej niż książki, więcej niż słowa. Kamienne ramię wabiło ją i ukazywało gestem coś niewiadomego, zagubionego w przestrzeni. Musiała odejść kilka kroków, aby ogarnąć okiem, aby pochwycić lotny, nieopisanie piękny dla niej ruch posągów. Odłączyła się od swych towarzyszek, ponieważ nie chciały ciągle oglądać posągów.

Kwiryna wynalazła ławkę w bocznej alejce, pod krzakiem bzu i rozpakowała pakiet.

Kromki chleba posmarowane masłem i nieśmiertelne landrynki.

– Dlaczegoście nie wzięły ze sobą nic do jedzenia? – rzekła z wyrzutem. Lecz podzieliła sprawiedliwie i nikt się nie wymawiał od poczęstunku. Były głodne. Paplały zawzięcie, ale z wolna cisza w alei, zielone gałęzie bzu pochylone nad ich głowami, świeżość, zapach ziemi i trawy, urywane ćwierkanie wróbli zamknęły gadatliwe usta, unieruchomiły ruchliwe, gestykulujące ręce. Nigdy jeszcze nie doznały takiego uczucia słodyczy i omdłości, lenistwa. W głębi alei spaceruje pani w długiej sukni, białej, z aureolą rozpiętej koronkowej parasolki nad głową. Taka suknia nazywa się *princesse* – do tego ogromny kapelusz z kwiatami. Zza szklanego pawilonu dobiega przytłumiona muzyka. Walczyk. Wiedeński. O, jakie życie jest piękne, jak cudowny jest świat tu, w Ogrodzie Saskim! Bronka tajała po prostu, przeczuwała od dawna przecież tę łagodność świata. Łzy miłości ku temu wszystkiemu wisiały już-już na rzęsach. Zawstydziała się, odwróciła bokiem, ułożyła ramiona na poręczu ławki. Głowa sama opadła w to zaciszne gniazdo. Łzy kapnęły wreszcie na czarną, świeżo skopaną ziemię za ławką.

Cechna pierwsza poczuła pragnienie ruchu i śmiechu.

– Słuchajcie, czy nie będziemy się bawić!? – Spojrzały na nią ze zdumieniem.

Tam, koło fontanny, dziewczynki utworzyły koło, z daleka można było widzieć, że bawią się w kołysankę: „Śpij, dziecino, śpij, maleńka, luli, lalko, luli...” Spojrzały ze zdumieniem na Cechnę. Co też jej strzeliło do głowy!

– Poczekajcie, zobaczę, jak tam się bawią, i zaraz przyjdę!

Patrzyły z daleka, jak przystąpiła do koła i szukała miejsca, gdzie by się przyłączyć. Lecz dziewczynki podobierały się już według znajomości czy chwilowej, nagłej sympatii i nie chciały rozpleść rąk, aby przyjąć obcą.

Janka rzekła:

– Ta Raczyńska nie ma za grosz ambicji. – Ale nagle koło rozplotło się w jednym miejscu i Cechna została przyjęta do zabawy.

Siedząc na ławce, w oddali, zauważyły naraz odmienność ich mundurków

od sukienek tamtych dziewczynek. Sukienki białe, różowe, błękitne, wszyte w karczek, króciutkie do kolan, falbany, rozwijające się jak obłok. One miały już spódnice, w kliny, z twardą taśmą gorseciku, z kieszenią wszytą w boczny rozporek, z zatraskami, z haftkami. Obcisłe staniczki zapięte pod samą szyją, a kołnierzyki, od lat te same, miały jakąś żalną, szarą białość. Kołnierzyk Bronki, dziergany kolorową nitką, był po prostu przerobiony jeszcze z dziecinnej fryzki. Tamte miały pantofelki i skarpetki, nogi i ręce obnażone. A tu trzewiki sznurowane i grube wełniane pończochy. Tamte miały włosy rozpuszczone, z kokardą na wierzchu głowy, jakby motyl przysiadł na chwilę na kwiatku, one miały mocno splecione warkoczki. Poczuły się nagle stare, och, o wiele starsze od tych fruujących motyli – stare ze swymi spódnicami w kliny, ze stanikami pod samą szyję. Kwiryra rzekła nagle i stanowczo:

- Po wakacjach nie pójdę już do szkoły.
- Dlaczego?
- Bo co mi z tego przyjdzie?

Wtajemniczyła je w swój plan. Od dawna nosiła się z myślą, że pomówi z rodzicami, żeby jej pozwolili pracować w sklepie, nie tylko przy kuchni.

Gdy będzie miała swoje pieniądze... Przed Janką nagle otworzyło się niebo i wejrzała w inny świat. Swoje pieniądze... Wtedy wszystko jest dostępne, można sobie kupić, co się chce, swoimi zarobionymi pieniędzmi można samej rozporządzać. Wprawdzie Maria oddaje zarobione szcieniem pieniądze matce, ale Maria zawsze była takie „ciele-mele na niedzielę”.

Kwiryra jednakże myślała o czym innym, nie o strojach. Widziała wyraźnie sklep kupca Majewskiego, dwie wystawy. Na jednej wódki, na drugiej delikatesy. Mieszkanie mieści się wcale nie za sklepem, to nie ciupka, a trzy pokoje na pierwszym piętrze z balkonem od frontu.

To jest własny dom Majewskich, posadzili sobie nawet przed domem akacje. Kwiryra powiedziała znów, stanowczo:

– Muszę mieć taki sklep jak Majewscy, wiecie? Ten na rogu. Bo w takim jak nasz, to można się tylko śmierci doczekać, niczego więcej.

Na takie plany Bronka zapytała niespokojnie:

– Jak myślisz, Janiu, czy ja będę zdawać do progimnazjum?

Ale Janka, która jeszcze w tej chwili nie miała żadnego projektu co do siebie, odpowiedziała, zła:

– Nadzieja jest matką głupich. – To było bezlitosne.

Nadbiegła Cechna uradowana. Wydała się tamtym dziewczynkom tak poważną, więc wybrano ją na matkę. Klęczała przy kołysce i śpiewała solo: „Na zabawy, na pieszczoty mama nie ma czasu”. Sześć dziewczynek splotło ręce, aby utworzyć „stołeczek”, kołyska więc była tak duża, że dziecko mogło leżeć naprawdę. Znalazły śliczną dziewczynkę odpowiednią na dziecko,

malutką, z kręconymi włosami.

– Istny aniołek, mówię wam! Teraz się zabawimy w „sieją mak”...
Chodźcie!

Ale Kwiryna, Bronia i Janka wzruszyły ramionami. Miały swoje kłopoty i trzeba już było wracać, nim dojdą na Nowolipki, będzie chyba po obiedzie. Teraz dopiero przypomniały sobie o Frani. Frania! Gdzie się podziała Frania?

Pobiegły aleją do samego końca, wystraszone. Nagle ujrzały Franię przy dużym, drewnianym budynku, przed nią stał wysoki i tęgi pan.

– Poczekajcie – szepnęła Kwiryna – nie chodźcie tam!

W tej chwili obcy roześmiał się, dotknął policzka Frani i odszedł. Szedł w stronę budynku, pchnął furtkę z drucianej siatki i stanął przed drzwiami. Jeszcze raz odwrócił się, jedną ręką popchnął lekko drzwi, a drugą przywoływał Franię. Stanął w szarym świetle sieni, nie widziały go już prawie, ale czuły, że stoi tam, w szarym mroku, i czeka:

– Franiu! – krzyknęła Kwiryna. Obcy zniknął nagle, drzwi zamknęły się. – Co to za pan? co on mówił?

Frania jakby się dopiero ocknęła.

– Pytał, co tu robisz, i czy lubisz teatr.

– A ty co?

– Powiedziała, że nigdy nie byłam w teatrze, a on powiedział, żeby przyjść przed wieczorem i iść za nim do tych drzwi. Wtedy mi da bilety.

Do tych drzwi? Spojrzały na budynek, cichy, opuszczony, tajemniczy. W zeszłym tygodniu zginęła jedna dziewczynka na Lesznie. Jakaś kobieta widziała tę dziewczynkę, gdy szła ze starszym panem Przejazdem na Długą. Kwiryna przecież nie darmo czytała „Sherlocka Holmesa”.

– Chodźcie stąd! Chodźcie zaraz! – Franka miała taką minę zadumaną, że Kwiryna zapytała: – Czy ty śpisz, czy co? A może on dmuchnął na ciebie takim proszkiem? – Roześmiały się, ale zaraz umilkły.

Przechodziły koło stójkowego w białych rękawiczkach.

Powrót, powrót do domu. Nie ten sam, co ongiś, z wyprawy na Chłodną. Wtedy odczuły jego ciepło, po strachach nieznanymi ulic dobrze było znaleźć się w domu, wieczorem. Lampa płonęła nad stołem... Teraz szły w samo południe, w słońcu. W ogrodzie panował chłód pod drzewami. Niosły jeszcze w nozdrzach ten dziwny zapach ziemi, liści, wilgoci, róż. Nigdy dotąd nie odczuwały zaduchu ulic, a teraz odczuły to. Wszystkie zapachy potraw, zwiędłych i gnijących jarzyn, przysmażanej cebuli, mdłego, oślizgłego mięsa. Ujrzały, jakby po raz pierwszy, rynsztoki. Franka z osłupieniem spojrzała w okno ciotczynej sutereny. Ściek i śmietnik na placyku Mossakowskich za drewniakiem. Śmietnik, rozwarły, z klapą podniesioną w górę, wybebeszony na zewnątrz kolorowym śmieciem odpadków, strzępów, skorup. Smród, smród, smród.

A znów tam, w Ogrodzie Saskim, w szarym świetle sieni stał wysoki, tęgi mężczyzna i wabił Frankę skinieniem ręki, i czekał.

OJCIEC ODCHODZI

– Fajerant! – Ojciec cisnął to słowo przed siódmą; padło ono w sam rozgwar roboty, gdy piły zgrzytały w najlepsze, heble posuwały się ze świstem po deskach, młotki stukwały o gwoździe.

Zapadła cisza, na chwilę – tylko tyle, ile potrzeba do zatrzymania rozmachu rąk. Czeladnicy od razu odeszli od roboty, terminatorzy pośpiesznie uprzętaali narzędzia. Odkręcano śruby, deski zostały zwolnione z ich uścisku, wyciągano ostrza z hebli, wytrząsano wióry gromadzące się we wnętrzu. Dłutka, sztamajzy, świdry wetknięto w otwory dziurkowanych półek.

Ojciec wyszedł pierwszy. Niewiadomym sposobem potrafił teraz ubrać się tak prędko.

Kładł najlepszy, świąteczny, szary garnitur. Matka przez uchylone drzwi kuchni widziała go, gdy wychodził. Robota jej utykała w pół drogi, ręce ustawały, zatrzymywały się – nieruchomiała z łyżką czy nożem w dłoni. Krzyknęła, jakby ją ktoś tym nożem ugodził:

– Broniu! – Bronia zawsze była pod ręką, od dawna stała za drzwiami warsztatu. Matka zaszeptwała gwałtownie, znów to samo: – Idź za ojcem! Zobacz, gdzie ojciec idzie! Idź mi zaraz!

Nie trzeba było chodzić już, aby wiedzieć. Bronka udawała pośpiech. Zamiast wyjść na ulicę, skrzyła w bramę do sutereny. Już się nie myślało o niemożliwym kochaniu między ojcem a kuzynką Heleną, która teraz wcale nie przychodziła do domu. Bronka wracała, przeczekawszy chwilę u Frani.

– Ojciec poszedł z kolegami do Kaca.

Matka rzuciła na nią spojrzenie przesywające. Milczała, trzeba było wydać terminatorom kolację. Ale, gdy już zrobiła wszystko, co trzeba, łyzy, jakby tylko na to czekały, przebiegły przez jej twarz, szybko, jedna za drugą, śpiesząc się. Bronka truchlała.

– Już my się teraz nie wydzwigniemy! Już teraz wszystko przepadło – jęczała matka.

Czuła nieomylnie, nic prawie zresztą nie wiedząc, że to koniec, że to nie poręczenie weksli i zajęcie mebli, po których się zawsze robiło w warsztacie drugie, nowe.

– Oni są z jednej wsi – rzekła kiedyś – z jednego zaścianka.

Mówiła to, jak gdyby chciała usprawiedliwić ojca.

Bronka czekała. Jeśli odejdzie teraz, matka przepłacze w kuchni cały wieczór. Z progimnazjum nic nie będzie, ojciec nie wspomina nawet o progimnazjum. Ale Bronka czekała cierpliwie.

– Może Bóg przenajświętszy da, że Mietek dostanie posadę – mówiła matka.

Na Marię nie ma co liczyć. Załamywała ręce na wspomnienie Marii, snującej się jak cień po domu. Zdawało się, że płomienna dłoń dotknęła Marii i ojca. Bronka tak chciała zapisać to w zeszytcie w kratkę. Matka zaczynała znów płakać.

– Gdybym była wiedziała...

Ale urywała zaraz, nie kończyła myśli, nie umiała przed sobą kłamać. Matka zdawała się jeszcze chwytać różnych ludzi i nadziei. Może Narcyz wróci po wakacjach na stację.

Niemożliwe chyba, aby skończył tylko cztery klasy.

– Może przecież coś się stanie... może Mietek... może Janka. Wszystko to rwało się w rękach, bo na przykład Janka ani się uczy, a do szycia też nie chce się zabrać.

Bronka czekała. Teraz nastąpi ta chwila. Matka usiadła na małym stołeczku, który jej służył za podnózek. Powiedziała nieśmiało i prosząco:

– Broniu, może byś mnie powisła...

Nigdy tego przedtem nie było, nigdy matka o to nie prosiła, przecież z góry było wiadome, że wszyscy w domu mają czyste głowy, nawet Maria, choć ma włosy tak długie. Jankę zawsze strasznie złościła ta prośba matki. Ale Bronka, kręcąc się koło matki, koło kuchni, struchlała od przejmującego płaczu, pojęła, iż opuszczona matka łaknie jakiegoś dotknięcia, zbliżenia. To była ciemna myśl, ciemny zamysł, który ją do tej pewności doprowadził, że wiskanie matki w jakiś tam sposób wynagrodzi jej wyjście ojca z domu do Kaca. Ale tak było. Bronka wyrzekła się biegania po placyku i rozmów z Franią. Siadła na taborecie, matka położyła głowę na jej kolanach. Położyła z westchnieniem. Bronka wyjęła z włosów druciane szpilki i rozplotła warkocze. Rozczesała włosy matki duży grzebieniem, delikatnie, powoli.

Palcami przebierała pasma włosów, w poszukiwaniu. Włosy matki były cienkie, ciemne, pachniały kuchnią. Teraz Bronka westchnęła. Uczuła litość nad matką, czy matka, gdy była młodą dziewczyną, siedziała kiedy w Saskim Ogrodzie, pod krzakiem bzu? Czy przechadzała się alejami, z koronkową parasolką nad głową, w sukni *princesse*? Matka nosiła też spódnice i staniki, odkąd ją pamięta. Od dawna nie nosi kapelusza, kapelusz jej leży w tekturowym pudle na szafie. Ach, matka chyba nie chodziła do szkoły, nie umie pisać, i czyta tylko ze swej dużej książki do nabożeństwa. Zawsze to jest ulgą, gdy można coś zapisać w zeszytcie w kratkę. A teraz jeszcze w

dotatku ojciec z kuzynką Heleną u Kaca.

Czuje oddech matki na swych udach, wie, że matka nie śpi, czuje, że matce jest w tej chwili dobrze. Szpera palcami we włosach, chce zapytać:

– Przyjemnie mamie? – ale wstyd powstrzymuje ją od tego pytania.

Kiedyś, tak dawno już, matka siedziała na taborecie, a ona na stołeczku. Splotała jej warkocze, mocno, i zawiązywała wstążkę. Teraz ona siedzi na taborecie, matka złożyła głowę na jej kolanach. Smutne ma życie, włosy jej takie są cienkie.

Nie wiadomo, czemu w końcu jest tak smutno.

ZNÓW SUCHY CHLEB

Na Karmelickiej otwarto iluzjon, to były takie obrazy, fotografie ludzkie poruszające się.

Przedtem jeszcze poszły przez Leszno tramwaje bez koni, ogromne czerwone wozy, a oprócz tego automobile, także bez koni, które można było wynajmować jak dorożki. Kuzyn Olek po wypłacie postanowił spróbować takiej jazdy. To było w sobotę, a w niedzielę rano kuzyn Olek siedział w sieni na ziemi i wykrzykiwał:

– Otwórz budę! Zamknąć budę! Jazda!

Matka obudziła się pierwsza i z pomocą terminatorów wniosła kuzyna Olka do kuchni, aby ojciec nic nie wiedział. Niestety, Olek przejeździł wszystkie pieniądze i trzeba go było żywić aż do następnej wypłaty za darmo. A potem znów jeździł automobilem, aż podobno do Promenady, i znów wrócił bez pieniędzy. Gdy się to powtórzyło kilka razy, matka zmuszona była wymówić mu mieszkanie. Tak mu powiedziała:

– Niestety, Olku, jestem zmuszona wymówić ci mieszkanie, ja nie mam pieniędzy na życie.

– Nie będę z tego powodu płakać, ciociu – rzekł kuzyn Olek.

I rozwiódł się szeroko, że takie życie wśród ciągłego stękania i chleba ze smalcem już nie dla niego. Przy następnej wypłacie, zamiast zapłacić matce, wyprowadził się, bo musiał mieć pieniądze na nowe mieszkanie i przeprowadzkę. Ale matka nawet nie zwróciła na to uwagi, miała gorsze zmartwienie.

Ojciec pił.

Było coraz ciężiej, coraz gorzej, zdarzały się dnie, kiedy czeladnicy wcale nie przychodzili, a terminatorów matka uprzedziła, aby szukali sobie innego majstra. Pewnego dnia poszła na miasto z dziobatym Jankiem i wróciła

dorożką, ze stertą obrzydliwych, dziurawych krzesel i trzcina. Matka przyjęła krzesła do wyplatania. Siedziała teraz w warsztacie zgięta i wyplatała krzeselka. Dziobaty Janek coś tam jeszcze majstrował, on jeden nie chciał odejść do innego majstra. Szelak i klej brało się na borg. Drzewo też.

Mietek oderwał się od swej mandoliny, wszedł do warsztatu i zobaczył matkę wyplatającą krzesło. Tu siedzi jego matka, niestara, a taka już sterana, wzięła się do wyplatania krzesel, aby zarobić „na chleb”! Mietek załamał ręce, zaszlochał:

– Mamo, co mama zrobiła!

Matka nie odwróciła głowy. Mietek nie mógł wrócić na mieszkalną stronę, bo tam siedział Ignasz Piędzicki. Poszedł do kuchni, usiadł na łóżku matki, musiał się uspokoić, pomyśleć nad sobą.

Usiadł na łóżku matki. Matka spała tu w kuchni! Całe życie spędziła w kuchni, a oni śmieli się, gdy tak zabawnie narzekała: ciągle te gary i gary. Płomień bezustannie buchający z fajerek zapalił jej twarz czerwienią, stękała, gdy zestawiała z płyty kotły z gotującą się bielizną. Palce od obierania kartofli miała czarne, czarne, nie do wymycia. Jakże błogą miała minę, gdy mogła się przebrać w czystą odzież i siąść na ławce na placyku z koszem czystej bielizny do cerowania. To była jej zabawa. Zamiast się uspokoić, Mietek wpadł w rozpacz.

Tak go zastał Ignasz.

– Słuchaj, Ignasz, ja muszę coś zrobić, muszę!

Nie chciał udawać już przed przyjacielem.

– W domu coraz gorzej! Z Komisji Emerytalnej nie mam żadnej odpowiedzi! Chodzę i chodzę, pewno się już im naprzykrzyłem.

Ignasz oburzył się:

– Skąd wiesz? A czy powiedziałaś tam komukolwiek szczerze, w jakim jesteś położeniu?

Mietek przyznał, że wstydził się opowiadać obcym ludziom. Ignasz nagle zdecydował:

– No, to ja pójde i powiem. Mnie będzie łatwiej. Przecież do ludzi można jakoś trafić.

Pocieszył Mietka, że ma wielkie szanse z powodu swego kaligraficznego pisma.

– Pamiętasz, jak się wszyscy w progimnazjum łaszczyli na twoje piękne pismo? Ee, bracie, w biurze to rzecz decydująca, żeby im wykaligrafować. – Zaczęli się śmiać obaj.

Ignasz obrócił wszystko w żart, ale bynajmniej nie żartował. Poszedł na Rymarską.

Ubrał się w najlepsze cywilne ubranie i zamiast błękitnej czapki wzięła sztywny słomkowy kapeluszek z czarną wstążką. Łaskę, rękawiczki – wyglądał

jak goguś. Dzięki temu jednak mógł dotrzeć przez wszystkich woźnych i „mielkich czynów” do samego ołtarza. Naczelnik wydziału był na urlopie, ale za to jego zastępca nosił polskie nazwisko.

Ignas wyłożył mu swą prośbę, jasno, żarliwie, patrząc mu prosto w oczy.

– Chodzi o utrzymanie całej rodziny – mówił i wciąż powtarzał: matka, nieletnie siostry, dom. – A czy pan naczelnik widział jego pismo? – Tamten roześmiał się. – Ależ panie, sprawa pańskiego przyjaciela już jest zdecydowana dzięki listowi polecającemu, jaki tu przedłożył. Tylko jak to w biurze!...

Ignas wpadł na Nowolipki, przesadził podwórze, w sieni już krzycząc:

– Mietek, ubieraj się i pędź na Rymarską! Ja nic nie zrobiłem, jak Boga kocham, twoja sprawa była już zdecydowana! Ty fujaro, chodziłeś nie tam, gdzie trzeba!

Matka przybiegła z kuchni:

– Ja zawsze miałam przecucie, że ten Ignas to chodząca dobroć.

Mietkowi trzeba było sprawić granatowy garnitur. Otrzymał 25 rubli miesięcznie; w Komisji Emerytalnej pracowało dużo Polaków. Matka odetchnęła.

– Nie będę musiała zamykać przed wami chleba w kredensie tak jak pani Raczyńska.

Pani Raczyńska zamykała chleb i czerstwe bułki w kredensie. Lato jest najcięższe do przeżycia, dzieciaki używają tyle tego świeżego powietrza, że wprost nastarczyć nie można z kupowaniem jedzenia. Amelcia przestała chodzić na Sewerynow, więc przybyła jeszcze jedna osoba do przeżywania. Panie z Sewerynowa poprosiły panią Raczyńska, by przyszła, i powiedziały, że Amelcia nie nadaje się do merezek.

– Ach, ona tak pięknie to robi! ona tak lubi roboty ręczne!

Wtedy panie rzekły, że owszem, ale Amelcia wcale nie nadaje się na Sewerynow. Jeśli się poprawi, jeśli zrozumie, że błądzi, i pojmie ducha tu panującego, to może wrócić. Ale teraz!... Pani Raczyńska dostała wypieków na twarzy. Amelcia zakręca sobie włosy, rozpina bluzkę u szyi przy robocie, wrzusza ramionami, gdy kierowniczką szwalni pokazuje jej krój sukien. Amelcia to, Amelcia tamto... Aż się w głowie kręci od wyliczania win Amelci.

– Strasznie się zawiodłam na tobie, Amelciu – powiedziała matka po powrocie do domu. – Człowiek przecież musi się zastosować do otoczenia.

Ale Amelcia roześmiała się:

– Niech mi mama da spokój z tymi wariatkami, kto teraz nosi takie suknie i taką bieliznę? Na co mi się to przyda?

– Ale jeść będziesz chciała?

– Niech mamę głowa o to nie boli!

Nieopatrzna młodość, mówi bez zastanowienia, bo okazuje się, że nie tylko matkę głowa o to boli. Matka idzie do miasta, tym razem na Sewerynów, i wraca rozpromieniona. Lato, z brakiem chleba, jest ciężkie do przeżycia, ale za to piękna pora na uroczystości kościelne! Taki maj z nabożeństwami pod figurą na Nowym Świecie! Staruszki z Zakładu Opiekuńczego przyjęły ją kawą i nie chciały puścić od siebie. Te śpiewy, te światła, ołtarz ubrany bzem!

– Musicie iść kiedy ze mną, moje dzieci, choć to daleko.

A czerwiec z procesjami?! Dwie najmłodsze mają sypać kwiatki.

– Amelciu, słuchaj no, czy ty byś się nie zajęła jedną staruszką?

– Co znowu?! – krzyczy Amelcia. – Znow mama wymyśliła jakiś Sewerynów?

– Broń Panie i Boże! – odpowiada matka – to wcale nie jest staruszka z Zakładu, to bogata osoba, ustosunkowana, samotna, ma własne mieszkanie. Kto wie, co z tego może wynikać... – W myśli już widzi staruszkę – po najdłuższym, daj jej Boże, życiu – na łożu śmierci z testamentem w dłoni, na rzecz Amelci, za poczciwe serce i opiekę.

Amelcia mówi:

– Czy nie lepiej, mamó, żeby ja poszła na Długą do kapeluszy?

Matka wybuchła:

– Żeby to nieboszczyk słyszał, on, co taką przyszłość dla was marzył! Ty nie umiesz przeczuwać swego losu, Amelciu! Chodź ze mną i zobacz, i spróbuj. Przecież ciebie nie zmuszam...

Na pierwszy raz idą razem, staruszka mieszka na Kościelnej, w pięknym domu. Drzwi zamknięte i głuche, muszą długo i cierpliwie pukać. Matka szepce:

– Ona tak powoli chodzi, biedactwo, ledwie się rusza.

Słyszy człapiące kroki, stukot laski, ale nikt nie otwiera, nikt nie pyta. Raptem błysk światła zjawia się w pośrodku ciemnych drzwi; ktoś odsunął wewnątrz małą mosiężną kłapkę. Bogata staruszka poznała matkę. W milczeniu odsuwa zatrzask. To trwa długo, zgrzyta łańcuch, przekręcają się z piskiem klucze. Wreszcie skrzypią drzwi.

Ta staruszka jest naprawdę niezaradna i bogata. Jest taka ociężała, podpira się kijem. Z nosa jej bezustannie cieknie, z oczu też. Wesoła Amelcia odczuwa litość. Jak strasznie czuć w tym mieszkaniu! Pokoje są piękne, można posprzątać, pościerać kurze, zaflancować kwiaty z domu. W kuchni jest gaz.

– Tylko na godzinkę rano, moje dziecko – mówi bogata staruszka trzęsąc głową.

Matka ze śmiechem uspokajającym:

– Ona ma cały dzień wolny, może zostać u pani do późnego wieczora!

Ale niezaradna staruszka powtarza stanowczo:

– Tylko na godzinkę, rano.

Na godzinkę, rano – i odpowiednia do tej godzinki zapłata, nędzna. Matka certuje się, wcale jej nie chodzi o pieniądze, Amelcia i tak nie ma w domu co robić. Bogata staruszka trzęsie głową i mówi sucho:

– Jak pani to sobie wyobraża? Nie chcę darmo. Godzinka rano i zapłata.

Amelcia nie od razu zrozumiała, jaka będzie jej rola. Na drugi dzień zaraz wzięła się ostro do sprzątanía, ale pani burknęła:

– Nie, nie, zostaw to!

Posłano ją do miasta z karteczką. Rogaliki, śmietanka, masło, owoce.

– Tu masz napisać ceny, co ile kosztuje.

Gdy wróciła i przegotowywała mleko, staruszka siedziała w fotelu kuchennym, z zegarkiem w ręku.

– Pośpiesz się! – Chciała zostać sama. Nie pozwoliła ani sprzątać, ani nawet wchodzić do pokojów. Sprząta się raz na dwa tygodnie – rzekła.

Zanim przeszła z Nowolipek na Kościelną, po śniadaniowej wodziance domowej, Amelka odczuwała głód. Nigdy nie odważyła się uszczknąć coś z przyniesionych przez siebie prowiantów, oczy staruszki leżały ciężko na jej palcach. Nawet na ulicy nie można było uwolnić się od spojrzenia tych zaczerwienionych, upartych oczu, z których ciekło. Pod tym względem matka zawiodła się. Amelcia nie dostawała „życia” u staruszki. Wracała do domu głodna. Przy wczesnym obiedzie matka musiała upominać dwie małe i Cechnę:

– Dosyć, już dosyć, nie zapominajcie o Amelci. Zostawcie dla Amelci.

Kiedyś Amelcia została dopuszczona do pokojów. Gruba warstwa kurzu leżała na ciemnych meblach, łóżko cuchnęło, nie wiadomo, czym cuchnęło całe to mieszkanie. W pękatych kufrach leżały suknie, trzeba je było przewietrzyć. Amelka otworzyło jedno okno.

Wydobywała z wewnątrz kufrów te suknie i rozkładała je na fotelach. Były to suknie sprzed wieków, nie widziało się już takich sukien nawet u najstarszych pań na Sewerynowie.

Ciężkie, błyszczące od ozdób, popękane – zwiewne, pożółkłe, pełne wygniecionych kwiatów, haftów, koronek. Leżały bezwładnie na fotelach, Amelci kręciło się w głowie. To trupa tak czuć, tak czuć było trupy w pogrzebowej kaplicy kościelnej.

Zdarzało się rano, że musiała wyrzucać do kubła zepsute resztki jedzenia. Zjełczałe masło, zgniłe, zaślinione owoce, suche i twarde jak kamień bułki. Być może, że matka potrafiłaby to jakoś jeszcze zużyć. Przesmażyć, zaprawić cebulą, rozmiękczyć w wodzie. Przecież nieraz jedzenie w domu miało jakiś dziwny smak i zapach, a one ze śmiechem zapytywały:

– Mamo, co to jest, co my teraz jemy?

Amelka wstrząsnęła się nagle ze wstrętem, ślina obrzydliwości napłynęła do ust. Staruszka na fotelu dyszała ciężko. Jej oczy leżały na palcach Amelki.

Poczuła nienawiść, nic jej w tej chwili nie żałowała, nie litowała się wcale.

– Po co to żyje na świecie? – pomyślała nagle. – Tak cuchnie – pomyślała z nienawiścią. Wstrząsnęła się: – To grzech komuś życzyć śmierci, o czym ja myślę! Niech sobie żyje, co mi do tego.

Ale jednocześnie wezbrało w niej poczucie siły. Odwróciła się i spojrzała staruszcze prosto w twarz i wyczytała w niej lęk – strach, przerażenie. Ręce trzymające kij i zegarek trzęsły się. Gdybym ją tknęła teraz palcem. Boże drogi, o czym ja myślę!... Ach, dość byłoby krzyknąć tamtej nad uchem!

Staruszka wycharczała nagle:

– Idź już, idź! Już godzina!... – Amelka wyszła z opuszczonymi powiekami.

Wieczorem w łóżku modliła się gorąco: „i nie wódz nas na pokuszenie”. Ale ciągle widziała trzęsące się ręce, już spokojne i kamienne wejście skryte pod powiekami. Na wieki. Zdarła trzewiki chodząc z Nowolipek na Kościelną i nie było za co ich naprawić.

Powiedziała to matce, może to matkę ostudzi z tych głupich nadziei. Matka odpowiedziała:

– Nie bój się, już rozmawiałam z Fiszllem, w sobotę po szabasie naprawi ci trzewiki na kredyt.

A więc poszła. Mosiężna klapka w środku drzwi uchyliła się bezszelestnie, ujrzała w niej nieruchome oko. Klapka opadła. Nikt się nie poruszył, zatrask nie został odsunięty.

Zapukała. Słyszała ciężki oddech staruszki za drzwiami. Nie wpuszczono jej. Tamta przejrzała jej grzeszne myśli, Amelka uczuła ciemny rumieniec na twarzy. Prędko zeszyła ze schodów, zdawało jej się na ulicy, że wszyscy na nią patrzą. Zbrodniarka. Nie tknęła staruszki palcem i nie krzyknęła jej nad uchem, ale myślała o tym, życzyła jej śmierci.

KŁĘSKI W KSIĄŻKACH, KŁĘSKI FRANI

Pani z czytelnicy znikła nagle, ta, która przyszła na jej miejsce, nie zaniechała nigdy zapytać:

– Dla kogo bierzesz książkę?

Franka zmuszona była zrobić to samo, co ze spowiedzią: skłamać.

– Dla cioci – powiedziała.

Na karcie czytelniczej zapisana była ciotka, nie robiono już więcej trudności z wydaniem książki dla osoby dorosłej.

Więc pani z czytelni zniknęła, pani ze szkoły wyjechała na prowincję i stało się tak, jak powiedziała: ma nową klasę, inne dziewczynki, tamtym poprawia i czyta głośno ćwiczenia stylistyczne. Nietrwałość uczuć pamięci i przyjaźni, przemijanie gorąco kochanych twarzy odczuwało się tak jak chwianie ziemi pod stopami. To było też jedną z właściwości tamtego, wyższego świata: tak odejść, tak ominąć chwilę pożegnania, jakby się nic nie pozostawiało za sobą. Czy nie tak odszedł ukochany Marii, czy nie tak zniknęła pani z czytelni? Pani ze szkoły?

Gorycz. Tamto życie musiało być czymś wypełnione po wręby, pełne ludzi i pełne zdarzeń, ona, Franka, nic w nim nie znaczyła, zapomniano o niej. A ona zapomnieć nie mogła. Ciągłe jeszcze idąc ulicami szukała kapelusza pani z czytelni, ciągle jeszcze stała z bijącym sercem pod bramą. Śniła o niej, tak samo jak przedtem. Przecież może się zdarzyć, że spotka ją niespodziewanie, że tamta wyjdzie zza zakrętu ulicy, usiądzie za barierką w czytelni... Ale nic takiego nie stało się, wszystko przeminęło naprawdę. Franka po tysiącokroć oglądała kajet z wypracowaniem stylistycznym nr 1, z piątką nakreśloną czerwonym ołówkiem. Napisała jeszcze jedno, i jeszcze jedno, pod każdym widniała czerwona piątka.

Ale nie miała ochoty pisać więcej sama dla siebie.

Ludzie w książkach zaczęli przemawiać inaczej, w książkach też było teraz pełno klęsk i strat. Anielka Prusa już nie odnalazła swego ojca i bogactwa, tak jak Marjorie w „Gwieździe przewodniej”. Anielka umierała w chałupie chłopskiej. Trzeba było wraz z nią konać z tęsknoty i miłości, trzeba było bezustannie płakać nad jej losem. Kędy cierpienie stawało się niemożliwym do zniesienia. Franka odrzucała książkę z gniewem, ze strachem – po to, aby ją znów schwycić, znów czytać, wspiąwszy się pod samo okno sutereny.

Dziewczynki z kokardami w rozpuszczonych włosach mogą więc być też nieszczęśliwe, opuszczone!

Ostatnia karta w książce nie była już kartą pocieszenia, nic nie kończyło się dobrze.

Niepewność losu Wokulskiego zawisła jak zmora dręczącym pytaniem nad wieloma dniami i nocami. Co się stało z Wokulskim? Czy naprawdę zginął przy studni, rozszarpany dynamitem, czy wyjechał? Szukała miejsc, w których była o tym mowa, szukała śladów, nabierała pewności, że żył, i traciła tę pewność. Nagle, gdy całkowicie traciła nadzieję, wszyscy ci, w książce, w „Lalce”, stawali przed nią zupełnie żywi, za sprawą właśnie tej książki znikł rozdział między światem urojonym a istotnym. Wszyscy oni istnieli naprawdę.

Idąc do matki na obiad, zboczyła z drogi, aby przejść Krakowskim Przedmieściem. Zaglądała do wnętrza sklepów, ale żaden nie wydał jej się sklepem Wokulskiego. Dopiero na rogu Podwała serce jej zabiło. To musi być ten sklep, ten tutaj, sklep Minclów. Nawet pajac wisi w oknie. Zajrzała przez szyby, to sklep z zabawkami. Jeden z tych chłopców za kontuarem, to może pan Rzecki? Drzwi w głębi mogą otworzyć się lada chwila i wejdzie staruszczyzna z tacą i garnuszkami kawy... A ta piękna pani o błękitnych oczach, cudownie ubrana, w powozie, nie jest panną Izabelą Łęcką?

Poszła aż do kościoła Wizytek, lipy już zakwitły, pełno drobnych złocistozielonych kwiatuśków osypywało bruk uliczny. Stała przed samą kratą ogródka, tam, za tymi zakratowanymi oknami przebywała pewnie Madzia z „Emancypantek”. Czy nie na Tamce?

Nie, tu było piękniej, słyszała przytłumiony śpiew i zdawało się, że widzi białe komety zakonnicy i słodką twarz Madzi.

Wokulski nie mógł zginąć, na pewno był i jest – chodzi tymi ulicami, ukrył się w pięknych domach Krakowskiego Przedmieścia ze swoim smutkiem. Może go spotka kiedy... A może – i Franka drętwiała na samą myśl – może ten pan pod teatrem w Ogrodzie Saskim był także Wokulskim? Wokulski lubił uszczęśliwiać napotkanych ludzi – przecież tamten chciał jej dać bilet do teatru. Czemu się przestraszyła? Dotknął jej policzka dłonią – może chciał ją pogłaskać po twarzy? Nieznana pieśczoła w tym wspomnieniu przejęła ją dreszczem. Chciał ją pogłaskać po twarzy, chciał dać bilet do teatru... Nie, niepodobna, aby ludzie byli źli.

Ciągle ją nawiedzała myślenie, aby pójść tam raz jeszcze. W tajemnicy przed koleżankami, nic nie mówiąc nikomu. Wszyscy poodchodzili, nikt nie pamiętał o niej, pozostawał ten pan pod teatrem, który może też być i Wokulskim. Myślała o nim tak długo, tak uporczywie, aż w końcu stawał się zupełnie dobry, pełen wszelkich łask, biletów do teatru, pieśczołliwych dotknięć, pogłaskań po twarzy i dobrych słów. Wreszcie odpadły i bilety, pójście do teatru stało się niemożliwością – pozostał więc sam, człowiek z tamtego świata, Wokulski, on.

Pójdzie, aby go zobaczyć z daleka.

O zmierzchu było tu zupełnie inaczej niż rano. Rano było pusto, za ogrodzeniem z siatki siedziały panie w olbrzymich, czarnych kapeluszach. W głębi, w drewnianym budynku coś się działo, od czasu do czasu dobiegał ostry, długi sygnał dzwonka. Przeszedł strażak w złocistym hełmie. Jeszcze jest widno, a już zapalono lampy. Krzewy i drzewa stały przedtem w szarym świetle, teraz światło latarni wydobywało znów jakąś inną zieleń. Świat stawał się tajemniczy, piękny, kobiety w ogródku gawędziły łagodnymi głosami. Franka oczekiwała przy wąskim chodniczku.

Odczuwała jeszcze coś jakby lęk – strach – nadzieję. Ale im dłużej

czekała nadaremnie, tym bardziej pragnęła, aby nadszedł. Ogarnął ją smutek, przecież wszystko skończyło się klęską, ludzie, którzy powinni spotkać się ze sobą, zejść – przechodzili różnymi drogami.

Dlaczego Wokulski nie mógł zgodzić się z panią Wąsowską lub pokochać pani Stawskiej, dlaczego Madzia nie posłubiła Solskiego, tylko wstąpiła do klasztoru?

Ujrzała, poznała z daleka, szedł w stronę teatru, coś nucąc po cichutku, a laska jego balansowała rytmicznie w takt śpiewu. Biały kwiat jaśniał w klapie marynarki. Znów poczuła lęk i odsunęła się, jak tylko mogła najdalej, w głąb, pod krzewy rosnące za ścieżką. Ale nie było jeszcze zupełnie ciemno, dostrzegł ją i przystanął. Tak samo jak wtedy stanął przed nią, ogromny, pochylając się. Ujął w palce jej brodę i podniósł twarz do góry.

– Poznając cię – powiedział – tyś tu już raz była, prawda? – Roześmiał się i pytał dalej, prędko: – Masz ojca? Mamę? Ach, mieszkasz z ciotką? Gdzie? A mama? Służy? – kiwał za każdą odpowiedzią głową: – Tak, tak, tak. – Westchnął. – Niewesoło, co? Ale masz piękne, czarne oczy.

Ma piękne, czarne oczy, ma wzruszającą buzię, czy kto jej mówił o tym? Nie? Dlaczego tu powróciła? Nie wie? Czy lubi czytać książki? Taak, a więc tak! O, książki to dobra rzecz, w książkach jest mnóstwo zaciekawiających spraw.

– Założę się, że lubisz wiersze, co? Jeśli się lubi wiersze, przy takich tragicznych, czarnych oczach, to można zostać artystką. Powiedz mi, może dlatego wróciłaś, że marzysz o teatrze? Nieee?

Serce Franki zatętniło mocno. To był Wokulski.

– Teraz pójdziesz ze mną, prawda?

Szła za nim, aż do drzwi, przed którymi przestrzegala ją Kwiryna. Na drżących nogach, z zupełnie senną głową, z sercem przepelnionym słodyczą. To był tylko pusty przedsiomek, dokąd weszli, drzwi otworzyły się i zamknęły. Teraz stanęli przed sobą, on z palcem na ustach:

– Cicho! – rzekł.

Nagle schwycił ją za ramiona, przyparł do ściany, osunął ręce na bluzkę, tam gdzie piersi.

Osloniła się dłońmi w przeczuciu czegoś straszego. Nie wiadomo, skąd wzięły się takie błagalne słowa, błagała:

– Nie, nie, niech pan mnie puści.

Bełkotał:

– Cicho, no nic, no już nic, ja tylko tak, nie bój się.

To nie był Wokulski, to nie był On. Dyszący, ogromny mężczyzna przypierał ją do ściany, szarpał.

Łzy trysnęły z oczu, zapłakała z rozpacz, zaszlochała.

Puścił ją. Stał pod ścianą i dyszał. Wtedy strach pchnął ją do drzwi, na

ścieżkę, na ulicę.
Na Nowolipki.

Z CZERWONYMI PIECZĘCIAMI

Pani Raczyńska wychyliła się przez okno i ujrzała Amelcię gawędzącą pod bramą z jakimś chłopcem. Strasznie tego nie lubiła, nieraz z nieboszczykiem rozmawiali o tym, i jak tylko jakaś parka szeptała pod oknem, nieboszczyk otwierał okno i mówił grzecznie:

– Proszę tu nie stać pod cudzym oknem. – Nie omieszkał za każdym razem zwrócić się do żony. – Naciu, pamiętaj, jak nasze dziewczęta dorosną, nie pozwalaj im na takie rzeczy. – Biedaczysko, nigdy nie miał nadziei długo żyć, tak był słabowity.

Co chciał przez to powiedzieć, nie pozwalaj na „takie rzeczy”? Samo przez się nie było to nic złego. Stoją sobie i gawędzą, każdy chłopiec, który odprowadzał tu swoją pannę, musiał jeszcze trochę postać przed bramą, na pożegnanie.

Pani Raczyńska przypomniała sobie, że nieboszczyk dodawał:

– Zaraz cały dom ma wiedzieć.

Rzeczywiście, po co to? Po co mają dziewczynę obgadywać? Pani Raczyńska uchyliła lufcik i rzekła cicho:

– Amelciu! poproś pana do pokoju, jeśli chcesz porozmawiać!

Przecież miała ładny pokój z miękkimi meblami.

Amelcia uszom nie wierzyła, ale usłuchała natychmiast, a chłopiec też nie był od tego, aby nie skorzystać z zaprosin.

– Kto jest ten chłopiec? – zapytała matka w kuchni, a Amelcia odrzekła, że to brat jednej koleżanki z Sewerynowa. – Jeśli tak, to w porządku. – Pani Raczyńska przygotowała herbatę.

Zaniósła ją sama na tacy i przeprosiła, że do herbaty nic nie ma.

– Nic akurat w domu nie mam!

Chłopiec podziękował i znalazł się tak elegancko, że na drugi dzień przyniósł ze sobą ciastka. W kuchni ucieszono się ogromnie, wystarczyło nawet dla najmłodszych, najmłodsze dostały także po ciastku, a Cechna, taki łośuch, zjadła dwa. Ale po kilku dniach, gdy chłopiec znów przyszedł z ciastkami, pani Raczyńska zauważyła:

– Czy nie zemdlilo was od tych słodczy? Ciastka z kremem są takie słodkie!

Amelcia tylko spojrzała na matkę i musiała podziwiać, jaka ta mama

mądra. Bo na drugi dzień chłopiec przyniósł cały funt różności.

Od dawna nie było takiej uczyty w tym domu, pani Raczyńska porobiła kanapki, dużo kanapek. I znów Amelcia musiała podziwiać mądrość matki, bo na śniadanie, zamiast suchych bułek, były bułki z wędliną.

– O, wędlina! – krzyknęła Cechna, a Amelcia zapytała: – Czy mama nie podała wczoraj wszystkiego do stołu?

Matka rzekła z roztargnieniem:

– Co? Aha. Przecież było tak dużo.

Co do jednej rzeczy zgodziły się pani Raczyńska z Mossakowską, jeżeli już dziewczęta mają chłopców, to lepiej, żeby spotykali się i bawili w domu niż na ulicy. Zawsze to pod okiem matki – a i Cechna siadywała też w ładnym pokoju z lalką na kolanach i przysłuchiwała się rozmowie. Nie, nic tu nie dało się zarzucić, nawet przechodnie mogli wieczorem zajrzeć przez okno i zobaczyć towarzystwo zgromadzone w ładnym pokoju.

Nieraz nawet grano w loteryjkę, grosz stawka.

Pewnej niedzieli urządzono przyjęcie. Amelcia była tak ruchliwa, że nie mogła usiedzieć sama z tym chłopcem przy rozmowie. Zaproszono Mossakowskich, młodszych i starszych.

– Zresztą będzie tylko młodzież – rzekła pani Raczyńska.

Przyszedł Mietek z Ignasem Piędzickim, z mandoliną – Bronka i Janka. Maria odmówiła. Cechna zaprosiła Kwirynę i Franię. Kwiryna bawiła się świetnie, świetnie! – ponieważ mogła rządzić, nakrywać, usadzać i komenderować. Pomagała pani Raczyńskiej. Ale Frania siedziała cicho jak trusia i czuła się nieswojo. Zabawy wydały jej się strasznie głupie, to były naprawdę „zabawy”, coś udanego. – Frania wiedziała już, przeczuwała, że pod sprawami widzianymi, słowami, odruchami – kryje się coś innego. Nie dowierzała. Jednocześnie cierpiała, iż nie może się tak bawić, jak tamci, wybuchać śmiechem, kręcić się, paplać. Podczas zabawy w sekretarza napisała do Broni:

– Ja jakoś nie potrafię się bawić, a ty?

Bronia odpisała:

– Moja droga, tylko nie odchodź, przecież jesteśmy wszyscy swoi.

Nie podzielono się na starszych i młodszych, bawiono się razem. Tylko Janka ciągle miała coś do szeptania, a chłopiec Amelci pomagał Kwirynie.

Najpierw sekretarz, karteczki z wyznaniem sympatii i złośliwościami krążyły z rąk do rąk.

Potem cenzurowane. „Byłam na pewnym balu, powiedziano mi, że jest pani bałamutką!” – Jeśli Bronia była gościem, wtedy wieści przynoszone przez nią były wieściami dobrymi, opiniami pochlebnymi. Czasem ktoś protestował:

– Wcale nie tak było!

Wybuchano śmiechem: Wysypałeś się! Toś ty powiedział!

Zabawa w talara była zabawą niewinną, szukano talara, talar wędrował z rąk do rąk, ręce były w ciągłym ruchu, ciągle bratały się, muskały dotknięciami, ścisnęły. W pewnej chwili Kwiryna, która siedziała przy chłopcu Amelci, zawołała:

– Mietek, zamień się ze mną na miejsca! – Chłopiec Amelci zanadto dokazywał, Kwiryna nie mogła na to pozwolić.

Zabawa w budowanie mostu już była gorsza, pani Raczyńska zastanawiała się, czy to nie jest grzechem, że dziewczęta siadywały na kolanach chłopców.

– Buduję most – rzekł Mietek – potrzeba mi małej cegielki, a tą cegielką będzie Amelcia. – Mietek klęczał na środku pokoju na jednym kolanie. Amelcia ze śmiechem przysiadła na drugim. No, ale to był przecież Mietek Mossakowski, znali się z Amelcią od małości, jak brat i siostra. Siadano więc sobie na kolanach, obejmowano się, żeby most był mocniejszy, nim wreszcie runął i wszyscy znaleźli się na podłodze, wśród wrzasku przestraszonych najmłodszych.

Pocztyliona byłaby na pewno pani Raczyńska potępiła, ale w czasie tej zabawy robiła kanapki w kuchni. Pocztylion od razu zaczął się jakoś niezwykle. Za ładnym pokojem znajdowała się ciemna komórka, w której nieboszczyk przechowywał włosie i sprężyny.

Chłopiec Amelci pierwszy został pocztylionem. Bronia odbierała pocztę. Chłopiec poszedł do ciemnego pokoju i zapukał. Bronia zapytała:

- Kto tam?
- Pocztylion.
- Z czym?
- Z listem.
- Do kogo?

Wszyscy oczekiwali odpowiedzi z zaciekawieniem, choć spodziewali się od razu, że to będzie list do Amelci. Tymczasem z ciemnej komórki grubym głosem odpowiedziano:

- Do panny Kwiryny.
- Z jakimi pieczęciami?

Z bijącym sercem Bronia oczekiwała odpowiedzi. Pieczęcie na liście były czerwone. Ale ile?

– Tysiąc i sto! – krzyknął chłopiec. Wśród wybuchów śmiechów i oklasków Kwiryna musiała wyjść za drzwi do ciemnej komórki.

Pieczęcie czerwone oznaczały gorącą miłość lub całusy, Amelcia mogła się bardzo na swego chłopca obrazić, że z nią chodził, że do niej przyszedł na przyjęcie, a teraz skacze koło Kwiryny. Ale Amelcia ciągle szeptała z Janką i ciągle spoglądała na Ignasia Piędzickiego.

Ignas wyróżniał się nie tylko ubiorem, ale i wielką grzecznością. Żaden z

chłopców nie uważał, czy dziewczynki mają na czym sięś, a on zaraz podsuwał krzeselko. Pani Raczyńska powitała go z taką radością i tak częstowała, że to zwróciło uwagę Amelci na Ignasia.

Marzyła o tym, żeby to on ją wybrał, gdy będzie pocztynionem, żeby to od niego nadszedł list z czerwonymi pieczęciami. Tymczasem Ignas, widocznie przez zbliżenie do rodziny Mossakowskich, wybrał Bronię.

– Z jakimi pieczęciami? – zapytała zawstydzona Bronia.

A Ignas odpowiedział:

– Z różowymi, z nieskończoną ilością. – To była przyjaźń.

Bronia weszła do komórki, a Frania musiała ją zastąpić w przyjmowaniu listów. Teraz ona stała przed drzwiami i wpuszczała dziewczęta w ciemność drugiego pokoju.

Przychodziły listy z pieczęciami czerwonymi – miłością. Różowymi – przyjaźnią. Zielonymi – nadzieją. Żółtymi – zazdrością. Franka powtarzała wiernie słowa listonosza, z powagą otwierała drzwi. Myślała o innych drzwiach, w Ogrodzie Saskim, w budynku teatralnym. Już wiedziała, co można robić za zamkniętymi drzwiami, w ciemności.

Podejrzewała „różne rzeczy”, głos jej stał się ochryply, zniecierpliwiony, zły. A tamci, za drzwiami, w mroku, stali zakłopotani przy sobie. Było ciemno i duszno, ktoś udawał, że kogoś całuje... Zaśmiano się, potem zapadła cisza. Bronka zgubiła czerwoną kokardę z warkoczem, wstążkę świąteczną specjalnie do sukienki bordo. Ignas uspokoił ją, znalazł kokardę u jej stóp, w ciemności. Wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia Ignasia i po ramieniu trafiła do dłoni i kokardy. Ale nie mogła jej wydostać z zaciśniętych palców.

– Cóż ty, Ignas, nie chcesz mi oddać kokardy?

– Jak mnie ładnie poprosisz...

Takie tam przekomarzanie się!

Nagle rozległ się obrażony głos Kwiryny:

– No, no! bardzo proszę, niech pan sobie nie pozwala!

To znów coś zrobił chłopiec Amelci. Niezadowolony Mietek krzyknął:

– Dokąd będziemy się tu dusić? – Cechna, która weszła ostatnia, chciała wywołać Franię. Zapukała. Nikt nie odpowiedział. Frania, oczywiście, uciekła. Nie doczekała się listu z czerwonymi pieczęciami.

AMATORSKI ZESPÓŁ MIETKA

Matka trochę źle obliczała z tą pensją Mietka. Przede wszystkim trzeba mu było sprawić ubranie, granatowy garnitur, a potem Mietek też miał swoje

potrzeby. Oddał matce całą pensję, to prawda, ale raz po raz prosił:

– Mamo, trochę drobnych.

Kupował papier nutowy, stalówki, struny. Matka nie mogła mu nic zarzucić, starał się, jak mógł, wziął na przykład przepisywanie dodatkowe z biura do domu. Siedział pochylony nad stołem i pięknym pismem kaligrafował w odpowiednich rubrykach wykazu: imię, nazwisko, sumę. Czasem wstawał i chwycił mandolinę, tak mało miał teraz czasu na granie! Tego dnia, w którym zabrał do biura cały stos wykazów, wrócił z lampą.

Zbiegli się wszyscy na mieszkalną stronę, ojca znów nie było w tak uroczystej chwili w domu. Za to przyszedł dziobaty Janek z warsztatu i matka z kuchni. Lampa stała pośrodku stołu, postać kobieca na marmurowym cokole, klosz wyglądał jak kielich kwiatu. Gdy jednak przyszło do zdejmowania starej wiszącej lampy, wszyscy poczuli, że to nie jest znów takie konieczne. Nowa lampa miała być lampą świąteczną, ustawiono ją na słupku w kącie pokoju.

Mietek był trochę rozgoryczony.

– Żebym się nie wiem jak starał, to i tak w tym domu nic nie znaczy.

Ale Maria zwróciła uwagę, że ten kąt pokoju był pusty i lampa stanowi piękną dekorację. Matka rzekła:

– Ile też to taki smok musi nafty wypijać.

Mietek powziął pewien plan, tym bardziej że dodatkowego przepisywania już nie było i miał czas wolny.

– Muszę się zrujnować na ogłoszenie – rzekł – ale zobaczy mama, że coś z tego będzie.

Wieczorem kupił „Kurierka” i Janka przeczytała: „Do zespołu amatorskiego poszukuję mandolinisty, gitarzysty, flecisty, skrzypka”.

Zaraz na drugi dzień zaczęła się wędrówka ludzi do drewniaka. Mietek poprosił, aby się nikt w pokoju nie plątał, by mógł się spokojnie rozmówić z tymi gośćmi. Ale Bronka miała swój zaciszny kąt między szafą a łóżkiem, który nadawał się do rozmyślań. Można tam było siedzieć i urabiać sobie pojęcie o życiu, a obecni w pokoju wcale o tym nie wiedzieli.

Bronka została w tym kącie.

Obcy mężczyźni wchodzili, kłaniali się elegancko i mówili:

– Ja z ogłoszenia w „Kurierce”. – Mietek przedstawiał się pełnym nazwiskiem i imieniem i prosił siadać. Bronka dowiedziała się z tej rozmowy, że Mietek chce zebrać zespół do wspólnego doskonalenia się w muzyce i graniu.

– Pan tego nie traktuje zarobkowo? – pytał gość.

Mietek czerwienił się i odpowiadał:

– Nie.

Wtedy gość albo wychodził, bo szukał zarobku, albo właśnie zostawał, bo

chodziło mu o samą muzykę. Temu Mietek niespodziewanie oświadczał, że jednak na dalszym planie jest i zarobek. Bronka uważała, że to jest kręcenie.

– Jaki zarobek? – pyta gość ze zdziwieniem.

Mietek miał już w głowie ułożoną, całą rozmowę i wszystko szło gładko. Chodziło o to, że „Książd z Noskiem” miał już dość chóru kościelnego i gdyby się stworzył taki zespół śpiewaczy i muzyczny, to jest możliwość zarobku na uroczystych nabożeństwach, wielkich ślubach i pogrzebach.

– Weźmy takie *Ave Maria* – mówi Mietek – weźmy wiolonczelę i skrzypce, i dobre głosy.

Gość przytakiwał. Ale Mietek miał daleko szersze plany. A pieśni świeckie? Tu już była mowa o amatorskim charakterze zespołu, a plany tak się rozwijały, że doszło do koncertów.

Rozmowy trwały kilka dni, coraz to nowi ludzie przesuwali się przez mieszkanie. Maria z szyciem przeniosła się do pani Podgórskiej. Jednego wieczoru, zamiast mężczyzny-muzyka, zjawiała się kobieta. Mietek był bardzo zakłopotany.

– Zebrałem samych mężczyzn – rzekł.

– Phi! – a dlaczego? – zdziwiła się ta pani. Miała ze sobą skrzypce i oznajmiła, że od dawna szuka grona ludzi, którzy by interesowali się naprawdę muzyką.

Zagrała jakiś utwór, zagrała tak pięknie, głęboko i srebrzyście, iż Bronka zapłakała w swym kącie. Skruszony Mietek nie tylko że nie widział już nic szczególnego w przyjęciu do zespołu kobiety, ale uważał to za wielki zaszczyt. Mówił o zaszczycie.

Ci, którzy pozostali na dobre w zespole, zbierali się teraz trzy razy w tygodniu, wieczorami. Z początku przychodzili tak samo, jak po raz pierwszy, w świątecznych garniturach, przyczesani i wypucowani, ale potem pożałowali zachodu, orzekli, że – szkoda czasu – i przychodzili wprost ze swych warsztatów. Myli ręce pod zlewem w kuchni, witali się i przepaszali matkę za najście, i tłumaczyli się, że szkoda czasu na wstępowanie do domu.

Przychodził pan Karol, cyzelator w wielkiej fabryce. Grał na wiolonczeli. Wsuwał się cicho ze swymi skrzypcami, przytulonymi do piersi, pan Michał, mechanik. Wtaczał się okrągłutki i różowy pan Kocio, cukiernik, z pękatą mandoliną. Wkraczał szumnie i elegancko pan Artur, telegrafista, z gitarą. Za nim pan Wiktor, ślusarz, flecista. W końcu – kobiety zawsze się spóźniają – pani Eugenia, żona mistrza gastronomii, skrzypaczka. Przy tym wszyscy ci, prócz instrumentów, mieli: bas, sopran, alt, głosy drugie i trzecie.

Najpierw strojono instrumenty. Słyszać było brząkanie i krótki czysty głos kamertonu.

– Tara de bum – de bum – mówiła gitara.

Wiolonczela głębokim głosem, głosem ludzkim, zdawała się schodzić w

czeluście piekieł. Za to skrzypce zrywały się w górę. Raz tylko jeszcze, raz jeden, ostatni, słuchając pieśni, miała Bronka swoje „widzenie”. To było wtedy, gdy już nie sam Mietek, ale cały zespół zagrał *Chant des Anges*. Przepłynęły obłoki na błękitnym niebie, obłoki-ptaki, obłoki-fale, obłoki-westchnienia. Dusza naprawdę wstępowała po wznoszących się dźwiękach jak po szczeblach drabiny... Już zostały w dole domki Nowolipek i duże handlowe domy, i sklepiki getta; już dosięgło się puszystych czubów drzew i pierzastych obłoków... Archanioł po to stanął ongiś na szczycie, z błyszczącą trąbą, aby spotkać tych grajków. Niebo się rozewrze, a po wspinających się w górę dźwiękach bolesnych i słodkich wejdą do błogosławionego nieba wszyscy ci utrudzeni ludzie ze swymi instrumentami.

To było ostatnie widzenie pieśni. Bo już wzrok przyłgnał do ludzi, bo już widziała teraz: zgrubiałe, twarde i szorstkie ręce grajków, często brudne, ponieważ przychodzili wprost od pracy. Zniszczone ubrania, przepoczone koszule, zmęczone twarze. Lecz gdy dotykali instrumentów, ręce stawały się pieszczotliwe i ostrożne, a palce wydłużały się i subtelniały.

Dźwięk, który się rodził między palcami a struną, zdawał się dotykać i przeistaczać ich pochylone twarze. Czy to był dopiero prawdziwy ich wyraz?

Wiedziała, co to kosztuje, co to znaczy kupno papieru nutowego, strun, z tych zarobków z „urzędniczej” pensji Mietka. To było zawsze wyrzeczenie się czegoś. Czego wyrzekli się tamci, kupując swe instrumenty muzyczne?

Chudy pan Karol miał ręce zżarte od kwasów, kaszlał. Błady i cichutki pan Michał i pan Wiktor zgięte mieli plecy od stania przy śrubsztaku. Rumieńce pana Konstantego zapalone zostały przez ognie pieca piekarskiego. Pani Eugenia wydawałaby się zresztą całkiem zdrowa, gdyby nie lekka zadyszka, co jej spokojnie oddychać nie pozwalała.

Świat stał się głuchy, cichy. Ludzie poruszali się w tej ciszy jak ślepi i niemi, otwierali usta do śpiewów, gestykulowali, uśmiechali się. Chorzy, utrudzeni, udręczeni. Matka zamykała się w kuchni, bo ta muzyka nie dawała jej ukojenia. Po twarzy jej przelatywały chmury i łzy.

Ręce, tak łaskawe przedtem dla sprzętów, z trzaskiem rzucały garnkami po płycie kuchennej.

Mietek już wszedł w pierwszy okres swych planów. Bronka słyszała, jak śpiewają *Veni Creator*. Potem: – „Boże nasz, oto serc dwoje zdaje się na łaskę Twoją...” – Potem: – „W mogile ciemnej śpisz na wieki”. – Ale nie widziała już ani nowożeńców, ani tego, który był w mogile ciemnej. Z drżeniem oczekiwała, czy pan Karol nie zakaszle podczas śpiewu, czy pani Eugenia wytrzyma przez cały czas trwania pieśni bez głębokiego sapania?

Wzdychała z ulgą, gdy wszystko szło dobrze.

Skończyło się też z dziennikiem, z zapisywaniem zdarzeń w zeszytach w kratkę.

Przeczytała to zdanie, które zachwyciło ją ongiś: „Maria umiera z miłości” – i wzruszyła ramionami. Już nie zadawała sobie pytań: co to jest miłość? Nie myślała o miłości jak o płomieniu. Miłość to był płacz matki, dziwne jakieś jej skomlenie i skuczenie, gdy ojciec wychodził i nie wracał na noc. Miłość – to był opustoszały warsztat, ruina domu. Ojciec też umiera może z miłości, ale to nie było tak jak u Marii, więdnieniem kwiatu mirtowego. To było wódką, która zapalała gardło, to było bezustannym ćmieniem papierosów. Czymś groźnym, co powala człowieka, co odejmuje mu mowę.

Ojciec zaniemówił.

Za ciemnym skrzydłem łóżka, jeśli trochę wyciągnąć szyję, widać leżącego ojca. Nigdzie już teraz nie pójdzie i nie zostawi ich na „pastwę losu”. Nigdzie nie pójdzie i nie będzie mówił zadziwiających rzeczy swoim gwałtownym i prędkim głosem. Jest tak chory, że nie może mówić. Matka parzy ślaz, rumianek, robi okłady. Ale ojciec nie odzyskuje głosu. Mimo to słyszy się od strony łóżka, jakby bezgłośnie wołanie. Ojciec leży z pociemniałymi źrenicami. Dłonie i palce spotęgowały swą wymowę – ojciec wypowiada się gestem, spojrzeniem, uśmiechem i skrzywieniem ust. Maria rozumiała wszystko.

Ach, zrozumiała wiele rzeczy, gdy tak siedziała teraz nad ojcem. Ona najwięcej może cierpiała nad tym odejściem od domu, jej najwięcej odebrała kuzynka Helena swym straszliwym romansem. Ale teraz zdawało jej się, że poza żądaniem herbaty czy poprawieniem poduszki ojciec chce od niej czegoś jeszcze. Niezrozumiała prośba leżała w źrenicach zwróconych na Marię, nieraz martwiała od tego spojrzenia. Gdy byli sami, kładła głowę koło jego głowy na poduszce. Czynił ruch przeczenia, odsuwał się, obawiał się, że choroba jest zaraźliwa. Zażądał gestem ołówka. Maria dała mu ołówek Mietka, ale z uśmiechem potrząsnął głową. Nie mógł posługiwać się takim cienkim patyczkiem. Wskazał na warsztat. Maria przyniosła duży stolarski ołówek Fabera. Wtedy napisał:

– Bądź ostrożna.

Maria wzruszyła ramionami. Chciała mu okazać, jak bardzo go kocha. Objęła go za szyję.

Już się nie gniewał. Oparli się czołami i patrzyli sobie, nie wiadomo czemu, w samą głąb oczu. W tej głębi znów wyczytała Maria prośbę niewypowiedzianą, żalowaną. Zaszepiała:

– Ojczel! Czego chcesz? Powiedz, ja wszystko zrobię. – Ale oczy ojca uciekły szybko pod powieki. Wtedy Maria zsunęła się myślami w bolesną i rozkoszną krainę swych wspomnień.

Czegóż by ona, sama, najbardziej pragnęła? Zobaczyć go, zobaczyć człowieka, który nielicznymi słowami, kilkoma spacerami związał ją,

zaciemnił jej życie tak, że pokochanie kogokolwiek stało się niemożliwe. O nim myślała ciągle, o nim myślała szyjąc, w furkocie maszyny, w gwarze dnia, w głuchej ciszy nocy. Z nim wiodła nieskończone rozmowy. Jeśli ojciec, jeśli kuzynka Helena... Odpędzała od siebie tę myśl, ten niejasny zamiar, ale ogarniała ją taka litość nad ojcem... Cóż on miał w życiu, mój Boże, prócz bezustannej pracy, ciągłych poszukiwań – prócz krótkotrwałego szaleństwa ostatnich miesięcy?

Nagle, dopiero teraz zrozumiała okrutną tęsknotę ciała do ciała, to właśnie leżało w głębi pociemniałych źrenic ojca. Zdecydowała się. Cóż powie matka? Czy kuzynka Helena będzie miała czas? Szpiegowała chytrze każdy krok matki, nagabywała ją o zamiary. Wreszcie zdarzyła się chwila, gdy matka zaczęła zbierać się do kościoła.

Wtedy: kapelusze, paltocik – drobne na tramwaj. Byleby dopaść tramwaju, to już nie potrwa długo. Zdyszana wpadła na schody pensjonatu, zadzwoniła. I cofnęła się jak od uderzenia pięścią między oczy.

Właścicielka pensjonatu, rozmamlana i wściekła, przechyliła się przez poręcz schodów, wrzeszczała za nią jeszcze i jeszcze:

– Ta małpa wyjechała, wyjechała, uciekła z sędzią spod piątego!

„MODES” AMELCI I TAJNE KOMPLETY CECHNY

Chłopiec Amelci zaprosił ją do iluzjonu, grano „Księżnę Tarakanową”. To było straszne.

Księżnę zjadły szczury w więzieniu. O bytności w iluzjonie nie można było nawet powiedzieć matce, bo matka zaraz pożałowałaby pieniędzy wydanych na bilety, choć to były pieniądze chłopca.

– Nie mogliście siedzieć w domu i porozmawiać?

Ciągle siedzieć w domu i rozmawiać, to nie uśmiechało się Amelci. Postanowiła pójść jeszcze raz. Ale chłopiec nie wrócił. Po prostu zginął, przestał przychodzić. Wtedy matka zaczęła znów szukać bogatej pani dla Amelci i raz po raz wędrowała na Sewerynow.

Prawda, że najmłodsze kaprysiły bardzo i płakały, tak przywykły już do ciastek i wędliny.

Cechna po prostu wyłudzała coś od Bronki i Frani, choćby kawałek chleba. Ale najmłodsze były biedne, Amelcia żałowała teraz, że chodziła do iluzjonu: nie umiała chłopca zatrzymać przy sobie. Przecież musi być na to jakiś sposób. Chociaż coraz częściej słyszało się, że ktoś chodził za panienką

tyle miesięcy, a potem przestawał.

Wrócić na Sewerynów? Amelcia wstrząsnęła się. Tam trzeba siedzieć cicho, z opuszczonymi oczami, podczas roboty nie wolno rozmawiać, o śmiechu nie ma co marzyć!

Ze strachu przed Sewerynowem Amelcia poszła na Długą i chodziła od sklepu do sklepu.

Nie mogła powiedzieć, że jest podręczną lub panną do kapeluszy, pytała więc:

- Czy nie potrzeba uczennicy?
- Uczennicy? A czy może zapłacić coś za naukę?
- Niech przyjdzie z matką – odpowiadano.

Jednakże tu i ówdzie potrzebowano dziewczynki na posyłki.

Amelcia natrafiła na taki sklep, gdzie pani była osobą sympatyczną, inteligentną i umiała pogodzić jedno z drugim. Pensji żadnej nie płacono, ale w zamian za usługę mogła się uczyć modniarstwa.

– Będiesz miała swoje dochody – rzekła pani. – Gdy odniesiesz kapelusz, dostaniesz na piwo, a właściwie na cukierki.

Ale matka! Matka zaczęła rozpaczać. Tam, na Długiej, nie było ani jednej, jak Bóg przykazał, mężatki.

– Czy twoja pani ma męża?

– Tego nie wiem, ale mama sama widzi, że wszystkie mamine plany i projekty są do niczego. Ja muszę mieć fach w rękę.

Pani Raczyńska jęknęła:

– Co za fach! Nie o takiej przyszłości nieboszczyk dla swego dziecka marzył!

Kto wie, czy matka nie postawiłaby na swoim, gdyby nie list, który nadszedł do Broni Mossakowskiej. List od dawnej nauczycielki ze szkoły.

Bronka wpadła z tak wielkim uszczęśliwieniem do mieszkania Raczyńskich.

– Proszę pani, czy Cechna będzie się jeszcze uczyć? Czy będzie mogła chodzić na lekcje? Czy pani pozwoli? Bo to wieczorem?

Sporo czasu upłynęło, nim się uspokoiła i mogła opowiedzieć wszystko. Pani ze szkoły napisała list, w tym liście była druga koperta do pani mecenasowej, aż na Wilczą. Bronia miała tam iść sama i rozmówić się nie tylko co do swojej nauki, ale powiedzieć i o Frani, o Cechnie, Jance i Kwirynie.

– Pani pisze, że będziemy się mogły uczyć języków, buchalterii, a nawet, jeśli zechcemy, muzyki.

Bronka dygotała z przejęcia. Języki! Gdyby znała niemiecki, kto wie, czy ojciec ostatecznie nie postarałby się o gimnazjum dla niej. Ach, jakże będzie się uczyć, teraz, po tylu miesiącach próżniactwa. Pani Raczyńska osłupiała po

prostu, nie omieszkała się jednak przeżegnać i podziękować Bogu za ten znak łaski. Przerzuciła całą swą nadzieję z Amelci na Cechnę. Tak. Cechna jest młodsza, uczy się dobrze, a przy tym taka przypochlebna!

Niemożliwe, aby taka mecenasowa nie polubiła jej z całego serca, Cechna tak się do wszystkich przygarnia!

– Nie wiesz, Broniu, czy ta pani ma dzieci?

Nie, tego Bronia nie wiedziała. Teraz śpieszyła się ogromnie, musi się ubrać i iść dziś jeszcze na Wilczą. Pani Raczyńska upominała ją:

– Pamiętaj, Broniu, pocałuj tę panią w rękę i uważaj na wyrażenia, żebyś wszystkiego nie popsowała!

Matka tak samo była przejęta tą historią, jak i pani Raczyńska.

– Niech ci Bóg Najwyższy dopomoże! – rzekła i kazała wyjąć z szafy świąteczną sukienkę bordo. Pani Raczyńska nie chciała przecież pozbyć się Cechny, matce też przez myśl to nie przeszło. Ale w takim ciężkim życiu matki pragnęły czegoś innego dla swoich dzieci. Lżejszego, lepszego.

Frania odprowadziła Bronię, знаła przecież drogę do śródmieścia i żeby Broni było różnie. Przeszły przez Ogród Saski. Ogród Saski był progiem. Progiem do innego świata.

Zaraz potem zaczyna się słoneczna, szeroka ulica Marszałkowska. Ludzie tu byli spokojni, rozmawiali półgłosem i lepiej byli ubrani – a dzieci, bawiących się na ulicy, tak jak to było w ich stronach – nie widziało się wcale.

Szły tą Marszałkowską zdawało się bez końca. Stały przed bramą.

– Którędy pójdziesz, frontem czy kuchnią?

Bronka nie umiała odpowiedzieć. Franka po namyśle rozstrzygnęła.

– Idź kuchnią! Ja zaczekam w bramie.

Bronka poszła czystymi, kuchennymi schodami. To było na pierwszym piętrze. Kucharka odebrała list i dała jej krzeselko, do siedzenia.

– Niech panienka odpocznie, zaraz powiem pani.

W głębi mieszkania stuknęły drzwi, jakiś głos krzyknął:

– Gdzież ta dziewczynka? – W otwartych drzwiach stanęła pani i zawołała: – Jak się masz, moje dziecko! Przychodź zawsze frontem!

Nie dała się pocałować w rękę. Cmoknęła Bronię w głowę.

Egzamin odbył się w pokoju jadalnym, pani siedziała na kanapie, Bronia tuż przy niej.

Porywczym ruchem ręki pani odsunęła serwetę z brzegu stołu i podyktowała parę zadań.

– Doskonale! Nie robisz wcale błędów.

Zadała kilka pytań z arytmetyki, geografii, historii. Twarz jej rozjaśniła się.

– Zdolne z ciebie dziecko!

Bronia wyrzekła z trudem:

– Frania jeszcze lepiej się uczy.

Pani odpowiedziała, że wie o tym z listu pani.

– Wszystkie dziewczynki z waszej klasy, które będą się chciały nauczyć czegoś więcej niż w szkole, mogą przyjść do mnie. Tylko pamiętaj, musicie zachować tajemnicę, nikomu nie wolno o tym mówić. Kajety noście pod paltami, a wchodźcie w Wilczą nie wszystkie razem, a po dwie. Przyjdźcie pojutrze o szóstej.

Zapytała:

– Jak daleko te Nowolipki?

Przestraszyła się, że tak daleko. Bronka zapewniała gorąco, że to nic nie znaczy.

– Tak bardzo chcesz się uczyć?

– Tak, bardzo, bardzo.

Pani chrząknęła:

– Dam ci na tramwaj, pewnie nie wzięłaś na tramwaj!

Bronka dygnęła, podziękowała. Nie lubiła jeździć tramwajem, kręciło jej się w głowie.

– Ach, zobaczysz, przyzwyczaisz się – rzekła pani – pojedziemy kiedyś razem!

Pani sama, własnoręcznie otworzyła drzwi i wypuściła ją frontem.

– Do czwartku, o szóstej!

Bronia nie wiedziała zupełnie, jak był urządzony pokój, w którym siedziała, ani jak wyglądała ta pani. Pozostało jej wspomnienie czegoś zupełnie nadzwyczajnego. Dopiero na schodkach ochłonęła, poczuła pod grubą powierzchnią trzewika miękkość nieznaną. Schody były marmurowe, jak cokół pod świąteczną lampą kupioną przez Mietka. Na tym marmurze leżał dywan, czerwona ścieżka biegła przez schody podtrzymywana lśniącymi prętami.

Piękna, ogromna lampa o niezliczonych kielichach stroiła ścianę pierwszego piętra. Bronka zbiegła prędko, otworzyła frontowe drzwi i skinęła na Franię.

– Czy widziałas kiedy takie schody?

Nie, takich schodów Frania nie widziała. Zapytała z podziwem:

– Wypuszczono cię frontem? – Bronka krzyknęła prawie ze łzami: – Ach, ta pani jest dobra jak anioł, zobaczysz! Mamy przyjść pojutrze o szóstej.

Amelcia mogła teraz spokojnie chodzić na Długą do sklepu z czarnym szyldem i złożonym napisem: *Modes Marie*. Pani Raczyńska składała wizyty starszkom na Nowym Mieście i Sewerynowie, aby opowiedzieć, że Cechna ucześnie na „tajne komplety” na „wyższą naukę”.

BRATERSTWO ŚWIATA

– No, no – czego to jej się zachciewa, moi państwo! – mruknęła matka.

Kwiryna cierpliwie czekała na odpowiedź, lecz nic więcej nie zostało powiedziane.

– Mam iść do obcych? – zapytała Kwiryna. – Przecież ja chcę już zarabiać.

Matka spojrzała na nią spode łba.

– Jeść dostaniesz? Odzienie masz?

Matka nie chciała siedzieć w kuchni i pitrasić. Gdy wspomniano o odpoczynku, mówiła, że odpocznie w grobie. Ojciec stał przy półce, wsparty grzbietem o blaszanki z landrynkami i mrucał niby żartobliwie.

– Patrzaj, matka, jak to jej pilno dorwać się do kasy!

Wobec tego też Kwiryna nie chciała kisnąć cały dzień w ciupecie za sklepem i zgłosiła się na komplety.

Umówiły się spotykać na rogu Karmelickiej i Nowolipia przy kiosku, gdzie Kwiryna kupowała „Barbarę Ubryk”. Kwiryna przychodziła pierwsza, oczekiwała. Wędrowały na Wilczą, kajety i książki niosły pod fartuszkami, ręce stałe miały skrzyżowane na piersi, aby podtrzymać zakazany bagaż. Wieczory były piękne, wonne, w Ogrodzie Saskim zakwitały coraz to inne kwiaty.

Po kilku lekcjach rozłączono je jednak. Pani mecenasowa nie mogła wszystkiego wyklądać. Chodziło tylko o przeegzaminowanie dziewcząt. Kwiryna poszła z listem na Marszałkowską, Cechna z Janką na Hożą, Bronka na Nowowiejską, a Frania została u mecenasowej.

Znów umawiały się, aby wracać razem, dzieliły się nowinami. Kwiryna piała z zachwytu, nigdy nie przypuszczała, że można się w ten sposób uczyć! Buchalteria, nauka o handlu.

Zysk, strata, towaroznawstwo, dwie godziny lekcji upłynęły zawsze jak jedna chwila. Cechna i Janka uczyły się wszystkiego po trochu u doktorowej na Hożej, dostały zeszyty już używane, po pewnym uczniu, który tu przedtem przychodził na lekcje.

Co się z nim stało? Czy umarł, czy nauczył się tak dużo, że już nie potrzebował tu przychodzić? Może uczęszczał aż na uniwersytet? Janka nie mogła wytrzymać i ośmieliła się zapytać:

– A co się stało, proszę pani, z tym chłopcem?

Pani doktorowa zmarszczyła brwi i rzekła sucho:

– Kradł i musieliśmy się rozstać.

Cechna i Janka wytrzeszczały oczy.

– Kradł?

– Wybierał mi drobne z portmonetki.

Doktorowa westchnęła i powiedziała z wielkim smutkiem:

– Wszyscy moi wychowañcy kradną.

Cechna zerwała się z krzesła i pocałowała ją na pociechę w rękę. Ale Janka, zawstydzona, siedziała nieruchomo. Pani doktorowa lubiła bardzo Cechnę, ale Janka pociągała ją i zaciekawiała. Nigdy nie pochylała się do jej rąk, nie chciała przyjmować drobnych na tramwaj.

W drodze powrotnej każda wychwalała swoją panią – już chyba lepszej na świecie nie było! Franka zaczęła się uczyć literatury polskiej, francuskiego, pani obiecała jej wyjednać bezpłatne miejsce na pensji, zupełnie i całkowicie polskiej. Bronia była ze swoją panią po lekcji we Frascati, w pięknym ogrodzie, gdzie wpuszczają tylko za biletami wstępu. Była także na Królewskiej i oglądała cudowne widoki w latarni czarnoksięskiej. Gdy znalazły się w swych stronach z tęsknotą patrzyły na tramwaj nr 8, który biegł tam, na Marszałkowską.

Nie mogły doczekać się dnia następnego, godziny lekcji. Domy stawały się ponure, pełne udręczeń. Tu leżał ojciec, chory, tam, u Franki, ciotka znów piła i wybierała się do Łodzi.

Tułuby stały się zupełnie niezrozumiałe nawet dla rodzonej córki, Kwiryny. Cechnę poczęstowano czekoladą na podwieczorek i grymasiła na wodziankę domową. Janka z lubością dotykała aksamitnych mebli w salonie doktorowej, z uwagą badała jej suknie. Cisza w tych pokojach, chłód rozkoszny w upalne dni lata i ciepło w zadeszczone wieczory jesieni!

U okien tkwiły termometry.

Wymyśliły sobie tę śmieszłą zabawę, oglądanie pańskich schodów, schodów frontowych.

Były schody z kanapkami na półpiętrze, z figurami, z kwiatami na parapetach okien.

Wchodziły i zasiadały na kanapkach, rozwijając pośpiesznie paczuski z chlebem podwieczorkowym. Raptem gdzieś na górze szcęknęły cicho drzwi, dziewczęta zrywały się w popłochu i zbiegały na dół. Serca ich waliły mocno, tyle miały najprzeróżniejszych przeżyć z powodu tych wypraw na schody. Wynałazy wreszcie schody tak ciche, iż zdawało się, że nikt nie przebywa za lakierowanymi drzwiami mieszkań. Lecz te schody, choć urządzone tak pięknie i tak w swym spokoju bezpieczne, znudziły im się. Zwiedzały inne. Niekiedy stróż zaczął je w bramie pytaniem:

– Do kogo?

Gdy się to stało po raz pierwszy Kwiryna nie straciła przytomności i wymieniła swe własne nazwisko, nazwisko rodziców.

Stróż odpowiedział:

– Tu nie mieszka.

Pierzchnęły. Na ulicy Kwiryna śmiała się jak szalona.

– Wiem, że tu nie mieszka, bo mieszka na Mylnej.

Potem starały się przeczytać jakieś nazwisko na szyldziku przed bramą, na liście lokatorów. Pewnego razu, zapytane, wymieniły śmiało jakieś nazwisko, przed chwilą przeczytane na białej tabliczce. Stróż rozgniewał się.

– Patrzajcie! takie młode i już do akuszerki! Ją wam tu dam!

Uciekły, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Wchodziły już w życie, a nie wiedziały nic o tej, która asystuje przy narodzinach tego życia.

Linia została przerwana, chodziły już do bogatych domów, rozmawiały z pięknymi, wykształconymi paniami, nie czuły swej niższości, nie zwracały uwagi na swe niezgrabne suknie, ponieważ niejednokrotnie udało im się zadziwić nauczycielki trafnymi, niezwykłymi odpowiedziami i postęпами w nauce. Spostrzegły, iż to było ocenione, iż to było coś warte, warte tak dużo, że nieomal zapominało się o różnicy między Nowolipkami a Marszałkowską.

W dniu, w którym po raz pierwszy Frania błysnęła wypracowaniem stylistycznym na lekcji u pani mecenasowej, została objęta, ucałowana i zaproszona na późny obiad do stołu. Służąca w białym fartuszk przystawiła trzecie krzesło i ułożyła przed nim na stole trzecie nakrycie, takie samo jak dla państwa. Frania umyła sobie ręce w łazience. Gdy stała, zmieszana i niepewna, w kącie jadalnego pokoju, weszła pani z panem mecenasem.

– Oto moja pupilka – rzekła pani.

Pan wyciągnął rękę, Frania dygnęła.

– No – podajże mi swoją łapinę – rzekł pan.

Zwrócił się do żony:

– Zdaje się, że tym razem wybrałaś dobrze.

Usadzono Franię przy stole. Gdy otrzymała talerz zupy z rąk pani, załśniły jej przed oczyma ręce pani z czytelnicy, podające jej książkę, spracowane ręce matki, przez wpółodemknięte drzwi wysuwające jadło – białe ręce pani ze szkoły, wyciągnięte ku niej z zeszytem, z wypracowaniem stylistycznym nr 1.

Ogarnęło ją ogromne wzruszenie.

Czuły już to teraz wszystkie, myślały: Więc istnieje jakieś braterstwo ludzkie, więc można iść między ludzi, nieznanymi ulicami – i doznać tylko dobrego?

W Komisji Emerytalnej, w biurze, gdzie pracował Mietek Mossakowski, odbyły się uroczyste imieniny naczelnika wydziału. Z tej racji sfotografowano się, wszyscy urzędnicy, Polacy i Rosjanie. I otóż wokół tej fotografii w ozdobnych figlasach biegł napis: „Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie”.

„Dobrzy są ludzie!” Kiedy znudziło im się wyszukiwanie pięknych

schodów, zaczęły zaglądać do okien mieszkań. Wszędzie byli ludzie mili o uśmiechniętych twarzach, pracowali lub bawili się.

Pewnego wieczoru ujrzały jasno oświetlone okno sutereny w jakiejś bocznej uliczce,

Kwiryna rzekła:

– Patrz, Frania, co to za piękne mieszkanie! Przykucnęły nad oknem, ujrzały duży pokój, w kąciку płonął ogień na kuchni. Wszystko tu było jasne, białe, oślepiało wprost białością. Młoda kobieta w białej, wyciętej sukni wstawała właśnie od maszyny do szycia, umieszczonej tuż pod oknem. Cóż to była za maszyna, nigdy nie widziały takiej maszyny!

Kobieta przycisnęła ręką sprężynę i maszyna zsunęła się w dół – teraz widziały tylko gładki, politurowany stolik, z rozłożonymi skrzydłami blatu. W kołysce spało rumiane, malutkie dziecko. Łóżko nakryte białą kapą, stół nakryty białą serwetą, w głębi biały parawan zasłaniał kąt pokoju.

Pierwsza Frania wyciągnęła rękę i zapukała lekko w szybę. Kobieta drgnęła i podniosła głowę. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła tyle dziewczęcych twarzy pochylonych nad oknem.

Weszła na stolik i otworzyła lufcik.

– Czy panienki czegoś szukają?

– Nie – odpowiedziała Kwiryna – my tylko tak sobie...

– Tak u pani pięknie – wytłumaczyła Cechna – tak czysto...

– Cóż to za maszyna? – spytała Janka.

Kobieta uśmiechała się ciągle.

– Może przyjdziecie do mnie? Jestem sama, mąż nieprędko wróci z pracy. Pokażę wam! – Zapraszała tak gorąco, że aż się zdziwiły.

– Którędy się do pani idzie?

– Koło tego muru, przy końcu będzie furka. Chodźcie, chodźcie, wyjdę naprzeciwko was!

Pobiegly pędem, ucieszone. Nawet Kwiryna nie miała żadnych wątpliwości. Pchnęła furkę i znalazły się na małym, wybrukowanym dziedzińcu. Cisza i ciemność. Bały się poruszyć, oczekiwały. Nagle usłyszały stłumione głosy w głębi podwórza, w ciemnej masie budynku otworzyły się drzwi, zabłysło światło. Widać było schody, ludzie, dwaj mężczyźni schodzili ostrożnie z ciężarem. Trzeci niósł chybotliwą latarkę. Wstrzymały oddech, przyłgnęły do samego muru. Człowiek z latarką szedł pierwszy, światło ślizgało się, bujało, pełzło pod ich stopami. Dwaj mężczyźni dźwigali nosze, przykryte białym prześcieradłem. Znów otworzyły się drugie drzwi, w bocznym skrzydle – to musiało być właśnie wejście do korytarza prowadzącego do białego pokoju. Ukazała się kobieta w białej, wyciętej sukni, usunęła się szybko i ze strachem, gdy ujrzała nosze. Tamci przeszli, szli korytarzem, a ona wstąpiła na schody i patrzyła w ciemność.

Wypatrywała. Ale dziewczęta nie poruszyły się, ani drgnęły, błagały w głębi duszy Boga, aby kobieta odeszła i zamknęła drzwi do korytarza, w którym widać jeszcze było żalobny kondukt. Gdy się to stało, wymknęły się za furtkę.

– Ona się bała siedzieć sama – rzekła Kwiryna – dlatego nas zapraszała...

– To jest tył jakiejś lecznicy czy szpitala – jęknęła Janka.

Bronka pożałowała kobiety, dlaczego właśnie nie miały tam iść i posiedzieć, żeby jej było przyjemniej? Ale koleżanki zakrzyczały ją, lęk przed trupami i śmiercią był większy niż współczucie.

– Ona ma dziecko! – pisała z rozpaczą Cechna.

Zmartały od myśli, że rumiane niemowlę wychowuje się obok śmierci. Ale nie mogły już zawrócić, choć widziały ciągle miłą, uśmiechniętą życzliwie twarz kobiety, błagalnie zwróconą do góry, gdy przycupnęły przy oknie suterenu. Strach przed śmiercią był większy.

Tu kończyło się wszelkie braterstwo między ludźmi.

POKUSY

Jak to się stało? Pierwsza zaczęła doktorowa, przy rachunkach z kucharką.

– Ależ dzisiaj wydałaś dużo! – zdziwiła się.

Kucharka wzruszyła ramionami, doktorowa westchnęła i zapytała Jankę:

– Ile twoja mama wydaje dziennie? Ile osób w domu? – Zdziwiła się, że mama wydaje tak mało, a osób jest tak dużo. Po czym nastąpiły pytania: – Co w takim razie jedzą? Czym się żywią? Jaki obiad, kolacja, śniadanie?

– Ależ twoja mama cuda czyni! – wykrzyknęła doktorowa.

A Cechna pomyślała, że jej matka jeszcze większe czyni cuda, bo żyją, nie wiadomo z czego.

Tak się zaczęło niewinnie, ale od tej pory jakiś szal ciekawości napadł doktorową.

Wypytywała się o ojca, o matkę, radziła, kierowała losem Marii i interesowała się muzyką Mietka. Janka była z początku wzruszona. Ale tego dnia nie było prawie lekcji, bo zaraz potem przyszli goście. W drodze powrotnej, gdy wracały do domu, Janka westchnęła:

– Dziś prawie wcale nie uczyliśmy się.

Na to Bronia:

– Taak? I ja także nie miałam lekcji.

Popołudnie jesienne było tak ciepłe, że pani pożałowała ostatnich ładnych dni i zabrała ją do Frascati. Bronka szła obok pani z koszykiem na owoce.

Pani kupowała owoce tylko we Frascati. Kwiryra mruknęła:

– „U nas” też byli goście, lekcja trwała dwadzieścia minut.

Ponieważ Kwiryra nie darmo uczyła się o zysku i stracie, przeto zauważyła: – Nie wiem, czy to opłaci się gnać z Mylnej na Marszałkowską po to, aby się dowiedzieć, że są goście.

Ale Janka, w poczuciu sprawiedliwości, zaprotestowała:

– Czy dużo płacisz za te lekcje?

Zawstydziły się wszystkie, tym bardziej że Frania miała jednak zdawać we wrześniu na pensję. Być może, że inne panie pójdą za przykładem mecenasowej i poumieszczają swoje uczennice w szkołach.

Kucharka doktorowej posłała Cechnę po masło.

– Niech panienka skoczy, moja złociutka, bo ja jestem nieubrana!

Cechna skoczyła po masło i kucharka w dowód wdzięczności poczęstowała ją dopiero co wyjętym z pieca plackiem ze śliwkami. Był to tylko brzeżek, bo kucharka nie mogła kroić placka przed podaniem go na stół. Ale i ten brzeżek był tak smaczny, że nic podobnego w życiu Cechna nie jadła. To było lepsze niż ciastka w cukierni, rozplęwało się po prostu w ustach. Dziewczynki przychodziły teraz na lekcje w rozmaitych porach dnia i jeśli przyszły przed obiadem, czekały w kuchni, siedząc na wysokim kufrze kucharki.

Cóż to za potrawy były na obiad! Jakieś mózdzki zapiekane w muszelkach, jakieś zupy zakrapiane bulionem, parmezanem, jakieś ryby z rodzynkami, z sosem takim i owakim.

Cechna opowiadała zawsze matce w domu, co było na obiad, a matka wzdychała:

– Jak to, nie pamiętasz, Cechna, jak nieboszczyk żył, zrobiłam raz na obiad kotleciki z mózdzkiem – wprawdzie nie na muszelkach, ale zawsze był to mózdzek, nic innego.

Ale ani Cechna, ani Amelcia nie pamiętały już kotlecików z mózdzku. Były ciągle głodne.

Pewnego razu, gdy kucharka sprzątała ze stołu dania mięsne i poszła do jadalni z deserem, Cechna podskoczyła do kredensu, gdzie stały talerze, i palcem zebrała sos, i oblizała palec.

Janka, siedząc na kufrze, wzdrygnęła się.

– Co ty robisz, Cechna! Pfuj, wylizywać cudze talerze!

– Dobrze ci mówić, ale ja jestem taka głodna.

To był wstęp, teraz Cechna wypatrywała sposobnej chwili, kiedy państwo przechodzili do gabinetu, a lepsze potrawy odstawiała pani na kredens pokojowy. Cechna, nie wołana, wchodziła do pokoju, dopadała kredensu i ściągała – tak, ściągała, kradła smaczne kąski. Nim rozległ się dzwonek z gabinetu i pani wydała rozkaz kucharce, aby dziewczynki przeszły do

stołowego na lekcje, Cechna zdążyła już coś zjeść. Tylko za pierwszym i drugim razem doznała uczucia wstydu, z udręczeniem spoglądała na panią, którą tak oszukiwała. Potem śmiała się z tych wyrzutów sumienia. Wszystkie jej myśli były zaprzątnięte tym, aby jak najwięcej pochwyć z odstawionych półmisków. Nikt nic nie widział, chociaż matka powtarzała co dzień, iż wszędzie patrzy na ludzi oko Boga. Czasem Cechna doświadczała uczucia, iż leży na niej nieruchome, niewidzialne spojrzenie. Wzdrygała się. Krople sosu padały na błyszczącą powierzchnię kredensu. Wycierała je pośpiesznie ręką. Nikt nic nie widział! Ale pewnego dnia ujrzała panią pochyloną nad kredensem i bacznie przyglądającą się potrawom. Zmartwiła. Czekala ją kara, o jakiej nie pomyślała: pani po lekcji kazała kucharce podać dziewczynkom herbatę i kromkę chleba z masłem. Cechna poczuła wtedy taki wstyd i takie uczucie wdzięczności dla pani!

Dopuszczono je do dalszych pokojów, pani była zdania, że miast siedzieć na kufrze w kuchni, mogą coś robić. Nie chciała, aby weszły w konfidencję z kucharką. Ale to już się stało, bez wiedzy pani. Kucharka otwierała drzwi do pokoju i wołała szeptem:

– Panienko, panienko! Na chwileczkę! Niech panienka skoczy po sól, moja droga!

Cechna „skakała” po sól, po ocet, po pieprz, po wiele zapomnianych rzeczy. Janka tymczasem porządkowała szafę.

Znajdowały w sypialni, w różnych miejscach, drobne kwoty, srebrne dziesięciokopiejkówki, dwadzieścia kopiejek – to były duże sumy, Janka uważała to za wielki dowód zaufania ze strony pani, że pozostawia tak pieniądze i szuflady otwarte. Jedna szafa była już uporządkowana, druga za to, napakowana po wręby, kryła w swym wnętrzu zadziwiające rzeczy. Pudła z rękawiczkami, stosy pończoch, sztuczne kwiaty, koronki, poźółkle, jedwabne wstęgi. W jakimś pudle Janka znalazła kołnierz, miała słabość do kołnierzyków, ponieważ to był strój najłatwiejszy do zdobycia, do wykombinowania samej sobie bez większych wydatków. Kołnierzyki Janki kosztowały grosze, ale ten kołnierz był na pewno drogi, takiego kołnierza pragnęła i niejednokrotnie dopominała się u pani Podgórskiej, u Marii, aby przyzdobiły w ten sposób świąteczną sukienkę. Kołnierz marynarski, z grubego, mięsistego jedwabnego płótna, koloru granat, obsyty lśniącem sutaszem białym, pięciokrotnie, z krawatką. Na co pani taki kołnierz, przecież pani nie jest już młodą dziewczyną! Prawie nie myśląc o tym, co robi, Janka schowała kołnierz pod fartuszek.

– Skąd masz ten kołnierz? – pyta matka w domu.

Janka odpowiada śmiało:

– Podarowała mi pani, jej już nie jest potrzebny.

Kołnierz wzbudza sensację, pani Podgórska przykrawa według niego

papierową formę, tak dobrze jest skrojony.

Pani Raczyńska pyta Cechny:

– Czy pani nic ci nie podarowała?

– Nie.

– A dlaczego podarowała kołnierz Jance? Pewnie sobie nie zasłużyła! – mówi matka z wyrzutem.

A Cechna broni się:

– Mama wie, jak ta Janka przepada za kołnierzami!

Na drugi dzień Cechna przynosi parę pończoch: pani podarowała jej pończochy. Niebawale, długie, jedwabne! Na Cechnę są za duże. Pończochy te są w sam raz na nogi Amelci.

Mieć taki kołnierz i nie nosić go? Janka przypięła kołnierz do bluzki i tak poszła na lekcje.

Pani słupieje na widok kołnierza, milczy długo, po czym nakazuje otworzyć kajety do dyktanda. Rumieniec występuje na jej twarzy, przypatruje się kołnierzowi, nie może oderwać oczu od kołnierza. Nagle wstaje.

– Poczekajcie chwileczkę – mówi. Gdy wraca, ręce jej się trzęsą. Przy końcu lekcji pyta: – Czy Cechna może wrócić sama? Bo chcę pogadać z Janką.

Głucha cisza ogarnia Jankę, spodziewa się Bóg wie czego, najokropniejszej kary. Myśli o matce. Co będzie, jeśli pani powie matce? Przypomina sobie, jak jeszcze niedawno nie chciały jeść landrynek Kwiryny, ponieważ myślały, że Kwiryna ściąga je po kryjomu przed rodzicami. A teraz, ona, ona sama ściągnęła kołnierz! Matka chyba umrze ze wstydu. A Mietek, a Maria, a Bronka!...

– Chyba nie wróci wcale do domu – myśli ponuro.

Sięga ręką do szyi, chcąc odpiąć kołnierz. Ale pani powstrzymuje jej rękę, nagle obejmuje ją i mówi:

– Nigdy tego nie rób! nigdy! Powiedz mi, a ja ci dam! Poproś, a ja ci podaruję!

Okropny płacz wydziera się nagle z piersi Janki. Nic nie mówi, nie przeprasza ani przyrzeka poprawę, płacze tylko. To ulga. A pani mówi, cichym, czułym i smutnym głosem:

– Wszyscy moi wychowańcy kradną.

Pani nie ma swoich dzieci. Od dawna przychodzą tu biedne dzieci na naukę, wybiera sobie zawsze jedno, przywiązuje się. Myśli nawet, żeby wziąć na stałe, do siebie, uczyć i wychowywać na porządnego człowieka. Ale żadne dziecko nie wytrzymuje próby, wszystkie zaczynają kraść.

Dlaczego, dlaczego?

Jankę ogarnia taki żal na niesprawiedliwość losu, iż rozszołchana, wzruszona pada na kolana przed panią. Pani przygarnia ją, przytula.

– No, no, uspokój się, moje drogie dziecko! Zapomnijmy o tym! Nie zrobisz już nigdy tego, prawda! Ja nikomu nie powiem!

Im dłużej pani mówi, im więcej okazuje swej dobroci, tym rozpaczliwiej lka Janka. Nie myśli już o kołnierzu, myśli o tamtych dniach, kiedy nie potrzebowała truchleć ze strachu i płakać ze wstydu. Uspokaja się wreszcie. Gdy opuszcza dom pani, jest prawie chora, wszystko boli, jakby ją ktoś porządnie zbił. Wraca sama, Cechna nie czeka na nią. Idzie gwarną ulicą, pozapalano już światła, ludzie gdzieś pędzą, biegną, lecą. – Nikt chyba nic nie ma na sumieniu! – Ogarnia ją nagle nienawiść do siebie, do pani doktorowej, złość do całego świata. Zatrzymuje się u wejścia do Saskiego Ogrodu, odpina kołnierz i zwiija go w mały kłębek. W ciemnej alejce, gdzie ongiś siedziała z koleżankami, pochyla się nad żelazną płytą z otworami. Wsuwa kołnierzyk w otwór, w głąb.

Nazajutrz Cechna sama idzie na lekcje. Janka ma już dość „wyższych nauk”.

BEZ MIEJSCA

Jeśli mężczyzna strzela do kobiety, w biały dzień, do kobiety jadącej dorożką przez ulicę Karmelicką, to może to być tylko znów historia miłosna, nic innego. Bronka, która wówczas stoi przy kiosku z „Sherlockiem Holmesem” i „Barbarą Ubryk”, w oczekiwaniu na Kwirynę, w jednej chwili budzi się z długotrwałej głuszy i ciemności świata. Znów „widzi”!

Oczywiście, że zbiegło się tyle ludzi, iż nic nie można zobaczyć, ale ona nie potrzebuje patrzeć, aby widzieć. Więc widzi młodą, piękną kobietę w dorożce, w białej sukni i kapeluszu panama z białym woalem. Woal płynie za dorożką jak białe skrzydła ptaka. Mężczyzna stał tam długo, pod cukiernią Kaca, stał i oczekiwał, i cierpiał. Kiedy ujrzał ją, nadjeżdżającą, promienną i wesołą, podbiegł i strzelił. Ponieważ nie chciała go już więcej kochać, tak jak kuzynka Helena ojca. Schwyтали go, na widok trupa załamała ręce i krzyknął:

– Cóżem ja zrobił, nieszczęsny!

Niewykluczone, że to było w pewnej książce i powiedziała jej o tym Frania.

Zjawił się stójkowy, rewirowy, zabrzmiała trąbka karetki pogotowia. Kwiryna nie nadchodziła. Pewnie znów dziś nie pójdzie na lekcje. Bronka powędrowała sama.

Ten, który strzelał, ten, który pozostał, jest stokroć nieszczęśliwszy niż piękny trup w dorożce. Zamkną go w więzieniu, za oknami osłoniętymi

kapturami z blachy, do końca życia będzie milczał i nic więcej nie będzie widział tylko trupa zwisłego z dorożki. Nic więcej nie będzie widział!

– Ach, nie strzelaj! – rzekł jakiś głos patetycznie w głąb niej, wewnątrz.

Nagle obudziły się w niej zupełnie obce głosy, głos mordercy i zamordowanej, i nawet jej własny, ale obcy głos – i zaczęły wieść rozmowę. Rozjątrząca rany rozmowa, do której ona od czasu do czasu wtrąca łagodzące słowa, ostrzeżenia, błagalne perswazje. To było tak pochłaniające, że gdy stanęła przed drzwiami na Nowowiejskiej, głosy jeszcze nie skończyły kłótni, a ona właśnie miała też coś powiedzieć.

Otworzyła jej drzwi sama pani inżynierowa.

– Cóż ty masz dzisiaj taki szczególny wyraz twarzy? – Bronka nie mogła zapanować nad głosami wnętrza i opowiedziała wszystko.

Tak jak „widziała”. Pani dotknęła dłonią jej szyi i czoła, przestraszyła się.

– Jakaś ty rozpalona! Biedne dziecko! To widok nie dla ciebie!

Musiała wypić jakieś lekarstwo, kropelki, została usadowiona na kanapie. Teraz było tak dobrze! Przytulnie, ciepło. Naturalnie, że o lekcji nie było mowy. Pani powiedziała do pana:

– Jakie to dziecko wrażliwe.

Ale na drugi dzień pani otworzyła jej drzwi z gazetą w ręku. Popatrzyła na nią ze zgryzotą w oczach.

– Co ci właściwie przyszło z tych kłamstw?

Zabita była kobietą starą, a mordercę łączyły z nią interesy pieniężne. Wracali od rejenta, razem. Tak było, tak opisano w gazecie.

Bronka zawstydziła się okropnie. Nie przyszło jej na myśl, że to z powodu pieniędzy! Nic już nie wiedziała. Jakże to wytłumaczy pani? Milczała.

Przyjazne uczucia związane z domem na Nowowiejskiej pierzchnęły. Pani patrzyła na nią nieufnie. Nawet pan nie potrafił dociec, dlaczego właściwie to dziecko kłamało. Złe instynkty.

Przychodziła dalej. Trochę lekcji, głośnie czytanie gazety, dla wprawy, i ponieważ czytała tak melodyjnie i wyraziście. Z gazet przeszła na książki. Chodziła z panią do Frascati, na spacer. Chwilami przytomniała i widziała w ogromnej, niedoścignionej dali gmach gimnazjum na Kapucyńskiej. Ale Frania już zdała na pensję, a ona ciągle jeszcze „przygotowywała się”.

Domy przestały już być domami, stały się miejscem odpoczynku i skąpego jedzenia.

Franka nigdy nie miała domu, teraz poczuły to wszystkie: domy już nie były domami.

Uczuwały pustkę. Ponad wszystko: chłód i pragnienie, wybijała się teraz ta pustka. Uczuwały pretensję, gdy odrywano je od lekcji do małych posług, gdy panie z ciekawością rozpytywały o tryb życia na Nowolipkach, gdy się

dziwiły, udzielały rad, gorszyły czy współczuły.

Świat zaczął się chwiać pod stopami. Najgorsze było to, że nie widziały nigdzie pewnego miejsca, niewzruszonego, na którym można by stanąć. W domu nie zajmowano się już nimi, ponieważ tam na Marszałkowskiej panie coś obmyślają, jakoś pokierują. Ale to przejście ze świata do świata, z Nowolipek na Marszałkowską, z jednego życia do całkiem innego, nie mogło się obyć bez wstrząsów, bez pewnego wykołejenia. Zaczęły pożądać. Poczwały zawiść.

Zapraagnęły.

Nie porzucano jednak lekcji.

JEDWABNE POŃCZOCHY

Amelcia przywdziała jedwabne pończochy przyniesione przez Cechnę. Miała je włożyć dopiero w niedzielę, ale wyższa konieczność zmusiła ją do zaniechania takiej oszczędności.

Kiedy powiedziała o tej wyższej konieczności, wszyscy w domu, nawet małe, zaśmieli się.

– Ach, jak ta Amelcia umie ładnie wypowiedzieć się, zupełnie jak nieboszczyk! – rzecze matka.

– Może mnie mama w tej chwili przyrównać do wszystkiego, tylko nie do nieboszczyka! – odpowiada Amelcia. Ładny nieboszczyk, w jedwabnych pończochach i z kruczającym brzuchem.

– Mamo, czy mama słyszy? Zupełna orkiestra!

Ciągle zawody i zawody! W firmie *Modes Marie* także nie było rajy, nie było klientek, które by pozwoliły sobie odesłać kapelusz do domu. To było bujanie gości, marzenie ściętej głowy. Klientki targowały się o każdą kopiejkę, kładły nowy kapelusz na głowę, stary do torby i skończona parada. Z najwyższym trudem i z różnymi wybiegami podpatrywała Amelka sekrety sporządzania przez podręczne „modeli”. Ją także posyłano. Po serdelki, po piwo, po pestki, po dodatki do kapeluszy. Sprzątała sklep. Gotowała na maszynce, za przepierzeniem, w pracowni – herbatę.

Na Freta sklepowa u rzeźnika kładła jej zawsze do papieru jeden serdelek więcej.

– Proszę o sześć serdelków! – Dano jej siedem. Z początku myślała, że to omyłka, i powiedziała uczciwie: – Pani mi dała za dużo.

Bo po co taka sklepowa ma być stratna? Ale sklepowa mrugnęła powieką, a potem zawołała ostro i wyniośle:

– Ja się nigdy nie mylę! Za długo siedzę w handlu, abym się mogła mylić.
– Wtedy Amelka rozumiała, że tamta lituje się nad nią, że to dla niej ten dodatkowy serdelek. Było jej wstyd, że ma taką minę zgłodniałą. Ale było jej też jakoś lżej, raźniej, choć tylko raz zjadła sama serdelek. Drugim razem przyniosła serdelek do domu, przekroiła na dwie połowy i dała małym.

Opowiedziała tę historię matce.

– Nigdy nie zwracaj uwagi, jeśli w sklepie, dadzą ci czegoś za dużo – pouczyła matka. – Nawet jak ci za dużo wydadzą reszty. Bo w sklepie może być właściciel lub ktoś mu powtórzy i taka panna straci przez ciebie miejsce. Trudno, omyliła się, to jej rzecz, nie twoja...

Nie można było przywiązywać większej wagi do jedwabnych pończoch, bo pantofle były tak wykrzywione, zdarte i dziurawe, że cały szyk na nic. Ale na ulicy okazało się, że przeciwnie, wszyscy widzieli jedwabne pończochy.

– Śmiech pomyśleć – przecież nogi mam te same! – pomyślała Amelka. Ale przedtem przechodziła ulicami niezauważona, choć miała te same nogi, te same błękitne oczy, jasne loki koło mizernej twarzy.

Jakiś facet szedł za nią aż na Żabią. Odnosiła kapelusze do drugiej modystki, pożyczony na model. Nawet nie mogła przyjrzeć się temu facetowi, bo po raz pierwszy szedł ktoś za nią ulicą, więc była spłoszona. Szedł i kołował, mijał ją i zawracał, patrząc uporczywie w oczy.

Inni też. Zaczynali od nóg i kończyli na oczach. Uczuła odrobinę wzgardy, patrzcie, jak to lecą za jedwabnymi pończochami! Z prawdziwą ulgą dopadła do sklepu.

Wychodzi: facet stoi przy wystawie, niby ogląda damskie kapelusze, a w rzeczywistości nie spuszcza oczu z drzwi.

Znów się wlecze, z tyłu. A ona, sama o tym nie wiedząc jeszcze, pod tym spojrzeniem męskim stąpa jakoś inaczej, zgrabniej, pewniej. Oczy jej błyszczą, uśmiecha się. „Kości kupuję, gałgany!” – to tak się zaczyna. A co potem?

Ogarnia ją wielka ciekawość, jak to wszystko się dzieje? Jakimi słowami zaczepia się dziewczynę? Nie ma już nic przeciwko temu, aby tamten podszedł i zaczął ją. Pewnie powie:

– Czy pani pozwoli towarzyszyć sobie?

Na rogu Żabiej tamten mija ją, zawraca i ociera się mocno o jej ramię. Trąca ją. O mało się nie przewróciła.

– Czego się pan czepiał! Idiota!

Wcale nie przypuszczała, że tak się uniesie, rozgniewa, że taki straszny wstyd ją ogarnie. Nikt jej nigdy nie potrącił w ten sposób, matka w domu ręki nigdy na nią nie podniosła. Czowała się poniżona, na ulicy, na oczach ludzkich. Omal nie zapłakała.

– Dobrze mi tak! Dobrze!

Wolałaby w tej chwili zapaść się pod ziemię niż spotkać Mietka. Ale Mietek właśnie szedł z biura, z kolegą.

– Co ci się stało, Amelciu?

– To ten łobuz...

Łobuz ulotnił się...

– Jak się ma takie oczy – mówi kolega Mietka – i takie nóżki, to nic dziwnego.

Mietek, zawsze na miejscu, przedstawia:

– Kolega Michałowski.

Amelka też wyciąga rękę:

– Raczyńska.

Ten Michałowski to już nie jest „chłopcem”. To mężczyzna, pracuje w biurze. Porządnie ubrany i taki jakiś pewny siebie, wesoły.

– Dokąd pani zdąży?

– Na Długą.

– No, to idziemy w jedną stronę. Serwus, Mietek!

Teraz już nie pogardza Amelka jedwabnymi pończochami. W dniu, w którym je włożyła, ktoś na nią czeka pod sklepem, na Długiej. Panny wychodzą jedna za drugą, podręczne, starsza panna – i spotykają się ze swoimi kawalerami. Stoją jeszcze chwilę przed bramą, naradzają się. Dokąd iść? W Aleje? Do iluzjonu? Do domu? Amelka wychodzi ostatnia, zamyka drzwi i oddaje klucz starszej panie. A tu:

– Dobry wieczór, czekam na panią!

To pan Michałowski.

Pannom oczy o mało na wierzch nie powyłażą. Patrzajcie, ta Amelka, smarkula! Ale pan Michałowski ujmuje ją mocno za łokieć, panny go tyle obchodzą co zeszłoroczny śnieg.

– Odprowadzę panią do domu – mówi – żeby już nikt nie zaczepiał.

A na Nowolipkach, pod bramą, już nie trzeba Amelci pouczać i przypominać.

– Może pan wstąpi do nas?

– Z miłą chęcią.

Matka, naturalnie, przynosi herbatę do ładnego pokoju.

– Przepraszam bardzo – ale nic w domu do herbaty nie mam akurat.

– Nic nie szkodzi, dziękuję! – odpowiada pan Michałowski.

Nawet matka ocenia zaraz, że to nie jest „chłopiec”. Zatrzymuje małe w sypialni, a Cechna jest na swych tajnych kompletach.

– Czy słodką pan pije herbatę? Ile łyżek? – pyta Amelka.

– Dwie.

Pan Michałowski zatrzymuje jej rękę, gdy na dokładkę jeszcze sypie do szklanki ćwierć łyżeczki cukru.

– To już będzie za słodko! – mówi. Teraz trzyma jej rękę w swojej ręce, trzyma tak długo. Nagle pociąga ją ku sobie, oboje chwieją się...

Na zielonej, pluszowej kanapie, roboty nieboszczyka, Amelka poznaje smak pocałunków.

Pozwala się całować, długo, długo, aż do utraty tchu. Pan Michałowski odrywa usta od jej ust.

Wtedy ona sama, sama zarzuca mu rękę na szyję i drżąc szuka znów tego smaku, który ją nasycy więcej, pełniej niż najlepsze jedzenie.

W TYM DOMU WYTRZYMAĆ NIE MOŻNA

– Dlaczego wasza mama tak się nad wami trzęsie? – zapytała Cechna Sabiny.

Cechna przebywa teraz często u państwa Rubinrot, przychodził pan Michałowski i matka wyprawiała ją z domu.

– Nie wiesz? – skrzywiła się Sabina. – Ona jest jak ta wariatka.

Regina poważnie zwróciła jej uwagę, że tak się nie mówi o rodzonej matce.

– Mamunia miała ciężkie przejścia i od tego czasu wszystkiego się boi.

– Co to były za przejścia? – Regina odłożyła książkę, którą właśnie czytała, i opowiedziała, jak to był pogrom w Kijowie i czarna sotnia wpadła do mieszkania, siostrę pani Rubinrot wpakowali do szafy, zamknęli na klucz i z trzeciego piętra z balkonu rzucili na ulicę. Regina, w brązowej sukience zapiętej pod samą szyję i z włosami zaplecionymi w baranki na uszach, wyglądała tragicznie opowiadając to. Cechna uznała, że z takiego przejścia można było zwariować.

– Tak – westchnęła Regina – ale to nam życie popsuło, mamunia wszystkiego się boi. Ja lubię czytać, ale jeszcze więcej lubię rozmawiać z ludźmi.

Regina poszła do ojca, do fabryki kapeluszy, było południe, robotnicy jedli obiad z garnuszków. Usiadła razem z nimi i rozmawiała, dali jej spróbować zupy i nie dbała wcale o trefne. Rozmawiali – o czym, jak nie o kapeluszach jej taty? Robili tutaj tylko kapelusze, meloniki, Regina zapytała, czy innych kapeluszy nie mogą robić?

– Możemy, dlaczego nie – rzekł jeden stary robotnik i zaczął wyliczać, jakie już w swoim życiu kapelusze robił.

Z tej okazji Regina zauważyła głośno, że czasem kapelusz to nie kapelusz i nie tylko nakrycie głowy. Ale robotnik nie zrozumiał, o co jej chodzi,

widocznie nie umiała jasno wyrazić swej myśli, przypomniała sobie jeden wiersz i oddała głos Rostandowi. Z początku cytowała tylko wiersz, ale potem uniosła się i mówiła pełnym głosem. Robotnicy otoczyli ją kołem i słuchali zaciekawieni, jakoś im się podobało to:

Wiem, że zduszą mnie wasze uściski padalce;
Nic nie szkodzi, ja walczę! ja walczę! ja walczę!
Wydzierajcie mi wszystko, róże, laury wieszczę!
Wydzierajcie! Wbrew waszej woli jest coś jeszcze,
Co unoszę, czym teraz, gdy wejdę do Boga,
Zmiotę proch w mym poklonie z gwiazdzistego proga,
Jest coś, co bez zagięcia, bez plamy, z dni chwały
Unoszę...

Pióropusz mój biały.

Gdy skończyła, klaskali w ręce, a jakiś młody robotnik krzyknął:

– Brawo, towarzyszek!

Ojciec wyszedł z kantoru i wszystko widział i słyszał, jak ją nazywano towarzyszką. Przy obiedzie opowiedział to zdarzenie pani Rubinrot, a ona jęczała z przestrochu, a jednak widać było, iż jest zadowolona, że Regina taką ma łatwość w obcowaniu z ludźmi.

– Ty jesteś dobre dziecko, Regina.

I Regina otrzymała jeszcze raz i jeszcze raz pozwolenie pójścia do fabryki, zamiast na spacer. Ale po kilku dniach młody robotnik zaczął ją na dziedzińcu fabrycznym i powiedział:

– Nasz stary (to o tatku) zmienia wyrób kapeluszy na wyrób czapek wojskowych. Czy czapka rosyjskiego żołnierza jest czapką, nakryciem głowy, czy także co innego znaczy, jak ty myślisz, Regina, co? – Regina pobladła, i z tą bladeścią i łzami wróciła do domu. Tego dnia pani Rubinrot tak krzyczała na męża, iż w całej kamienicy słyszano jej piskliwy głos:

– Co to jest? Co to jest?! Dlaczego ty zadajesz się z takimi chuliganami, czy tobie życie niemiłe?

Krzyczała i groziła w języku niemieckim i żydowskim, to znów po polsku, ale pan Rubinrot był nieublagany. Otrzymał wielkie zamówienie wojskowe, pieniądze jak złoto, czy widział kto taką wariatkę? Kłócili się do wieczora. Regina już sama nie chciała pójść do fabryki, jedyna jej przyjemność przestała być przyjemnością. W końcu pani Rubinrot zapowiedziała, że dom ma być od tego interesu wyłączony.

– Dom, to jest dom – zgodził się pan Rubinrot.

I wtedy właśnie Regina krzyknęła:

– Co za dom? W tym domu wytrzymać nie można!

Trzeba było teraz innymi oczami patrzeć na panią Rubinrot. Janka przyszła w goście sama, bez wołania, i z humorem od progu pokazała pani

Rubinrot czyste ręce.

– Ach, moje dziecko, żartujesz, ty jesteś już taka duża panna, co ty mi pokazujesz ręce? Wejź, proszę cię, zaraz będzie podwieczorek!

Rubinrotówny bawiły się na balkonie, dla powietrza. Przed dom zajechała z szykiem i szumem dwukonka, woźnica osadził konie. Z góry, z balkonu, widać było tylko ogromny kapelusz damski i całą falę falbanek i koronek.

– To chyba nie do naszego domu! Kto to może być? Do kogo?

Dama z nogą na stopniu płaciła woźnicy, torebkę miała srebrną, siatkową.

Szewe Fiszel z ogromnym buciorem w ręku stanął na progu swej klitki. Może to Różia? Może to jego córka, Różia, przyjeżdża odwiedzić swojego starego ojca?

– Pójdę i dowiem się! – woła Janka, a Regina nie może powstrzymać się, aby jej nie towarzyszyć.

Pobiegły pędem, galopem przez stołowy i kuchnię. Nawet drzwi za sobą nie zamknęły. Pani Rubinrot krzyczy przewieszona przez poręcz schodów:

– Regina, gdzie ty idziesz, Regina, wracaj!

– Ach, mamuniu, ja tylko na chwileczkę!

Dama wchodzi akurat do bramy i rozgląda się bacznie. Jej stopy tanecznym ruchem roztrącają fałdy sukni. Pod ciemnym, ogromnym kapeluszem ma włosy niczym złoto, pachnie. Janka idzie naprzeciw i pyta grzecznie:

– Kogo pani szuka?

Tamta waha się chwilę, a potem mówi śpiewnie:

– Czy żyje tu jeszcze madame Prymas?

Janka potrząsa głową, nagle przypomniała sobie i woła:

– Tak, tak! – ale już żałuje, na pewno omyliła się, czyżby to stróżka Prymasiakowa była madame Prymas?

Piękna kobieta załamuje ręce i biegnie wprost do stróżówki, tren jej sukni z szumem wlecze się po bruku. Stróżki Prymasiakowej nie ma w domu, pewnie poszła do cyrkułu z książkami meldunkowymi.

– Ja poczekam – szepcze przybyła – dziękuję, moja miła.

Janka czuje, że już nie może tak stać i przypatrywać się, że to nieładnie. Cofa się, staje z Reginą w sieni.

– Czy ty wiesz, to będzie pewnie ta jej córka, która uciekła do Rosji.

Reginę to tak wzrusza, iż zaczyna dygotać.

Szewe Fiszel stracił wszelką nadzieję i wrócił na swój stółek, klepać skórę.

– Czemu ona tak chodzi bez przerwy po podwórzu?

Chodzi, chodzi, chodzi! Od wodociągu, który z żelaznego pyska kapie ciągłymi kroplami wody, od sutereny Frani do okien stróżówki. Tam zaślania czoło opierścienionymi palcami i patrzy w głąb. Prycza drewniana przy

oknie, dalej komoda i szafka na jedzenie podparta cegłą, kulawa; tuż zaraz mała kuchenka, na ścianie wiszą łachy – to wszystko. Ale to są lata dzieciństwa i pierwsze lata młodości. Ten wodociąg, ten ustęp w końcu podwórza i kąt przy bramie, gdzie stoją miotły, wielka szufla do zbierania śmieci. Idzie tam, staje i patrzy uważnie. Nikt nie może wiedzieć, że tu ją ongiś dopadła pierwsza miłość, tu ją przyparł pierwszy facet. Jakiegoś dnia zważyło się to na nią wspomnieniem w głębi dalekiej Rosji, na Kaukazie, w przecednych Essentukach. Essentuki, Kisłowodzk – Piatigorsk – i Nowolipki.

Powoli okna zapełniają się, we wszystkich oknach ciekawe twarze. Nikt nie poznaje dawnej, kostropatej Mańki, którą matka naganiała miotłą do domu. Ona, nie ona? Na domiar złego pani Rubinrot krzyczy ostro z balkonu:

– Regina, gdzie ty jesteś? Regina, do domu! – i zaraz ze wszystkich stron rozlega się:

– Regina, mama cię woła! Re-gi-na! – Wściekła i czerwona ze wstydu Regina biegnie na górę.

Stróżka Prymasiakowa już nie jest stróżką i nie jest Prymasiakową, tylko panią Prymas, lokatorką. Te okna, parter, w podwórzu na lewo, to jest jej nowe mieszkanie.

– Ja na jej miejscu wynajęłabym mieszkanie gdzie indziej, a nie tu, gdzie wszyscy znają – mówi pani Raczyńska.

Ale Mossakowska rozumie to:

– Tu się nauczywała biedy i tu chce zaznać szczęścia... – Przez koronkowe story widać: pani Prymas siedzi na kanapie z garnuszką kawy i ciastem na kolanach. Jej córka, Mańka, gra na pianinie i śpiewa. Na ścianach porozwieszano fotografie w najrozmaitszych pozach i strojach, szarfy od wieńców, afisze.

Ech, wy, mężczyzny, nie zabywajties, kagda z diewoczkoy na jedinie¹
takie śpiewa piosenki.

– Moja córka, Mania, jest artystką.

Niech sobie będzie, ale pani Raczyńska zabrania swoim dziewczętom stać na podwórzu i słuchać tych piosenek.

Maria Prymas kupiła swemu bratu Józiowi, który wyterminował u ślusarza, warsztat na Długiej, umebłowała mieszkanie i matkę zabrała do siebie. Józio od lat chodził i wzdychał za rewirówną, panną Cecylią, ale marzenia nie było, żeby śmiał dostąpić do tej panny, choć patrzyła na niego łaskawie. A Mańka tylko ziewnęła i rzekła:

– Za pieniądze wsio dostaniesz. Cóż rewirywy? Mała sobaczka.

I tak się stało, w jakąś niedzielę rewirywy i rewirowa siedzieli u Prymasiaków na przyjęciu, za stołem.

¹ *Ech, wy mężczyzny, nie zabywajties, kagda z diewoczkoy na jedinie (ros.)* – Ach, wy, mężczyźni, nie zapominajcie się, kiedy jesteście z dziewczyną sam na sam.

Mania przyszła do Mossakowskich przypomnieć się ich pamięci i poprosić, czyby pan Mieczysław nie poszedł z nią na miasto wybrać nuty do śpiewu i płyty do gramofonu? Mietek zaczerwienił się i zawahał, ojciec spojrział na niego z drwiącym niezadowoleniem. Więc ostatecznie poszedł. Ale wrócił bardzo zły i zapowiedział, żeby go nie zmuszano do takich rzeczy.

– Jak ona zachowywała się w sklepie! Aż mi wstyd było! Na ulicy oko takie puszcza, że proszę! A najgorsze, że głos ma taki zdarty i do śpiewu się bierze.

Pani Raczyńska zauważyła kwaśno, że jak ktoś zadziera nogi w kabarecie, nie potrzebuje do tego głosu. To oburzyło Jankę:

– Co pani do tego?

Matka aż osłupiała na taką niegrzeczność:

– Jak ty się do starszych odzywasz?

Janka rozkrzyczała się na dobre:

– Chodzą, modlą się tylko i upokarzają! Świętoszki!

– Wyjdź stąd! Wyjdź mi zaraz! Poczekaj, już ja się z tobą rozmówię!

– A pójdę! Pójdę! Żeby mama wiedziała! W tym domu wytrzymać nie można!

Trzasnęła drzwiami i wyszła. Szła przez podwórze i zatrzymała się niezdecydowanie przed oknami oficyny. Mania tancerka wyjrzała, otworzyła lufcik, uśmiechając się.

– Wstąp na chwilę, miła moja, jestem sama.

Niech się matka dowie, niech się gniewa. Janka ma dość tej porządności w domu. Ciągle się wynoszą z tą swoją porządnością. A Mania się nie wynosi, a jest taka dobra. Matka biła ją dawniej, ciągnęła za włosy, a ona wróciła i zapłaciła dobrem za złe. Sprawiała nawet matce sztuczne zęby.

– Mama, czym ty *kuszajesz*, aaa? Sprawimy tobie zębki, mama. – I kiedyś powiedziała: – Żeby nie wyjechała, toby nigdy *nie uznała, czto eto wielikodusznost, wielikolepje*². Rosja – ludzie tam inni.

I Janka zaczęła marzyć o tej Rosji. W domu i na kompletach, i wszędzie, gdzie się ruszysz, ludzie ciągle mieli pretensje, wytrzymać nie można z tym wszystkim!

Jeśli nie była u pani Prymas, przesiadywała gdziekolwiek, tylko nie w domu. Wałęsała się. Poszła do Kwiryny i umówiły się, że będą razem szukać jakiegoś zajęcia.

U Kwiryny szatkowano kapustę, tułuby tkwiły w sklepie, a tu, w kuchni, królowała Kwiryna. Jak to dobrze, że przyszłaś! Miała rękawy bluzki zakasane do łokcia, ziele, koper i rajskie jabłuszka do przyprawiania kapusty. Szatkownicy zaraz mieli skończyć szatkowanie.

² ...nie uznała, czto eto wielikodusznost, wielikolepje (ros.) – ...nie dowiedziała się, co to jest wielikoduszność, wspaniałomyślność.

– Chcesz głąba? – Obierały i chrupały głąby kapuściane, to był przysmak.

– U nas jeszcze mama nie pomyślała o kapuście – rzekła Janka.

– Jeszcze czas, u nas potrzeba do handlu, ludzie się dopominają o kwaszoną kapustę. – Kwiryra ostro związała się z robotą, bo po zamknięciu sklepu miała się spotkać z chłopcem.

– Z jakim chłopcem? – zdumiała się Janka.

– Z tym, wiesz, co chodził z Amelcią. On się nazywa Roman.

– Ach, to on dlatego przestał bywać u Amelci!

Kwiryra niezmiészana wcale przypomniała jej, że Amelcią chodzi z panem Michałowskim.

– Ja tam wcale o to nie stoję, ale ten Roman jest praktykantem u kupca na Marszałkowskiej, więc mamy o czym porozmawiać, wspólne takie zainteresowania.

Siadły na kufrze i chrupiąc soczyste głąby patrzyły na pracę szatkowników. Nagle Kwiryra zniecierpliwiła się.

– Czy prędko będzie koniec?

Szatkownicy spytali:

– Z ubiciem, czy bez?

Kwiryra zaczerwieniła się po uszy.

– Z ubiciem, z ubiciem!

– No, to jazda do beczki, dawać sól!

Kwiryra pomknęła po sól do sklepiku, ale w tej chwili wyleciała stamtąd jak wyrzucona z procy. Gniewne pomruki poprzedziły wejście tułuba. To była matka. Zapłaciła i wyprawiła szatkowników, spojrziała krzywo na Jankę i chlusnęła gorącą wodą do szaflika stojącego na ziemi.

– Myj nogi! – mruknęła ostro.

– Co mama myśli, że ja będę udeptywać kapustę? Powiedziałam już, nie będę!

– Ja ci tu zaraz pokażę! Ja ci się porządę! – Matka wyciągnęła z komody coś białego i rzuciła na stół. – Myj nogi, kładź gacie ojca, obwiąż mocno tasiemki koło łydek... – Kwiryra stała nieruchoma, czerwona jak burak. – Zeszłej jesieni to ci fanaberie do łba nie szły, deptałaś i dobra... Z tej nauki tak ci się we łbie przewróciło. Taka uczona, a nie wiesz, że kapusta ubita tłukiem ani się umywa do deptanej.

– Żeby ludzie wiedzieli, toby tego świństwa do ust nie wzięli – mruknęła Kwiryra.

Matka poruszyła się ciężko i pac! uderzyła ją w twarz. Coś dziwnego stało się z Kwiryną, krzyknęła cienko i przenikliwie.

Dopiero w bramie zapłakała.

– Ja już w tym domu nie wytrzymam – ale dokąd ja pójdę?

Janka rzekła gorko:

– A mnie, myślisz, lepiej?

Kwiryna zacisnęła pięść i pogroziła:

– Ja im pokażę! Czy wiesz, dlaczego oni tak pilnują blaszanek z landrynkami?...

Ale nie powiedziała nic więcej, zatrzymała się nagle, jakby się opamiętała.

– Jeśli tak dalej będą ze mną postępować, to ucieknę. Dłużej w tym domu nie wytrzymam!

ŚMIERĆ

Lekarz został sam z ojcem w pokoju. Wszyscy stoją za drzwiami. Matka, Bronka, Janka, Mietek i dziobaty Janek. Maria włożyła już kapelusz i płaszczyk, aby być gotową do wyjścia, jak tylko lekarz da receptę.

Wychodzi. Tyle oczu skierowanych na jego usta. Uśmiecha się, jakby nigdy nic, i mówi do matki:

– Chcę z panią pomówić.

Ach, to już wiadomo! Matka obydwoma rękami chwyta się za twarz, aby wstrzymać krzyk.

– Niechże pani nie rozpacza, bo nie ma jeszcze czego, trzeba tylko odwieźć chorego do szpitala.

Matka dyszy ciężko:

– Jak ma umrzeć, to niech już umiera w swoim domu.

– Chce go pani zagłodzić? Przecież nie może łykać. W szpitalu nakarmimy go przez rurkę.

Pan Raczyński umarł w szpitalu. Stróż Prymasiak umarł w szpitalu. Najokropniejsza rzecz, śmierć w szpitalu. Nikt nie chce w ten sposób umierać, bronią się przed szpitalem, rodzina nigdy nie chce oddać chorego. Całe życie harował w tych kątach, tu są dzieci i żona, i sprzęty, które sam sporządził, cały dorobek życia – a umierać ma sam, opuszczony?

– Nie, nie, niech pan doktor już mu da spokój. Może jakieś lekarstwo...

Ale doktor ujmuje matkę i mówi:

– Miałem panią za rozsądniejszą. Przecież tu i dla chorego nie ma wygod jak trzeba, i dzieci... Powinna pani uważać na dzieci...

Pani Raczyńska stoi w progę i kiwa głową.

– Tak samo mówił i u mnie, gdy nieboszczyka zabierali.

Maria wzdryga się. Pani Raczyńska wydziwić się nie może, że ludzie nauki są całkowicie pozbawieni serca. Wszystko im jest zaraźliwe. Tak jakby

rodzona żona i dzieci były w stanie okazać choremu jakiś wstręt, że go się boją, że boją się jego choroby. To to samo, co człowieka uśmiercić!

– Nie, nie! – jęczy matka – niech lepiej w domu! – Wszyscy stoją za nią, Maria śmiertelnie blada, płacząca Bronka, przerażony Mietek i Janka. Czują tak samo jak matka: lepiej niech ojciec umrze w domu.

Ale – śmierć z głodu! Chce jeść i nie może łykać... Bronka występuje naprzód i pyta zdławionym głosem:

– Czy nie można karmić ojca w domu przez taką rurkę?

W tej chwili słychać z drugiego pokoju ostre, gwałtowne pukanie. To ojciec puka ołówkiem w brzeg łóżka. Maria biegnie tam natychmiast. Ojciec leży wsparty na łokciu, trochę się dźwignął, w górę, oczy mu błyszczą ożywieniem, jak w najlepsze dni zdrowia. W palcach trzyma ołówek Fabera, gotów do pisania. Niecierpliwie pokazuje Marii papiery leżące na stole. Chce kartki.

Pisze: oddajcie mnie do szpitala. Ja jeszcze wyzdrowieję, wyleczą mnie.

– Czy tatkowi nie lepiej będzie w domu? Zawołamy jeszcze jednego lekarza, może pojedziemy z tatkiem na wieś – mówi pieszczotliwie Maria. – Mój tatusiu!

Ale ojciec patrzy na nią nakazująco, głęboko, mądrze. Przez chwilę zdaje się Marii, że w głębi jego oczu błyszczą łzy. Poruszona chce go objąć, lecz ojciec gniewnie macha ręką, odwraca się. Męczą go!

Lekarz od drzwi woła spieszenie:

– Niech go pani nie drażni! Otóż to. Chory musi mieć spokój i fachową opiekę.

Wieczorem dźwiga się ojciec z łóżka. Mietek pomaga mu się ubrać. Maria podtrzymuje go. Ojciec patrzy obojętnie na płaczącą Bronię, na Jankę, na swoje dzieci. Tak jakby ich wcale nie było. Tylko przed samym wyjściem z pokoju zatrzymuje się przy stole, chce coś powiedzieć, ale z gardła wydostaje się tylko ostry, ochrypły świst. Mocuje się chwilę z tym świstem. Boże, chce coś powiedzieć, nie chce pisać, chce powiedzieć żywe słowo, coś ważnego!

Nie może.

Wreszcie pisze: Mietek, uważaj na matkę. Ogromnymi literami na całym arkuszu pisze:

Jesteś najstarszy, uważaj na matkę.

Wtedy wybuchają płaczem. Matka rzuca się ku ojcu.

– O Boże litościwy, przecież go nam nie zabierzesz! – Opanowuje się natychmiast, wydziera z szuflady czarny, jedwabny szal i zarzuca na głowę. Odwiezie ojca do szpitala. Ona i Maria.

A on nie pamięta wcale o kuzynce Helenie, patrzy na matkę. Wspiera się na jej ramieniu, wcale nie żegna się z dziećmi, patrzy tylko na matkę.

Tylko jedna osoba ubyła z domu, a jak pusto! Wieczorem siedzi Bronka w swym kącie, co chwila zapomina o nieobecności ojca w domu, podnosi się ostrożnie z klęcznika i spogląda na skrzydło łóżka. Widzi obnażone, gołe deski, pościel ojca już uprzątnięto, wietrzy się dzień i noc na placyku. Gołe deski, nawet niezupełnie oheblowane, szorstkie. Te deski – to warsztat.

A warsztat – to ojciec, ojciec, jak żywy. Bronka widzi go stojącego właśnie nad taką szorstką, nieoheblowaną deską, z dużym heblem w dłoniach. Jest wysoki, smukły, rękawy koszuli ma zawinięte po łokcie, niechętnie pracuje w fartuchu. Ręce ma długie, palce niechybne.

Widziała to, gdy rzeźbił. Jak zabawnie mrużył jedno oko, gdy oceniał gładziznę i równość wyheblowanej deski! Bronka wstaje ze swego kąta i przykrywa gołe deski łóżka kapą.

Szykują się z Janką do kolacji. Przychodzi Frania, siada w kącie kuchni i czyta głośno.

Dziobaty Janek przycupnął w progę, aby posłuchać także, Frania ma czytać głośno, powzięła ten zamiar, aby oderwać koleżanki od smutnych rozmyślań – ale chwilami zapomina się i pogrąża sama w czytanie ciche, dla siebie. Wtedy Janka uśmiecha się blado:

– Franiu, Franiu, co dalej?

– O, przepraszam! – mówi Frania ze skruchą. – Tak się zaczytałam! – I zaczyna od tego miejsca, które opuściła.

Matka z Marią przychodzą późnym wieczorem, wiadomości są lepsze. Ojciec jest odżywiany przez rurkę, to święta prawda, a nawet lekarz zezwolił matce, by wycisnęła sok z pomarańczy i napoiła chorego. To go musiało orzeźwić, to jest rzecz odżywcza. Bo wkrótce potem jakoś się tak rozruszał, że zaczął mówić. Po cichutku, ledwo dosłyszalnie.

– Prosił, żebyście przyszły jutro, ale raniutko, przed wizytą lekarską. Siostra, która ma na noc dyżur, taka dobra, obiecała nas wpuścić. Musicie wstać bardzo wcześnie, lepiej sobie dziś wszystko przygotować. Sukienki weźmiecie te bordo, tylko kołnierzyki trzeba świeże przyszyć.

– Zawsze taka pomarańcza to coś znaczy – powtarza matka – że też mi to wcześniej na myśl nie przyszło!

Matka jest bardzo ożywiona, czyści sobie suknię już na jutro, prasuje jedwabny czarny szal, bo się wygniółł, i przyszywa szcoteczkę do brzegu sukni.

Kładą się wcześniej spać, nawet Frania zostaje na noc, żeby było jakoś różnie. Śpi z Bronką. Leżą koło siebie, nie mogą zasnąć. Ta noc jest jakaś ogromna w swej ciemności i nadziei, pełna wagi. Obejmują się ramionami, najśłodsza przyjaźń wierności w nieszczęściu napęlnia Bronkę głęboką ufnością.

Budzą się skoro świt, ten sen był jak czuwanie. Jest szaro, zapalają małą

lampkę. Myją się kolejno w kuchni, chodzą po cichutku, by nie obudzić Mietka, który ma iść do szpitala po południu. Dziobaty Janek zwłókl się z pawlacza, aby rozpalic ogień, choć nikt nie myśli o śniadaniu.

– Po co ty to robisz, człowieku, czy ja mam głowę do jedzenia? – mruczy matka.

Jest straszliwie niespokojna, ręce jej drżą tak, że nie może zapiąć stanika. I właśnie gdy z tak strasznym dygotaniem rąk roztrząsa czarny szal, aby go zarzucić na głowę, ktoś puka do drzwi.

Ojciec umarł w nocy.

ŻÓLTE KWIATY

Franka dzwoni ostrożnie do drzwi. Po raz już nie wiem który z uwagą odczytuje nazwisko na mosiężnej tabliczce. Stoi długo, lecz nie ośmiela się zadzwonić powtórnie.

Uroczysty dzień. Ma w teczce cenzurę, przeszła do klasy trzeciej. Wewnątrz niej panuje wielka cisza, ani smutku, ani wielkiej radości. Ten rok, który minął – nie ruszać lepiej wspomnień związanych z pobytem na pensji.

Ktoś podszedł do drzwi i zapytał. To głos pani.

– To ja, proszę pani, Frania – odpowiedziała.

Pani otwiera drzwi, niezadowolona.

– Szkoda, że nie chodzisz kuchnią. Marysia wyszła i ja muszę otwierać ci drzwi.

To nie jest świat, w którym by można spokojnie żyć – zawsze jakieś uczucie niepewności. Ciągła niepewność – jak gdyby się stało na wąskiej kładce nad nieznaną wodą. Raz jada się obiad w pięknej, staroświeckiej jadalni z panem i panią i dostaje się wszystkie dania, a innym razem – na brzeżku stołu kuchennego, u Marysi, i dostaje się tylko zupę i jarzynę.

Pani zapomniała pewnie, że to koniec roku i cenzura. Nawet nie zapyta.

– Czy możesz mnie uczesać, Franiu?

Pani ma włosy bujne, za pas. Kiedyś były miedzianozłote, dziś jest tyle srebrnych nitki i to wygląda dziwnie pięknie: złoto pomieszane ze srebrem. Ale rozczesać to wszystko, przypiąć ogromny *postiche*, zakryć gładko włosami i upiąć wielki kok – to nieraz udaje się tylko z wielką trudnością. Jeśli fryzura wyjdzie nieudatnie, pani prosi, by spróbować jeszcze raz.

Matka Broni tak samo lubi, by ją czesać. Widocznie pani nie tyle zależy na fryzurze, co na czesaniu.

Z chęcią robi wszystko, o co poprosi pani. Wyciera kurze we wszystkich

pokojach i podlewa sztywne, żałobne kaktusy. Najmilej jest w gabinecie pana. Stoją tam przy jednej ścianie szafy z zielonymi firaneczkami, pełne książek. Pani pozwoliła jej czytać książki z jednej półki, lecz pewnego razu sięgnęła wyżej i natrafiła na „Ludzi bezdomnych”. Teraz już tylko czeka tej chwili, gdy pan i pani po obiedzie zamykają się na „malutką sjęstę”, wkrada się do gabinetu ze ściereczką w rękę, siada na podłodze przy szafie i czyta.

Kryje się – i czyta, czyta, czyta... Miała powtarzać francuski, by uzyskać dobrą wymowę i akcent. Ale to nic nie znaczy wobec „Ludzi bezdomnych”, nawet i to, że pani nie zapytała o cenzurę... Teraz już wie! Teraz już nie stoi na chwiejącej się kładce! Ten świat nie jest jej światem. Dostanie może na przysły rok znów bezpłatne miejsce na pensji i jeszcze rok będzie poprawiać swój akcent francuski, ścierać kurze i przypinać *postiche* pani: ale to nie będzie jej świat, jej miejsce na świecie – zawsze będzie uczucie niepewności. Zawsze stać będzie przed oczyma suterena ciotki, a uczucie, że wszy chodzą po włosach, zawsze ją będzie dręczyć, choćby głowa była nie wiem jak czysta. Teraz wie. Jeśli się wyszło cokolwiek dalej poza Ogród Saski, trzeba spłacać dług. Zawsze oni będą spłacali dług, ci z Nowolipek, nie mogą być szczęśliwymi nigdy, nigdy nie powinni zaznać spokoju! Zawsze będą im stać przed oczyma prawdziwe strony rodzinne: ciemne i brudne uliczki i podwórza, i smród otwartych śmietników, i bezlistne drzewa na placykach za domem, na placykach, gdzie nic nie chciało rósć, wschodzić, kwitnąć – nawet najlichsza trawa.

Zastygła nad sceną pożegnania Joasi i Judy. Widziała to miejsce i karłowatą, rudą, żalną sosnę. Błada coraz bardziej, siedząc na podłodze z rozwartą na ostatniej stronie książką...

Czy to, co nastąpiło potem, było dziecinną próbą spłacania tego długu, próbą ulepszenia, upiększenia tego życia? Siedziały po południu z Bronką na placyku, patrząc na konary zielonego kasztanu z obcej ulicy. Kaleka z facjaty bawił się w kącie placu. Zawsze podpełzał tam, gdzie panoszył się wstrętny śmietnik i bulgotał ściek. Patrzyły na niego i nie widziały go, siedział tak tu co dnia, do zmierzchu, należał jakby do tego plugawego kąta placyku.

Przypomniała się jej i Bronce dawna zabawa, pragnienie, aby zajrzeć przez szparę do cudzego ogrodu. Przyłożyły twarze do szpary.

Ta część ogrodu była opuszczona i zaniedbana, bujnie tu rosła zielona trawa, a na niej jak gwiazdy rozkwitły duże, żółte kwiaty. Zdawało się, że od dawna nie przeszła tędy stopa ludzka, wszystko rosło i rozkwitało gwoli sobie, ocienione przepyszными konarami kasztanów. Niezmacona, tajemnicza cisza... Cóż za okazja do ucieczki, cóż za pole do snucia najbardziej fantastycznych przypuszczeń i obrazów.

– Jak myślisz, kto tam może mieszkać, czyj to może być ogród?

Ale wszystko, co powiedziały sobie na ten temat, nie określało ani trochę

dziwnego uroku tego opuszczonego miejsca.

Usłyszały za plecami gwałtowny bełkot i odwróciły się. To kaleka, przywłókł się aż tutaj.

– Patrz, Broniu, on też chce zobaczyć!

Bronka przykucnęła i z nieoczekiwaną przez siebie tkliwością wymamrotała:

– Chcesz zobaczyć, chcesz, chcesz popatrzeć, bidulo?

Popatrzył na nią bezmyślnymi, a jednak czystymi błękitami oczu, ślina ciekła mu z ust, przemoczył sobie zupełnie przód licej sukieneczyny.

– No, więc jazda! – rzekła Frania.

Podjęła kalekę pod ramiona, na wpół niosąc do parkanu, w tej chwili było jej tak lekko, że zanuciła jakąś pioseneczkę ze szkolnych czasów. Przywiodły go do szpary w deskach i pouczyły:

– Patrz, tam! Trawa, widzisz! I kwiatki – widzisz? Takie żółte...

Ale nie wiadomo było, czy mu się podoba?

– Jak on się nazywa? – zapytała Franka, ale Bronia nie wiedziała.

Może, gdyby się do niego odezwać po imieniu, może by coś się z niego wydusiło. W tej chwili zabelkotał gwałtownie. Więc jednak zrobiło to na nim jakieś wrażenie!

– Słuchaj, Franiu – krzyknęła podniecona Bronka – przecież możemy go wpuścić do tego ogrodu, zupełnie! Niech sobie poleży na trawie, niech...

– Jakim sposobem?

– Zwyczajnie! Trzeba było tylko wyciągnąć dwa gwoździe w jednej desce i dwa w drugiej, u dołu, odsunąć trochę deski na bok i utworzyć wejście.

Bronka pomknęła do domu. W szafce ojca leżą jeszcze jego narzędzia. Oto obcęgi, oto dłutko i młotek.

Z furią zabrały się do roboty. Bronka podważyła dłutkiem łeb gwoździa, Franka chwyciła obcęgami, ciągnąc z całych sił. Gwóźdź ustąpił. Teraz drugi. Uczuły na czołach krople potu, zasapały się, aż Franka krzyknęła z triumfem:

– Odsuwaj, Broniu, odsuwaj!

Poczuły mocny, świeży zapach ziemi i na chwilę zapomniwały o celu tej całej roboty. Przymknęły oczy, aby tylko czuć, aby tylko wciągać w siebie ten zapach. Ale Frania ocknęła się zaraz, chwyciła kalekę:

– Trzymaj deski, Broniu.

Wepchnęły go w otwór. Teraz patrzyły. Tuż pod parkanem było lekkie wzniesienie, kaleka jął się toczyć po pochyłości, na trawę.

Dźwignął się i chwilę siedział oszołomiony, w milczeniu. I nagle rozwarł ręce i zaczął wielkimi chwytnymi rwać trawę i gwiazdziste kwiaty. Gwałtowny, wściekły bełkot znów rozwarł mu usta. Miotał się, siejąc śmierć, dokąd tylko zdołały sięgnąć długie, rozwinięte ramiona. Ostra trawa pocięła palce, ukazały się czerwone pręgi krwi.

W pomieszeniu i zdumieniu Bronka cofnęła ramię. Deski zsunęły się im na szyje. Z głowami uwięzionymi w tym potrzasku ze zgrozą patrzyły na dzikie spustoszenie. Nic nie rozumiały – nie mogły się cofnąć, nie mogły iść tam, nie mogły sobie dać rady z tym wszystkim. Miały uczucie jakiejś klęski, jakiejś porażki.

CZEŚĆ DRUGA
MŁODOŚĆ

GDYBY ROZKWITNAĆ

Gdyby jednak rozkwitnąć – pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu! Zdarzają się chwile, kiedy Franka czuje życie przepływające nie mimo niej, a przez nią. Odczuwania, przeżycia, myśli – to ulegało ciągłej zmianie, wieczna przemiana, która się w nas dokonywa, to jest życie.

Czy to nie było znamienne, iż podniosła głowę wówczas, gdy było nie do wytrzymania, gdy zdawało się, że to już koniec? Tak było po wyjeździe ciotki do Łodzi, po śmierci matki, po rozwianiu nieśmiałej nadziei, że teraz znajdzie się kątek dla niej u pani mecenasowej. To była śmieszna, iście dziecienna nadzieja. Jeszcze jedno odrzucenie, jeszcze jeden cios zadany pragnieniom miłości.

– Umieszczę cię w schronisku dla dziewcząt – rzekła pani, i oczywiście udało jej się to zrobić bezpłatnie.

Jeśli suterena ciotki nie była domem i nie była domem kuchnia matki, to cóż dopiero mówić o schronisku na Mariensztacie? Miało się tu miejsce, łóżko – to był twój niezaprzeczony teren – reszta nie. I jedno było prawem niewzruszonym: powrót do domu przed dziesiątą wieczorem, po dziesiątej zamknięte drzwi nie otwierały się na żadne pukania i zakłęcia. Włóczędze przebaczano tylko raz, powtórne opóźnienie nie było uwzględniane.

– Wracaj tam, gdzieś tak długo siedziała.

Nie bawiono się w morały: tu mieszkały dziewczęta z pewną przeszłością, jeśli ta przeszłość nie stała się dla nich surową nauką, to proszę bardzo, niech próbują jeszcze raz życia.

Tylko co przebrzmiały dzwony, w tej dzielnicy kościołów była to istna muzyka w patetycznych akordach biegnąca od Nowego do Starego Miasta ku kościołom Krakowskiego Przedmieścia. Srebrny dźwięk dzwonu kościoła Najświętszej Marii Panny podał ton Pofranciszkańskiemu potężnym głosem katedry Świętojańskiej. Na granatowym, głębokim niebie leży czarna kolumna Zygmunta.

Bije siódma.

Nie warto teraz pędzić do zakładu, aby otrzymać w kubku blaszanym herbatkę i parkę bułki-mularki, kolację, jednym słowem. Franka mija Mariensztat i zdąża na rynek. Nie uprzątnięto jeszcze całkowicie kramów z warzywem, mocny zapach uderza w nozdrza i budzi głód. Wymacać miedziaki w kieszonce spódniczki i bez walki poddać się lekkomyślnym pragnieniom: ogromne gruchy z pierwszego kramu za chwilę znikną w koszu straganiarki.

Ludzie ściągają do domu, tu i ówdzie dzieciaki pchają już wózki ręczne napełnione wonnym towarem. Co za zapach – młoda cebula, pietruszka, koper, jabłka.

– Po czemu te gruszki?

– Świętomichalskie, rozplywają się w ustach – ile dać? Ćwierć funcika?

Teraz można sięść w pośrodku rynku koło syreny i spożywać Świętomichalskie, rozplywające się w ustach.

Dzieciaki grają w klasy, w komórki do wynajęcia, w ciupy. Ma się uczucie bliskości z tymi tu, wszystkimi ludźmi, zapełniającymi plac. Niepodobna wyrwać z siebie czułości w ten wieczór ciepły, pod granatowym niebem, pod dachem, który czyni ten plac domem. Kot ociera się o jej kolana z pomrukiem.

– Kizia – kici, kici...

Chce go przygarnąć, lecz przewinął się jakoś między wyciągniętymi ramionami i zdąża dalej. Na mgnienie budzi się lęk, przesąd, iż za taką dobrą chwilę trzeba będzie zapłacić. Coś się stanie, coś złego. Zło zawsze przychodzi po takiej chwili niewiadomego uszczęśliwienia. Najlepiej jest wówczas zsunąć się w bezmyślne odrętwienie i poddać się życiu, ulec mu. Bo skoro życie jest właśnie takie, nic nie darowujące, ciemne, po co ta cała szarpanina? Uniosła się przed chwilą. Co ją to wszystko obchodzi, ten plac z ludźmi? Lodowate uczucie obcości, zbędności, ogromu świata przejęło dreszczem. Wtuliła głowę w ramiona, oczekiwała znanego, błogosławionego odrętwienia. Ale to był wieczór szczególny, ciało i ręce, i głowa objęte były jakby płomiennym niepokojem. Duszno, musiała rozpleść ręce. Znow objawiło się granatowe niebo, świat...

Gdyby jednak rozkwitnąć – pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu! Historia o pięknym ogrodzie, kalece i żółtych kwiatach została napisana, została wciśnięta w ramy jeszcze jednego opowiadania stylistycznego na dowolny temat, na kompletach u pani mecenasowej.

Tym razem było to tak dobre, iż pani wybąkała w zdumieniu:

– To chyba może już iść do druku?

Franka przywędrowała z listem i opowiadaniem do redakcji pisma kobiecego, list był zapieczętowany, tak samo została opieczętowana

tajemnicza odpowiedź, wszystko to stawało się poza nią, Franką, choć tak bardzo dotyczyło jej i tylko jej. Siwa, drobna redaktorka o słodkim głosie zapytała z wahaniem:

– Jak pani rozumie zakończenie tego opowiadania, co pani chciała przez to powiedzieć?

Franka, jak dawniej – nie wiedziała. To się samo stało, napisała tak, jak było.

– Czy pani chciała powiedzieć, że pewne sfery społeczne zniszczą piękno przez nieświadomość? – Franka potrząsnęła głową. – Czy też pani stwierdza, że tam, na samym dole są warstwy odrzucające je w nienawiści?

Straszna chwila: nagle pojęła Franka, iż między sennym poczęciem słów, obrazów, poczęciem całkowicie nieświadomym, a historią napisaną istnieje więź surowa. Błyskawica, olśniewające światło poznania wprawia ją w głębokie zmieszanie. Milczy. Ale trzeba odpowiedzieć, mówi głosem zdławionym:

– Tak. – Siwa dama westchnęła.

Jakże tu wyjawić czytelnikom taką sprawę? Właśnie tym, którzy całe życie krzątają się, zbierają, oświecają, podnoszą i leczą tych z dołu?

Jednakże niezaprzeczoną wartość i świeżość opowiadania skłania ją do obietnicy:

– Być może, że wydrukuję to.

Taką obietnicą można żyć i Franka żyje nią przez nieskończone miesiące. Ale opowiadanie nie ukazuje się w druku, a siwa dama staje się niewidzialna i niedostępna. Wreszcie pani mecenasowa przybija sprawę:

– Widać, że to nie nadaje się jeszcze do druku.

To miało być wylotem na świat, a staje się kamieniem, tajemnicza siła zostaje poderwana.

Franka potyka się o ten kamień i pada, na długo. Nic nie wie, nic nie rozumie, są w niej jakieś luki, otępienia. Nie lubi siebie, trzeba jednak siebie trochę lubić, aby żyć.

Ósma, osiem uderzeń, pełnych tajemnic. Plac pustoszeje, czas wracać. Wokół, w wąskich kamieniczkach, jak w drogocennym pierścieniu, zajaśniały światła. Stara sprawa, dawne, dziecinne upodobanie, aby zajrzeć w cudze, ciepłe od światła okna, stawia ją na nogi. Siedzą, siedzą przy swoich stołach, spoczywają na łózkach, ławach, krzeselkach. Poruszają ustami, mówią. Ale ona nie słyszy, nie może wiedzieć – o czym mówią? Nagle pojmuje, że nie widzi nic więcej prócz tego, co zdoła ogarnąć okiem. Życie jej nie dlatego jest takie ubogie, że nie ma co jeść, że nie ma domu, odzieży. Szary kolor, szary ton, ubożuchne, ciągle te same rozczarowania i smutki, ciągle te same przeżycia. Strach związał jej ręce, ongiś. Ale przeżyć to wszystko, wypić życie wraz z jego złem i dobrem, ciemnością i jaśnią, posiadać to wszystko, co

w nim tkwi...

Jeszcze czas, osiem uderzeń, dopiero co wybiła ósma. Biegnie prawie w stronę miasta do jedynego miejsca, z którym związane jest wspomnienie pewnego wstrząsu, pod teatr.

Szpetnie ubrana, zeszpecona doszczętnie kapeluszem podarowanym przez panią – kształt kociółka z ogromną głową i małym rondkiem, przepasany po męsku czarną wstążeczką – w paltociku, też po pani, z wciętą talią i wydetą piersią. Ale mężczyzna wydobyl ongiś z tej szpetoty stroju smukłość i strzelistość postaci, matową białość twarzy i oczy błyszczące młodością i tęsknotą za życiem, ciekawe życia. Stał tu i czekał, uznała to za zrządzenie losu, iż zawsze spotykała go tutaj, oczekującego. Był sam. Dostrzegł ją z dala i ożywił się, ruszył z miejsca, minął ją, zawrócił. A więc wróciła, więc powracała, coś ją tu nęciło. Rzekł jak dawniej:

– Byłaś tu już raz, prawda? – i pociągnął za sobą.

Ta sama boczna sionka o zakurzonej podłodze, pusta, słabo oświetlona małą lampką. Przyparł ją do ściany. Prosił szeptem, żeby była cicho, że nic takiego jej nie zrobi, żadnej krzywdy, tylko popieści. Nazwał pieszczołą te swoje dawne zabiegi, dotykanie jej chciwymi i szybkimi dłońmi. Wzdrygała się ze strachu i wstrętu. Ale teraz nie ucieknie, nie. Zdawało jej się, że między nią a życiem jest jakaś zasłona, niewiadome, coś, co pada, rozsuwa się pod dotykiem tych rąk. To było plugawe. Nie uczyniła żadnego ruchu, ażeby odtrącić go. Wystarczyło stać i przyjmować biernie te dotknięcia. Przymknęła oczy. Od tego pierwszego przezwyciężenia się znacznie inaczej żyć. Trzeba ulec życiu.

MĘCZYŻNA

Efekt tej uległości przyszedł prędko. Tak jak przewidywała, zaczęło się coś wokół niej dziać. Kartki do teatru dla niej, dla Kwiryny, Janki, Broni – tak, mogła zabrać je wszystkie do tego świata czarodziejskiego, do teatru. To się nie stało za sprawą pań z kompletów, to uczynił mężczyzna spod teatru. Grano jedną z tych komedii ocierających się o dramat, co wycisnęło im łzy z oczu. Jednakże wszystko kończyło się dobrze. Mężczyzna grał rolę anioła opiekuńczego uroczej, młodziutkiej dziewczyny. Kłamstwo, nie należy na to zwracać uwagi.

W czerwcu miała Frania zdawać do szkoły aplikacyjnej.

W nieporozumieniu z ludźmi zawsze jesteśmy winni. Trzeba tylko odnaleźć tę winę. Tylko rodzice mają obowiązek troszczenia się o potrzeby

swych dzieci, obcy ludzie – nigdy. Lew jest wdzięczny, a pchła niewdzięczna. Bronka wymyśliła te wszystkie wspaniałe prawdy na użytek Janiny, która zerwała z kompletami. Siedzą na ławce, w ulubionej alejce pod krzewami bzu, w Ogrodzie Saskim, Bronka, Janka, Kwiryra. Chwila najodpowiedniejsza, zanim przyjdzie reszta kompanii, ale Kwiryra psuje wszystko grubym głosem, dociekaniem na temat, jak została stwierdzona niewdzięczność pchły. Janina dobija sprawę:

– Słuchaj no, Bronka, jak się miewa twoja akuszeria?

Na tę aluzję do projektów pani z kompletu Bronka czerwieńsze ze złości i wstydu, tamte wybuchają śmiechem. Bronka wiecznie roztagriona.

Bronka – nieznoszająca cierpień – akuszerką. Chichoczą na samo to słowo, otaczane w domach niepojętą wstydlivością, tajemnica poczęcia pozostała dla nich nadal tajemnicą. Na Nowolipkach uświadamia dopiero – ten pierwszy.

Bronka:

– Tak, ale prowadzę także korespondencję pana i pani inżynierowej. W razie czego mogę nawet iść do jakiegoś małego biura. A ty nic nie umiesz. To jest pycha. Przełam się, przepróż panią, to będzie dla ciebie zbawienne.

Janka wybucha:

– O, daj mi spokój, nie zwracaj mi głowy.

Nuci. Głos ma malutki, nie taki jak Maria, ale Maria śpiewa z twarzą nieruchomą, a Janka skrzy się od słów pieśni. Przełamać się, przeprosić? Uczyniła to, co wcale nie było zbawienne. Ciągłe upokorzenia, bieda, niepewność, uczucie pokory, to wszystko spycha człowieka coraz niżej. To jest jak garb, przygniata. Pani podejrzewała ją ciągle z całą niepowstrzymaną nieufnością raz oszukanego. Jeśli coś się zapodziało, zawieruszyło, szło to na rachunek Janki. W porównaniu z takim życiem życie Mańki Prymas jaśniało po prostu godnością. Wałęsać się z obcymi mężczyznami, tak jak Mańka, wcale nie wydaje się jej wstrętne ni straszne. Ale to ciągle całowanie rąk, te niejasne dobrodziejstwa, to jest dopiero świństwo upokarzające.

– Więc chcesz być „taką”? – pyta Kwiryra.

Janka odpowiada bez złości:

– A ty wiesz, co to jest „taka”?

Żadna z nich, oczywiście, nie zna całej rozciągłości tego słowa raz na zawsze skojarzonego z uczuciem pogardy.

– No, powiedz!

– Ona była artystką!

– Tak, ale teraz przyprowadza do domu mężczyzn.

– No, więc co z tego?

Bronka załamuje ręce.

– Janiu, Janiu – do czegoś ty doszła!

– Gdybym tylko miała paszport, zobaczyłabyś, do czego bym doszła. Ale ja i tak nie wytrzymam dłużej w domu.

„Rosja kraj szeroki – szeroki – bogaty”. Zwąchać się z jakąś paczką, wyjeżdżającą do Rosji, wziąć życie na swój rachunek, żyć! Kwiryna już nie przypomina o spowiedzi – ani matka nie grozi „Księdzem z Noskiem”.

– Byłaś u spowiedzi?

– Byłam.

– Otrzymałaś rozgrzeszenie?

– Tak.

– A gdzie kartka?

– Niech mama zapomni o kartkach, nie jestem dzieckiem.

Janka przestała chodzić do spowiedzi od czasu historii z kołnierzykiem, z bojaźni. Kwiryna – przez wzdarliwy i nienawistny stosunek do rodziców, który spowiednik potępił. Zresztą zawsze kiedyś nadchodzi pierwszy krok.

– Stałam dziś dwie godziny przed Kurierkiem, aby być pierwszą przy ogłoszeniach, gdy wyjdzie numer. Jakiś jegomość z drukarni cichaczem wetknął mokre jeszcze szpalty swojej dziewczynce, ot tak, w dekolt. A ja, gapa, stoję dalej. Wszędzie, gdzie potem zajdziesz: za późno, zajęte. Dlaczego ja mam być uczciwa, gdy cały świat jest taki łajdaki?

Kwiryna, przywykła do oskarżeń Janki, przerywa niecierpliwie:

– Dlaczego one nie przychodzą? Długo będziemy czekać?

Ale Bronka, słuchając, cierpi. Jeśli tak jest, to nie ma po co żyć.

Bez pachnie nad głowami, jeszcze tego brakuje, by słowik wyciągnął swój trel. Znów wiosna, jeszcze jedna wiosna! A one stoją w miejscu, podległe tym samym troskom, które towarzyszyły im przy pierwszej wędrówce do Saskiego Ogrodu: głodu i pragnienia, i braku ubrania, porządných sukien i pantofli... Od dawna już nie sprawia się „dzieciom” świątecznych sukienek „bordo”. I cóż to za marzenia, w cudowny wieczór majowy, marzenia przyziemne, związane z głodem i ubraniem, zawstydzające. Bronka uczuła konieczność, za wszelką cenę, pociechy:

– Jeśli powiesz się Frani.

To było trafne. Ożywiły się, potem zaniepokoiły:

– Dlaczego Frania nie nadchodzi? Może podejdziemy w stronę teatru?

Ale Kwiryna zaprotestowała:

– Umówiliśmy się na ławce, możemy się minąć.

Z daleka poznały Cechnę.

– O, Cechna już idzie?

Sobota, dzień największych porządków. Cechna zbliża się zadyszana.

– Jestem tak strasznie zmęczona! Kwiryna, czy nie masz czegoś do przegryzienia?

Cechna za prawo bezpłatnej nauki na kursach ochraniarskich zobowiązała

się do pewnych usług, usług służącej. Rozebrać dzieci ze szkółki freblowskiej, zagrać śniadania, nakryć stoły, a potem, po południu zrobić generalne porządki w dużych i małych salach... uf! to dosyć!

– Słuchajcie, jeszcze tylko kilka miesięcy i dostanę patent! Jeszcze kilka miesięcy!... Czy Franka już była?

– Czy myślisz, że czekamy tylko na ciebie? Masz tu! – Kwiryna wydobyla z kieszeni pałta zawiniątko z jedzeniem.

– Swoją drogą ta Cechna jest nienasycona.

Frania nadeszła od strony teatru, wymachując kapeluszem. Aby odzyskać odwagę, wypięknąć, iść tak swobodnie z obrzydłym kapeluszem w dłoni, na to trzeba dotknięcia męskiego, mężczyzny. Dokonała się tajemnicza przemiana, patrzyły zdumione na rozwichrzone włosy Frani, na jej błyszczące oczy, na uśmiech o nieodpartym, żalonym wdzięku. Z cukierni Jackowskiego dobiegły pierwsze przyciszone tony walca. Kobiety, które siedzą za ogrodzeniem, przy stolikach, zostały wprowadzone tam przez mężczyzn. A te samotne włóczą się melancholijnie po alejce Literackiej. To mężczyzna sprawia, że się jednym susem przebywa ten skok do wnętrza, do cukierni, do teatru. Rozdawca wszelkiego dobra, dostatku, spokoju. On odsuwa krzesła stojące na drodze, podaje ramię przy niziutkim stopniu schodów, wybiera stolik, przywołuje służbę i troskliwie pochyla się nad swą towarzyszką. Jak to błogo, gdy się ktoś o człowieka troszczy!... Frania miała, z pomocą mężczyzny spod teatru, przebyć teraz ów skok.

– No? Czy mówiłaś mu o wierszu?

Skinęła głową. Stała przed ławką, na której zasiadły, jak przed pierwszym rzędem widzów w teatrze. I jak ongiś, w szkole, zaczęła mówić ten wiersz, wybrany na egzamin.

Kocham cię, gwiazdo, w obłoki rzucona

Z dała ode mnie –

Do której próżno wyciągam ramiona,

Tęsknię daremnie –

Słuchały z natężeniem. Ważna chwila, jedna z nich ma wydzwignąć się, wyfrunąć w świat.

Ogarnia je tęsknota za czymś pięknym, za czymś niedoścignionym, co się winno jednak w człowieku urzeczywistnić, inaczej chyba życie nie miałoby sensu? Trwa to chwilę, takie uniesienie nadziei, przez miłość dla życia. A potem przychodzi uczucie rozpaczliwej bezsilności, instynktownie czują, iż stoją w miejscu, gdzie się nie walczy, a poddaje, skąd się wiecznie wyciąga ramiona do gwiazd. Jest takie miejsce, przeklęte, nie do uwierzenia, czarne miejsce życia. Myślą ze smutkiem, że jeśli przyjdzie miłość, to nie one będą wybierać, przyjmą to, co spotkają, jakiegokolwiek, tak jak Amelka przyjęła pana Michałowskiego, a Frania pana spod teatru, choć jest stary, gruby,

niemiły. Uczuły swoją szczególną bierność.

Cechna, najmłodsza, przygarnęła się do Frani, jak do kogoś silniejszego.

– Och, Franiu, jeśli ci się poszczęści, nie zapominaj o nas.

Po trzech dniach, gdy siedzą na ławce w bocznej alejce, obmyślając, jakby tu wykombinować dla Frani sukienkę na egzamin, nadbiega ona sama od strony teatru, po dawnemu skulona, z głową wsuniętą w ramiona, w milczeniu.

– Co się stało?

Nie może mówić, twarz ma rozdętą krzykiem, pada na ławkę, dusi się.

– Co ci jest, co się stało?

Bronka, bliska płaczu, obejmuje ją, Kwiryna odpina bluzkę. Wtedy dreszcz – jeden, drugi, trzeci, szybkie, przejmujące dygotanie łamie to sprężone ciało, usta chwytają powietrze.

– Nie mogę, nie mogę! Nie będę zdawać! Już nie mogę. – Patrzą ze zgrozą na czerwone piętna, ślady ukąszeń na szyi, na poszarpaną bluzkę, na sine plamy rozlane szeroko na piersiach, na Franię tak strasznie jakoś zaciętą, sponiewieraną – i poczynają płakać w milczeniu, ukradkiem, nad nią, nad sobą, nad sobą...

IGNAŚ WRACA

– Fajerant!

Mietek zobaczył przez okno zdążającego podwórzem Ignasia i cisnął to słowo dziobatemu Jankowi tak samo jak ojciec, gdy się śpieszył. Bronka w kusiutkiej, wyrośniętej halce i nie dopiętej bluzce ledwie zdążyła umknąć do kuchni. Matka zgromiła ją:

– Czego się wałęsasz po domu nieubrana?

– Wie mama, kto przyszedł? Ignas.

Matka się straszliwie zdziwiła:

– O, o, patrzajcie, to on przyjechał z tych swoich zagranic?

Na facjatce zamilkła maszyna, dziobaty Janek zaraz po fajerancie podążył do Wikty.

Odkąd kalekę przejechał ciężki wóz od Haberbuscha, dziobaty Janek przesiaduje u Wikty.

– No – jak się masz, jak się masz!... – Mietek ucałował Ignasia jakoś bokiem w policzek koło ucha, niezręcznie. – No, co słychać u ciebie, no, skąd wracasz?

Ignas objął go ramieniem, ze wzruszenia nie mógł powstrzymać

współczującej uwagi:

– Widzę, że zabrałeś się do stolarki?

Mietek uśmiechnął się skrzywieniem warg.

– Pensja urzędnicza nie wystarcza na utrzymanie domu. Zresztą... taka tam robota! – machnął lekceważąco ręką, ale w następnej chwili z pewną dumą wskazał na wykończony model stolika pod samowar, ze szklanym blatem, galeryjką i dwoma skrzydełkami opuszczonymi lub podnoszonymi na łańcuszkach pod zastawę do herbaty.

– Nowość.

Ignas roześmiał się, chciał powiedzieć: teraz nie czas na samowary, ale spostrzegł ten sam błysk zadowolenia w oczach Mietka, jaki gościł ongiś w spojrzeniu starego Mossakowskiego, gdy mu się udało nowa sztuczka. Mruknął:

– A więc pół dnia biuro, a potem stolarka?

Stali wśród rozrzuconych wiórów, stopy ich tonęły w wiórach i trocinach. Korytko z wodą, w którym obsadzono kamień do czyszczenia ostrzy, cuchnęło. Ignas przez mgnienie oka ujrzał życie Mietka zatrzymane w miejscu. Można by pomyśleć, gdy się patrzyło na Mietka, na fartuch roboczy po ojcu, na zawinięte rękawy koszuli, na sposób, w jaki wymawiał „fajerant!” – że to stary Mossakowski. Ignas huknął go ochoczo w ramię:

– Ubieraj się, wyjdziemy na miasto.

Okazało się, że Mietek ma wieczorem próbę zespołu i wyjść nie może.

Jeżeli życie musi mieć jakąś ozdobę, to tu właśnie była ozdoba życia Mietka. Pierwszy publiczny występ zespołu odbył się z racji pogrzebu ojca. Nad rozwartą, rozkopaną mogiłą zaśpiewano: „W mogile ciemnej śpisz na wieki...” Ale już drugi występ, w sali Sokoła, udał się ogromnie, w gazecie umieszczono maleńkie wzmianki pochwalne o amatorskim zespole muzycznym pod dyrekcją p. Mieczysława Mossakowskiego. Ignas wiedział, że Mietek nie przywiązywał wagi do pochwał, chodziło o muzykę. Jednak, w ciągu dalszej rozmowy, odniósł wrażenie, że Mietek schował się za muzykę, jak za parawan, jak za wygodną zasłonę, która go uwalniała od wielu innych rzeczy.

– Co porabiają twoje siostry?

Można się było dowiedzieć tylko, że Maria choruje ciągle na fluksję, twarz jej puchnie, szyje, jak dawniej, u pani Podgórskiej. Ale już historia Bronki była bardziej zawiła. Mietek wybierał się do pani inżynierowej, od dawna, aby w jakiś sposób omówić dalszą przyszłość siostry. Kończyło się zawsze na zamiarach.

– Co ja ci będę o takich drobiazgach mówił, u nas jak to u nas: – żyje się. Ale ty! Podróżowałaś! Politechnika! Zagranica!...

Znów zagadywał i chował się za parawan słów, biuro to był jeden

parawan, stolarka drugi, muzyka trzeci. Ignasz ocenił to jako szczególnie tchórzostwo. Mietek pracował ciężko, ale jego postawa wobec życia była bierna.

– Słuchaj no, Mietek, nie gadaj nic o żadnej politechnice i Francji, to była bujda dla starych. Siedziałem w Krakowie i w Dąbrowie Górniczej... – Ignasz przerwał i zawahał się na chwilę: – Wdałem się w niebywałe historie wojskowo-polityczne, na takie rzeczy starzy nie daliby mi floty.

Mietek poczerwieniał. Wspomnił strajk szkolny i żartobliwie zauważył:

– Może znów dostaniesz ładną czapkę, Ignasz?

– Oby twoje słowa stały się ciałem – zaintonował Ignasz.

Odczuł przykro to zbycie jego spraw takim żartem i pomyślał: – Po co ja tu właściwie przychodzę? Po co ja tu wracam? – I nie próbował latać, jak dawniej, tej przyjaźni.

Mietek chciał go udobruchać:

– Jak to, to ty nie spędzisz dzisiejszego wieczoru z Łodzią?

– Z jaką Łodzią?

Mietek wytrzeszczył oczy w sposób tak zdumiewający, iż Ignasz zmieszał się:

– Z jaką Łodzią, na miłość boską?

– Z tą od trykotazy – rzekł pośepnie Mietek. – Z nas dwóch ty chyba miałeś więcej powodów, by pamiętać to imię!

Ignasz roześmiał się gorzko:

– Nie, do diabła, wcale nie mam pamięci do imion damskich, wylatują mi z głowy!

Nadeszła pani Eugenia, zaczęli się schodzić członkowie zespołu i Ignasz pomknął do kuchni przywitać Mossakowską. Jakiś głos młodzieńczy krzyknął rozpaczliwie:

– Nie można! Nie można!

Ktoś usiłował przytrzymać drzwi z wewnątrz. To Bronka, Ignasz poznał ten głos nierówny, który srożył się i zabraniał, a zarywał się jednocześnie taką słabą nutą, czułością, gotów na ustępstwa. Roześmiał się:

– Biedactwo, to ty tu siedzisz nieubrana? Czekaj, przyniosę ci sukienkę z szafy.

Ożywiony, wrócił na mieszkalną stronę – zespół wśród brzęczeń i pomruków stroił już instrumenty. Musiał przeszkodzić Mietkowi.

– Mietek, która to sukienka Broni? – Mietek nasrożył się, ale wstał, zdjął sukienkę i rzucił mu ją na głowę.

Ignasia owionął ciepły zapach; u Mossakowskich, jak dawniej, kładziono do szafy jabłka między bieliznę i ubrania. Ten zapach wraz z szorstkością lichej wełny przypominał w dziwny, prawdziwy sposób – wieś. Ignasz uczył, jakby trzymał w ramionach coś ogromnie wzruszającego – gorąca i krucha

chwila. Westchnął, wcale o tym nie wiedząc, i wrócił pod drzwi kuchni. Dłoń, którą wysunięto przez szparę, była ciemna, mała, zupełnie dziecinna.

– Pośpiesz się – powiedział, jakby do tej dłoni – przecież ja nie mam się gdzie podziać – tam próba, a tu znów nieubrana panna. Gdzie mama?

Zmieszany, nierówny głos odpowiedział:

– Mama poszła z panią Raczyńską do kościoła.

Po chwili został wpuszczony do kuchni. Bronka nie zdołała przyglądać włosów, stała w swej granatowej sukni, rozczochrana.

– Nieee? To Bronka? – powiedział – kiedyś zdążyła tak wyrósć?

Była najmłodsza w domu, berbec, a oto stała przed nim, niemal sięgająca mu głową do ramienia, i patrzyła tak poważnie okrągłymi, burymi oczyma.

– Siadaj – powiedziała i uczyniła ruch zapraszający ręką – ale w kuchni stał tylko taboret, zawalony ubraniami domowymi matki.

– Gdzież mam siadać? – Zaczerwieniła się, chciała sprzątnąć szmaty, pachnące gotowaniem, ale on siadł już na łóżku i przeciągnął się. – Tak będzie lepiej – rzekł – siadajże.

Nie ociągała się, usiadła. Z mieszkalnej strony wybiegły nagle nierówne dźwięki i tak samo nagle umilkły. Widocznie Mietek przerywał, zaczęto jeszcze raz. Raz, dwa, trzy – raz, dwa, trzy! Teraz z równych, harmonijnych dźwięków wypłynął głęboki głos wiolonczeli, niczym najprawdziwszy głos człowieka, opowiadający coś ważnego, coś jedyne. To zapierało oddech w piersi, zsuwało ciszę, nakazywało załamać w zadumie ramiona. Ignas przeląkł się tego głosu władczego i prawdopodobnego. Zwątpił nagle, czy muzyka była parawanem dla Mietka, czy parawanem była praca w biurze i stolarka, zwątpił nagle, aby to było tchórzostwo. Spojrzał na Bronkę i dopiero teraz zauważył w jej dziecinnej twarzy rys zgnębienia, jakiejś niewypowiedzianej pokory i bezbronności. Nagle przyszło mu na myśl, że gdyby dotknął jej teraz, toby sama padła na łóżko, na wznak, z tą swoją pokorą i wzruszającą, czystą twarzą. Nawet by się nie broniła. Uczuł gorącą falę, uderzającą z głębi ciała ku twarzy, zacisnął ręce i ochłonął.

– Co za świnią ze mnie. – Z mieszkalnej strony nadbiegł teraz wysoki, kryształowy dźwięk skrzypiec. Bronka westchnęła słabo. Siedzieli w milczeniu nasłuchując, nieświadomie pozwalając przemawiać za siebie tonom, dźwiękom, słabym i uroczystym, przyciszonym i mocnym akordom, w których była pełnia, całość.

– Smutno ci?

Ujął ostrożnie jej dłoń i jakby jej obiecywał wieczyste wybawienie od niewiadomych smutków, uściśnął tę dłoń mocno i nagle.

PIĘKNE RÓŻE

Od dawna już nie odmawiano w domu wspólnych wieczornych pacierzy, ale tego wieczoru z soboty na niedzielę Bronka przyklekła przy łóżku w kuchni i jąła szeptać słowa tak bardzo znane, iż stawały się niezrozumiałe. Matka już spała. Mała lampka kopciła się na murku kuchennym, okno szeroko otwarte ukazywało ciemne, rozcapierzone na majowym niebie gałęzie kasztanu. Nagle stare i niezrozumiałe słowa modlitwy stały się aktem strzelistym, hymnem dziękczynnym do Boga – za życie. Zgasła groza i przerażenie tamtego wieczoru, gdy się patrzyło na sponiewieraną Franię. Ciemna, duszna kuchnia przez swą ciszę i możliwość samotności wydała się rajem, światło lampki drżało niczym cielesne drżenie nadziei, płacyk za oknami nie mógł cuchnąć w taką noc majową. Kasztan na pewno puści liście i zakwitnie białoróżowymi stożkami, podobnymi do świeczników.

Akt strzelisty, hymn dziękczynny do Boga – za życie, za to niewiadome uszczęśliwienie; Bronka nie dostrzegła nawet, kiedy modlitwa ta zmieniła się w modlitwę dziękczynną – za Ignasia. Za zamkniętymi powiekami żyło każde jego słowo z tamtego wieczoru, każdy ruch, uśmiech, cień i rozjaśnienie twarzy. Uniesienie kazało jej westchnąć znów i raz jeszcze:

– O Boże, Boże, Boże!

Matka przebudziła się, mrugnęła powiekami od światła i sennie nakazała:

– Zgaś światło, kładź się. – Przestraszona Bronka zdmuchnęła lampkę i położyła się na samej krawędzi łóżka.

Nie może zasnąć, leży z szeroko otwartymi oczyma i czeka dnia.

Na drzwiach kuchennych, na wieszakach, rozwieszono świeżo uprasowane sukienki, nowe, letnie. Ciemnobłękitna dla niej, różowa Janki. Maria ma twarz opuchniętą i wymówiła się od majówki, ale przerobiła swoją suknię, delikatną, szarą, w różowe kwiatki, dla Frani.

Wystarczyło, aby Ignas był tak dobry i zaprojektował majówkę, a wszyscy stali się dobrzy i usłużni, jakby pragnęli, aby ten dzień upłynął jak najlepiej. Czy tylko będzie pogoda?

Oczekiwała świtu przejęta niepokojem, to znów ufnością, że nie może się już stać nic przykrego. Raz po raz zapadała w świetlistą otchłań, w sen. Ignas znów siedział na brzegu łóżka, zespół grał na mieszkalnej stronie, Ignas dotknął jej dłoni i zapytał:

– Smutno ci?

Potrząsnęła głową, zaprzeczyła w uniesieniu, jakby zapłakała ze szczęścia, chciała powiedzieć, że jest jej strasznie dobrze, ale słowa uwięzły w gardle, nie mogła mu tej najważniejszej rzeczy powiedzieć. Coś ciepłego dotknęło jej powiek, ocknęła się. Skośny promień słońca leżał na ścianie,

drgnięciem dotykał powiek. Nie było matki w łóżku, pewnie poszła do kościoła. Kuchnia łśni czystością, pachnie kawą.

W głębi domu stuknęły drzwi. Mietek wstał z punktualnością zegarka i zabierał się do mycia.

– Co, ty jeszcze leżysz! – Podniesionym głosem zawiadomił, że nie będzie czekał ani minuty. Cały zespół miał wziąć udział w majówce. – Śpieszcie się! – poganiał siostry. – Dokąd będziecie się guzdrać! Dostyc tego mizdrzenia!

Janka, w halce i koszuli, z obnażonymi ramionami weszła do kuchni i krzyknęła porywczo:

– Zamiast gadać, odejdz od miednicy, bo ja też nareszcie chcę się umyć.

– A tak, teraz wszyscy razem do miednicy i wszyscy naraz do lustra. Gdzie koszula dla mnie? Gdzie mama? Dlaczego ja nie mam nic przygotowanego?

Odezwał się głos matki, od progu, matka wróciła z kościoła z twarzą rozjaśnioną.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nie kłóćcie się, dzieci, zaraz wszystko będzie gotowe!... Piękny dzień macie, piękny czas na wycieczkę!...

Cechna, w odświeżonej, nakrochmalonej, białej sukience, z szumem falbanek, przebiegła sień i zapukała do drzwi.

– Czy jesteście gotowi?

– Idźcie naprzód, dogonimy was! Idźcie! Czekać na rogu Zjazdu i Mariensztatu.

Amelka, obawiając się gniewu pana Michałowskiego, zgodziła się z tą radą, ale Cechna wołała iść w towarzystwie.

– Czy mogę wejść? – Wyglądała prześlicznie, biała suknia na błękitnym spodzie. Nikt by się nie domyślił, ale Cechna wyznała szczerze: – Przerobiona z panińskiej sukni mamy, dlatego taka poźółkła. Czy znać?

– Nic a nie! – zapewniła Bronka gorąco. – Wygląda jak kolor lekkokrem!

Mietek z mandoliną w ceratowej pochwie cmoknął matkę w rękę i wyszedł pierwszy. Maria przypinała szarfę do sukni Janki. Musiały potem biec za Mietkiem, który zdążał naprzód ogromnymi krokami.

Na rogu Mylnej i Karmelickiej, przy kiosku, czerwieni się suknia Kwiryny.

– Myślałam, że już nie przyjdziecie!

Kwiryna ubrała się bardzo twarzowo, suknię ma czerwoną, jej czarne oczy lśnią, słońce leży na gładko zaczesanych włosach. Chłopiec Roman dźwiga paczkę z jedzeniem, żakiecik Kwiryny i chustkę, aby było na czym siedzieć na trawie. O, Kwiryna umie się urządzać!

– Co, znów nie wzięliście nic do jedzenia? – pyta zaniepokojona.

Zakrzyczano ją:

– Nie obawiaj się, Ignas funduje wszystkim obiad w restauracji na Bielanych.

Mietek pogania:

– Prędej, prędej! Wygadacie się jeszcze przez cały dzień!

Na Zjeździe przy umajonym wozie czeka Ignas z głową obnażoną. Zespół ulokował się już na siedzeniach, utonął w pędach młodej brzeziny. Pani Eugenia w bluzce koloru lila, strojnej gipiurą karczka i rękawów, wygląda jak królowa.

– Panie Mietku, tu, tu.

Ignas zbliża się szybkimi, porywczymi krokami, wita Bronkę słowem: nareszcie! – po czym pomaga dziewczętom wejść na wóz. Trzeba wsunąć stopy w szprychy koła. Cechna płoszy się:

– Czy wóz nie ruszy?

Ignas ujmuje ją wpół i hop! tchórz siedzi już na wozie. Ale Bronka zostaje zatrzymana:

– Poczekaj, ja i ty siądziemy na ostatku.

Nie ma jeszcze pana Michałowskiego, nie ma jeszcze Frani. Bronka porzuca Ignasia, aby wyjść Frani naprzeciw, spotyka ją zaraz za rogim. Jak to dobrze, że Frania uśmiecha się nareszcie, że nie jest smutna w dniu tak pięknym! Całują się, jak po długim niewidzeniu, a widziały się wczoraj wieczorem. Pan Michałowski zajeżdża pędem w dorozce... z harmonią.

– Ja wam zagram, zobaczycie! Cóżecie myśleli, jechać na Bielany bez harmonii?

– No, jazda, moi państwo, jedziemy, dokąd będziemy tkwić na bruku? No, wio!

Ludzie przystawali i ze śmiechem krzyczeli:

– Wesołej podróży! Dobrej zabawy!

Jakiś zawiany jegomość przystanął, wpadła mu w oko Kwiryna.

– Ta czarnulka – powiedział z rozczuleniem i błagał: – Weźcie mnie z sobą, ludzie, zabierzcie mnie!

Ale Ignas zażegnał awanturę:

– Panie, my tu jesteśmy w swojej kompanii, odwalaj pan!

Jak tylko wyjechali z miasta:

– Marsza, panowie! – krzyknął Mietek. Ucięli tego marsza dziarsko, ostro, rytmicznie, aż konie osadziły się na chwilę, aby potem zerwać się do biegu szybkiego, wesołego. Wóz drgał, zataczał się, niebo i obłoki zdawały się pomykać prędko nad głowami, zielone listki brzeziny uderzały twarze, muskały tak drażniaco szyję, wiatr rozburzał włosy. Coraz to ktoś wpada ze śmiechem w czyjeś otwarte ramiona.

– Czy wygodnie siedzisz? – troszczy się Ignas, a Bronka odpowiada z zachwytem:

– Cudownie!

„Cudownie!...”, to słowo, nigdy prawie nie wymawiane dotychczas, sfruwa teraz lekko z warg, cudowna jest pogoda, niebo, piosenka, życie! Któż to krzyknął na wozie: cudowne jest życie?! To pani Eugenia, skrzypaczka, ze skrzypcami, opartymi o falującą pierś, wypowiedziała tę swoją prawdę, spojrzała na Mietka, aż zaczerwienił się z wrażenia. Nie mogło się obyć bez śpiewu. Grano i śpiewano na przemian marsza Sokołów i „Choć burza huczy wkoło nas”, aż głosy dziewczęce wyciągnęły smutną, urywaną melodię: „Iskiereczka ognia, gałązeczka ziela, nikt nie będzie widział mojego wesela!...”

– Przestańcie! – Krzyknęła Kwiryra – śpiewacie, jak na pogrzebie!

Ale to już chyba miał być taki dzień dziwny, że zanoszono się od śmiechu i wpadano w smutek, bez powodu, smutek przeplatał się weselem.

Kwiryra miała awanturę z rodzicami przed wyjściem z domu, pani Raczyńska płakała, przerabiając swą suknię dla Cechny, matka i Maria zostały w domu z wieczną żalobą, Frania dostała „pater noster” od przełożonej zakładu, bo opuściła niedzielną mszę. Ale to wszystko pozostało poza nimi, były upojone, mówiły: „Oddycham pełną piersią” i „co za powietrze!”, wybuchały śmiechem i całowały się co chwila. Wóz tańczył po wyboistej drodze – ach! – krzyczały – ach! – ratunku! spadamy.

Bronka milczy. Gdy tylko usiadła obok Ignasia, znalazła się jakby za gęstą zasłoną, wszystko, co się dzieje dookoła, dociera do niej niczym daleki szum, jak w muszli, gdy się ją przyłoży do ucha. Tuż koło niej siedzi Ignas, kołysanie i pęd wozu wzburza ją wewnątrz, czuje się tak słabo, takim strasznym nagle ulega wzburzeniom i niepokojom. Musi podnosić głowę, gdy mówi do niego, a ciągle bezustannie czuje jego oddech na głowie, słowa padają na nią z góry. Ignas, taki poważny, taki wielki, taki inny. Oczy ma ciemnobłękitne, od razu wierzy się tym oczom. Musi spoglądać na niego, ciągle, muszą pochylać się ku sobie, nic nie mówiąc. Od tych spojrzeń Bronka zapada znów w swój sen szczęśliwy, odtąd już nie wie, co dzieje się naprawdę, a co jest tym snem, urojeniem, marzeniem.

Ocknęła się w ramionach Ignasia, tańczono. Kwiryra z panią Eugenią, na klęczkach, gospodarowały przy białym, rozpostartym na trawie obrusie. Pan Michałowski siedział na pniu świętego drzewa z wielką harmonią szeroko rozciągniętą: grał. To był walc, który często grali na podwórzach Nowolipek kataryniarze, może przez to wspomnienie w jego polotnych, szumnych dźwiękach, w jego łagodnej radości krył się taki smutek. Ale powracał ciągle śliczny refren, wymowny, niczym sama miłość, i zmuszał usta do uśmiechu szczęśliwego, nasycał oczy blaskiem, ramiona wdziękiem i mocą. Krótkie rękawy sukni, ściągnięte przy łokciach gumką, wydeły się od wiatru, między nimi, jak między skrzydłami ciemnobłękitnych chmur, leżała przechylona

twarz dziewczęca. Ignas miał ją tuż pod swym spojrzeniem, oddaną, oddaną tak bezgranicznie i prawdomównie, iż wstrząsnął się od tego wrażenia. Może to jest miłość? Spojrzał na Bronkę, a ona opuściła powieki, w kątach oczu leżał wilgotny cień, z którego ukradkiem spoglądały chciwe oczy.

– Tak się zawsze zaczyna – pomyślał nagle – a potem...

Wspomniał swe wszystkie romanse z pannami od kapeluszy z ulicy Długiej i skrzywił usta w uśmiechu. Uczuł żal do Bronki za to jej oddanie, za jej bezbronność, za łatwość, z jaką poddawała się uściskom jego ramion. Powiedział żartobliwie:

– Broń się! Będiesz potem płakać!

Ale ona uśmiechnęła się łagodnie, nie rozumiała. Wokół wirował cały zespół z Amelcią, Kwiryną, Cechną, Janką i Franią, nawet pani Eugenia tańczyła z Mietkiem.

– To walc „Piękne róże”!

– Piękne róże! – zaśpiewała Amelcia.

Szli brzegiem Wisły, sami, między młodymi zaroślami wierzbowymi. Bronka potykała się co chwila, nazwał ją niezdarą. Ostrożnie pochylała się nad wodą, bała się rzeki, była jak więzień wypuszczony nagle na swobodę, wszystko dla niej było nowe. Ujął ją za rękę i zmusił do biegu wraz z falami, po brzegu. Palce ich przeplotły się, pomieszały ze sobą.

Zaczęła się odwieczna gra, zabiegi wstydlivosti i pragnienia, nie mówili już nic, odpychali się i przyciągali wzajemnie. Uczuł, że ona pozostaje w tyle, zmęczona, zatrzymał się. Stała w swojej błękitnej sukni, pobladała, dysząc. Przyciągnął ją ku sobie, padła lekko i ulegle twarzą na jego pierś. Ale gdy chciał unieść tę głowę do góry, uczuł, że się opiera, że stężała w bezruchu.

– No, Broniu – rzekł jakoś nagłaco i niezręcznie – no, Broniu, Broniu...

Głaskał lekko jej rozburzone włosy, nagle wyciągnęła się na palcach, jakby wymknęła się z jego objęć, ale usta znalazły się tuż pod jego wargami. Wtedy przygarnął ją mocniej i pocałował.

Zimne miała wargi, takie surowe od wiatru, a potem poczuł, jak tajały, z drżeniem, jak wydały nagle całą słodycz najprzenikliwszą. W tej chwili odepchnęła go, ale znów przyciągnęła; niezręcznymi, wstydliwymi palcami dotykała jego twarzy, uczyła się miłości, oszołomiona. Widział, jak płonęła ze wstydu, a poruszała się jakby rządzona siłą obcą a niezwalczoną. To wszystko, i pierwszy wstyd, i połączenie się z kobietą było już poza nim, już to wszystko przeżył, zna. Ale czy to nie był pierwszy jej pocałunek? Strasznie zapragnął to wiedzieć, wziął ją za ręce i przygarnął ostrożnie.

– Broniu, kochasz? Powiedz, Broniu...

Otoczyła jego szyję szczupłymi ramionami, objęła go mocno. Na rękę padł cień, słońce się skryło, łódź z rozdętymi żaglami sunie skośnie i szybko po powierzchni. Aż tu dobiegają jeszcze ciągle stłumione tony walca „Piękne

róże”. Nagle uczył coś gorącego i wilgotnego, co przemknęło po jego szyi za kołnierz koszuli, przemknęło palącym dreszczem przez pierś. To Bronka płakała z twarzą ukrytą w wgłębieniu jego ramion. Uchylił głowę, uśmiechnęła się zaraz płochliwym, przepraszającym uśmiechem.

– Czemu płaczesz – spytał cicho – czemu ty płaczesz, Bronka?

Wyznała, że jest jej tak strasznie, tak bardzo... dobrze.

KONIEC I POCZĄTEK

Tego samego wieczoru niedzielnego, gdy Kwiryna tak wesoło bawiła się na majówce, zamordowano jej rodziców. W niedzielę też handlowali, puszczali ludzi od tyłu, przez kuchnię. Chłopiec Kwiryny, Roman, odprowadził ją późnym wieczorem i pożegnał przed bramą. Nie uszedł daleko, gdy zawróciło go z drogi wołanie Kwiryny. Podeszła do niego.

– U nas coś się stało – powiedziała.

Sklep był od frontu zamknięty na sztaby i kłódki, i okiennice, a oni leżeli za kontuarem, ogromne, szare zwały ciał, watowane tułuby. Wieczór był piękny, majowy, ale im ciągle było zimno w sklepie na piwnicach, nieogrzewanym i nie wietrzonym nigdy. Nawet krwi nie było widać, krew wsiąkła w watę kaftanów.

To, że Kwiryna czytywała ciągle „Sherlocka Holmesa” i była otrzaskana z tymi sprawami, pozwoliło jej na tak przytomne zachowanie się. Zaraz wysłała chłopca do cyrkułu.

– Najpierw policja! – powiedziała – nic nie ruszać – mord rabunkowy!

Gdy chłopiec wyszedł, raz tylko weszła do sklepu, by zabrać puszkę z landrynkami, stojącą w samym kącie półki. Puszka była bardzo ciężka. Gdy chłopiec wrócił, Kwiryna stała już w sieni, wraz z dozorcą. Wysłała go znów zaraz do ciotki, na Wolską. Trzymała się dzielnie, gdy ją policja przepytywała, odtworzyła jasno stan rzeczy przed majówką – i co zastała po powrocie. Tylko na pytanie: kogo podejrzewa? Kto u nich najczęściej był w sklepie, potrząsnęła głową. Przychodzili tu różni tacy, siadywali z boku przy stoliku i pożywiali się, zjadali na miejscu zakupione produkty. Strażnicy z więzienia z Długiej, ci co więźniów odwiedzali, a nieraz sami więźniowie, gdy wychodzili już na wolność. To było ważne i w tym kierunku poszło śledztwo.

Sklep opieczętowano. Przyjechała garbata ciocia z Woli, stara panna, której starzy dotąd nie dopuszczali blisko siebie, bo była biedna, i nie chcieli, żeby ich objadała. Maria Mossakowska zajęła się szyciem żałoby, Mietek i

chłopiec Kwiryny – pogrzebem. Znow zespól stanął nad mogiłą i zaśpiewał pieśń pogrzebową. Kwiryna stała naprzeciw zespołu w grubej żałobie, z ciotką z jednej i z Romanem z drugiej strony. Oczy miała suche. Gdy skończyli, podeszła, aby im podziękować, ścisnęła kolejno ręce. I ona, tak samo jak Mietek, w dniu pogrzebu rodziców stała się osobą dorosłą. Pan Karol z zespołu, przyjmując podziękowanie, rzekł:

– Chciałbym niedługo zaśpiewać pani coś weselnego, na przykład: „Boże nasz, oto serc dwoje...”

Już na pogrzebie mówiono o ślubie, chłopiec Kwiryny stał z boku, słyszał to i skrzywił się z przykrością.

Kwiryna nie chciała opuszczać Mylnej, to był dobry punkt, w tej uliczce nie było sklepu spożywczego. Więc wynajęła po szewcu, w tym samym domu. Pewna była, że nikt nie wynajmie dawnego sklepiku, gdzie popełniono morderstwo, na sklep z żywnością, nie będzie miała konkurencji pod bokiem. Garbata ciotka z Woli przeniosła się do niej.

Zaraz pierwszego dnia, gdy otworzono sklep, ciotka stanęła za ladą. Kwiryna wstała prędko z pościeli, przyodziała się byle jak, przypasała błękitny fartuch z napierśnikiem i wyszła do sklepu.

– Ciocia zajmie się domem, a ja sklepem. Co ciocia robi na obiad? Niech ciocia więcej ugotuje i zostawi na wieczór, bo przyjdzie pan Roman.

I tak już zostało na dobre: ciotka w kuchni, Kwiryna w sklepie. Z początku myślała, że da ciotce jakąś pensyjkę, co dzień zabierała się uroczyście do omówienia warunków. Ale potem jakiś głos wewnątrz niej rzekł wyraźnie:

– Czy nie wystarczy za samo życie i mieszkanie? – Postawiła sobie taboret przy szufladzie z kasą, ręce jej często odsuwały szufladę i segregowały drobne w zielonych przegródkach. Popadała w zadumę, o co jeszcze zadbać, a ręce bezmyślnie przesywały miedziaki i srebro. Naraz przytomniała i zatrząskiwiała z gniewem szufladę. – Co ja robię, mój Boże!... – Zdawało jej się, iż przy półce z landrynkami i przy kasie czuwają zwaliste postacie tułubów, przemykał cień życia, jakie wiedli między tymi samymi sprzętami.

Wtedy dźwigała się i była dawną Kwiryną. Ale to ciągnęło, kasa, przesywanie drobników.

Tak jak bezmyślne spożywanie ziaren słonecznikowych, od tego oderwać się nie było można.

Dawna pani ze szkoły dowiedziała się o wypadku i napisała list. „Biedne moje dziecko, nie wiem, co ci powiedzieć, jakie znaleźć słowo; piszę, byś czuła przy sobie moje serce”.

Kwiryna w zdumieniu i lęku czytała te słowa czułości, obezwładniające ją. „Niech reakcją Twoją na zło, z którym się zetknęłaś, będzie skupienie

ducha, które wydobędzie z ciebie najwyższe wartości”. Ten list czegoś się od niej domagał. Kwiryra zdecydowała nagle, że w tym roku Franka będzie mimo wszystko zdawać do szkoły aplikacyjnej.

– Teraz ci mogę pomóc, Franiu. – A więc dała jej opłatę na egzamin, obmyślała suknię. – Najlepiej czarną, aksamitną z gipiurowym kołnierzem, to będzie najprzystojniejsza i elegancko. Myślę, że Maria uszyje tanio, a może nic nie weźmie za szycie?

Któręś dnia napisała do Frani kartkę: Idź przymierzyć suknię do Mossakowskich. Frania pośpieszyła tam zaraz. Maria trzymała w ręku poprutą, czerwoną suknię Kwiryry, suknię z pamiętnej majówki.

– Dobrze, że Kwiryra jest taka duża i tęga – rzekła Maria – będzie można łatwo przerobić na twoją figurę. Zamiast kołnierza, wykończę ci małą czarną pliseczką z jedwabiu. – Frania ze łzami wdzięczności w oczach podziękowała Kwiryry i Marii.

Frانيا poszła na Trębacką, na egzamin.

– Czuję, że wiesz powiedziałam dobrze, że się podobał.

Ale potem zapytano ją o Fredrę, „ojca komedii polskiej”, o jego sztuki. A Frania na kompletach utknęła na „złotym wieku literatury polskiej”, dalej nie poszła, w pamięci jej tłukł się mętnie Rej i Kochanowski. Nie mogła odpowiedzieć.

– Gapo – rzekła Bronia – ach, gapo. „Śluby panieńskie”... wiesz! – Ale i tu wyczerpały się wiadomości Broni.

Zresztą – za późno.

Wynik egzaminów, lista przyjętych miała być wywieszona w bramie przy windzie. Frania nie spała tej nocy. Nad samym ranem przełożona zakładu dała jej znać, aby natychmiast udała się do swej opiekunki, pani mecenasowej. Pani zachorowała. Frania musiała usiąść i czuwać nad chorą, i czytać jej książkę, nie mogła pobiec na Trębacką. Kwiryra, nie mogąc się doczekać jej przyjścia, usadowiła ciotkę w sklepie i zadyszana z pośpiechu stanęła przed wielkim gmachem teatru. W bramie przed listą z głową zadartą stała Bronka. Między długim szeregiem nazwisk nie było nazwiska Frani.

– Odsuń się – rzekła Kwiryra – ja sama zobaczę.

Uważnie, z bijącym sercem, odczytywała kolejno nazwisko po nazwisku – nagle odwróciła się i krzyknęła z gniewem:

– A co mnie to obchodzi!... Wzięłybyście się lepiej do jakiejś pracy!

To był koniec. Kwiryrynie teraz wszystko przeszkadzało i wszystko ją drażniło. Cechna wpadała często do sklepu i oczywiście jadła, co było pod ręką. Amelka idąc z Długiej, z magazynu, wstępowała na gawędę. Często akurat zastawała chłopca Kwiryry, Romana.

Dawniej to był jej chłopiec. Amelka z zazdrością patrzyła, jak jej Roman czule dbał o Kwiryrynę, jak jej doradzał w urządzaniu sklepu, w wyborze

towarów, w ustalaniu cen. Siadali razem do kolacji, chłopiec opowiadał o kursach wieczorowych w Stowarzyszeniu Kupców.

Amelka zaczęła robić słodkie oczy do chłopca. Kwiryna spytała od niechcienia:

– A cóż ten twój pan Michałowski, czy już nie przychodzi?

Amelka aż zaczerwieniła się na taką niedelikatność. Ale Kwiryna posunęła się jeszcze dalej. Pewnego wieczoru Amelka zastała drzwi zamknięte na klucz, a na jej pukanie odpowiedziała słodko garbata ciotka:

– Kto tam? Panna Amelcia? Kwiryny nie ma w domu.

Nic więcej. I to musiało wystarczyć Amelci, aby więcej już nie odwiedzać gruboskórnej Kwiryny.

SCHODY

Ignas znalazł wreszcie chwilę, że mógł szepnąć Bronce:

– Będę czekać na ulicy, wyjdź.

Odszedł w głąb pokoju, nie wiedząc, czy zrozumiała, czy posłucha, czy pójdzie za nim? Patrzył na nią uporczywie i sam nie wiedział – jak błagalnie. Ona mogła nie iść. Bronka. Z nieśmiałości, z obawy, w czystości swej. Lękał się, że gdy wyjdzie, już jej nie zobaczy, znów wisiał nad nim wyjazd do Krakowa. Zdecydowany nagle, ścisnął ramię grającego Mietka i skłonił się z daleka brzęczącemu zespołowi. Ujrzał, jak przez twarz Bronki przemknął rozpaczliwy przestרח. Już pewny, wyszedł prędko nie żegnając się, ale nie mógł odejść od drzwi, póki nie usłyszał lekkich nierównych kroków Bronki w korytarzu. Z kuchni zapytała stara Mossakowska:

– Bronka? Gdzie idziesz?

– Do Kwiryny, mam, na chwilę.

Otworzyła drzwi do sionki, wyciągnęła rękę, ujął ją mocno i pociągnął ku sobie. Miał jej tyle do powiedzenia, tak sądził przed chwilą, Ale teraz przyłgnęli do siebie bez słów, tuż przed drzwiami domu. Wreszcie wyszli.

– Dokąd pójdziemy? – Ignas bez przekonania rzucił: – Do iluzjonu? Do cukierni? Powalęsam się?

Wiódł ją pod rękę, palce jego zaciskały się coraz mocniej na jej ramieniu w twarde uścisk.

Nie mogli się na nic zdecydować, przeszli Karmelicką koło iluzjonu, przeszli koło cukierni.

Wszędzie było pełno ludzi, a ich ogarniał już ów smutek bezdomnej miłości, w rytmie kroków rodziła się jakaś aż groźna, zupełnie inna bliskość i

zależność. Ty i ja, i nic więcej.

Ale wokół było ruchliwe mrowie. Ogród Saski drżał głosami, wzdychał ciemnością. To jakby orzeźwiło Ignasia, uśmiechnął się blade, zaproponował:

– Może pójdziemy tam? – Weszli do cukierni Jackowskiego, Bronka przebyła ów symboliczny skok, jest po drugiej stronie. Siedzi przy stoliku naprzeciw Ignasia, tak jak dawniej ojciec z kuzynką Heleną. Usta jej płoną i boją, uśmiecha się, oczy spoglądają z głębokiego, wilgotnego cienia. Ignas mówi:

– Nie nocowałem dziś w domu – i wyklada sprawę swego nieporozumienia z rodzicami. To jest stracony rok na politechnice, cofnięta przez ojca i tajemnie wypłacana przez matkę pensja.

Bronka uśmiecha się, to zdaje się nic ją nie obchodzi, patrzy niewidzącym, tajemnym spojrzeniem, wzrokiem samej miłości, sytej tym, że może tak patrzeć, tak napawać się i nasycać. Ignas milknie. Czuje, że uczynił wysiłek daremny, że coś chciał zagadać, coś stłumić, skierować na inne tory. Wspomnienie tamtego pocałunku na Bielanych, ramiona Bronki zarzucone wokół jego szyi i przesywający dreszcz płaczu... Nagle mówi, zająkując się z pragnienia i gniewu na siebie:

– Czy... czy poszłabyś ze mną... do mnie, Broniu, Broniu, Bronka.

Splonęła i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie – tak. Kruchy, łamiący się głos ma nad nim władzę dziką, podżegającą.

– Płacić!

Teraz wie dzie ją, wstępują w górę po schodach, z ogłuszającym łomotem serca, do swego przypadkowego mieszkania, pokoju kolegi przebywającego w Krakowie. Schronienie miłości: nagie światło żarówki pod sufitem, łóżko zasłane szorstkim kocem, maszynka do czarnej kawy, druki, książki, gazety.

– Nie powinienem tego robić!

Gdy ją prowadził po schodach, doznał przez chwilę piekielnego wrażenia, że wprowadza ją na drogę do wszystkich ciemnych schodów kawalerskich pokoiów, widział ją wstępującą tak w górę z łomotem serca przez całe życie, ciągle, nieskończenie. Ale wówczas przyłgnęła twarzą do jego ramienia, ruchem sennym i pieszczotliwym. Był jak pijany, a ona czyż była przytomna, gdy drżącymi palcami dotykała jego ubrania, czoła, ust, włosów – znów uczyła się miłości, poddawała się okrutnym jej nakazom.

W jakiejś chwili ujął ją mocno i unieruchomił w objęciu. Powiedział:

– Musimy panować nad sobą, Bronka.

Uśmiechnęła się z pomieszaniem obrzmiałymi wargami, odsunęła, jak gdyby była winną, przytomniała. Znów była niezręczną dziewczyną, westchnęła boleśnie.

– Nie gniewaj się na mnie – rzekł – przepraszam cię, Bronka.

– To ja cię przepraszam, Ignasiu.

Zaczynali cierpieć już i smuć się, sami nie wiedząc dlaczego, z jakiego powodu rzucili się sobie w objęcia i potem te objęcia rozwiązali. Stali naprzeciw przy łóżku, podali sobie ręce jak dawniej, jak przedtem na Nowolipkach, gdy jeszcze nic się nie stało. Zobaczył wyraz takiego nieopanowanego żalu na pobladłej twarzy Bronki, jednakże uczyniła ruch ku wyjściu.

Odejdzie tak samo, jak przyszła – pomyślał i przypomniał sobie ruch jej głowy, zaprzeczenie i zgodę w jednej wyrażający chwili. Chciał jej coś wytłumaczyć z swych uczuć i rzekł okrutnie:

– Nigdy tego nie rób. Bronka, nie idź tak bezmyślnie za mężczyzną, choćby cię o to nie wiem jak prosił.

Zapłonęła nagle czerwonym rumieńcem obraży i niespodziewanie oparła mu się, przeciwstawiła z gniewem.

– Uderzyłeś mnie. Nie wiadomo za co. Przecież poszłam za tobą nie tylko dlatego, żeś mnie o to prosił, ale że... – Przerwała, a on napierał:

– Że co?

Chciał, aby wypowiedziała to słowo rozgrzeszające; domagał się tego słowa gładząc jej włosy, ramiona, twarz. Zapadła znów w kamienne milczenie, zasępiona i daleka, czuł, że wszystko, co teraz powie, będzie odbijało się jak o mur, nieprzyjęte, niedopuszczone do świadomości. Odwracała się od niego twarzą w bok, wymykała się z wargami lekko odętymi, chmurna. Wówczas zaczął ją całować delikatnie, wciąż czując chłód i opór pod wargami. Przypomniał sobie, że i wówczas, na Bielanych, ręce mu zarzuciła na szyję, a nie powiedziała tego słowa – Kocham – które tylekroć mu szeptała, wcałowywano w usta, objawiano w spazmie miłosego uniesienia. – Umrze raczej, niż powie to słowo – pomyślał. I cóż to był za wstyd, cóż to była za duma nieszczędząca łaskawych, odruchowych zapewnień ciała, a wzdragająca się przed wypowiedzeniem jednego słowa? Mruknął nagle:

– Jutro pewnie wyjadę.

Wtedy sprężone ramiona Bronki zwiotczały nagle, dziecinny przestrasz znów wionął przez twarz. Podjął się ku niej całym ciałem i padła wraz z nim z tą samą jeszcze przerażoną twarzą, z rozrzuconymi ramionami, które go natychmiast objęły z siłą i rozpaczą.

Rozstawali się na rogu, pod cukiernią Kaca, nie chciała, by ją dalej odprowadzał. Za żółtymi zasłonami widniały twarze pochylone ku sobie. Dziewczyny chodziły prędko wyszczerbionym chodnikiem w głąb ulicy i z powrotem, przystawały na rogu, pod latarnią, twarze miały tak bardzo umalowane, tak niecierpliwie. Przemknęła drynda z Manią Prymas, obok niej siedzi mężczyzna. Stara Żydówka mruczy nad koszem, niczym czarodziejskie

zaklęcia:

- Bejgele – bejgele – bejgele.
- Do widzenia, Broniu, do jutra.

Podniosła ku niemu twarz, w której już nic nie było prócz miłości, jakby ktoś cudotwórczymi palcami kształtował te rysy, tak zmienne a utrwalone tęsknotą i blaskiem źrenic, łagodnym uśmiechem warg, pogodą czoła.

– Droga moja, droga moja, Broniu – powiedział i zdjął go przejmujący żal przed tym rozstaniem.

Odchodziła już, nowym jakimś równym i spieszonym krokiem, głowę miała tak mile przechyloną przez ramię. Patrzył za nią, póki nie zniknęła.

PIERWSZA POSADA CECHNY

Cechna pierwsza u mety. Nazajutrz po rozdaniu patentów z biura na Siennej dano znać, iż jest posada wychowawczyni. Z Siennej pomknęła Cechna do hotelu Brühla. Jej mały pupil tkwił jeszcze na kolanach niani, piękny chłopczyk o główce w lokach i anielskim spojrzeniu błękitnych oczu. Jego ojciec jest dyrektorem filii jednego z wielkich banków petersburskich, w Szawlach, przystojny i elegancki brunet, a matka to piękna i bardzo grzeczna blondynka.

Tak jak w marzeniach Cechny: ta para małżeńska i synek, jej pupil. Nie chciał iść do niej na kolana, przywykł do niani, ale to nic, przyzwyczai się.

Jeszcze tej samej nocy Cechna opuszcza dom, aby odbyć podróż tak długą, razem z państwem. Pani Raczyńska miała urwanie głowy. Jednego dnia prać, suszyć, prasować, łątać, pakować. Właśnie w całym tym rozgardiaszu pan Michałowski wprowadza Amelcię strasznie bladą. Przywiózł ją dorożką, w iluzjonie zasłała, zrobiło jej się niedobrze.

– Widział kto coś podobnego! – rzecze z niezadowolaniem pani Raczyńska.

I rzeczywiście nie ma chwili czasu, aby zająć się Amelcią i rozpytać o szczegóły jej zasłańnięcia.

– Niech pani prędko da nam herbaty z cytryną – poprosił pan Michałowski i dodał z przekąsem: – Amelcia zrobiła furorę w iluzjonie, wszyscy panowie rzucili się na ratunek.

Amelcia zaśmiała się, zadowolona, a potem jęknęła:

– Ach, znów mi niedobrze. – Zwymiotowała, w ładnym pokoju, na kanapie wyrobu nieboszczyka.

– Coś ty dziś jadła? – zapytała matka sprząając. – Idź do kuchni, do

zlewu, moje dziecko.

Pan Michałowski stał nieruchomo przy oknie. Nie można powiedzieć, żeby okazał trochę serca w tej całej sprawie. Pani Raczyńska straciła głowę.

– Cechna, zdejmn pończochy, to ci wypiorę i wysuszę na drogę. – Ale Cechna chciała jeszcze pożegnać się z koleżankami, nie zostanie przecież bez pończoch. Amelcia ściągnęła z nóg pończochy i oddała Cechnie. Co za bieda, że tylko po jednej parze możliwych pończoch ma każda z nich w domu. Najmłodsze wrzeszczą podniecone:

– Mamo, weź moje dla Cechny, weź moje!

– Pocziwe dzieciaki.

Cechna żegna się z domem Mossakowskich. Bronki nie ma. Janka wróciła dopiero co z miasta i kłóci się z Mietkiem: jest posada kantorowej w pralni na Niskiej, ale potrzeba, złożyć kaucję, dziesięć rubli, to niewiele. Tak, ale i tego nie ma w tej chwili w domu.

– Może pożyczysz ci Kwiryra? – podsuwa Cechna.

– Kwiryra? Zapomnij o tym! – woła wzgardliwie Janka. – Kwiryra to skąpiradło!

Janka jest zrozpaczona: stoi u progu samodzielności, a tu nie ma dziesięciu rubli. Ażeby ją jakoś oderwać od rozpaczliwych rozmyślań, Cechna proponuje:

– Idę pożegnać się do Rubinrotów, chodź ze mną.

I to właśnie pani Rubinrot składa kaucję za Jankę, przynosi dwie złote pięciorublówki i kładzie w jadalni na stole, bez żadnego kwitu.

– Masz, moje dziecko, niech ci służy na zdrowie, na szczęście. Oddasz mi po trochu. Mój mąż teraz dobrze zarabia.

To jest taka niespodzianka, że Regina rzuca się do rąk matki, a Janka płacze.

– Ty nie płacz, tylko załatw interes – przypomina pani Rubinrot.

Janka pędzi do właściciela pralni, nawet nie pożegnała się z Cechną.

Pani Raczyńska klęczy nad starą, plecioną z trzciny walizką koszykową. Trzy koszule, dwie pary majtek, dwie powłoczki, koc i dwie podpinki, i mała poduszka. Sukienka szkolna i biała bluzka na zmianę, na niedzielę – to cała wyprawa Cechny. I to z jakim trudem zebrane!

Wszystko się rozłązi w praniu, od dawna się nic nie sprawia. Ale – dzięki Ci Boże Najwyższy, żeś mi pozwolił jedno dziecko wykierować na ludzi. Cechna zacznie zarabiać, Amelcia dostaje parę złotych w magazynie, małe dorosną. Żeby tylko tego Michałowskiego Pan Bóg natchnął myślą pocziwą!... Amelcia wyjdzie za mąż, dopomoże coś w domu...

Takie ot tam marzenia matczyne, chyba nie za pyszne, Boże drogi?...

Zbliża się chwila rozstania, pani Raczyńska odprowadza Cechnę do hotelu Brühla, będą obydwie nieść koszyk za uszy. Zapewne, lepiej by było zajechać

dorożką, zawsze to inne wrażenie na ludziach robi. Ale trzeba też dać Cechnie parę groszy. Małe płaczą przy pożegnaniu, Amelcia uśmiecha się blade. Nagle mówi ze złością w stronę pana Michałowskiego:

– Niech pan pożycz mi parę złotych, przecież pan widzi, że mama wybiera się na piechotę taki kawał drogi i w dodatku z bagażem.

Pani Raczyńska przestraszyła się: nie trzeba przeciągać struny, bo pęknie. Ale pan Michałowski taki oszczędny, tym razem bez skrzywienia wyjmując portfel. Więc Amelcia już znalazła na niego swój sposób?

Ci państwo kupili dla Cechny bilet drugiej klasy – ale niestety, pupil tak wrzeszczał przy rozstaniu z nianią, że dla świętego spokoju Cechna musiała zamienić się na bilety i pojechać trzecią klasą, niania zajęła jej miejsce w drugiej. Ale najgorsze, że i po przyjeździe na miejsce musiano zatrzymać nianię jeszcze na dwa tygodnie, póki mały się nie przyzwyczai. Cechna drżała o swą posadę. Cóż z tego, że ma śliczny pokój z wyjściem na taras, że ci państwo mieszkają w historycznym pałacu hrabiego Zubowa, a w parku rosną drzewa posadzone podobno ręką carycy Katarzyny? – kiedy to wszystko jest tak strasznie niepewne. Zbysio nie chce Cechny, nie chce jeść, gdy go karmi, nie chce spać, gdy go usypia, nie chce się ubrać i umyć rano. Cechna próbuje stanowczości, ale to daje wynik jak najgorszy i tak wrzaskliwy, że Cechna ustępuje przerażona, aby państwo nie usłyszeli. Ulega mu, idzie na ustępstwa, zdobywa go sobie. Ale to jest tak kruche. Zaczyna opowiadać małemu bajeczkę i ten wybucha płaczem. Dlaczego ptaszek wypadł z gniazda – buu! buu! – a matka nie może go odszukać – buu! buu! – Trzeba było strasznie uważać, by w bajeczce nie było nic smutnego i nic strasznego, takie szczęśliwe dziecko nie znosi smutku.

– Jak się w ogóle postępuje z takim dzieckiem? – zadawała sobie Cechna pytanie – aby było posłuszne? – Przypisywała winę temu, że w czasie gdy inne panienki, te, które płaciły za naukę, asystowały przy praktycznych zajęciach z dziećmi w szkółce freblowskiej, ona akurat musiała grzać butelki i szykować śniadania dla dzieci. Nie znalazła odpowiedzi na swe zapytania, umiała tylko pieścić Zbysia.

Pensję wybrała z góry, nic nie mogła posłać do domu, choć tak bardzo chciała. Ale pani zwróciła jej delikatnie uwagę, że musi sobie sprawić sukienkę letnią, pończochy, drobiazgi. I miała rację: wszystko wokół było tak czyste, piękne, świeże – że ona robiła wrażenie szpetnej plamy na tym tle. Pani dała jej domową pościel, pościel Cechny była niemożliwa. Nawet służące w tym domu nie przykrywały się kocem. Cóż to było za życie w tym domu, ach, jak najdłużej trwać w takim życiu!

Pani współczuła jej, chętnie z nią rozmawiała. Nie tała swego zawodu co do pedagogicznych umiejętności Cechny ani swej troski co do charakteru dziecka. Rzekała:

– Odziedziczył pewne wady po ojcu.

Tak, pan był wymagający co do różnych rzeczy: jedzenia, nakrycia, ubrania, żony, służby, utrzymania domu. To przez niego torturowała się pani w gorsecie od rana, choć tak chętnie poszwendalaby się po domu i ogrodzie w peniuarze.

Ale, ulegając tym zachciankom męża, osiągała taki wygląd, że gdy szli razem ze Zbysiem, mężem i wielkim psem Ralfem, całe miasto oglądało się za nimi z zachwytem. To było – jak piękny obraz.

Cechna znalazła w kuchni, w śmieciach, kartę:

– Mój drogi! Mój drogi kociaku! – pisał pan do pani – już niedługo!

Karta narzeczonego do narzeczonej. Cechna odniosła kartę do pokoju, to przecież pamiątka. Pani spojrzała z osłupieniem na kartę, przeczytała z zainteresowaniem i wybuchnęła śmiechem. Ten śmiech zmienił się zaraz w płacz, pani wybąkała, ocierając oczy:

– Ach, jakie my, dziewczęta, za młodu jesteśmy głupie. Ja nic nie wiedziałam.

Cechna zabawiała się ze Zbysiem w zaprząg, była koniem. Brykała tak wesoło po pokoju, tego dnia padał deszcz. Mieli ładne lejce, z dzwoneczkami, Zbysio wywijał bacikiem. I nagle w najweselejszej chwili otrzymała cios tym bacikiem przez plecy.

– Ach, Zbysiu! – zawołała – to boli!

Ale zaraz przekonała się, że to nie był cios zadany nieświadomie, bo pomimo skargi i skrzywienia ciosy posypały się jeszcze i jeszcze. Wtedy – do końca życia nie zapomni tej chwili – coś się z nią takiego stało, że skuliła się, schowała głowę w ramiona, odwróciła plecami, nie broniąc się – podczas gdy mały szalał dokoła swego konia, zadając mu ciosy...

W tej chwili drzwi otworzyły się, wszedł pan.

– Co tu się dzieje? – Zdumienie ustąpiło wybuchowi gniewu, pan wyrwał bacik z rąk dziecka i zaczął okładać swego synka na oślep. – Spróbujże, jak to smakuje, masz! masz! a masz!

I to się stało przyczyną zwolnienia Cechny z posady. Dziecko miało złe skłonności, to prawda. Biło przedtem, szczypało i gryzło niańkę, to prawda. Ale dlatego właśnie państwo zgodzili „rutynowaną wychowawczynię”. Okazało się, że rutynowana wychowawczyni sama jest jeszcze dzieckiem. Jednakże pani widocznie żał było, nie mogła się bowiem zdobyć na wymówienie miejsca, odkładała to z dnia na dzień. Pewnego dnia pan wrócił z banku wcześniej niż zwykle, strasznie czymś poruszony, w rękę trzymał depeszę.

– Wojna – rzekł – ściągają nas do Petersburga. – Pani krzyknęła i załamała ręce. Ale dla Cechny to był koniec, skorzystano z okazji, aby się rozstać.

Jakże inna była teraz ta sama droga, przebyta niedawno pod bokiem państwa. Po kupieniu biletów i odrzuceniu zaliczek pozostała z pensji Cechny niewielka suma. Ale wracała w nowej sukni, kapeluszu, paltociku, a świat objawiający się w tej chwili zupełnej samotności był taki – że pochłonął ją, że przestała się martwić, zapomniała o sobie. Zdawało się, że ktoś wetknął kij w mrowisko, ludzie w wagonie nawet nie mogli usiedzieć na miejscach, łazili po całym pociągu. Na każdej stacji oczekiwały tłumy z tobołami, dziećmi – rzucali się do wagonu w popłochu. Byli tacy, co im ułatwiali wejście, usuwali się i robili miejsce na ławkach, byli tacy, co protestowali, krzyczeli, zatraskiwali drzwi. Gadali wszyscy naraz, opowiadali sobie o swych domach, losach, o swoich bliskich, o stratach i rozstaniach. Ktoś zapłakał, ktoś śmiał się na całe gardło, ktoś zaśpiewał straszliwą w swym smutku pieśń... Ciężkie chmury i błękitne płaty nieba lotnie przesuwały się przed szybami, biły w nie pieśni. Pieśni i pieśni, i pieśni – ochryple i miękkie, świat jakby wrzasnął nagle nieustającym wrzaskiem żołnierskich gardzieli. Na jakiejś stacji pociąg nie ruszył już z miejsca. Pasażerowie wysiedli na wielkiej stacji, puszczone pociągi z wojskiem. Nieustanny grzmot kół, nieskończony przelot wagonów o oknach pełnych ludzkich twarzy, otwartych ust, wymachujących ramion.

Cechna przycupnęła na swym koszyczku, w bufecie, chwiejną głowę złożyła na dłoni. Dokądś przecież jechała, dokądś zmierzała – gdzieś był ten punkt – ach, tak – na Nowolipki.

Nagle Nowolipki wydały jej się tak strasznie małe, tak śmieszne w tym rozburzonym świecie – niczym wysepka na morzu, którą lada chwila pokryje fala.

– I co ja teraz zrobię? – myślała sennie – co powie mama, że wracam na taką biedę? Po co ja się tam mordowałam na tych kursach, czy kto będzie teraz potrzebował wychowawczyni do dzieci?

Nagle zagrzemiał jakiś głos donośny. Ludzie rzucili się ku wyjściu. Zerwała się i chwyciła swój koszyk, ale ucho wymknęło jej się z rąk, koszyk wydał jej się nie do udźwignięcia.

Ogarnęła ją rozpacz:

– Zostawię go chyba! – pobiegła do wyjścia i zawróciła, płacząc.

Koszule, dwie powłoczki, koc! Matka będzie się gniewać. Ciągnęła koszyk za drugie ucho, płacząc, potykając się, wstydząc. Szyny zastępowały jej drogę – a tuż zaraz otwarte drzwi wagonu, napakowane ludźmi, cel nie do osiągnięcia. Utknęła przed tymi drzwiami, błagała słabo i głupio:

– Czy tu jest miejsce? Może tu jest trochę miejsca?

Rozległ się świst, krzyknęła przeraźliwie. Drzwi sąsiedniego wagonu rozwarły się z trzaskiem, ujrzała wyciągnięte ramię, ktoś ją schwycił oburącz i posadził. Schwyciła z całej mocy to wyciągnięte ramię, pociąg już drżał w

powolnym biegu.

– Mój koszyk, mój koszyk!

– Jest! jest! – uspokajająco krzyknął jakiś głos.

Znalazła się nagle w przedziale pełnym świetnych, błyszczących mundurów, uprzejmych, roześmianych twarzy i odetchnęła z całego serca.

KOLEŻANKA

Na Krakowskim, na samym rogu Mariensztatu, podeszła do Frani sąsiadka z sypialni zakładowej Irena i poprosiła:

– Słuchaj, Franiu, powiedz pani przełożonej, że ja zostaję na noc w pracowni, bo jest dużo roboty. – Frania zawahała się, lecz tamta prosiła gorąco: – Zrób to dla koleżanki, Franiu, spotkamy się jutro i ja ci wszystko wytłumaczę, proszę cię. Stara ci uwierzy, nikomu by nie uwierzyła, a tobie uwierzy.

Irena wyglądała zupełnie nieprzytomnie, widać było, że jej bardzo na tej usłudze zależy. Frania poszła do zakładu i przekonującym głosem z powagą wyłuszczyła sprawę przełożonej zakładu. Ta, przymknąwszy oczy, rzekła:

– Dobrze. – Po czym przywołała jedną z zaufanych pensjonariuszek: – Jutro rano sprawdź mi to na miejscu.

Dziewczęta stoją wokół z kubkami i bułkami w dłoniach, słyszą to. Po kolacji z jakiegoś łóżka rozlega się głos:

– Tylko ty idź i sprawdzaj, i naskarż, to zobaczysz!

Nikt się nie porusza, żadne łóżko nie skrzypi.

– Jeszcze tego brakuje, abyśmy się same między sobą wysypywały przed starą!

– Co ma zrobić taka dziewczyna, co? Jest dorosła, pracuje do dziewiątej, o dziesiątej ma już być w zakładzie, kiedy się ma zobaczyć ze swoim chłopcem, co?

– Milczcie – mówi łagodnie zaufana przełożonej – nie wiesz czasem! z chłopcem!... ja nie powiem, ale to się i tak wyda.

– Jak się wyda, to się wyda – to już nie twoja rzecz.

– No, no, dobra.

Na drugi dzień ktoś woła Franę na ulicy:

– Franiu! – To Irena. Ma nowy kapelusz, wywija nową błyszczącą torebką, jest zupełnie nie ta sama co wczoraj. – No, jakże tam poszło ze starą? – pyta, ale zaraz, nie czekając odpowiedzi, proponuje: – Wiesz co, po

co się mamy śpieszyć do zakładu na kolację, na te buły i herbatkę? Ja nie jestem głodna, zajdźmy do jakiejś kawiarni...

Idą Senatorską, na rogu, na wprost Żabiej otworzono ogródek, pełen krzaków bzu. I wszystko staje się nagle tak dostępne i łatwe, gdy Irena zasiada przy stoliku i dysponuje.

– Jedz, jedz, Franiu, ja mam pieniądze. – Wybucho śmiechem i nie krępując się, oznajmia: – Nabrałam jednego takiego znajomego.

Befszytk, kompot, herbata. Frania pochłonęła to wszystko, siedzi teraz z nogą na nodze, miesza lekko cukier w herbacie, tak jej wreszcie dobrze. Irena ciągle zaprasza:

– A ciastka? Zjemy jeszcze po dwa ciastka.

– Nie, dziękuję, wydasz tyle pieniędzy!

Irena śmieje się:

– Nie bój się, już ja sobie dam radę!

Przy sąsiednim stoliku siedzą jacyś mężczyźni. Irena upuszcza torebkę, jeden z nich zrywa się, podnosi, oddaje i szepce:

– Cóż to panie takie same?

– A same! – mówi głośno Irena – to cóż? nie wolno? nie podoba się panu? – mężczyzna speszony wraca do stolika. – Wszędzie się pchają – mruczy Irena – ananasy!

Ale jest zadowolona, oczy jej błyszczą.

– Wiesz – mówi – ja chyba już nie wrócę do zakładu. Co to za życie – mówi – dość mam takiego życia! Czy ja nie dam sobie rady?

Uśmiecha się, oczy jej płoną, a usta wydymają się wzgardliwie i zwycięsko.

– Nie, słuchaj, to nie dla mnie. – Przy tym boi się starej, stara zacznie się wypytywać, a skąd ten kapelusz, a ta torebka, a to, a owo. – Nie, ja już wytrzymać nie mogę!...

Przestraszona Franka odwodzi ją od takich desperackich postanowień:

– Masz gdzie nocować? Dokąd dziś pójdziesz? Wróc dziś do zakładu, a dopiero jak wszystko sobie ułożysz, wtedy się wyprowadź.

Irena wybucho śmiechem.

– Nie, wiesz, najlepiej nie myśleć, jak się zacznie myśleć, to stchórzysz. Najlepiej tak – raz, dwa i już.

Jest podniecona, udaje zucha, a przecież boi się.

– Nie wiem sama, co jeszcze zrobić.

Franke przestaje to nagle obchodzić. Irena rozgorycza się, zapada we wspomnienia, opowiada o swym życiu. Jest to takie samo życie jak Frani, phi, widocznie nie ona jedna to przechodzi.

Czy tak samo walczyła z sobą, czy tak samo cierpiała, czy i ją mężczyzna w taki sposób zapoznał z pożądaniami ciała? Franka buja nogą, odrzuca w tył

głowę i nagle widzi skierowane na siebie spojrzenie mężczyzn przy sąsiednim stoliku. To na nią patrzają, a nie na Irenę. Parska śmiechem, myśląc pośepnie, że zaczyna prowadzić podwójne życie. Rano mówi modlitwę w zakładzie, uczy się i sprząta u pani mecenasowej, jest traktowana jak porządna dziewczyna, a wieczorem siedzi w kawiarni z taką Ireną i robi oko. Obściskiwali już ją jeden taki i zdawała do szkoły aplikacyjnej, a mecenasowa nic o tym nie wiedziała. A ci – tu, ci dwaj, pewnie są też porządnymi ludźmi, a tamten spod teatru, czyż nie był porządnym, znanym człowiekiem?...

Irena ułożyła sobie już plan.

– Chodź ze mną, jeżeli ja tam zostanę, to ty wrócisz sama do zakładu, a jeżeli nie, to wrócimy razem.

Placą i ująwszy się pod rękę idą Saskim Ogrodem ku Nowemu Światu. To jest jeden z tych domów, który na ostatnim piętrze posiada zawsze gwarne pracownie malarskie z widokiem na wybrzeże i Saską Kępę. Na ostatnim piętrze panuje cisza. Irena puka do jakichś drzwi – nikt jej nie odpowiada. Dotychczas jeszcze myślała, że jednak wróci do zakładu, teraz wobec tych zamkniętych drzwi postanawia czekać.

– Ty nic nie wiesz, co ja przeżywam, jak bardzo tęsknię...

– Przecież chyba widziałas go wczoraj – mówi Franka na oslepek – a tamta patrzy na nią zdumiona:

– Nie, to jest moja miłość, a wczoraj... to było zupełnie co innego.

Ręce jej są gorące, rozpalona twarz przytula się do zimnej twarzy Frani. Schodzą na półpiętro i siadają na parapecie okna. Nie wiedzą, która może być godzina, czy warto wracać do zakładu, czy je wpuszczą? Irena pewnie boi się pozostać sama i mówi nieprzerwanie:

– Może i ty zostaniesz tu na noc, on ma dwa pokoje, to przecież nic złego.

Ale Franka w ostateczności może przenocować u Mossakowskich, odmawia.

Na dole słychać kroki, zrywają się. Ktoś pędzi na górę, przeskakując stopnie i gwizdząc piosenkę. Irena rzuca się naprzeciw temu głosowi, tej lekkiej i zawrotnej piosence. Franka widzi, jak wysoki młodzieniec o pięknej twarzy obejmuje Irenę, jak ją zamyka w objęciach:

– To ty! Wróciłaś!

Nie wie, co ma ze sobą zrobić, to tak dziwnie patrzeć, jak tamci zatapiają w sobie oczy i usta, tu, na schodach. Przeszli wreszcie koło niej, skulonej w kącie, nawet jej nie zauważyli. Irena zapomniała o niej. Szeptali coś sobie usta w usta. Franka dosłyszała.

– Na całą noc, dobrze?

Została sama. Znów sama.

Lampka ćimi się mętnie na ścianie. Jakies drzwi trzasnęły, skądś dobiegł odgłos odsuwanych fajerek, ktoś przebiegł palcami po klawiaturze pianina,

rozsypując krótkie gamy, niczym urwane pytania. Potem zapadła cisza. Wówczas na tych schodkach przysłała na Frankę taka zła chwila, gdy uczuła swe ciało jako coś boleśnie spragnionego i domagającego się nasycenia. Gdyby teraz ktoś dźwignął ją z tego miejsca, utulił w ramionach, poszłaby za nim, z nim, bez wahania. Od widoku tamtych dwojga wszystko się w niej rozkruszyło, rozpadło, zmaćniało. Nie być samą, przytulić się do kogoś, nie być już samą. Przyłożyła dłoń do ust – wargi piekły tak boleśnie i słodko...

Po czym dźwignęła się, jeszcze raz się dźwignęła, by uciec jak najprędzej z tego miejsca.

Irena nie wróciła już do zakładu. Oto Irena w dorożce na gumach, błyszcząca lakierem pantofelek i przezroczystą czernią pończoszki, Irena fundująca sute poczęstunki i tak namiętnie opowiadająca o miłości. I to jest także Irena, co czeka na rogu Mariensztatu i prosi:

– Franiu, dowiedz się tam delikatnie, czy stara pozwoliłaby mi zamieszkać w zakładzie?

I to jest także Irena, której się wynosi po kryjomu bułki na schody i gorącą herbatę, to Irena mówi o miłości obelżywymi słowy, błędnie z nienawiści, gdy mowa o mężczyznach. Jest chora.

– Co ci jest?

– Lepiej o tym nie mówmy.

Jest chora, idzie tak chwiejnie, pod murami kamienic, bocznymi ulicami, kapelusze ma mocno wciśnięty na czoło.

– Koniec ze mną – mówi – koniec i amen.

A potem jakiegoś dnia znów jest ładnie ubrana, znów pędzi w dorożce na gumach. Jest znów na wierzchu.

Nie ma Wokulskich i Judymów, to bzdura. Są faceci, bubki, kawalerowie, chłopcy, „bracia koleżanek”, „koledzy brata”, różni tam tacy, co łażą po ulicach, krążą, kołują, podchodzą.

– Czy mogę pani towarzyszyć, pani sama? W którą pani stronę i czemu taka mina sroga? Gdzie się pani śpieszy, taka niedotknięta. – To można było zbyć jakkolwiek, podniesieniem głosu.

Ale inni, ci, co ocierali się o dziewczynę, co ją tykali, co szli, szepcząc świństwa za ramieniem, lub wyprzedzali po to tylko, aby wyczyniać kabalistyczne i bezwstydnymi znakami palcami rąk założonymi w tyle... Franka dygotała z gniewu, blada, z oczyma uciekającymi w bok, niezdolna wykrztusić obelg, które cisnęły się na usta. Po stokroć zbliżała się do człowieka z ufnością, serce jej zatętniło nagle nadzieją, bolesny i słodki ucisk zdawał się wróżyć i zapowiadać coś niezwykłego, prawdziwego. Był jakiś słynny baletmistrz, który ocenił ją badawczym rzutem oka.

– Niech pani zajdzie kiedyś do mnie wieczorem, ma pani taneczne ruchy.

Był jakiś „poeta”, któremu powierzyła zwitek swych wierszy, który

odpisał jej wierszem:

– „Przeczytałem kart kilkoro, w nich talentu widzę sporo”. Zbliżała się do nich ze śmiesznym nabożeństwem. – Niech pani przyjdzie wieczorkiem i – co pani taka cnotliwa, nie udawaj, widziałem cię na Nowym Świecie z Ireną.

Słuchała z osłupieniem, zanim zaczęła mówić tak samo, zanim nauczyła się śmiać z nich i odpowiadać przez zęby:

– Ręce przy sobie, dobrze? Tylko bez gestykulacji! Już wiem, co pan mi powie!

W głębi tego wszystkiego drżały łyzy. Poza dumą, poza zaciśniętymi zębami pogardą drżały łyzy.

Idzie ulicą, za sobą ma przytulne ciepło mieszkania pani mecenasowej, przed sobą okropny półmrok zakładu, wspólną chóralną litanię i pustkę nocy, nocy niespanej. Pada deszcz, ma dziurawe pantofle, lodowate stopy nie chcą już dźwigać ciała.

– Muszę coś zrobić z sobą – myśli. – Przed czym ja się właściwie tak bronię, czego ja chcę, czemu się tak szarpie? – Szydzi z siebie, drwi ze swoich wysiłków, ze swych pragnień „innego” życia.

Ale czuje niepoohamowany opór przeciwko tym wszystkim, tym nędznym słowom, tym nędznym zdarzeniom. Gdyby mogła się przemóc! Na co czeka? Co ma z sobą zrobić? Jeżeli istnieje miłość... To może być wielkie, to może ją ochronić, zbawić, o, mój Boże drogi – jeżeli istnieje miłość...

Ocalić się dla miłości, to jest znów jakieś zdanie z książki, którego nie można dopasować do życia. Stoi przy oknie małej sali w zakładzie. Zjazd do mostu grzmi nieustannym grzmotem wojny. Dziś czytała głośno pani mecenasowej artykuł w gazecie. Znów ukazało się słowo „Ojczyzna”, to słowo drżało szczególnie, żywo, namacalnie, tętniło nadzieją. Ale było już związane z braterstwem, z wspólnym wrogiem, który teraz był – Niemcem. Czytała to bez zapału, w szkole uczono je nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie. Teraz gazety dygotały nienawiścią do Niemiec. Słowa stawały się czymś zdradliwym, wykrętnym, posłusznym narzędziem w ustach człowieka, by mógł je użyć do jakichś tam swoich celów, może wielkich. Dla niej stawało się pustym i martwym, przez wykrętną wieloznaczność.

ROZSTANIE

Którego to było dnia? Bronka pogubiła dni, godziny, miesiące. Ale tamten dzień musiała rozpatrywać bez końca, to było jak niczym niezagojona rana. Wróciła od pani inżynierowej, wieczorem, matka powiedziała posępnie:

– Był tu Ignas, bardzo się o ciebie wypytywał, gdzie ty jesteś. Chciał się pożegnać, bo wyjeżdża, ale co on znowu do ciebie ma, że tak mu na tym pożegnaniu zależało? Tyle razy wyjeżdżał i nic, a tu dzisiaj aż się trząśł. Wziął adres inżynierowej i poleciał.

Bronka zakręciła się po pokoju i przepadła. Z dreszczem wspomina ten bieg przez ulice, ulice natłoczone tłumem. Strasznie dużo było ludzi, za dużo, by wypatrzeć, dostrzec, przeczuć, zobaczyć! Dopadła do domu inżynierowej i zawróciła, dopadła do domu Piędzickich, okazałego, ogromnego – zaczęła chodzić po chodniku, warować koło bramy, patrzeć w okna, stojąc po przeciwległej stronie ulicy. Były ciemne.

Nie mogła odejść z tego miejsca, nie mogła nóg od chodnika oderwać. Zaczepiano ją.

Wtedy pomyślała, że to tak łatwo łączyć w tę i z powrotem, jak dziewczyny koło cukierni Kaca. Chodziła i myślała, że jeśli Ignas wyjechał do Dąbrowy Górniczej, jeśli przemycił się przez granicę do Krakowa i wstąpił do tego jakiegoś swego wojska, to go chyba nigdy nie zobaczy. I wszystko to, ta cała wojna dopiero teraz wydała jej się okropną, wielką rozłąką.

Zabierała ludzi od swoich i gnała w świat, zabierała ludzi od miłości, od miłości! Wszystko było mniej ważne, puste, wszystkiego mogła się w tej chwili wyrzec, a tylko czuła, że miłość jest najważniejsza, on, Ignas, ja i ty, miłość. To było tak jasne, iż Bronka wstrząsnęła się ze zdumienia nad głupotą świata.

Chodziła i myślała – wszystkie smutki, które przeżyła, przeciągnęły przez nią, gdy chodziła pod bramą Ignasia. Jak to siedziała w oknach i wypatrywała komornika, jak trzęsła się ze wstydu w sobotę, żeby Mietek nie przyniósł dwójki, i jak okropnie ją bolało, kiedy ojciec uderzył matkę. I jak Maria cierpiała z miłości, i jak ona sama stała pod cukiernią Kaca, patrząc na ojca i kuzynkę Helenę. I płacz matki, i „Gorzkie żale”, i piętna na ciele Franki.

Pochmurne poranki i smutne wieczory, gdy zewsząd czyhały na człowieka złe sprawy. Nic dobrego nie stawało w jej pamięci, cała przeszłość miała barwę ciemną...

Nie wiadomo kiedy spadła na nią pewność, że już Ignasia nie zobaczy, że wyjechał, że się go już pod tą bramą nie doczeka. Wtedy uspokoiła się i powlokła tymi samymi ulicami na Nowolipki. Nie umiała cierpieć, nie znosiła cierpień i truchlała już w samym początku tych cierpień od bolesnych, przesywających ukłuc, od płaczu, który kolczastą kulą uwiązał w gardle. Rada była, że tak to jakoś dało się ułagodzić, że to jakoś minie. Tak doszła do rogu, do cukierni Kaca, tu, gdzie się ongiś żegnali po raz ostatni. Usłyszała słowa:

– Droga moja – droga moja – Broniu – i nagle jakby dopiero teraz pojęła, co ją spotkało tego straszego dnia.

Zobaczyła twarz Ignasia jakby z boku, jedną jej stronę, policzek – to widziała dawniej zawsze idąc koło niego, to było zawsze najdostępniejsze jej spojrzeniom. Przeszywające uczucia bólu przejęły ją na wskroś, całą. Ogarnął ją strach ogromny, że będzie wydana teraz ciągle na ten ból, że to będzie jej udziałem, ciągle!

– Ja nie chcę – nie chcę – powiedziała do siebie bezradnie i zaczęła opędać się rękoma, odpychać od siebie, bronić się, zanim zauważyła, iż ludzie oglądają się za nią.

Skręciła w Smoczą i uszła spory kawałek drogi, zauważyła, że się oddala od domu. Dom, kuchnia, łóżko, które dzieliła z matką! Pomyślała chciwie, że matka będzie już spać, gdy ona wróci, że będzie mogła przycupnąć w kącie twarzą do poduszki, że zaśnie. Zawróciła pędem do domu. Drzwi od sionki były zamknięte. Zapukała lekko. Cisza. I nagle zrozumiała, że matka chce ją w ten sposób ukarać, usłyszała prawie, jak matka mówiła:

– Niech trochę postoi za drzwiami, niech się naje strachu, to jej się odechce włóczyć wieczorem.

Zdjął ją gniew i duma, a zarazem poczuła, że wcale nie pragnie tak wrócić do domu, dusić się razem ze wszystkimi, że nic ją i nikt nie obchodzi. W ładnym pokoju u Raczyńskich świeci się jeszcze – zawróciła do bramy i lekko poruszyła klamką tamtych drzwi. Otworzyła jej Amelcia.

– Słuchaj, Amelciu, u nas już zamknięte i ja nie chcę budzić mamy.

– Chodź do nas, ja śpię sama na kanapie w ładnym pokoju – rzekła Amelcia.

POWRÓT

Zaraz po wyjeździe Cechny pani Raczyńska dostrzegła, że Amelcia kłóci się z panem Michałowskim. Wzięła nad nim górę, to prawda, ale czy to jest sposób na mężczyznę? To nie jest sposób.

– Muszę jej zwrócić uwagę, i Amelciu, tak się nie postępuje z mężczyzną – rzekła. – W ten sposób nic nie zwojujesz, mężczyźni tego nie lubią. Ja z nieboszczykiem przeżyłam całe życie bez tego marnego słowa kłótni i nic dla niego nie istniało, prócz domu, żony i dzieci.

Amelcia spojrzała na matkę, jakby ze zdumieniem, jej błękitne oczy załśniły złowrogo.

– Czy mama wie, o co chodzi?

– Skądże ja mogę wiedzieć, ja tylko wiem, że cicho, zgodnie, po bożemu, a wszystko dobrze się skończy.

Amelcia wzruszyła ramionami, gotowa przysiąc, iż matka klepała te słowa ślepa, głucha – głupia! Krzyknęła nagle tak, że małe, bawiące się w drugim pokoju, przycichły w przerażeniu, krzyknęła straszonym głosem.

– Czy mama nic nie widzi! – Ale tak samo nagle ochłonęła z gniewu, zacisnęła usta i powiedziała łagodnie: – Niech się mama nie wtrąca.

Matka rzekła:

– Jeszcze pożałujesz tych krzyków na matkę, zobaczysz! kto nie słucha ojca, matki, ten słucha psiej skóry.

Nazajutrz Amelcia przybiegła z magazynu z taką nowością, że wyjeżdża na wieś, do Wawra, z koleżanką.

– Jak to, tak bez przygotowania, łap-cap?

– Da mi mama bieliznę do zmiany, ręcznik i już.

– A pieniądze?

– Powiedziałam mamie, że jadę do koleżanki, nic mnie to nie będzie kosztować. Mam takie zawroty głowy, ciągle głowa mnie boli, już nie mogę wytrzymać, może tam na powietrzu przyjdę do siebie!

Rzeczywiście, Amelcia ciągle teraz chorowała. Pani Raczyńska tłumaczyła nawet i zaręczała panu Michałowskiemu, że Amelcia dotąd miała żelazne zdrowie. Pan Michałowski orzekł, że to anemia. Bardzo namawiał do wyjazdu i nawet jakby się tym wyjazdem zajął. Pani Raczyńska przestała się dopytywać i opierać – najlepiej zdać się na wolę boską! Widać, że Amelcia już tak się umówiła z panem Michałowskim. Wieczorem przyszła ta koleżanka, pani Raczyńska podziękowała jej z wylaniem całej wdzięczności. Amelcia ucałowała małe i pochyliła się do rąk matki.

– A kiedy wrócisz?

– Pewnie za tydzień – może trochę dłużej – a może...

Nagle Amelcia zatrzęsła się, zbladła i zapłakała. Tak strasznie jest ciągle rozstrojona tym bólem głowy. Pani Raczyńska krzyknęła:

– Nie jedź, Amelciu, tyś chora! naprawdę chora!

Ale koleżanka pociągnęła Amelcię ku wyjściu, pan Michałowski czekał już za drzwiami.

– Nic jej nie jest, niech pani będzie spokojna!

Rzeczywiście rano, ubierając małe, pani Raczyńska była tak dobrej myśli, że śmiała się i pokazywała dzieciom, jak będzie wyglądać Amelcia po powrocie ze wsi. Wydymała swoje blade, papierowe policzki, robiła tłustą twarz, a małe zataczały się od śmiechu.

– Wcale jej nie poznamy, ona wchodzi, a my stoimy i nic. – Co pani sobie życzy? – Dopiero potem zapytam: Amelcia czy nie Amelcia?

Zamiast Amelci wieczorem nadjeżdża Cechna. Pani Raczyńska stoi akurat w oknie i podlewa na noc fuksje, a tu zajeżdża dorożka na gumach. Jeśli dorożka na gumach i mundur oficcerski na siedzeniu, to już można być pewną,

że nikt inny, tylko ta Mańka Prymas. To, co najpierw wpadło w oczy pani Raczyńskiej, to wcale nie była własna córka, tylko koszyk walizka pod nogami woźnicy. Koszyk tak dobrze znany, w tak okropnym teraz stanie, jakiś brudny, roztrzęsiony i przepasany przez pół rzemieniem oficerskiego paska.

– Jak to, o mój Boże?! – szepnęła do siebie pani Raczyńska. – Przecież go sama szorowałam i pręcik żelazny nowy kupiłam, i klódeczkę!...

Dopiero teraz poznała Cechnę, szamocącą się właśnie z walizką. Młodziutki oficer krzyknął na dorożkarza i ten podskoczył z kozła, aby wziąć tłumok. Zanim pani Raczyńska ochłonęła, dorożka ruszyła z miejsca, znikła sprzed okien, natomiast we drzwiach stała Cechna.

– W imię Ojca i Syna... – rzekła pani Raczyńska – prędej bym się nie wiem czego spodziewała...

Ale Cechna przerwała z energią:

– Przecież jest wojna. – To oburzyło panią Raczyńską, dopiero teraz oprzytomniała: – To co, że wojna? To się zaraz musisz z oficerami dorożką rozbijać?!

– Nie o to chodzi – rzekła Cechna – tylko dyrektorstwo wyjechali do Petersburga i dlatego nie mam już posady. – Cechna rozebrała się z płaszczyka i ukazała się oczom matki w nowej, granatowej, zgrabnie uszytej sukience, taka jakaś inna, nowa – oczy jej błyszczały pięknym blaskiem. – Czy miałam pojechać do Petersburga, tak daleko i w tak niepewnym czasie? – To już zupełnie zmieniało postać rzeczy.

Pani Raczyńska przyznała rację. Cechna przeszła na palcach do drugiego pokoju, ażeby nie zbudzić małych, które już spały, stała nad nimi:

– Śpią jak aniołki! – po czym zawróciła do matki: – Żeby nie ten oficer, nie dostałabym się do Warszawy. Czy mama ma pojęcie, co ja w drodze przeżyłam! – Spojrzała na matkę z osłupieniem, roześmiała się: – Myślałam, że już Nowolipki zapadły się pod ziemię, a tu tak spokojnie, jakby się nic nie stało.

Pani Raczyńska wyjaśnia, że tu nawet wojska nie przyjeżdżają, bo dokąd? Ani kolei, ani koszar.

– Jak chcę coś zobaczyć, to idę na Nowy Zjazd. – Już miała opowiedzieć o przeciąganiu wojsk i rannych, a tu ręce jej się same załamały i jęknęła: – Dobrze, ale co będzie z twoją posadą?!

Cechna z oburzeniem spojrzała na matkę:

– Przecież mam patent! – Wydawała się tak pewna siebie, że matka natychmiast uwierzyła w możliwość posady. Przy tym – policzki Cechny zaokrągliły się, pierś podniosła, cała figura tak wyzgrabniała, że aż pani Raczyńska westchnęła sobie. Co to za piękności wyrosłyby z tych dzieci, żeby je tak trochę odchuchać, oddmuchać. Dobre i to, Amelcie też te parę dni

na wsi postawią na nogi. A Amelcia nawet na nogach nie przyszła, tylko ją przywieziono dorożką. Koleżanka prowadziła ją pod rękę.

– Amelciu! – krzyknęła matka i straszne przecucie ścisnęło jej serce. Musiała jednak zapanować nad sobą, bo Amelcia trzęsa się jak staruszka, gdy szła przez pokój ku kanapie.

Rzęsiste łzy toczyły się po jej twarzy, ale usta uśmiechały się łącie dziecięcym uśmiechem:

– Ach, mój Boże! Jak dobrze jest żyć, mój Boże, myślałam, że umrę!...

– Co to za gadanie, moje dziecko! – krzyknęła pani Raczyńska.

Amelcia otoczyła jej szyję ramionami i jakimś cienkim, dziecięcym głosem prosiła:

– Niech mama się nie gniewa, ja już nigdy, nigdy, nigdy, mamu.

To było takie rozdzierające, że słuchać nie było można. Bo cóż ona była winna, że zachorowała? W takim ciągłym niedostatku?

– Ja się nie gniewam, za cóż bym się gniewać miała? Tylko ty mi o śmierci nie mów, nie wzywaj Pana Boga nadaremno, bo to grzech.

Amelcia wzdrygnęła się.

Trzymając się sprzętów, doszła do okna i obejrzała fuksje. Jak wyrosły! Policzyła pąki i zadumała się o czymś nad tymi fuksjami. Potem chciała obejrzeć całe mieszkanie, jakby tu wiek nie była i zapomniała, i gdy tak chodziła od sprzętu do sprzętu, pani Raczyńska uwalniała się raz na zawsze od dręczących ją wątpliwości. Dobrze zrobiła, że zatrzymała mieszkanie, choć zalega z komornym, dobrze zrobiła, że nie wyprzedala rzeczy po „śmierci nieboszczyka”. Dom to jest dom. Można nie dojeść, nie ubrać się, a bez domu z dziećmi żyć nie można. Dzieci muszą mieć dom.

Nawet się w końcu uśmieła z tego wszystkiego, że to Cechna, a nie Amelcia przyjechała z wydętymi policzkami. I Cechna przywiozła zapasy, bo ją tak częstowano w wagonie, że zjeść wszystkiego nie mogła i chowała ukradkiem. Pani Raczyńska wstawiła wodę na herbatę, nakryła stół i rozłożyła prowianty Cechny. Czego tam nie było! Pierozki z mięsem, z kapustą, z grzybami, kanapki z kawiozem, z rybą – istna uczta. Gdy obsiadły stół, zdawało się, że to za dawnych dobrych czasów, gdy nieboszczyk żył – nawet Amelcia śmiała się srebrzyście. Ale wieczorem przyszedł pan Michałowski i znów się zaczęło! Głos Amelci nabrał stalowych tonów, tak jakoś nieprzyjemnie odnosiła się do pana Michałowskiego, oczy od niego odwracała. Poszli jednak do ładnego pokoju i zostali tam sami. Cisza. Pani Raczyńska położyła się spać, łóżko jej stało akurat przy zastawionych drzwiach, a po tamtej stronie stała kanapa. Wtedy usłyszała urągliwy głos Amelci:

– Naturalnie, teraz to znów wojsko przeszkadza. – Głos męski odpowiedział coś perswadujące, a głos Amelci podniósł się jeszcze wyżej: –

Teraz mi na tym wcale nie zależy, nie myśl sobie, mam już dosyć! Nieraz patrzeć na ciebie nie mogę!

Pani Raczyńska chwyciła się za głowę. Co ta dziewczyna wyrabia! Teraz właśnie zależy na panu Michałowskim. Jest taki zapobiegliwy, wspomniał, że robi sobie w domu zapasy żywności, a tu coraz ciężiej z tymi prowiantami. W razie czego, to chyba nie odmówi. Cóż to za dziecko niedobre ta Amelcia, też sobie wybrała porę na kaprysy. – Muszę się w to wdać – postanowiła pani Raczyńska z rumieńcem złości na papierowych policzkach. Ale zaledwie któregoś dnia zaczęła rozmowę z panem Michałowskim, w sieni, Amelcia staje niespodziewanie we drzwiach. Oczy jej błysnęły, dostrzegła, jak matka odruchowo wsunęła rękę do kieszeni fartucha. Już wie, od dawna powinna wiedzieć, a dopiero teraz wybucha.

– Niech mama tego nie robi! Mamo, ja wszystko mamie oddam, co tylko zarobię...

Takie tam głupstwa... Sama nie wierzy w swoje słowa, bo urywa. Zapracować na taki dom, na tyle osób, jedna dziewczyna! I znów płacz, i znów załamywanie rąk, co ja nieszczęśliwa pocznę, dokąd się zwrócę!... To było okropne, bo Amelcia nigdy nie lubiła takich deklamacji i takich występów.

Aż nagle – jakby nożem uciął, Amelcia zmienia się nie do poznania. Pani Raczyńska w głowę zachodzi, skąd ta zmiana? Taka się zrobiła grzeczna, miła, z magazynu wraca prosto do domu, gra w loteryjkę z małymi, gniewa się na Cechnę, że ją widziała na spacerze z Ireną – nawet włosy inaczej układa, gładko, bez loków. W katastrofalnym dniu, gdy pan Michałowski przychodzi w mundurze, aby się pożegnać, Amelka nie traci głowy, owszem, żegna się z całą życzliwością, mówiąc:

– Życzę powodzenia i szczęścia. – Tak, jak ją zawsze matka uczyła: powolutku, po cichutku, grzecznie, skromnie. Z Bogiem. A na trzeci dzień po wyjeździe pana Michałowskiego wróciła do domu nie sama, a z jakimś starszym, eleganckim panem. Nie do uwierzenia: to był aptekarz z Leszna.

LIST

List leżał w modlitewniku matki, zamkniętym na mosiężną klamerkę. Mógł tak leżeć i przepaść na zawsze, mógł nigdy nie dojść do rąk Bronki. Zauważyła tylko białą linię między poślódkami kartami książki, zaciekawiło ją to i otworzyła. Ze zdumieniem przeczytała swoje imię i nazwisko na kopercie. Ignaś przemawiał do niej w tym liście szorstkimi słowami, surowo i

gniewnie, ale ta szorstkość roztopiała się zaraz w czułości. Musiał pisać w wagonie, bo wielkie litery skakały na papierze, rozmiotły się w różne strony, wyglądało to bardzo żywo, tak samo wyglądało jak żywe słowo. Opowiedziała mu ongiś o France, o przechadzkach pod teatrem i cukiernią Jackowskiego i oto pisał teraz, że wyjeżdża nie zobaczywszy jej, i nakazywał:

– Pamiętaj, Broniu, nie chodź z koleżankami do cukierni i do teatru, zapomnij o waszych zabawach, pamiętaj. Mam sobie wiele do zarzucenia w postępowaniu z Tobą, pamiętaj jednak, że panowałem, jak mogłem, nad sobą, nie chciałem unieszczęśliwić Ciebie. Jesteś mi tak drogą. Nie mogę znieść myśli, żeby ktoś inny... Broniu, ty jesteś taka jeszcze naiwna, taka nieoporna. Ale pamiętaj, że jeśli uczynisz coś niegodnego naszej miłości – nie chcę Cię widzieć na oczy. Spróbuj pracować, Broniu, pomyśl, poszukaj, poproś tej swojej opiekunki. Ja wyjeżdżam, tym razem na dłużej, może nigdy Cię już nie zobaczę? Niech Bóg da Ci siłę, wolę, rozum, dojrzałość...

Ten list uratował Bronkę. Zaczęła już chodzić z Franką i Cechną do Ireny, spotykać się z nią, włóczyć w różne takie kąty.

– To z rozpaczy po Ignasiu – mówiła sobie. – Co mi tam! Muszę się rozerwać!

Wiedziała, że Irena tak źle się pokierowała, nudziło ją ciągle paplanie o znajomych Ireny, przysięgała sobie, że to już ostatni raz, ale ostatni raz powtarzał się ciągle.

Nie mogła być sama, zaczęło się z nią dziać coś dziwnego, coś dawnego ocknęło się w niej – dawne widzenia i głosy. Tylko że to już nie było widzenie świata, pieśni, zdarzeń i ludzi, tylko Ignasia. Nieskończone z nim prowadziła rozmowy i sprzeczki, za coś go przeproszała gorliwie, o coś strasznie błagała, trzymając jego rękę w swych gorących dłoniach. Rękę miał taką suchą, długą, kościste mocne palce... Oczy jej stawały się nieprzytomne, zatopione spojrzeniem w głąb. Dniem i nocą te rozmowy, te fikcyjne sytuacje i rozmowy. Westchnienia i szlochy stały się potrzebą, taką samą jak jedzenie, jak sen. Przynosiły ulgę. Wzdychała.

Matka budziła się, zdziwiona, aby wreszcie domyślić się, kto i dlaczego wzdycha pod jej bokiem, i powiedzieć gniewnie:

– Wzdychaj, wzdychaj, będziesz tak wzdychać do końca życia. Jeszcze się nawzdychasz, jeszcze się napłaczesz, że ci leż nie starczy.

Ale żadnych wymówek, żadnych dopytywań się. Matka była głęboko urażona, ponieważ przy pierwszej awanturze z Bronką Janka rzekła, wskazując na Marię:

– Czy nie dość mamie tego, że Maria ma życie popsute?

List na długo wystarczył Bronce, było to coś żywego, co należało do Ignasia, przedmiot całkowicie namacalny, który mógł leżeć na piersi, schowany pod bluzką. Wewnętrzne rozmowy przycichły – mogła bowiem

wyjąć list i wtedy miała tyle do czynienia z rozpatrywaniem każdej litery, każdego zdania. Co wtedy myślał, dlaczego pisał to, a dlaczego tamto? Wzmianka o Bogu dziwnie była uroczystą. Nie myśli się o Bogu, nie wierzy się już, w tym czasie wojennym, kiedy wszystko dokoła przeczy boskim i kościelnym przykazaniom.

Ale w miłości nie wystarczają ludzie, świat, powierza się swą miłość mocom najwyższym, tajemnym i najwznioślejszym. To nie był list miłosny, a przemówił do niej jak najczulsze słowa.

– Chodzi mu o mnie. Chce, żebym była inna. Troszczy się o mnie.

Miłość miała sto twarzy i tysiące słów, i nastrojów. U Ireny tak się to wszystko poplątało, pocałunki i nowe torebki, głód i nasycenie. Bronka nie potrzebowała się niczego wstydzić, nawet tamtego wieczoru w kawalerskim mieszkaniu. A oto list. To się staje przykazaniem, które trzeba wypełnić co do joty. Gdy ma chwilę wolną u mecenasowej, bierze książkę telefoniczną i wypisuje adresy wszelkich biur, fabryk, kantorów. Zaczyna chodzić do tych biur, nie chce już żadnych liścików polecających i protekcji – to trwa zawsze jakoś dłużej.

Wzrusza naiwnością i wiarą, i bezinteresownością człowieka, gdy staje tak u progu czy przysiada na brzeżku krzesła koło biurka i zaofiarowuje swe usługi. Wyłuszcza z prostotą swe kwalifikacje: umie pisać dobrze, bezbłędnie, ręcznie i na maszynie. Uśmiechy politowania gasną w pół drogi, ludzie odpowiadają jej z powagą, taką samą, jaką posługuje się i ona. (Na razie nie potrzeba nam nowych pracowników). Świadectwa ze szkoły? Świadectwa pracy?

Znajomość buchalterii?

– Nie mam – odpowiada – ale zgadzam się na okres próbny.

Nie traci nadziei, choć takie pytania wytrącają ją z równowagi. Ale żywość wyobraźni została znów zaprzątnięta widokiem nowych ludzi, rozlicznych spraw, zdarzeń. Zapomniała, po co tu przyszła, oczekując w przedpokojach na swą kolejkę, oddawała się bez reszty ciekawości. Jej spojrzenie było wolne od posępnej niechęci Franki – wszystko było ważne, godne uwagi, współczucia lub podziwu. Twarz jej z wolna przybrała odcień gapiowatości i roztargnienia. Doszło do tego, iż nie ona to nagabywała woźnych i urzędników, lecz do niej zwracano się:

– Czym można służyć?

Nie, wcale nie traciła wiary, że przecież są tu gdzieś ludzie, którzy jej pomogą. Szukajcie, a znajdziecie. W jakimś biurze dopuszczono ją wreszcie przed oblicze kierownika. Od pierwszej chwili, gdy weszła do pokoju, gdy spojrzała na tego człowieka, uczuła, że to właśnie ten jej pomoże. I tak się stało, rzekł:

– Ha, spróbujemy. – Uśmiechnął się i dodał: – Tylko niech się pani

inaczej uczesze i suknię może dłuższą, co? – To była wina jej gapiowatej twarzy, zaczerwieniła się. Przecież nie wyglądała dziecinnie, na piersi nosiła list miłosny.

Odrzekła:

– Dobrze, proszę pana – i to też brzmiało głupio.

Biegnie do domu jak na skrzydłach. Niespodzianka dla wszystkich! Maria próbuje zmienić jej uczesanie: upina kok w tyle głowy. Smutek miesza się z radością, gdy przychodzi do rozpatrywania garderoby: nic przyzwoitego, same laszki. Ale teraz matka może zapożyczyć się i kupić na suknię. Maria szyje całą noc. W kącie, przy klęczniku matki Bronka odczytuje po raz setny list Ignasia. Gdyby tak mogła mu napisać teraz, powiedzieć! Przykazania zostały spełnione.

Na drugi dzień rankiem wychodzi z domu jakby osoba dorosła, czuje się w nowej sukni niezręcznie.

– Czy nie wyglądam jak przebrana?

– W twoim wieku – odpowiada matka – już od dawna pracowałam, zapomniałam o młodości.

– Ja przecież nie dlatego, mamoo...

Wszyscy w domu zarobkują. Wprawdzie Janina nie chce oddawać całej pensji, a Maria szcziem zarabia niewiele, ale matka czuje się jak królowa. Kiedy człowiek pracuje, od razu nabiera rozumu i wartości. Jance wywietrzały z głowy projekty wyjazdu z domu. Wydaje wszystko na stroje, pstro ma, jak widać, w głowie, ale powoli nasyci się tymi gałgankami. To jednak, co dla matki było gałgankiem, dla Janki stawało się jakby symbolem, szczeblem do nowego życia. Jej spokój był tylko przyczajeniem się, zdobywaniem środków do wylotu.

Świat był tak urządzony, iż ubiór nadawał człowiekowi pewność, stawał się prawem do grzeczności, ba, do szacunku. Maria Prymas ubierała się w błyszczące blaszki na występy w „Aquarium” i te blaszki na jej ciele skupiały na niej pożądliwość męską – rwały oczy, nadawały cenę temu samemu ciału, które później, po kilku dniach poszło w ką, ponieważ zaangażowano Włoszkę w purpurowej sukni. Maria Prymas miała pełne palce pierścionków i bransolet, ale wyzbyła się kosztowności na małżeństwo i urządzenie brata Józia. Jak dziwnie zbrzydły te ręce, niczym nie ozdobione, jak przestało się nagle wierzyć, że Maria dostanie jeszcze propozycje występów!... A potem, gdy przemykała się na miasto, jakże się stawała podobna do dziewczyn spod cukierni Kaca... Brakowało jej tylko chustki na ramionach, używała taniej szminki, włosy rurkowała sobie sama. A potem, gdy już „zaczęła sprowadzać sobie z miasta”, pani Prymas wyprowadziła się do syna. Nic już nie była warta Maria Prymas, tak świetna, gdy zajechała po raz pierwszy dryndą na Nowolipiu.

Do kantoru pralni, na Niską, dziewczyny przynoszą bieliznę do prania, cuchnące odurzającą perfumą łachy, strzępy batysty i koronek. Miłość, oto ona, w całej chwale i grozie: prześmiardłe koszule takich dziewczyn i kawalerów, przesywające spojrzenie spode łba, wyprute monogramy, robactwo. To też było kiedyś miłością. Usta Janki wykrzywiały się w grymas nienawiści. Wszystko to, co jej kładziono w głowę w szkole, w domu, na kompletach, stanowiło jaskrawą sprzeczność z ulicą Niską. Pojęcia się nie miało o tych sprawach, że istnieją, że są takie ulice, takie domy, tacy ludzie. Utworzyła sobie obraz – świat należał do ludzi porządnych. Trzeba żyć w pewnych ramach, jeśli umiałś sobie stworzyć ramy dnia, tygodnia, miesiąca – wygrałaś. W tym tkwiło pewne bezpieczeństwo, w życiu pokratkowanym: tu praca, tu kościół, tu rozrywka. Spełniaj odwieczne nakazy, zgódź się, a wszystko będzie dobrze. Nawet jeśli będzie złe, to tego nie odczujesz, pokonasz. Po której stała stronie, zbuntowana? Po żadnej. Nieraz wstrzymywała się, aby nie zwinąć w kłęb łachów w śmierdzącej skrzyni do brudów, nie oblać naftą z małej lampki o zakopconym wiecznie szkle i nie podpalić. Ta ozdobność, do której dążyła od dziecka, ujawniła się jej w pralni na Niskiej w sposób mściwy i wstrętny – odrzucający, plugawy. – Że też to właśnie takie zajęcie mnie się musiało dostać! – drgnęło w niej zaraz pierwszego dnia. Z obrzydzenia nie mogła jeść, miała zawroty głowy, wpadała w bunty i rozdrażnienia, zanim zaczęła kłąć, używać słów niechlujnych, mówić o swoim szefie – ten stary drań – i gromadzić środki ucieczki. Te środki to były całe pantofle, lakierki, czarna jedwabna sukienka i fałszywy lis na szyję.

Nie da się. Zaciskała pięści i obiecywała sobie, że się nie da. Nie wiadomo, jak to się stało, iż czarodziejski wpływ listu Ignasia zgasł. Bronka siedziała przy stoliku w kącie dużej sali, przegrodzonej barierką od interesantów, dochodziła już godzina trzecia. Miała przed sobą ukończoną listę, plik arkuszy z nazwiskami rezerwistek. Nie zaczynała już drugiej roboty, w biurze panował miły nastrój przed wyjściem na obiad. Opanowała ją nuda i smutek, pomyślała z ironią, patrząc na arkusze, że tak się bała tego zajęcia, a tu rzeczywiście wystarczyły jej umiejętności pisania. Wszystko inne stało się zbędne – prócz pewnej machinalnej uwagi! – nawet myślenie. Owszem, gdy zaczynała myśleć, myliła się i pisała nie tak szybko. A tu ilość wyrazów była wyliczona, miało się swoją normę dzienną.

Ziewnęła, w tej samej chwili zadzwieczał telefon w drugim końcu sali. Zawołano ją. To dzwoniła Irena z wiadomością, iż Franka zachorowała. Tyfus. Leży w szpitalu. – Nie wpuszczają do niej – można się tylko dowiedzieć w kancelarii. – Bronka wróciła do stolika i bezmyślnie ją układać ułożone już spisy. Suterena – przytułek – szpital – co za los, jakie to wszystko najgorsze dzieje się Frani. Ogarnął ją strach – sięgnęła do torebki,

aby wyjąć chusteczkę, broniąc się przeciw napływającym łzom, i natrafiła na list Ignasia. Zaczęła czytać, to były słowa umiane na pamięć, tak strasznie teraz suche, bezdźwięczne, puste. To wrażenie wraz z wiadomością o Frani jeszcze głębszym przejęło ją strachem, w sali pociemniało nagle, ktoś zapalił lampę pod sufitem. Światło martwe, blade, tam u góry, stoły tonące w niepewnym mroku, porozrzucane papiery i niedopałki papierosów – spotęgowany szum miasta za oknami, gwar powstającego wieczoru, nieopisane sieroctwo i niebezpieczeństwo. – List leżał w jej dłoni, ciężko, niczym kamień, stracił władzę, nie był pomocny, nic nie mógł zdziałać, zgasł! Ogarnęła ją taka rozpacz, podniosła pochyloną głowę i drgnęła. W drzwiach naprzeciw stał kierownik biura i patrzył na nią, stojąc tak nieruchomo, od jak dawna? Sala opustoszała już. Czuła na swej twarzy szczególne spojrzenie, ciepłe, jakby o coś pytające, jakby spragnione. Wtedy jeszcze z tamtym strachem i z rozpaczą w oczach, uśmiechnęła się.

EWAKUACJA

Zawołano dorożkę, wyniesiono tobołki – z drewniaka Mossakowskich wyszła cała procesja – z matką na czele. Gdy tylko zjawili się na podwórzu, w całym domu nastąpiło jakieś trwożne poruszenie: wiadome było, że Mietek pracuje w Komisji Emerytalnej i jeśli Mossakowscy wyjeżdżają, to znaczy, że ewakuacja. Poprzedniego dnia wywieziono resztę materiału, narzędzi i wreszcie warsztat starego Mossakowskiego, a tym, który go hurtem kupił, był pan Piędzicki. Potraktował to jako przysługę, oddaną rodzinie dawnego kamrata, bo i los Piędzickich jest niepewny: wszelkie ich interesy związane są z ustępującymi Rosjanami.

Przy tej okazji z bijącym sercem wysłuchiwała Bronka wiadomości o Ignasiu. A raczej o braku wiadomości: starzy Piędziczcy domyślali się tylko, że Ignas po tamtej stronie wstąpił do Legionów. O tych Legionach mówiło się jak o śmierci, ojciec Ignasia mówił o synu jak o umarłym. Mietek okropnie blady i zdenerwowany rozłąką z zespołem, chcąc pocieszyć Piędzickiego, rzekł:

– Ignas na pewno zdobył czapkę z odznaczeniem i orzełkiem, ja mu to niedawno prorokowałem.

Ale Piędzicki wytrzeszczył zdumione oczy i krzyknął:

– Czy ty masz pojęcie, na jaką potęgę się porywają?

Mietek usadowił matkę w dorożce i zęgnął się z zespołem. Stali wszyscy na chodniku, pożegnali się pośpiesznie i poszli, aby wsiąść w tramwaj i

spotkać Mossakowskich jeszcze na stacji.

– Z dworca Petersburskiego! – zawołał za nimi Mietek. Maria obeszła naokoło dorożkę, aby usiąść przy matce. Mietek miał zająć małe siedzenie naprzeciw, upychał więc toboły, aby jakoś się zmieścić. Dziobaty Janek klócił się z dorożkarzem, żądając przyjęcia jeszcze jednego kosza na kozioł.

Czarna Wikta zbiegła z facjatki, zapłakała. Dziobaty Janek dostał zajęcie u Piędzickich, aż na Koszykowej. Na parterze tkwiła w oknie żółta, nieumalowana twarz Marii Prymas. Pani Rubinrot, uwieszona u krat balkonu, jęczała przenikliwie. Gdy odwozili swego męża od interesu z dostawami, nazwano ją wariatką, a ona miała przecucie! Cały ich majątek był w tych dostawach, w tych czapkach, i Rubinrotowie też musieli wyjeżdżać w głąb Rosji po swoje pieniądze. Czy kto wtedy o tym myślał? Regina, Sabina i Róża przykucnęły koło matki, blade ich twarze świeciły jasnością wśród zardzewiałych ozdób balkonu. Pani Raczyńska, ogromnie przejęta i poruszona, wybiegła z metalowym krzyżykiem w rękę i szerokim gestem przeżegnała dorożkę, matkę, Marię i Mietka. W zamieszaniu nie mogła pojąć, że Bronka i Janka pozostają, i popychała je:

– Wsiadajcie, dzieciaczki, wsiadajcie, bo się spóźnicie.

Amelcia łagodnie powstrzymywała ją:

– Mówiłam mamie, że one nie jadą.

Pani Raczyńska nie mogła się pogodzić z taką rozłąką rodziny i nadaremnie tłumaczono jej, że siostry Mossakowskie nie chcą porzucać swych zajęć, które przecież tak trudno było zdobyć.

Stojąc na brzegu chodnika. Bronka nie spuszczała oczu z twarzy matki. Ponieważ Mietek wyjeżdżał z całym biurem, kolegami i ich rodzinami, chciał, by jego rodzina wyglądała przyzwoicie. Kupił matce czarny płaszcz i czarny kapelusz, nie pozwolił okręcić głowy szalem. Matka od dawna nie nosiła kapelusza, czuła się teraz niezręcznie. Nowy kapelusz przekręcił się i Janka ustawicznie przypominała:

– Niech mama poprawi kapelusz.

Oczy matki, napuchłe od płaczu, zdawały się nic nie widzieć, na twarzy jej widniał wyraz ostatecznego nieszczęścia. Maria, przeciwnie, uśmiechała się z dziwną otuchą. Janina zbliżyła się i cmoknęła matkę w rękę. Nie mogła odprowadzić rodziny na dworzec, musiała wracać na Niską, by otworzyć kantor. Bronka zamierzała jechać tramwajem na dworzec na Pragę.

– Pytaj o pociąg z bieżęcami – rzekł Mietek.

Serce Bronki ścisnęło się w smutku na to słowo. Bieżęncy! Uchodźcy! Wygnańcy! Dorożkarz podniósł bat i poruszył lejcami. Dopiero teraz matka wzniosła ręce i krzyknęła przeraźliwie:

– Stój! – Z wysokości naładowanej dorożki nakazywała Broni zostać w domu i sprzątnąć mieszkanie, tak strasznie zburzone pakowaniem i

wyjazdem. – Bo jak wrócić do domu wieczorem, to smutno wam będzie. – I tak, jakby od tego zależało całe dalsze życie dziewcząt, nalegała: – Sprzątnij, weź się za robotę. – Bronka rozumiała już, co za lekarstwo zaleca jej matka. Zalana łzami, biegnąc brzegiem chodnika równolegle z dorożką, chwyciła śmieszne i okropne w swej śmieszności słowa, tryskające z trzęsących się pakunków, za którymi ginęła matka. – Uszoruć podłogę! Podłogę mi koniecznie uszoruć! Kwiaty podlewaj! – Biegła tak aż do rogu, do cukierni Kaca. Tam zatrzymała się pod latarnią, nie mogąc złapać tchu w boleśnie ściśniętej piersi.

Zgrzyt klucza, gdy otwierała drzwi, przejął ją dreszczem. W drewniaku panowała wielka cisza. Wikta wyniosła się, widać odprowadzała dziobatego Janka na Koszykową. Bronka przeszła przez sień i zajrzała do dawnego warsztatu, zaskoczył ją głuchy odgłos jej własnych kroków. Po zburzonym pawlaczu widniały w ścianach głębokie dziury, czerwone od rozkruszonej cegły, w kącie piętrzył się stos wiórów i rozrzucona kupka obrzynków drewnych. Ślady na podłodze po stojącym tam do wczoraj warsztacie ojca, ślady na ścianie po wiszącej tam szafce na narzędzia, gwóźdź, na którym wisiała piła. Jak to – to jest wszystko, co pozostaje po człowieku, po jego strasznej pracy – ślad na ścianie? Do tego tylko zmierzały te wszystkie zmagania się i nieukojenia ojca?...

W kuchni ogołocone z pościeli łóżko matki wyglądało tak samo jak łóżko po śmierci ojca.

Bronka schwyciła pusty kubel i podstawiła pod zlew. Podczas gdy woda srebrzystym ciurkiem padała i pieniała się w kuble, zmieniła pośpiesznie suknię, zabierając się do szorowania. Już pochyliła się z szcztoką w rękę, gdy nagle zaniechała tego zamiaru i przycupnęła na łóżku. Życie można jakkolwiek bądź, wszystko jedno, jak się żyje, jak się przeżywa życie. Zawsze ono wychodzi na złe, kończy się jakby w pół drogi. Siedząc tak na łóżku, przypomniła sobie lata, gdy była dzieckiem wierzącym, szczęśliwym, a świat zaczynał się i kończył na domu. Przypomniła sobie ten dzień, gdy poszła z Ignasiem i nie wyobrażała sobie życia bez niego, istnienia bez takich chwil łaskawych i słodkich. Co się z nią stało, od tamtych dni? Prawie nic, a jednak tak wiele...

Nie wiadomo, jak długo przesiedziała tak z ramionami załamanymi, a potem jednak zabrała się do roboty. Janina powinna zaraz nadejść. Myśl, że mieszkanie będzie sprzątnięte, stół nakryty, herbata zagotowana – była miła i kojąca. Sama o tym nie wiedząc, wchodziła w rolę matki w domu. Dopiero gdy ocknęła się późną nocą i uprzytomniła sobie, że Janina jeszcze nie wróciła, ogarnęło ją gorzkie uczucie odpowiedzialności za starszą siostrę.

Zdawało się, że Janina, odkąd zaczęła pracować, uspokoiła się – a oto skorzystała z pierwszej okazji i zaraz tego samego wieczoru po wyjeździe

matki nie wróciła do domu. Jeśli teraz spełni swoje pogroźki i ucieknie? Co ona napisze matce? Zdawało się, że słyszy jakieś poruszenie w sionce i otworzyła drzwi. To z facjatyki Wikty dobiegał przytłumiony śmiech i głosy. Stała w progu – w oknach mieszkania Marii Prymas stało czerwone światło, w ładnym pokoju u Raczyńskich jeszcze się też świeciło. Ogarnął ją strach, że jest tak bardzo osamotniona. W bramie jęknął dzwonek. To Jania. Cofnęła się pośpiesznie do mieszkania. Co ma teraz powiedzieć? Najbardziej jej odpowiadało, aby upaść na łóżko, zakryć się aż po czubek głowy i udać śpiącą. Przewyciężyła się i zaczęła tonem kłótliwym:

– Gdzieś była? Czekaj, napiszę Mietkowi.

Ale Janina zdjęła spokojnie kapelusz, odwróciła się całą postacią i rzekła:

– Jeśli sobie wyobrażasz, że pozwolę tobie dunderować nad sobą, to się grubo mylisz. Nie wtrącam się do ciebie i ty nie wtrącaj się do mnie.

Przygotowana była na dalsze wymówki, ale Bronka stchórzyła z miejsca, rzekła tylko jeszcze z godnością:

– Kolacja stoi w piecyku.

TEN DRUGI

U Marii Prymas zjawił się brodac, wojskowy, o wysokiej randze, bo zajeżdżał powozem parą przepysznych koni. Z brzękiem ostróg przechodził przez podwórze.

O tej porze Bronka wraca z biura. Okna w oficynie na parterze płoną światłem, przy pianinie siedzi Mania w czarnej dekolowanej sukni, biała i blada, oczy jej w tej bledości czernią się jak dwa lochy. Brodac chodzi bezustannie od ściany do ściany z surowym brzękiem ostróg, a Mania gra i mruży raczej, niż śpiewa, swe piosenki.

Już nie wychodzi wieczorem i nie sprowadza gości z miasta. Klejnoty znów błyszczą na jej szyi i palcach. Okna nie są zasłaniane jaskrawą zasłoną tajemnicy i grzechu. Znów podniesiona do godności człowieka przez tego posępnego brodacza. Wszystek romantyzm, coś przenikającego ciała Bronki dreszczem jest w tej historii za koronkowymi storami niedomkniętych okien. Ten brodac... Trzeba być nie byle jakim, aby umieć tak na wszystko machnąć ręką i rozkoszować się pieśniami śpiewanymi przez dziewczynę uliczną. Przystanąć za wyłomem muru i posłuchać... *I tiebia s krasotoj – prodadut, prodadut*³... Widok tych dwojga staje się udręką. Brodac

³ I tiebia s krasotoj – prodadut, prodadut... (ros.) – I ciebie z pięknnością twoją sprzedadą, sprzedadą...

zatrzymuje się przy śpiewającej, podnosi rękę leżącą na klawiszach i mówi głębokim basem:

– *Spasibo, drug mój*⁴.

Klucz pod słomianką w sionce, tak jak umówione było z Janiną. Biała kartka na toaletce przyciąga oczy. „Broniu, ja wyjeżdżam, bo mam taką okazję, i tobie radzę wyjechać. Może zdążysz, to zaraz po przeczytaniu tej kartki jedź na dworzec Petersburski. Janina”. Straszny nieład, wszystko powywracane, musiała się bardzo śpieszyć. Bronka wyobrażała sobie zawsze chwilę rozstania z siostrą pełną dramatycznych swych zakłęb i lez – a to się stało tak wszystko zwyczajnie. Nie warto gotować obiadu. W drewniaku panuje śmiertelna cisza.

Wikta od dawna przestała szyć żołnierskie koszule. Dopiero o zmroku schody tętnią od ciężkich stąpań męskich i lotnych, szybkich kroków Wikty. Przez cienki sufit słychać wszystkie szmery i szelesty, tak ciche i ostrożne, a odbijające się hukami w mózgu Bronki.

Pada na łóżko i w dzikim pomieszaniu, w stłumionych szlochach wzywa Ignasia, trzyma go w rozłożonych ramionach, całuje drżącymi, szalonymi ustami... Już się pogodziła z tą stratą, tygodnie mijają i myśl o nim wcale już nie bolała, nie wskrzeszała wzruszeń i rozpaczy. I gdy już tak dobrze było, nagle zmartwychwstał on sam, niczym trup troskliwie zasypywany ziemią i oklepany łopatą modlitw i wspomnień. Podniósł głowę i patrzył na nią chmurnymi oczyma.

Ocknienie, z twarzą na poduszce mokrej od łez, senna myśl o czymś jeszcze spojrzeniu uporczywym. To ten Różycki stoi we drzwiach gabinetu i tak nienasycenie na nią patrzy. Tak samo jak ona patrzyła nienasycenie na Ignasia, tak samo jak ona głodna była obecności Ignasia...

Cóż to za władzę zdobywa człowiek nad człowiekiem, w miłości?

Siedzi w kącie ponurej sali na wprost drzwi, wiodących do gabinetu, a ten Różycki, nie mógł już tam pozostać za zamkniętymi drzwiami, stawał w progu i spoglądał niespokojnie, wszczynał rozmowę z urzędnikami i w pół zdania przerywał zniecierpliwiony. Skrzywiła się i spytał, co jej jest? Zadumała się i przestraszyła go ta zaduma. O czym myśli w tej chwili?

Nudą ją przejmowało wypisywanie wykazów i skwapliwie przyobiecwał jej zajęcie inne, bardziej ruchliwe. Ale ten projekt wiązał się z jej utratą, musiałaby wychodzić z biura, kontrolować kuchnię, wyjeżdżać na przedmieścia. Obiecał – i cofnął obietnicę. Tedy miał jej twarz chmurną i niechętną, zaciśnięte usta, nieskore do gawędy i zgaszone. Chwyił się za głowę i rzekł:

– Co ty ze mną wyrabiasz!

Odpowiedziała ze współczującym ubolewaniem:

⁴ Spasibo, drug moj (ros.) – Dziękuję, przyjacielu.

– Ja tego nie chciałam, doprawdy, niech pan zapanuje nad sobą. I wyznała mu bezwstydnie, wprost w oczy, że kochała już kogoś i kocha jeszcze – i że – nigdy...

Urwała te słowa i uśmiechnęła się dalekim, stęsknionym uśmieszkiem. Patrzył na nią ze zdumieniem: to była ta sama nieśmiała i zabiedzona dziewczyna, którą tak niedawno przyjął do biura z litości! Skąd wyuczyla się tych min i sztuczek?

W tym czasie wypadła jakaś inspekcja z Komitetu Głównego i gruba ryba, przeprowadzająca tę inspekcję, utkwiała na dobre przy stoliku Broni. Różycki mógł teraz z daleka ocenić sytuację. Pot wystąpił mu na czoło, gdy ujrzał, jak Bronka przez swą nieśmiałość, pieszczotliwy, wahający się głos, szybko gasnące uśmiechy, wciąga grubasa w tę samą sieć, w której on się tak szamotał. Znad wszystkich stołów patrzono w kąt sali, znacząco, z góry oceniając wagę tego zjawiska. Pobladł. I wtedy właśnie oderwała oczy od grubej ryby i ofiarowała mu spojrzenie tak roziskrzone i obiecujące. Tego samego dnia – pamiętny dzień – dała się namówić na wspólny obiad.

Jakże była głodna, tam, przy stole, w kącie skąpo oświetlonej sali restauracyjnej. Jej drobne dłonie gestykulowały z ożywieniem. W jakiejś łaskawej chwili schwyił lotne palce i przytulił do ust. Wyszarpnęła je z niepohamowanym gniewem:

– Nie trzeba!

A potem, gdy opanował się i zdobył na wyrozumiały, przyjacielski ton głosu, zdawała się być zniechęcona i rozczarowana. W końcu tego obiadu, gdy już stracił nadzieję rozchmurzenia jej, rzekła niespodziewanie:

Niech pan mnie odprowadzi do domu.

I w tym ubogim, zapracowanym pokoju, z boginią-lampką na postumencie, ochędźnie przykrytą brązem zasłony, o ścianach z straszliwymi wywijasami malunku, z twarzą wzniesioną w górę, zasłuchana w jakieś głosy dla niego niedosłyszalne, oddała mu się sama, pełna szybkich, oszalamiających westchnień i słodczy, pełna jakiejś trującej uległości – a potem milczała, zalana zimnymi łzami, płynącymi w bok ku skroniom – podczas gdy on z twarzą u jej zniszczonych pantofelków jąkał:

– Szczęście!... nie spodziewałem się takiego szczęścia...

CECHNA GUBI SIĘ

U Raczyńskich, w ładnym pokoju na tym samym miejscu, gdzie dawniej siadywał pan Michałowski, siedział teraz aptekarz. Siedział i gadał bez

przerwy. Pani Raczyńska z wielkiej ciekawości przycupnęła na łóżku i dzięki szparom we drzwiach dowiedziała się, iż Niemcy mają lada dzień wejść do miasta i aptekarz poczynił zapasy artykułów spożywczych. Ten też robił zapasy! Tak samo jak pan Michałowski! A ona musiała dwoić się i troić, i chodzić po ludziach, i skamleć, aby wyżywić swoje dzieci. Aptekarz gadał niestrudzenie o zapasach, z zapasów przeszedł na politykę i trzeba było podziwiać Amelcię, że słuchała tego wszystkiego z niegasnącym uśmiechem zaciekawienia. Trzymała na zaciśniętej pięści model kapelusza, który ozdabiała wstążką, ale całe zainteresowanie jej skupiało się na aptekarzu. Podczas tego wszystkiego myślała bezustannie:

– On mi za wszystko zapłaci... On mi zapłaci.

Ta myśl sformułowała się jakoś sama w głowie. Nabierała ciała i nabierała mądrości. Do czego miała jej służyć znajomość z aptekarzem? Z początku jako uwieńczenie tej znajomości widziała sklep z kapeluszami na Długiej, opowiadano niezliczone historie o takim właśnie zakończeniu romansów z zamożnymi panami. „Kupił jej sklep z kapeluszami”. Ale później, gdy zaczął przychodzić tu i gadać bez przerwy, gdy zaczął wracać, mimo że go nie zapraszała, i w dodatku zachowywał się tak jakoś przyzwoicie, zrozumiała, że może marzyć o czymś ważniejszym. Trzeba było tylko umieć postępować... Wisiała oczyma na gadatliwych ustach i robiła sto min, z których jasno mógł pojąć, jak bardzo uważnie go słucha. Nieraz przesywał ją dreszcz pragnienia: aptekarz siedział naprzeciw niej, na tym samym miejscu, i przypominał pierwszy pocałunek i uczucie nasycenia, jakiego wówczas doznała. Brała się mocno w ręce. Wymordowała się tak w życiu, aby się przeciw czegoś nauczyć, aby się nauczyć takiego właśnie wyrachowania. Ażeby brać, nie zaś dawać.

Pani Raczyńska zaraz przy pierwszej wizycie wtargnęła z tacą i nieśmiertelną przymówką:

– Nie mam nic do herbaty – ale po odejściu aptekarza Amelcia wybuchnęła takim gniewem, że Boże broń.

– Mama mi wszystko psuje, mama mi życie zatruwa tą żebraniną!

Pani Raczyńska musiała zaniechać prób zdobycia poczęstunków. A Amelcia prócz roboty w magazynie zaczęła przyjmować robotę do domu. Tak więc czas spędzony z aptekarzem nie był stracony, bo podczas rozmowy Amelcia ściboliła pilnie upięcia i kłamy na kapeluszach.

Niech sobie siedzą i gadają.

Janka Mossakowska wyjechała z jakimś oficerem. Bronka skorzystała zaraz z samotności i wróciła z biura do domu z jakimś panem. Czarna Wikta lata rozjuszona i wściekła z coraz to innymi chłopami. A Maria Prymas tylko dlatego siedzi w domu i gra temu staremu brodaczowi, że jest chora i ledwo nogami powłóczy. Wojna. Zaczęło się wielkie rozprzężenie, ale jej

dziewczęta, Bogu chwała, siedzą w domu, spędzają czas na przyzwoitej rozmowie...

Właśnie podczas takiej rozmowy zdarzyła się Amelci chwila, że oderwała ręce od kapelusza i myśli od gadania aptekarza. Usłyszała nagle huk młota i swój krzyk przeraźliwy, tam, na przedmieściu, gdzie stojąca na uboczu przy drodze kuźnia była jednocześnie wybawieniem dla dziewcząt, którym powinna się noga. Pot wystąpił jej na czoło, ręce zacisnęły się ostrzem paznokci na skórze. Huk młota i krzyk rozdzierający świat na dwoje!...

Oprzytomniała i ujrzała przed sobą aptekarza i jego poruszające się ciągle usta. O czym mówi, Boże drogi! Mówił, jak to cywilizuje dzieciaki na Lesznie, dzikusów, którzy wchodzą do apteki w czapkach na głowie, a na zwróconą uwagę burczą hardo:

– Przed kim mam zdejmować, co?

Amelka uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– I co im pan wtedy mówi?

Aptekarz:

– Wtedy pokazuję im święty obrazek nad drzwiami do laboratorium i mówię: – A choćby przed tym, nielaska?

Kobietom, które przychodziły po domowe leki, po różne maście zielone, psie i kocie sadła, zalecał mydło i szorowanie od stóp do głowy całego ciała, wbrew oczywistym interesom.

Amelcia uśmiechnęła się z uznaniem i podziwem dla jego charakteru.

Małe piszczały ciągle o większe porcje chleba. Cechna nie miała pieniędzy na opłacenie biura pośrednictwa, aby dostać posadę. Niech piszczą, niech pocierpią trochę, potem, gdy ona zdobędzie aptekarza, wszystkim będzie lepiej. A czy Cechna nie może szukać pracy przez ogłoszenie? I Cechna stanęła przed „Kurierem”. Ale zamiast posady wychowawczyni otrzymała zajęcie – u dentysty. Na cóż zdał się patent z modnych kursów freblowskich? Ma włożyć biały fartuch i biały czepek, myć narzędzia i podawać je panu doktorowi. Trzymać chorych za ręce i mówić im, że nie będzie wcale bolało, że już-już, zaraz przestanie boleć.

Zmieniać wodę w szklance, pilnować płomienia maszyny spirytusowej, mieć pod ręką wate.

Lekarz przyjrzał się jej uważnie... Ta dziewczynka była mizerna. Szara jakaś i zbiedzona, trzewiki miała połatane, ale poruszała się cicho i uśmiech ma bardzo miły. Przyjrząwszy się jej puszystym, burym włosom, zdecydował, że nie potrzebuje wkładać czepka. Co do garderoby, to biały, zapięty pod szyję fartuch całkowicie ratował sytuację.

– Moje asystentki – rzekł doktor – opuszczały mnie kolejno dla wojny. Mam dość tych zmian sił fachowych. Zrobimy z panienki asystentkę. Jak na imię? Czesława? No, dobrze. Jutro o czwartej, przyjęcia zaczynają się o

piątej.

Asystentka! Cechna wróciła do domu i stanęła na środku pokoju. Asystentka! Przywołała małe i wyciągając dłonie, nakazała:

– Całujcie, smarkule. Czy wiecie, z kim macie do czynienia? To nie Cechna stoi przed wami, a panna Czesława, asystentka, nieomal doktor!

Małe podniosły wrzask. Z kuchni przydreptała pani Raczyńska. Amelcia stanęła w progu z kapeluszem na zaciśniętej pięści. Chwila triumfu Cechny.

– Jakie wynagrodzenie? – pyta przezornie pani Raczyńska.

– Piętnaście rubli miesięcznie.

Piętnaście rubli! 50 kop. dziennie! Pani Raczyńska biegnie w kąt pokoju i zapala lampkę przed obrazem. Toć to bogactwo dla nich, co żyli wyproszonymi groszami.

– Ale, moje dzieci, wyprawię wam dzisiaj bal na uczczenie tego dnia!

Usmażyła racuchy na oleju, ale kaszę obficie okrasila skwarkami. Potem herbata. Dużo przyjemności przeżyła przy nakrywaniu stołu. Świeży obrusek, przyrząd do oliwy i octu, sól i pieprz, w końcu: serwetki.

– Moja Amelciu, wyjmij serwetki z szuflady.

– Po co to wszystko, mamó? Parę racuchów i tyle kramu...

– Po co? Po co? Ej, Amelciu, już ty mi się nie buntuj. Narzekasz na matkę, a gdybyś mnie dawniej słuchała, nie ślęczałabyś teraz nad tymi głupimi kapeluszami. Miałabyś inne zajęcie, lżejsze i elegantsze, tak jak Cechna, u tego doktora. Weszłabyś między ludzi... Choć – pani Raczyńska machnęła ręką – i ty idziesz w górę!

– Co mama plecie, w jaką górę?

– Tylko sobie przypomnij, moja droga. Twój pierwszy chłopiec, co teraz siedzi u Kwiryny, czym był? Chłopcem u kupca. Potem, pan Michałowski, urzędnik. A teraz, ho, ho! Aż aptekarz!...

Z tego wynikało, że matkom nie wolno nigdy opuszczać rąk, nawet po śmierci nieboszczyków. Mossakowska opuściła ręce i Janina męczy się teraz w takim smrodzie i brudzie w pralni na Niskiej, a Mietek po śmierci ojca wziął się do stolarki, choć jest urzędnikiem.

– Człowiek nie powinien nigdy opuszczać się tak nisko.

Amelka pomyślała: matka ma rację. Matka w jakiś dziki sposób ma rację! Jej straszne przeżycia zostały pogrzebane w niej samej, na wieki wieczne, nikt o tym w domu nie wie, nikt nie zna jej upadku, to zostało w głębi. A na zewnątrz wygląda tak, jakby ją spotkał jakiś awans życiowy, bo i zmądrzała, i skokietowała aptekarza. Co jest klęską, co jest zwycięstwem?

Pani Raczyńska wyraziła nadzieję, że Cechna przy swoim zajęciu pozna jakiegoś przyzwoitego człowieka. Dla kobiety najlepsze jest, jak wyjdzie za mąż.

– Gdy nieboszczyk żył, nie potrzebowałam się o nic troszczyć. Byłam

panią.

Nie, Cechna jakoś nie ma szczęścia. Potrzebowała utwierdzenia siebie, aby zachowywać się tak dziarsko i zdobywczo, jak po powrocie z pierwszej posady. Miała nową sukienkę, w wagonie jechali mili oficerowie, patrzyli na nią z upodobaniem, częstowali ją i pytali ciągle, czy ma wygodne miejsce – a potem jeden z nich odwiózł ją do domu. Ale to się już nie powtórzyło.

Potrzebowała utwierdzenia – potrzebny jest czyjś uśmiech, aby samemu się też uśmiechnąć. Tymczasem to ona musiała teraz utwierdzać ludzi, to ona musiała uśmiechać się, aby wywołać uśmiechy na skrzywione twarze. Musiała utwierdzać pacjentów w gabinecie dentystycznym, że są godni współczucia, bo ich ząbek boli, że jej pieszczotliwe ręce i jej ciepły uśmiech, i jej bolejące spojrzenia są z tego powodu tylko i tylko dla nich. Dotykała ramion i gładziła ręce, i zaciskała mocny uścisk palców, gdy jęczeli. I uśmiechała się dziękczynnie, gdy pacjent wzdychał z ulgą, gdy był „grzeczny”. Tedy szczebiotała im znów o ich harczie, o cierpliwości, o zdolności do znoszenia cierpień.

Tak strasznie zatracala się w tym wszystkim. Nie czuła siebie i nikt nie czuł jej, młodej dziewczyny, a tylko śmieszne, przesadnie uprzejme i oddane stworzenie, bez śladu pretensji i kokieterii. Nie dziękowano jej nawet, to im się należało.

Nawet nieśmiertelne lalki na kanapie były przedmiotem jej troski, szyła dla nich sukienki i pieściła je po dawnemu. I one w niczym nie utwierdzały, jak tylko w jej słabości.

SAME

Aptekarz kupił trzy bilety na „Irydiona” i uroczystie zaprosił panią Raczyńską i Amelcję.

Nikt nie może wiedzieć, co się działo z panią Raczyńską, gdy zasiadła na balkonie w Teatrze Polskim, jak bardzo się czuła wywyższona. Dopiero teraz zrozumiała postępowanie Amelci.

Cóż znaczyły te wszystkie obiecanki pana Michałowskiego, przyjmowane z drzeniem rąk, wobec zaproszenia aptekarza, z którym się siedziało na oczach całego świata, z córką, w teatrze? To był ważny krok z jego strony. Gdy ze sceny padły słowa:

– Idź do ziemi mogił i krzyżów – Amelka rozplakała się, a aptekarz był do głębi poruszony jej płaczem. Mruknął:

– Tak, tak, przeżywamy historyczne chwile, ale to jeszcze nic, to

początek.

Amelka podjęła odważnie ten temat przy wyjściu z teatru, wiążąc to zwięździe z podziękowaniem dla aptekarza.

– Pan mówi o historycznych chwilach – rzekła – ale cóż my?... na Nowolipkach? My odczuwamy tylko brak chleba czy nafty, czy cukru i na tym się wszystko kończy. Gdyby nie pan, gdyby pan nie pomyślał o zabraniu nas do teatru, czy przeżywałabym kiedy taką chwilę?... Pan jest strasznie dobry...

Pani Raczyńska ze zdumieniem ujrzała, że harda Amelcia znów ma łzy w oczach i jakimś nowym pieścizotliwym ruchem gładzi rękaw palta aptekarza. A ten zacny człowiek tak strasznie się zmieszał, że zdołał tylko wyjąkać:

– Ale cóż znowu, co tam ja... ja nic...

Wyszli akurat z Oboźnej i skręcali w Krakowskie, gdy aptekarz stanął przed Lijewskim i rzekł:

– Na uczczenie tego dnia wstąpimy tutaj, panie mi nie odmówią?

Amelcia spojrzała na matkę, pani Raczyńska skinęła głową. Mój Boże, co to się dzieje! Ileż razy przechodziła tędy, idąc na Sewerynow, i tylko wciągała zapach jadła z tej wspaniałej restauracji! A teraz wchodzi do środka. Ma na sobie przyzwoitą, podarowaną i przerobioną suknię. Amelcia też ubrana jako tako. Przy stole pani Raczyńska wieszowała sobie bezustannie, że zwracała uwagę na przyzwoity sposób jedzenia w domu i że nie potrzebuje się teraz wstydić za Amelcię. Podczas tej kolacji, ni stąd, ni zowąd, zapadło w niej postanowienie, że od jutra zacznie się starać o umieszczenie małych na pensji. Wojna wojną, ale zawsze wykształcenie na pensji to nie to, co szkoła miejska.

Przez ten teatr i przez kolację u Lijewskiego wynikł chyba ten nowy ton w rozmowie z paniami na Sewerynowie. Oczywiście, o kolacji u Lijewskiego nie powiedziała ni słowa, ale o teatrze... owszem, to można. Że o Amelcię się stara taki zacny i wykształcony człowiek, że zaprosił je na „Irydioną”. Panie z Sewerynowa pochwałyły to i oceniły, że zaprosił nie tylko Amelcię, lecz i matkę.

– O, on ma poważne zamiary – rzekła pani Raczyńska.

A panie z Sewerynowa nie miały nic przeciwko zamążpójściu dziewcząt i przełożona rzekła:

– Gdyby Amelcia miała jakieś trudności z wyprawą, to niech zajrzy na ten niedobry Sewerynow.

Co do małych, dały jej list polecający na pensję na Pięknej i list do wikariusza z parafii Świętego Aleksandra, prefekta. To chyba wystarczy.

W tym czasie znikł brodac z pokojów Marii Prymas. Potem wyjechała i ona sama.

Wchodziła tu ongiś tanecznym krokiem do domu na Nowolipkach, a

suknia jej rozwiewała się jak pyszny kwiat. Ale gdy wyjeżdżała, nawet pani Raczyńska odczuła litość nad nią. Stróż musiał pomóc Mani wsiąść do dorożki, tak była słaba. Zastygłe, dalekie spojrzenie odjeżdżającej kazało pani Raczyńskiej westchnąć i rzec nieomylnie:

– Ona już nigdzie nie dojedzie. Ja zaraz sobie pomyślałam, gdy ona tu wróciła, że chyba śmierci szuka. Nieboszczyk też przed śmiercią ciągle wybierał się w drogę. I pojechał, biedaczek, ale na tamten świat.

Nikt Mańki nie odprowadzał. Nikt jej nie żegnał.

Szenc Fiszel stanął z buciorem w rękę na progu swego sklepiku i stał tak, póki dorożka nie zniknęła za Smoczą.

Zaraz potem ludzi ogarnął tak wielki niepokój. Jakby się ziemia zatrzęsła, jakby koniec świata miał nastąpić. Nikt nie mógł usiedzieć w domu, ludzie stali gromadami na ulicy i straszne rzeczy opowiadali, co to będzie, jak Niemcy wejdą. Aptekarz przysłał paczkę świec i poradził zabezpieczyć okna. Zaraz potem wysadzono mosty. Dworzec Petersburski i słupy telegraficzne trzasnęły na ziemię. Ale najgorszy był ten niepokój. Pani Raczyńska odczuwała to w mniejszym stopniu, bo ciągle teraz z myśli o aptekarzu wynikało jakieś bezpieczeństwo.

Ale dziewczęta nie umiały jeszcze tego ocenić i ciągle gdzieś przepadały z domu.

– Mamo, zajrzę do Broni Mossakowskiej. Mamo, ja na chwilę do Kwiryny.

Cień Franki przysiadł na brzeżku łóżka w drewniaku Mossakowskich. Jej nogi cienkie i długie jak patyczki kołyszą się w próżni dawnym dziecięcym ruchem. Po tyfusie ostrzyżono jej włosy i teraz odrastały, krótkie i wijące się. Bronka przycupnęła na stołeczku koło klęcznika matki.

– I co zamierzasz dalej robić, Franiu?

Franka uśmiechnęła się słabo. Zakład na Mariensztacie zamknięto na pewien czas. Ale pani mecenasowa przed wyjazdem do Rosji zostawiła jej karteczkę z adresem jednej pani, gdzie potrzebowano kogoś do zajęcia się domem. Chodzi o to, by miała jakieś lepsze odżywienie i kąt spokojny. Bronka krzyknęła z gorącym zdumieniem:

– A matura?

Franka potrząsnęła głową.

– W gruncie rzeczy – rzekła gorzko – to ja nie dalej zaszłam w życiu niż moja matka. Kąt i strawa w obcym domu... Wiesz, ja jednak zawsze wółświadomie myślałam, że jednak wydobędę się z tego... Ale teraz...

Ach! Bronka objęła ją i kołysała lekko.

– Słuchaj, Franiu, nie rób tego. Możesz przecież zostać u mnie, odetchniesz, przyjdiesz do siebie... Ja mam dostać pokój przy biurze na Pradze, zamieszkamy razem. A potem... – Szepnęła jej do ucha, jak

tajemnicę: – Wiesz... jest jeden taki... on dużo może zrobić, poproszę go o posadę dla ciebie, w biurze...

Ale to już była nie ta sama Frania, skora do przeżywania zawsze czegoś nowego, doznania przygód.

Pogodzona i zrezygnowana, oto jaka wyszła ze szpitala – zdawało się, że pragnęła tylko spokoju i aby się jako tako urządzić.

– Nie, Broniu – rzekła – ja już do tego nie wrócę, do takiego życia, wiesz. – Wstrząsnęła się. – Ja już to wszystko przeżyłam z Ireną, już wiem, jak to się kończy. I tobie, Broniu, nie radzę.

Nagle jakby się w niej coś rozwarło, wszystkie te myśli zrodzone podczas długiego leżenia – jąła mówić gorąco.

– Widzisz, ani ty, ani ja nie potrafimy zamknąć oczu i puścić się na całego, ani też żyć jak należy, przykładnie. Tu nam za ciasno, za głupio, za ordynarnie, a tam, w tym nowym, lepszym świecie – za mądrze, za chytrze, za fałszywie. I tu źle, i tam źle – wszędzie źle i wszędzie nieswojo. Gdy się w życie wchodzi z takim bagażem jak my, to akurat wystarczy na rynsztok. Po co chodziłyśmy na te komplety, po co wyszłyśmy z Nowolipek, po co czytałyśmy kłamliwe i piękne książki. To wszystko nie dla nas, my nie mamy teraz do czego rąk przyczepić ani myśli, ani serca. Przypomnij sobie twojego ojca, jak on dążył zawsze do lepszego, jak pracował, jak chciał, aby wam lepiej było. Ale wystarczyła jedna choroba, jedno potknięcie się, miłość do Heleny, i wszystko runęło. Ale się nie skończyło. Mietek odziedziczył zaraz po ojcu biedę, obowiązki rodzinne. Moja matka pracowała całe życie i zdołała zapracować sobie na pogrzeb i kawałek ziemi, wieczysty grób na Bródnie, obok człowieka, który, przypuszczam, był moim ojcem, choć to nie jest pewne. Ale to też nie koniec, choć oni pomarli. Ja jestem. I znów to samo. Ale nasze matki lżej znosiły to wszystko, nie umiały czytać ani pisać, to jest lżej, mówię ci, kiedy się nie rozmyśla. Ponadto moja matka piła, a twoja miała niewzruszoną wiarę. A my... my się będziemy tak pętać w życiu, popychane. Co to jest za życie?... To się powinno skończyć, ten łańcuszek, po co to trwa, mój Boże? Ani dzieciństwa, ani młodości, nic, nic...

Ktoś załomotał do drzwi. Tak walić energicznie mogła tylko Kwiryra. Franka ochłonęła.

– Nie, ja już nic nie powiem, Broniu. Idź, otwórz.

Bronia pomknęła do sionki. Kwiryra, Cechna, Amelka! Kwiryra, zasapana ze wzruszenia, rzekła:

– Jak Bożię kocham, zdawało mi się na podwórzu, że Rubinrotówny siedzą na balkonie i jęczą: – Bronia, Frania, Kwiryra, oj, chodźcie do nas!

Na widok Frani siostry Raczyńskie krzyknęły:

– Ach! Franiu, jak ty wyglądasz!

Kwiryra osadziła je na miejscu:

– Jak ma wyglądać po tyfusie?

Amelka:

– Cóż to się stało, Kwiryno, że raczyłaś sobie o nas przypomnieć?

Kwiryna, zaczerwieniona nagle, wyznała rozbrajająco:

– Mojego chłopca, Romana, zabrali do wojska, a teraz, jak Rosjanie ustąpili, chyba go już nigdy nie zobaczę.

– No, więc cóż z tego?

– Ty tak mówisz – rąbnęła Kwiryna – bo twój aptekarz jest za stary do wojska i został.

Frانيا zaśmiała się. Bronka krzyknęła:

– Nie, doprawdy! Czy po to przyszłyście, aby się kłócić?!

Kwiryna usiadła przy Franiu, aż łóżko stęknęło pod jej ciężarem, i zaproponowała:

– Bronka, może pomyślisz o herbacie? – po czym wyciągnęła z kieszeni pałta zatłuszczoną paczkę z jedzeniem. Wybuchnęły śmiechem.

– Z czego się śmiejecie? Założę się, że Bronka nie ma w domu nic do jedzenia. – Oho, Kwiryna nie dała się oszukać. – Porobiłyście takie kariery – rzekła wprost. – Bronka jest urzędniczką, a Cechna aż asystentką, ale... co ja widzę! Ty, Cechna, znów świecisz gołymi piętami?! Wszystko po dawnemu, a nawet gorzej, bo dawniej, jak się przyszło do Mossakowskich, to zawsze był chleb ze smalcem.

– Ach, jaka ty jesteś ordynarna, Kwiryno – rzekła Amelcia. – Ba, Kwiryna usiadła przy kasie!...

Bronka śmiejąc się pośpieszyła do kuchni, aby rozpałić ogień. Kwiryna zmieszana i dotknięta wysypała na stół pestki, wywracając kieszenie żakietu. Pestki były wilgotne, nie łupały się należycie, przeto Cechna, amatorka palonych pestek, zaproponowała przeniesienie się do kuchni.

– Rozsypiemy pestki na blasze.

W kuchni huczał ogień podsycany wiórami. Półmrok i blaski ognia drgające na ścianach, miły nastrój ściągnął nagle wszystkie wspomnienia związane z tą kuchnią, z takimi samymi wieczorami, z życiem domu.

– Czy pamiętacie – rzekła Amelcia – nasze dawne zabawy w przyjęcia?

– A kartofle w popiele? A rajske jabłuszka?

Kwiryna zgarnęła gorące pestki z blachy. Suchy trzask i milczenie dały znać o całkowitym zajęciu ust przez łupanie ziaren...

– Czy pamiętacie Ogród Saski?...

Bronia, rzuciwszy okiem na Frankę, kopnęła Cechnę pod stołem ostrzegawczo. Kwiryna mruknęła ze zdumieniem:

– Po jakiego licha łążyliśmy po cudzych schodach, pamiętacie?

Co chwila rozlegało się z czyichś ust: pamiętacie – pamiętacie?

Dużo spraw wydało im się teraz zupełnie niezrozumiałymi i ciemnymi.

Dlaczego zaglądały w okna cudzych mieszkań, łąziły na pańskie, frontowe schody? Co przyszło France do głowy, aby piąć się do szkoły aplikacyjnej? Dlaczego ten pierwszy, ten pierwszy, który je całował – nie pozostał jedynym? Wszystko przemijało tak oszalamiająco prędko, tak prędko.

Oślupiałe, patrzyły na siebie spod oka. Są rzeczy, których sobie nigdy nie powiedzą.

– Powinnam je ostrzec – pomyślała Amelka, ale skrzywiła się tylko boleśnie.

– A czy pamiętacie majówkę? – krzyknęła Cechna – albo tego walca?... „Piękne róże”?

Zaczęły nucić, ale nie mogły przypomnieć sobie tamtej melodii. Na twarzach zjawiał się wyraz natężenia i udręki, co chwila zrywał się z ust jakiś takt, strzęp melodii. Nie, to nie to! ach, nie, to nie to!

Nawet Bronka nie mogła sobie przypomnieć tego walca pierwszej swojej miłości. Ani uczuć, ani tamtego uniesienia, ni pokornego oddania się, ani szczęścia. Stała z opuszczonymi ramionami, z szyją trochę naprzód podaną, jakby nasłuchując i dziwiąc się.

W ŚWIAT Z NOWOLIPEK

Tak straszne rzeczy opowiadano o Niemcach, a tu Cechna przyszła do domu z swego gabinetu dentystycznego z paczką czekolady i kwiatami. To jej właśnie podarował pewien pacjent, oficer armii niemieckiej, tak się znalazł elegancko, że aż Cechna zaczęła bronić Niemców. No, ale to był Polak z Poznańskiego.

– Na imię mu Henryk – rzekła Cechna marząco.

Pani Raczyńska miała pewną nadzieję, ale okazało się, że lejtnant Henryk przyniósł kwiaty i czekoladę na pożegnanie tego dnia, gdy leczenie jego zębów zostało ukończone. Cechna oznajmiła to z westchnieniem, pani Raczyńska też westchnęła. Już zaczęły jej przychodzić myśli o racjach żywnościowych, jakie otrzymują wojskowi, o konserwach i konfiskowanej słoninie. Bo aptekarz skończył na „Irydionie” i paczce świec, a ona nawet przymówić się o nic nie mogła wobec awantur Amelci o każde takie słowo. Tymczasem, jeśli dotychczas była bieda, to teraz się zaczął głód.

Nawet pensja Cechny nic nie stanowiła, bo trudno było o żywność. Pani Raczyńska wybierała się gdzieś na wieś po zakupy i biedziła się, jak ukryje zapasy przy rewizji na posterunkach. I znów z gniewem i zniecierpliwieniem pomyślała, że też Cechna nie potrafiła podtrzymać znajomości z takim

lejtantem, na którego słowo posterunki rozstąpiłyby się przed obladowaną panią Raczyńską lub przymknęłyby oczy. Albo przepustka. Jedno słowo – i przepustka. Ale po jednodniowym ożywieniu prezentem, kwiatami i czekoladą – Cechna znów przygasła, straciła nawet swoją wesołość i nie było nadziei, aby dziewczyna z tak nieszczęśliwą miną w ogóle zwróciła czyjąś uwagę.

Jednakże pewnego wieczoru, gdy Cechna po skończonych przyjęciach wychodziła z bramy domu gabinetu dentystycznego, ktoś wysoki, w szykownie rozpiętym płaszczu wojskowym i w czapce na bakier, trzasnęła obcasami w ukłonie tuż przed nią. Tak się wystraszyła, iż serce jej ustało przez chwilę. A to był właśnie lejtnant Henryk.

– Ach, nie spodziewałam się – rzekła Cechna – że pan... że pan mnie pozna.

Spojrzał na nią z nieukrytym rozczarowaniem, bo planował od kilku dni to spotkanie i trudne to jest do zrozumienia, że ktoś, o kim się uporczywie i z wielkim upodobaniem myśli, nie robi tego samego. Ale Cechna, idąc u jego boku wyznała, że i ona myślała o nim przez te dni. Więc zaraz, ucieszony bardzo, rozwarł ściśniętą pięść w pięknej skórzanej rękawicy i ukazał malutką, zmiętą kartkę. To były bilety do teatryku na Marszałkowską.

– Niech pani ze mną idzie, Cechna! – i poszli.

Tak się spotkali, Cechna i Henryk, w tym ogromnym wzburzonym wojną świecie, tak się ze sobą zetknęli i przystali do siebie, pewnego wieczoru. Miał pokój przy kasynie w Alejach i można było zapomnieć, że się na Nowolipkach ma swój dom. Matka nie pozwalała palić światła wieczorem, bo nie było nafty, musiała pić wystygniętą herbatę, bo szkoda było dla niej rozpalać ogień. A tu było ciepło i jasno. Henryk zaparzał na maszynie czarną kawę. I zawsze pamiętał o jakiejś niespodziance, o nakryciu stołu i przygotowaniu czegoś do zjedzenia. Cechna powiedziała w domu:

– Mamo, ja teraz będę przychodzić później, bo godziny przyjęć jakoś się przeciągają.

Bąknęła nawet o podwyższeniu pensji. I przychodziła coraz później, aż raz nawet przyszła po zamknięciu bramy. Pani Raczyńska ostro zakazała:

– Już to, to nie!

Na to się zgodzić nie może! Wybierała się nawet do gabinetu dentystycznego, poprosić lekarza, aby przez wzgląd na młodość Cechny zwalniał ją wcześniej. Wtedy Cechna z przestachem oznajmiła, że nie trzeba, bo już jest mniej przyjęć.

Bronka przed przeprowadzką zaprosiła koleżanki do siebie, ale Cechna była zajęta, Amelka siedziała z aptekarzem, Frania była już na posadzie. Przyszła tylko Kwiryna, ciekawa, spodziewała się, iż zastanie tu kogoś z tych panów z Komitetu, którzy tak Bronce asystowali. Ale Bronka była sama

i siedziała właśnie na koszyku na środku pokoju, wśród poruszonych ze swych miejsc sprzętów; płakała. Za chwilę miał zajeżdżać wóz po rzeczy.

– No i co? – spytała głupio Kwiryra.

– Nie wiem, czy powinnam to wszystko ruszać! – krzyknęła Bronka. – Na co mi to! Gdzie ja to będę wlec za sobą! – Kwiryra, która pilnowała w domu każdego ćwieka, nie mogła pojąć takiego gadania.

– W domu wszystko się przyda!

– W jakim domu? – zaszlochała z gniewem Bronka. – Czy ja będę miała jakiś dom? Czy ja gotuję? Piorę? Na co mi ta balia? Dlaczego oni zostawili mi to wszystko na karku, zabrali się i pojechali?

– Tym sposobem – rzekła Kwiryra – możesz tu siedzieć do sądnego dnia i narzekać... Co chcesz wziąć ze sobą, od razu dawaj na wózek, a resztę zostaw, zamknij mieszkanie, a jutro po biurze wstąp do mnie, zawołamy handlarza i sprzedamy. Przydałaby ci się nowa sukienka.

Kwiryra odstawiła na bok balię.

– Nie rozumiem, w czym ty będziesz pracować?

– Te dwie koszule mogę uprać w miednicy – odrzekła z goryczą Bronka.

– To ty masz tylko dwie koszule, no, no! niedaleko w życiu zajedziesz!

Potem okazało się, że nie ma powłoczek, że kołdra – to same strzępy, coraz to gorzej. Kwiryra, ostatecznie zniechęcona, z furią zabrała się do pakowania. I dopiero gdy szły ulicą obok wózka, popychanego przez ponurego tragarza, Bronka jęknęła:

– Ja nawet nie mam żadnego dokumentu, wiesz, ja zapomniałam nawet, w którym roku się urodziłam.

Kwiryra rozłożyła ręce.

– No... coś podobnego!

– Byłam dopisana do paszportu mamy... a teraz... – Bronka otworzyła torebkę i wydobyła list. – Masz, czytaj! To mi doręczyła poczta Komitetu Obywatelskiego.

– Aha! – Kwiryra potykając się, zatoneła w odczytywaniu listu. – Słuchaj no – po co ty właściwie wyprowadzasz się – przecież oni mogą wrócić z Rosji...

Bronka potrząsnęła głową. Całe jej rozdrażnienie i płacz powstał z przecucia, iż nigdy już nie zobaczy Mietka, matki, sióstr, nigdy nie będzie miała domu!

– Ja wiem, że to już koniec, Kwiryra.

Przystanęła i z uśmiechem pokazała jej koniec listu.

– Kto wie, czy Maria nie pojechała do Rosji po swoje szczęście?

– Jak to!

– Przeczytaj!

Maria pisała:

– Nie wiem, czy pamiętasz, Broniu, tego pana, co stałował meble u ojca? Spotkaliśmy go tutaj, zaraz pierwszego dnia, gdy przyjechał nasz transport uchodźców, na dworcu. Bardzo serdecznie się nami zajął i wszystko ułatwił, tak że możesz być spokojna o mamę. On był we Francji i przedostał się do Rosji.

O Jance ani słowa, widocznie Janka nie połączyła się z rodziną.

– Oni już nie wrócą! – rzekła Bronka. – Ja to czuję! I widzisz, trzeba płacić takie duże komorne na Nowolipkach. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. I nawet jak sprzedam te rzeczy, to nie sprawię sobie sukienki, bo trzeba zapłacić komorne.

Kwiryna na to:

– Ty musisz dorabiać się od początku i już.

Bronia machnęła ręką.

Nowe mieszkanie znajdowało się na Pradze w cichej uliczce za kościołem, w drewniaku na pół zapadłym. W jednej sali urządzone kuchnię, w drugiej rozdawnictwo chleba. Mały pokój w końcu domu oddano Bronce. Personel stacji nie mieszkał na miejscu, w godzinach poobiednich panowała tu martwa cisza. Plac w tyle domu całkowicie pokryty rumowiskiem zniszczonej fabryki był nie do przebrnięcia. Ale przed domem, tuż pod oknami, na małym skrawku ziemi bujnie rozkrzewił się dziki ogródek. Krzak bzu zasłaniał okno.

Pokój ciemny, trochę wilgotny, o świeżo odnowionych, czerwonych ścianach. Kwirynie żal było Bronki, ale nie mogła powstrzymać się od uwagi:

– Czy nie mogłaś dopilnować sama odnawiania?

– Przecież to jak w rzeźni.

– W ogóle, dajcie mi spokój – rzekła Kwiryna – wyście się urządziły w życiu, no, no! – Pomogła Bronce rozpakować rzeczy i zawiesić firanki, potem spiesznie zabrała się do domu. – Rozpal ogień i ugotuj sobie herbaty! tu masz... przyniosłam ci na szczęście, żeby dostatek zapanował w tym domu – powiedziała te słowa uroczyście i rozłożyła na stole paczkę, dotąd ukrytą starannie w bagażu Bronki. Cały bochenek chleba, sól w papierku, kawałek kiełbasy, cukier i herbata.

– Dobrze wiedziałam, że ty o tym nie pomyślisz... No, niech ci Bóg da wszystko dobre na nowym miejscu.

Ale Bronka poruszona jej słowami rozszlochała się tak, że nawet nie podziękowała należycie.

DOM FRANKI

Franka zlorzczyła życiu, wyrzekła się życia, nieraz żalowała, że wyszła z tyfusu, że wyzdrowiała. I oto życie ofiarowało jej się teraz w tak szczęśliwej, pogodnej postaci. Weszła w półmrok salonu, w kącie, na tle ciemnego obicia jaśniał przeslicznym światłem biały posążek. Usta Franki drgnęły uśmiechem. Nad niską kanapką obraz z gałęzią jabłoni ofiarował jej to samo piękno, co posążek młodej dziewczyny.

Profesorowa wyjechała na wieś z kucharką. Panna Alisia ma wieczorek w znajomym domu. Co do profesora, to nigdy nie wiadomo, czy jest w domu, czy wyszedł. Czy siedzi w swoim gabinecie, w ciemności, czy też pali się tam zielona lampa na biurku i pracuje, siedząc tak jakoś szczególnie, bokiem, z jednym ramieniem opuszczonym nisko.

Na palcach przeszła przez salon, do okien, pod rozłożyste wachlarze palm. Nie, nie trzeba podlewać, ziemia zachowała jeszcze wilgoć. Na ulicy migocą skąpe światła latarń – drzewa kapią kroplami topniejącego śniegu. Nigdzie nie trzeba iść! Nie potrzebuje już łączyć po zadeszczonych ulicach, o nic się nie martwi, niczym nie trapi, życie utraciło swą grozę. Tu się żyje pięknie.

Głęboki spokój. Nikt nikomu nie przeszkadza, nie rani, nikt się nikomu nie opowiada: gdzie idzie, gdzie była, jak spędziła czas? Jeśli który z członków rodziny czyni to, to tylko, aby powiedzieć Frani, uprzedzić o nieobecności na kolacji czy obiedzie. Nawet panna Alisia cieszy się całkowitą swobodą. Przy stole mówiono mało, cicho, skąpo. Wątpliwe było, czy poza godzinami posiłku rodzina spotykała się z sobą. Coraz to ktoś inny kolejno wyjeżdżał na wieś, na „mały folwark”, jak mówiono, zabierając ze sobą Mariannę.

– Czy pani nie będzie trudno samej gospodarować? – zapytała profesorowa przy pierwszym wyjeździe.

I Frania gorąco zaprzeczyła. Jeśli dotąd nie ma pociechy z tego, czego nauczyła się na pensji, to ogromnie jej się przydało to, że pomagała służącej w domu mecenasowej. Dzięki temu umie nakryć wykwintnie do stołu, ułożyć menu, uzupełnić zapasy, dbać o bieliznę stołową i osobistą, prenumeratę, kupno i wybór książek. Nie zapada już w dawne zadumy i rozmyślenia, ponieważ te zajęcia wymagały bezustannej czujności i troski.

Była ongiś tak bardzo samotna, uczucie samotności było największym smutkiem jej życia. A tu ofiarowywano sobie samotność jako coś bardzo cennego. Znacznie później dopiero spostrzegła, iż spokój domu miał swe głębokie rysy i pęknięcia, i tajemnice, a samotność była jakimś grzecznym, starannie tajonym unikaniem siebie nawzajem. Weszła do wnętrza domu, za

okna o ciężkich koronkowych storach, za jedno z tych tajemniczych oświetlonych szyb, które ją tak pociągały zawsze. Była tu, wewnątrz. Miała swój pokój w końcu korytarzyka, długi i wąski, z oknem umieszczonym wysoko.

– Ach, to jest jak trumna! – rzekła z ubolewaniem panna Alisia, ale Frania zaręczyła, iż jej jest tu bardzo, bardzo dobrze, tak jak nigdy w życiu nie było.

To panna Alisia własnoręcznie przybiła półkę z książkami na ścianie i porozwieszała plansze ściągnięte z gabinetu ojca, ze stosu albumów, pełnych rycin.

– Założę się, że historyk sztuki nawet tego braku nie zauważy! – rzekła z uśmiechem. I zaraz wyjaśniła: – Mój ojciec jest historykiem sztuki.

Głos Frani, gdy zwracała się do profesora, miał odcień szczerego, głębokiego szacunku. W tajemniczy sposób wszyscy w domu zdawali się znać jej głód książek, jej głód patrzenia na obrazy. Nikogo nie zdawała się razić jej bieda, jej zniszczona odzież. Profesorowa zarządziła wezwanie szwaczki do domu na całotygodniowe szycie i wtedy zauważyła jakby mimochodem:

– Niech też i panna Frania pomyśli teraz o swej garderobie.

To Alisia sprawiła, iż cały stół w jadalni został nakryty obrusem. Dotychczas pozostawiano mały brzeg nie zakryty, tam gdzie stało nakrycie Frani. Ale Alisia weszła do jadalni i krzyknęła:

– Cóż to za dziki sposób!

Nie wyrzekła ani słowa więcej, tylko w milczeniu zestawiła nakrycie na kredens i pociągnęła obrus. Profesorowa rzekła:

– Ja nawet nie wiem, kto ten zwyczaj zaprowadził w domu. Dziękuję, Alisiu.

Profesor wydawał się ubawiony, Alisia, ochłonawszy z gniewu, orzekła pogardliwie:

– To ta głupia Klara, „osoba do zajęcia się domem”, która była przed tobą, Franiu. Dziwna rzecz, jak ona strasznie pragnęła być poniżaną. Czym to wytłumaczyć, ojcze?

Profesor uważnie patrzył w głąb swojego kieliszka, napelnionego winem.

– Tym, że się ciągle i ciągle, i zawsze było w istocie poniżaną... nawet, kiedy świadczone grzeczności.

Alisia przekreśliła to ręką:

– Et!

Zamieniano skąpe słowa i uwagi o potrawach przy stole. O trudnościach aprowizacyjnych bez szczególnego przejęcia. Marianna zajmie się zapasami na wsi i jakoś przewiezie to już do miasta.

– Zeszłym razem zapakowała słońinę między moje suknie – stwierdziła profesorowa.

Profesor wstał i dziękując za obiad ucałował przelotnie rękę żony. To było zawsze hasłem do powstania od stołu.

Dnie już tu przeżyte, ranki, wieczory, obiady, wyjazdy i powroty stanęły szeregami w pamięci Franki. To służyło do pewnej kontroli swojej pracy, do wprowadzenia zmian, do coraz bardziej miłego toku życia domowego. Jednocześnie zdumiewała się, że ongiś czuła się tak pokrzywdzoną przy usługach w domu mecenasowej.

– Jak ja mogłam tak postępować? – wspominała ze wstydem. – Przecież ona mnie uczyła!

Niepostrzeżenie dla siebie dojrzała tu, otrząsnęła się z niezadowoleń z siebie i pretensji do drugich. Teraz, gdy Marianna wyjechała, sama gotuje i pali w piecach mimo protestów Alisi, że to nie należy do „zajęcia się domem”. Odrzuciła propozycję zgodzenia przychodnej posługaczki. Owszem, nawet po powrocie Marianny będzie palić w piecach. Domyśliła się, że profesor przerwał swe wykłady na uniwersytecie, i wyobraziła sobie to jako klęskę i ruinę domu, tak jak bywało na Nowolipkach, gdy ojciec rodziny tracił pracę. Nic się jednak nie zmieniło w trybie życia, zmieniła się tylko Franja. Jej namysł nad zakupami wywołał zdziwioną uwagę profesorowej, iż rachunki domowe zmniejszyły się w tych dniach! Przyszła nieco swobodniejsza i weselsza godzina pewnego wieczoru, gdy Alisia i profesorowa sprezentowały sobie nawzajem swoje precyzyjnie pocerowane pończochy. Nawet profesor zwabiony podniesionymi głosami wyszedł z gabinetu i wziął udział w oględzinach.

– Nie szkoda pani oczu – rzekł z wyrzutem.

Serce Franki w tej chwili jakby utknęło, gdy spojrział na nią z troską. Wyszła z pokoju. Zza niedomkniętych drzwi dobiegało ją:

– Bardzo oddana. – To powiedziała profesorowa.

O, tak, była oddana, oddana do głębi, czuła to, stojąc za drzwiami. Łzy napęłniły od razu jej skośne, lekko podniesione ku skroniom oczy.

– Strasznie byli dla mnie dobrzy.

To dziwne, że Alisia nieraz zdawała się o coś rodziców oskarżać, miała okresy niezrozumiałych buntów, mówiła głosem szyderczym, używała zwrotów pełnych ironii.

Profesorowa zachowywała niezmacony spokój i obojętność. Profesor ożywał się i zdawał się zgadzać co do niedoskonałości świata i dalekich od doskonałości ludzi. W jego słowach nie czaiła się nuta pobłażliwej drwiny z buntów młodości; brał to poważnie. Ale samo jego potakiwanie, jego zgoda gasiła zapalę Alisi. Wzruszała ramionami niedostrzegalnie.

To dziwne, że Alisia, dążąca jakby do doskonałości, była jednocześnie najbardziej trudna do współżycia. Wyrzekała się, zastrzegała przed usługami, trudnieniem kogoś, a jednak wymagała tak wiele, wpadała w gniew, gdy nie

miała czegoś w porę i tak, jak chciała. Potem, co prawda, przepraszała. Za każde ostre słowo dawała uśmiech tak prawdziwie skruszony, aż to było zawstydzające.

Ta niezrozumiała rzecz stała się w pewien wieczór. Franka sądziła, iż Alisia wyszła z domu na lekcję gimnastyki. Przypomniała sobie, iż coś w jej pokoju należy uporządkować.

Jak zwykle bezszelestnie przeszła korytarzem i pchnęła lekko drzwi. Rozległ się gniewny krzyk, ujrzała Alisję spoczywającą na małej kanapce w jakiś taki dziwny sposób, wśród rozrzuconych sukien i spódniczek. Cofnęła się.

– Co to jest? Nie wolno wchodzić do mnie bez pukania!

Franka nie słyszała prawie tych krzyków, gdyż nagle zrozumiała, co działo się z Alisją. Wspomniała pewien ranek, gdy weszła na górkę w drewniaku Mossakowskich i zastała Czarną Wiknę tak samo zdyszana i rozczterwioną, zrywającą się z łóżka zasłanego już. I w tym, i w tamtym świecie, na Nowolipkach i tutaj ludzie ulegali takim samym pokusom, takie same ślepe i ciemne prawa towarzyszyły ich rozwojowi, budzeniom się i ocknieniem ciała. A ona, wtedy z Ireną na ciemnych schodach, w ów wieczór, kiedy to było już „wszystko jedno”. Znała wagę tych małych, nieznanych nawet najbliższym upadków, znała drogę, po której się potem szło. Struchlała. Miałażby Alisia ulec tym samym pragnieniom? Co trzeba zrobić? Niepodobna zwrócić na to uwagi profesorowej. Jak to zwalczać? Ona, Franka, sama musiała sobie dać z tym radę. Ale Alisia!...

Wieczorem, gdy układała bieliznę Alisi, rzekła tonem miękkiem i pełnym troski, nie patrząc na leżącą już w łóżku Alisję:

– Panienska jest słaba, poci się. – I, nie dając czasu na obrazę, czy zachnięcie się, mówiła prędko. – Czy panienska pozwoliłaby się nacierać octem toaletowym? To tak przyjemnie pachnie i człowiek tak się rześko potem czuje.

Usłyszała pokorny, słaby głos.

– Dobrze, Franiu. Jakaś ty dobra, Franiu.

Zauważyła później, iż kąpiel Alisi jest coraz zimniejsza, a rano dobiegał ją odgłos ćwiczeń gimnastycznych. Walczy. A więc dała sobie radę. Niewymowna radość napelniła serce Franki, zdawało jej się, że zdobyła sobie Alisję, znalazła do niej drogę...

Zabrzmiał dzwonek telefonu, oderwała się od okien. Gdy otwierała drzwi do przedpokoju, na progu gabinetu stanął profesor. A więc był w domu. Pytano o profesorową.

– Pani profesorowa jest na wsi. – Zakryła dłonią tubę i zapytała: – Czy pan profesor podejdzie? – Potrząsnął głową. A więc: – Pana profesora nie ma w domu. – Odłożyła prędko słuchawkę, chciała skorzystać z okazji, zapytała:

– Co pan profesor będzie jadł na kolację?

– Pan profesor zje to, co mu pani da – odpowiedział i cofnął się do gabinetu.

Głos miał trochę inny, jakby żartobliwy. Nakryła prędko do stołu, nastawiła herbatę i zapukała.

– Kolacja na stole, panie profesorze.

Mógłby tak siedzieć i siedzieć bez jedzenia, gdyby mu nie przypomniano o porze posiłku. Wyszedł zaraz, ale nie usiadł na zwykłym swoim miejscu. Stanął przy kredensie i otworzywszy drzwiczki szukał wzrokiem między butelkami. Franka patrzyła w zdumieniu, jak przechyliwszy lekko głowę pił. Sięgnął widelcem na talerz, nie patrząc, dziobnął kawałek wędliny, przełamał chleb i stojąc spożywał.

Oczy miał wółprzymknięte, twarz nieprzeniknioną, był zupełnie inny niż co dzień, taki swobodny. Ale gdy Franka pomyślała, że profesor przebywa myślami sto mil od tego pokoju i od wszystkiego, co teraz robi, rzekł:

– A pani? Nie napije się? To dla apetytu, wygląda pani mizernie. Ma pani za mało ruchu.

Głosem zdławionym przez wzruszone uszanowanie odpowiedziała, że przecież krząta się cały dzień.

– Mówię o ruchu na powietrzu.

Nałożywszy sobie drugą porcję wędliny błędził dookoła stołu z ramionami lekko wzniesionymi, aż natknął się na otwartą na bocznym stoliku książkę.

– Co pani czyta? „Lalkę”? O ile sobie przypominam, nie ma u nas wszystkich tomów.

Wyznała, że zna już dobrze „Lalkę”.

– I czyta pani jeszcze? Hm... Może pani dobrać się do biblioteki, jeśli pani lubi czytać. Bardzo proszę.

Przyniosła herbatę na tacy, sięgnął po szklanę, ale jeszcze nie zasiadł przy stole. Napadł go istny szal chodzenia po wielkiej jadalni. Usiadła na zwykłym miejscu, ale nie zaczęła jeść, bała się poruszać, bała się każdego ruchu. Tak jest widocznie dobrze, tak mu jest, widać, przyjemnie: żeby ktoś siedział w milczeniu i bez ruchu. Może nie chce być sam. To znała, takie uczucie, gdy się chce być z kimkolwiek, aby nie samemu. Nagle spytał:

– Ostatecznie, jak pani jest tutaj, w tym domu?

Nie rozumiała pytania, a potem zaczerwieniła się z przejęcia, aż do łez, aż do wilgotnego promiennego blasku w oczach.

– Nigdy, nigdy tak mi dobrze w życiu nie było jak teraz... – wyznała z uniesieniem.

Patrzył na nią jakby zaskoczony i zdumiony. Wreszcie skinął głową:

– To dobrze – i wyszedł.

Czy od tej rozmowy zaczęło się? Czy później, gdy zastał ją w gabinecie, klęczącą przed otwartą szafą biblioteczną? Czy jeszcze potem, tego dnia, gdy wszedł do jadalni i nie zastał jej na zwykłym miejscu przy kredensie, gdy się przeląkł tej nieprzewidzianej nieobecności?

Czy od tego się zaczęły spojrzenia przez stół, szybkie i krótkie przyłgnięcie oczu, przyśpieszony i odmienny rytm serca na odgłos jej kroków, jego kroków, czujne znieruchomienia na stuk drzwi gabinetu, na stuk drzwi w końcu korytarzyka? Przerwy w czasie między obiadem i kolacją stawały się nie do zniesienia, wychodzili ze swych kątów, aby się minąć w przejściu bez słowa i spojrzenia. To samo, że on tu był, że ona tu była, wystarczało. Zanim sobie uprzytomnili, co to się dzieje, jakich to uczuć symptomatami są te poszukiwania siebie wzajemnie, wpadli w sam środek zawrotnego leja, z którego niepodobna się wydostać. Tak było dobrze, z tym przyśpieszonym biciem serca, o którym się myślało, że już nigdy... Niech to trwa. Niech tak będzie. Instynktownie unikali słów i gdy tak siedzieli przy dwóch krańcach stołu, zdawało się, iż nikt nie jest dalszy od siebie niż ta dziewczyna młoda i mężczyzna o posiwiałych już włosach na skroni i ciemnej, zamkniętej twarzy.

W tym czasie wyjechał na kilkudniowy zjazd do Krakowa. Nigdy dotąd, od pierwszych miesięcy swego małżeństwa, nie wracał do domu z takim niepokojem i niecierpliwością.

Ażeby odzyskać spokój, zmusił się do pieszego przebycia drogi z dworca do domu. Zastał okna mieszkania rześkie oświetlone i pomyślał zaraz, czy to lepiej dla niego, dla nich, że są goście? Że będzie mógł ją widzieć krzątającą się po pokoju... Otworzył swoim kluczem i pchnął drzwi gabinetu. Z głębi mieszkania dobiegł rozgwar, rozmowy i czyjś głośny śmiech.

W oczekiwaniu na jego przyjazd napalono w piecu, przy rozwartych drzwiczkach, na tle gorejącego płomienia, zobaczył ją, głowę dziewczyny, siedzącej na podłodze. Zerwała się.

Była tu, u niego, myślała o nim... Zapominając o niezamkniętych do przedpokoju drzwiach, o domu pełnym ludzi, objął ją i przygarnął do siebie. Uczuł, jak zastygła w tym objęciu, usta jego znalazły się na jej czole. Ze zdumieniem uczuł, jak głowa jej pochyła się i wargi spoczywają na jego rękach. I nagle, jakby chcąc podkreślić wyraz tego zbliżenia, zachnął się, usunął ręce, objął ją i w zapadającej nagle ciemności świata poszukał ustami jej ust.

Oprzytomniał. Nie wiedział, kiedy wymknęła się z pokoju. Siedział w kącie zimnej, pokrytej skórą kanapy. Krwawy odblask ognia padał na dywan i niedomknięte drzwi. To nie powinno się było stać! Cóż zrobił! Ogarnął go niepokój i tak jak był, w palcie jeszcze, przeszedł przez korytarz i jadalnię. Nikogo. Ten brak przeszkód pchnął go w stronę jej pokoju. Siedziała w

ciemności przy stoliku, głowa jej spoczęła na rozłożonych ramionach.

Biedne dziecko... samotne dziecko, które pocałunkiem pchnął na drogę najokropniejszych mąk.

– Nie powinienem... wybac mi... – powiedział i z rozpaczą poczuł, że już za późno, że mówi daremnie. Słuchał z uczuciem tonącego, jak zaprzeczała gorąco:

– Nie! nie – nie.

I znów wargi na jego rękach. Poglądził ją ostrożnie i czule po głowie.

– Przebac mi.

Pomyślał w tej chwili, że to uczucie może skierować na inne tory, na drogę serdeczności, i odetchnął. Coś w nim tajało od dominującej radości tego zbliżenia. Niech to trwa. Niech tak będzie.

NIEURODZONE

Leżąc jeszcze w łóżku, Cechna sięgnęła po lusterko i zatonała oczyma w interesującym odbiciu swojej twarzy. Od czego to człowiek tak się zmienia, tak przeistacza cudownie?

Nawet jej włosy lśnią, mocniej niż dawniej, świetne pukle leżą na białej poduszce, oczy zyskały głęboki, prawie granatowy odcień – a skóra nieskazitelną czystość.

Małe poszły już na pensję. Amelka ubierała się w kuchni. Te chwile są najprzyjemniejsze w domu. Można rozpamiętywać, można przeżywać to wszystko z Henrykiem, raz jeszcze, w pamięci. Wgłębienie ramienia, gdzie najlepiej jest położyć głowę. Najlepiej ze wszystkiego na świecie.

Pani Raczyńska przeszła przez pokój z patelnią pełną roztopionego tłuszczu.

– Moja Cechno, nie wpatruj się tak w lusterko, bo ci się diabeł ukaże. Wstawaj. Myj się. Przeżegnaj się. Bo już śniadanie na stole... To wstyd wylegiwać się!...

Byłaby mówiła dalej, ale przerwał jej dziwny odgłos, stęknęcie, właśnie od strony łóżka.

– Co to? – Cechnie zrobiło się niedobrze, wymiotowała.

– Ach, mój Boże! Wody! Uważaj na pościel! Pościel pobrudzisz. Schyl głowę! Cóż to znów takiego? Co ci jest?...

– Co mama ma w tym rondelku?

– Tłuszcz, moje dziecko, do smarowania chleba.

– Brr... – Cechna wzdygnęła się z obrzydzenia. – Co za wstrętny zapach.

To przez ten zapach...

Pani Raczyńska pośpiesznie nakryła patelnię talerzem.

– Wstań i idź do kuchni, moje dziecko, całą pościel pobrudzisz, dopiero co świeżo powleczona...

Cechna leżała na wznak blada i wyprężona.

– Mamo, słabo mi... Ja chyba umieram.

Pani Raczyńska, krzyżąc, wzywa Amelcię. Cechna ma zimne i sztywne nogi, zupełnie jak nieboszczyk, kiedy umiera. Traci głowę i zaczyna chuchać na te nogi, tak jakby jej oddech mógł rozgrzać skostniałość ciała. Amelcia z rącznikami w rękach i namydloną twarzą staje bez słowa przy łóżku.

– Niech mama prędko da octu, ona zemdląca. I gorącej wody do butelki.

– Już mi lepiej – słyhać jęk Cechny.

Gdy matka grzeje wodę w kuchni, Amelka pochyła się nad siostrą.

– Słuchaj, Cechna, kiedy ty ostatni raz miałaś... no, wiesz co.

Cechna patrzy oszołomiona głupimi oczyma.

– Nie... nie pamiętam...

– Musisz sobie przypomnieć, musisz! czy ty nie rozumiesz! Z kim ty chodziłaś, co? Coś ty zrobiła, dziewczyno? Mów, mówże, póki mamy nie ma... Z kim?

– Z Henrykiem...

– Z jakim Henrykiem, czyś ty zwariowała?! – Amelcia dotąd jeszcze nie wierzyła w swe podejrzenia, dopiero to imię, jedno słowo, imię mężczyzny, dobija sprawę. – Z jakim Henrykiem?! – Nie panuje już nad sobą, podnosi głos, krzyczy.

Pani Raczyńska wbiegła do pokoju.

– Na miłość Boską, moje dzieci, co wy wyprawiacie! Takie krzyki! Ja już głowę tracę!

Amelcia już-już otwiera usta, aby powiedzieć prawdę, ale widok trzęsących się, poparzonych wrzątkiem rąk matki powstrzymuje ją.

– Ja to wszystko zniosłam sama, w milczeniu – przypomina sobie – a ta smarkata tyle kramu narobiła.

– Niech mama mnie da tę butelkę i nasypie sobie soli na ręce, niech się mama uspokoi. Cechnie nic nie jest i nawet właśnie zdążyliśmy się pokłócić.

– Tylko zgodnie, moje dzieci, tylko z Bogiem!

Coś złowrogiego przemyka po twarzy Amelki, wypycha niemal matkę za drzwi. Dobrze. Będzie miała swoje „zgodnie” i „z Bogiem”.

– Mów, mów zaraz!...

Wypytuje Cechnę, musi mieć pewność. Wojskowy! Zupełnie tak samo jak z nią, zupełnie tak samo!... Tylko ta Cechna taka głupia, taka niedojrzała...

– On się ze mną ożeni. – Amelcia błędnie z wściekłości. – Powiedz mu tylko o tym, a zobaczysz, co ci odpowie.

Nie ma czasu na wyrzuty.

– Słuchaj, temu można zapobiec. On się tym powinien zająć. Mamie nie trzeba ani słówka mówić.

Amelka pochyla się, kładzie głowę przy głowie Cechny i szeptem:

– Znam taką jedną kobietę... wiesz... na Grochowiu... zaraz za Praga... – Szeptem, szeptem – szeptem. Nagle Cechna zrywa się i siada na łóżku.

– Nie! Co ty sobie myślisz! Nigdy!

Oniemiała Amelka zdobya się na stanowczość.

– Musisz. Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Jak się pokażesz między ludźmi, gdzie każdy nas zna, tutaj. Będą cię palcami wytykać. A matka? Jakie ty prawo masz taki wstyd na stare lata matce sprawiać. A małe?

Ochłonęła.

– Co dasz temu dziecku! Gdzie się podziejesz?

– Przecież ja zarabiam, oddam mamie wszystko.

Amelka traci cierpliwość.

– Ja nie pozwolę na to, słyszysz? A aptekarz? To ja z takim trudem doprowadziłam go do myśli o małżeństwie, żebyś ty... ach, ty!... głupia, podła!...

– To ty jesteś podła, że mnie do takich rzeczy namawiasz! Ja kocham Henryka... a ty co? Wyjdiesz za mąż za takiego starego człowieka, dla pieniędzy. Nigdy tego nie zrobię, nigdy!... Niech się ze mną nie ożeni, wszystko mi jedno. Będę miała swoje dziecko!... Swoje dziecko!...

Na dźwięk jej głosu, tego przenikliwego akcentu czułości, w którym już drga zaborcza i mocna siła, Amelka lodowacieje.

– Dobrze. Rób, co chcesz. Tylko pamiętaj, do domu nie masz co wracać. Idź sobie do swojego Henryka i rozmów się z nim!

Tak. Cechna myśli cały dzień o spotkaniu z Henrykiem, ze swym uroczym, pięknym lejtnantem, czuje, iż on jest najbliższym jej. Nie matka, nie Amelka ani małe – tylko on.

Dziecko, będzie miała dziecko!... – Ich dziecko. Henryk podarował jej jedwabną różową chusteczkę, a ona zarzuciła ją na lampkę w jego pokoju, aby mieli ładne światło. W zamian za chusteczkę podarowała mu mały, ładny obrazek z dziewczyną, podobną do niej, zawiesiła nad jego łóżkiem. Ta kwatery stała się jej domem, tam się o nią troszczono. Miała dziurawe buciki, przemoczyła sobie nogi, Henryk polecił jej zdjąć i cichaczem zaniósł do szewca.

Zapłacił większą cenę, aby tylko zostały zreperowane, póki ona siedziała u niego. Taki był dobry. Dlaczego powiedziała Amelce, że jeśli się z nią nie ożeni, to ona i tak urodzi dziecko?

On się z nią ożeni na pewno.

Chciała z kimś porozmawiać, zwierzyć się komuś, kto by ją utwierdził w jej gorącym postanowieniu, że chce urodzić dziecko. Ale Bronka, odkąd się wyprowadziła, ciągle gdzieś wędruje, a Frania od czasu otrzymania posady nie odezwała się ani razu nawet do Bronki.

Poszła do Kwiryny, ale nie pisnęła ani słówka, bała się jej. Nie, Kwirynie nie można powiedzieć takiej rzeczy. Chłopiec Kwiryny, Roman, dostał się do niewoli niemieckiej.

Kwiryna pisuje do niego, przesyła mu paczki z żywnością. Cała kuchnia zatłoczona jest szmuglerkami, które dostarczają Kwirynie wiejskich produktów, a w sklepie siedzą żołnierze niemieccy i pożywiają się na brzeżku stołu tak jak ongiś więźniency rosyjscy.

– Jak ty się nie boisz, Kwiryno?

Kwiryna daje sobie doskonale radę i ze szmuglerkami, i z żołnierzami. Jest prawie u szczytu swych marzeń: Majewscy zamknęli swój sklep wskutek trudności aprowizacyjnych i ona już rozmawiała o wynajęciu tego lokalu.

Trudności aprowizacyjne!... Ależ na tym się zarabia! Majewski jest starym safandulą – orzekła Kwiryna. – Ja nie wynajmę, tylko postaram się kupić ich posesję wraz ze sklepem. Roman wróci z niewoli, pobierzemy się i już!...

Cóż miała Cechna powiedzieć o sobie Kwirynie? Zresztą nie potrzeba. Nadchodzi już wieczór i zwierzy się swojemu Henrykowi. Tego wieczoru jest mało pacjentów, Cechna myli się kilkakrotnie w podawaniu narzędzi lekarzowi, ale ten się nie tylko nie gniewa, lecz żartuje.

– Co to się dzieje z moją asystentką!... Zakochana?... – także pacjent siedzący akurat w fotelu, bogaty inżynier, oświadczył, iż z jej rąk chętnie przyjąłby nawet truciznę zamiast lekarstwa. Rozweseliła się i pokrzepiła tymi hołdami.

Henryk nie czekał przed bramą. Teraz spotykali się u niego, na kwaterze. Siedział przy nakrytym stoliku i różowe światło tak pięknie płonęło w „ich” mieszkaniu. Gdy stanęła za krzesłem, objął ją i usadowił na kolanach.

– Tu, patrz. Mam list z domu. – I zaczął po raz setny opowiadać o swoim domu, o matce, o siostrach.

To był prawdziwy dom, porządny dom, rodzina. Jedna siostra grała na pianinie, druga śpiewała, matka robiła pończochy, wieczorami ojciec czytywał kalendarze rolnicze i komunikaty wojenne. Wojna nie rozbiła tego domu, dziewczęta nie odeszły odeń za pracą i zarobkiem... Wtedy właśnie, gdy przerwał, Cechna szepnęła:

– Henryku, ja będę miała dziecko.

Przestraszył się, uczynił ruch, jakby chciał wstać z krzesła, i Cechna osunęła się z jego kolan. Klęcząc, widziała, jak bardzo był przerażony, jak zgnębiony. Gdyby się rozgniewał, rozzłościł, tak jak Amelka, to

przeciwstawiałaby się tak samo mocno. Jak wrogowi. Ale wyglądał teraz tak strasznie biednie.

– Co my zrobimy, Cechna! – Mówił o wojnie, o niemożliwości zawarcia szybkiego małżeństwa, a potem o domu, że nigdy by nie mógł kobiety, którą kocha, postawić w tak dwuznacznej pozycji wobec swojej rodziny. Nie, tego on zrobić nie może ze względu na Cechnę, to jest dom surowy i staroświecki. Starzy ludzie nic nie chcą wiedzieć o miłości, tylko o cnocie. Jego siostry są bardzo niewinne. Nawet nie zauważył, że Cechna blednie i szarzeje od tych słów, że traci siebie, czuje się jak nędzny proch wobec zatrzęsniętych drzwi jego ciepłego, czystego domu. Ale on w tej chwili chwytą się za głowę, desperuje – i przerażona jego bólem i strachem bezwiednie powtarza mu radę Amelki.

– To jest jedyne wyjście – szepce Henryk – tak, to trzeba zrobić.

Ożywia się. Zawiezie ją potem do domu już jako swoją narzeczoną.

– Zrobisz to, naprawdę?

– No, ja, tak, zawiozę do domu moją małą narzeczoną.

I jakby uważał sprawę za całkowicie załatwioną, schylił się i podniósł ją z klęczek.

Usadowiona na łóżku zakolysała się w objęciach, potem zastygła w milczeniu. Nagle szepnęła wyczekująco:

– Cechna?...

Opadła z westchnieniem na poduszki, więc wszystko będzie po dawnemu? Ogarnął ją ogromny żal, ale wyciągnęła ramiona, aby go objąć, klęczącego, i przyciągnąć ku sobie.

Dźwignęła się, przygwoździł ją twardą dłonią. Klęczał nad nią, wpolobnażoną, patrzył uparcie w twarz. Krew szybką i gorącą falą zalała jej policzki, usta spłonęły. Zaczęła przesuwając kapryśnie głową po poduszce, chciała go teraz mieć jak najprędzej przy sobie.

Jęczała prosząco:

– Henryku – no – Henryku!...

Tego nie знаła, tego jeszcze nie było w niej, w nich, niemal krzyczała w pragnieniu. Stalowa siła, idąca od wnętrza, sprężyła jej ciało. Nie rozumiała, co to się dzieje z nią, aż głowa znieruchomiała przygwożdżona kamiennym wzrokiem klęczącego, a ręce w rozjątrzeniu miłosnym zacisnęły się na kółdrze niczym szpony.

Opadł na nią, z jękiem. Znowu było to wgłębienie, na jego ramieniu. Ułożyła głowę.

Głupia... Czymże to się dręczyła?... Dla takiej chwili warto było wyrzec się wszystkiego.

Wszystkiego, wszystkiego! Nawet tego – które już się nie urodzi.

Leżała wyciągnięta, w wielkim i sennym spokoju.

ZAPORA

Przyniesiono suknię od Hersego, Frania odebrała pudło z rąk dziewczynki i rozkładała te wspaniałości w sypialni profesorowej. Natrafiła na jakies starcie między Alisią a matką. Czy to było w związku z wizytą suchej a żywej damy klasowej, która dopiero co wyszła?

Profesorowa pytając i z wyrzutem rzuciła w stronę córki:

– Alisiu?...

– Nieprawda, mamó...

Spokojne, bardzo piękne błękitne oczy spojrzwały ze zniecierpliwionym zdziwieniem.

– Nie mówimy o tak wielkich rzeczach jak prawda, Alisiu, mówimy tylko o poprawności.

Gwałtowny ruch Alisi sprawił, iż spłonęła nagle ciemnym rumieńcem wstydu. Odwracając głowę ku Frani, poprosiła:

– Niech pani ulokuje suknię w szafie, nie będę już jej przymierzać.

– Czy to przeze mnie, mamó? – Zadziwiającym było, jak szybko Alisia przerzuciła się z jednego nastroju w drugi. I teraz z przesadą jęła błagać matkę. – Przymierz, moja droga! Ja tak lubię widzieć cię w nowej sukni... – Ożywiona, pomogła matce wciągnąć przez głowę obcisłą czarną suknię, pełną pieśczośliwego szelestu jedwabiu, koronek, przez które różowiała skóra ramion. I oto miały przed sobą w lustrze inną kobietę, rozkwitłą, zapatrzoną ze znawstwem w swą urodę.

Przy poobiedniej herbacie Alisia przeczytała z emfazą w „Kurierku”: „Profesorostwo Zalewscy z córką Alicją”...

– Co takiego? – spytał profesorze zdziwieniem.

– Jak to, jesteś przecież gospodarzem, tatku. Podwieczorek wenta w Cristalu...

– Hm... – profesor grzecznie pochyłony w stronę żony – mam nadzieję, że wystarczy, gdy wstąpię i złożę na tacy odpowiedni okup?...

– Ale najzupełniej, mój drogi. Nie, nie potrzebujesz siedzieć.

– Dziękuję ci, moja droga.

Alisia spojrzała na Franię, ubawiona.

– Czy myślisz, że zawsze tak ze sobą rozmawiali? – szepnęła po wyjściu rodziców. – Nie... „Nie, moja droga, tak, moja droga”... Chodź, pomóż mi się ubrać i uczesać, Franiu.

Nie, nie zawsze tak ze sobą rozmawiali. Podczas gdy Frania rozczesywała jej włosy przed lustrem, Alisia z przymkniętymi powiekami zsuwała się w głąb i odległość czasów, kiedy tych dwoje, jej rodzice, mówili żywymi, rozjuszonymi głosami, kiedy krzyczeli i gestykulowali namiętnie w dwóch

odległych krańcach pokoju, a ona stała pośrodku, tak maleńka, i błagała, by się zbliżyli ku sobie. Przerażenie, jakie wówczas wstrząsało jej drobnym ciałkiem, pozostało, ciężkie do zniesienia nawet jako odległe wspomnienie. Ileż wówczas mogła mieć lat... pięć, cztery? Błagała:

– Pocałujcie się... chodźcie tu, razem, razem...

I obejmowała jednym uściskiem ramion szyć ojca i matki, łącząc niby żywą klamrą te skłócone, drżące z gniewu ciała. Potem nastąpił spokój. Potem słyszało się z dnia na dzień coraz to cichsze, miłe głosy, aż nastąpił ów grzeczny i zimny, i doskonały spokój.

Przypomniała sobie okres, kiedy powzięła podejrzenie, iż jest podrzutkiem, przygarniętym przez ten dom. Później jeszcze coś zupełnie przeciwnego: była ich dzieckiem, kochanym, to z miłości ku niej nie rozeszli się wówczas. A potem słowo miłość zastąpiło słowo obowiązek.

To z obowiązku nie rozstali się wówczas, dla niej. Przesadzała, egzaltowała, uważała, że musi im dotrzymać kroku w tym trybie życia domowego, przypominała sobie to z wyrzutem, ilekroć tak naturalne buntury młodości wzbudzały ją, wysadzały z siodła. To była im winna...

– Dziękuję, Franiu. Ślicznie. Jakim sposobem nauczyłaś się tak dobrze czesać? Teraz suknia... – I nagle, głosem rozdrażnionym: – Nie! Jaką mi dajesz sukienkę?! *Fraise*? Ale nie, co znowu! Jakąś ciemniejszą!... Ach, nie masz o niczym pojęcia!...

W przeciągu kilku minut zdołała wzburzyć wnętrze szafy, udekorować pokój rozwieszonymi sukniami i zawartością szuflad. Nic nie było dobre, nic się akurat nie nadawało: wstążki są pomięte, kołnierzyk zbyt naiwny, broszka wenecka przyczaiła się tak chytrze, że nie można jej było odnaleźć. Frania z niezmaconym uśmiechem pomagała ułagodzić ten zatarg z martwym światem rzeczy. Wszystko miało dla niej pewne ukryte znaczenie, stawało się powodem niespodziewanego uszczęśliwienia. Gdy profesor oznajmił, iż nie pozostanie przez cały wieczór na wencie, to już było uszczęśliwieniem. Wróci, będzie pracował tuż obok, w gabinecie. Choćby go miała nawet nie zobaczyć przez cały ten wieczór, sama jego obecność wystarczała.

Wyrzekła się i pragnęła. Go oto zamknęła drzwi za profesorem i Alisią, przeszła bezszelestnie przez przedpokój, pod jego drzwiami. Zaczynało się nasłuchiwanie, z wzrokiem utkwionym w klamce, z krwią napływającą i uciekającą z twarzy, z głuchymi stukami i powstrzymywanymi uderzeniami serca. Wyszedł. Wrócił. Co robił tam, u siebie? Czy siedzi tak samo beczynnie jak ona, z dłońmi jakby spętanymi na kolanach, z głową odchyloną, ulegającą bez sprzeciwu oszałamiającej władzy marzenia? Uzyskiwała pewność i wpadała w zwątpienia... nie, to niemożliwe, nie myśli o niej. I oto zaraz przypląwał z ciemności jakiś uśmiech, tak bliski, pełen najbliższego porozumienia. Tak. I on także. I on jest pod tą samą władzą

nieuchwytną.

Ale przy wieczornej herbacie, gdy tylko wszedł i usiadł przy stole, uczuła zmianę, zanim jeszcze spragnione oczy ogarnęły jego twarz spojrzeniem. Co to było? Odcień głosu, sposób zajęcia miejsca przy stole, suche, uprzejme słowa, gdy podawała mu półmisek:

– Dziękuję pani!

Doznała uczucia, jakby natknęła się na niewzruszoną ścianę i przez chwilę miała nieomylnie widzenie: roztrzaskam sobie głowę. Ogarnęła ją zgroza. Powstała. W korytarzyku, z głową opartą o drzwi, powoli odzyskiwała równowagę. Szepnęła sobie samej, gorzko:

– Boże, o czym to ja roiałam...

DROGI

Przed Bronką otworzyły się drogi. Droga na prawo, aż pod sam Wawer – na lewo – Pelcowizna z unieruchomioną hutą, w głąb – Szmulki. Te wszystkie martwe nazwiska w wykazach Komitetu ożyły, podostawały twarzy, przybrały postacie ludzi.

Wszystko było w ruchu, cały świat rzucił się jakby do gorączkowej „działalności społecznej”. Kuchnie i kursy, świetlice i odczyty, i teatry amatorskie, i chleb rozdawany w nędznych chałupach Pragi przerobionych raz-dwa na stacje opieki. Nikt nie siedział w domu, każdy coś czynił i Bronka była w wiecznym ruchu.

Stoi przy kotle w szkole podmiejskiej, dzieci z garnuszkami ustawiły się szeregiem, w oczekiwaniu. Jakie są nędzne. Jak nędzne mają ubrania. Tak samo wygląda nauczycielka, krojąca chleb przy stoliku. Tak samo wygląda ona, Bronka. Tak samo, zdaje się, wyglądają wszyscy wokół.

W oczekiwaniu na przyjazd zupy na wózku z kuchni, śpiewają. O, te pieśni! Gdy nie ma co jeść, powstają nowe pieśni. Tak jak wtedy, w czasie strajku. Pieśń zamiast chleba, to jest myśl. I ten sam bunt wtedy, gdy się śpiewało o Ojczyźnie, ta sama nadzieja, ten sam zapach nieokreślony, krzepiący. Dzieci śpiewają słabymi głosikami, niektóre drzemią. Pieśni legionowe, pieśni o żołnierzu, pieśń o dziewczynie, która prosiła o zieloną suknię „... nie bardzo długą – abym mogła wiernie – wiernie wędrować z tobą...”.

Uśmiecha się blade. Za oknami stoi wiosenny dzień, ciepły i chmurny. Po drugiej stronie drogi wierzby nadwiślańskie, rozcapierzone, tajemnicze, puściły pierwsze pędy. Słyszać turkot wózka wśród sennej ciszy, jaka zapadła

po skończonej pieśni.

– Zupa jedzie! Zupa!

Wnoszą tę zupę i przelewają do kotła szkolnego... Para i okropny zapach bucha na izbę szkolną. Szyby zasnutę parą, zmrok. Blaszane łyżki dźwięczą o blaszane miseczki. Mętna ciecz, czarna, rozgotowana peluszka, zgniłe kawałki suszonej ryby. To tak ta ryba cuchnie.

– Może by nie kłaść ryby? – medytuje Bronka. – Dzieci, co wolicie, z rybą czy bez?

Patrzą na nią sennie.

– Z pęcakiem! – mówi wreszcie któreś.

Pęcak dostają raz na tydzień. Jest mało pęcaku, nie ma pęcaku.

Chleb sypie się jak sucha glina. Jeśli jest świeży, tym gorzej, bo się choruje od świeżości.

Ale przynajmniej zjeść można.

Bronka wyjmuje zeszycik.

– Ile porcji?

– Czterdzieści, z moją czterdzieści jeden – odpowiada nauczycielka. – Mam dużo dzieci. Czy pani zje z nami? Dzieci, kto zjadł, niech pożyczycy pani miseczki!

Zrywają się.

– Proszę pani, ja opluczę pod studnią!

– Nie trzeba, dawaj tak.

Nauczycielka patrzy na nią z podziwem...

– Wszystkie mają krosty – uprzedza.

Ale Bronka uśmiecha się.

– To z niedożywienia, nieszkodliwe, wie pani.

Je, siedząc przy stole, wraz z nauczycielką.

– Jak długo to jeszcze potrwa, jak pani myśli?

– Czy pani wykupiła paszport?

Bronka została sfotografowana przymusowo w drewniaku na Pradze wraz z personelem kuchni. Ustawiono ich za domem na zrujnowanym placu, z numerami na piersiach. Potem trzeba było wykupić paszport w urzędzie na Wileńskiej. Zaraz jak stamtąd wyszła z paszportem, z fotografią twarzy katorżniczki, z numerem pod szyją, spuściła ów cenny dokument w otwór kanalizacji.

– Ładna historia, będą się pani czepiać. Jest pani bez niczego.

– Ja zawsze będę „bez niczego”.

Wraca kolejką, jeśli ma pieniądze. Wraca pieszo pod rozczochranymi, żalonymi wierzbami. Na Pelcowiznie prócz kuchni otwarto świetlicę dla dzieci szkolnych. W domach nie ma światła, nie mogą odrabiać lekcji. Tu się schodzą i odrabiają lekcje. Tu się wydaje na kolację kartofle w mundurach i

herbatę z sacharyną. Tam Bronka czytała głośno. Książka i pieśń, kiedy się jest głodnym, to jest coś.

Późne wieczory w domu, w drewniaku o spróchniałej podłodze. Syk i zapach lampy karbidowej, złowieszczy płomień oświetlający nędzne wnętrza. Zaspia pod strzępami kołdry, nie ma już nic, same strzępy, prócz jednej „wyjściowej” sukni na grzbiecie. Zdaje jej się, że określiła swoje miejsce w świecie i trwa. Nic ją nie obchodzi rewolucje w świecie szerokim i nadzieje na swoją własną Ojczyznę. Tu ten pas Pelcowizna-Praga-Grochów, ludzi obrabowanych z możliwości życia, daje jej obraz świata, z takimi samymi kątami, z takimi samymi ludźmi. To Ignas powiedział, że oni tam, na Nowolipkach, noszą na sobie stygmat nie tyle biedy, ile niewoli. Blizna na twarzy Mietka, kiedy był jeszcze dzieckiem, kiedy zmógł się i przełamał... Ten sam Ignas, który zostawił ją i poniechał, „oszczędził ją” głupią i słabą, po to, aby jej życie nie oszczędziło, aby ona sama nie szczydziła siebie.

I tu, i tam, i wszędzie, jak świat szeroki, świat jest pełen zwycięzców i zwyciężonych. Drapieżnych i obrabowanych. Obrabowanych nie przez stratę ziemi, nie przez stratę dobytku, obrabowanych z możliwości życia. Pokornych, o zgrozo! Przez tę właśnie peluszkę, przez tę właśnie zgniłą rybę, przez ten właśnie zarekwirowany bochenek chleba. Po to przypadały matki z płaczem do rąk zwycięzców – o, do ich butów! Po to puszczały się dziewczęta...

Pozbyła się swej słabości, na wieki wieczne pozbyła się współczucia. To się wyczerpało, wyschło, wygasło. Tępo i zwyczajnie przyjmowała to, co przynosiło życie. Oddawała się szybko, gorzko, bez uśmiechu różnym mężczyznom, którzy akurat stawali na jej drodze, jakby szukając smaku tego pierwszego pocałunku, pierwszego przyłgnięcia do Ignasia.

Posiadali nad nią władzę w jej pracy, władzę pieniądza, władzę stanowiska. To była także niewola.

Mruczy, leżąc na łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Różycki, prezes, lekarz z okręgu – i jeszcze tam ktoś – i jeszcze... Ale nie, do diabła, żaden z nich nie uzyskał nad nią władzy w miłości, nigdy nie oddawała się całkowicie z miłością. Poszukiwaczka...

– Ty nie pokochasz, ty nie jesteś zdolna do miłości – rzekł Różycki, a ona roześmiała się obelżywie:

– Nie, doprawdy?

– Dałaś mi dobrą lekcję, to ty nauczyłaś mnie cierpieć, nie cierpiałem dotąd nigdy z powodu kobiety – powiedział sam prezes.

Wzruszyła ramionami.

– Niech pan nie przychodzi tu więcej. Niech pan zapomni... – dawała mu dobrotliwe rady. Ale powracał załamując dramatycznie ręce.

– Co w tobie jest? Czego ty chcesz? – Milczenie doprowadzało go do

wściekłości, złorzeczył. – Żebyś i ty w życiu natrafiła na miłość niewzajemną, żebyś poznała, co to jest!

Triumfowała, sądziła, że uzyskiwała władzę, że nie ją wreszcie obrabowywano. To ona zabierała spokój, to ona upokarzała. Ach, nie czyniła nic, aby się przyozdobić, ani jednego ruchu palca, aby się wydać ładniejszą, zwyciężała samą sobą, taką, jaką była. Gorzki triumf, gdy wykwintnisie, zrównoważeni, czyści, przypadali ustami do jej zabloconych, zdartych pantofli. Mówili:

– Broniu!... Najdroższa!... – a ona odrzucała im niezmiennie:

– Pan.

Czyniła im zaszczyt, gdy szła do eleganckiej restauracji w wyszarzałej sukience, gdy kładła małe, zaczerwienione dłonie na śnieżnym obrusie. Bez zmieszania przechodziła pod ogniem zdziwionych spojrzeń, przez salę restauracyjną. O, nauczyła ich, nie można jej było poszukiwać w mroku, ukradkiem, tajemnie, nie można jej było pomijać ukłonem. Trzeba jej było szukać dniem, wśród opatulonych bab z garnkami, w kuchniach pełnych smrodu i pary, przy boku straszliwych kucharek, wynędzniałych dzieci, zuchwałych wyrostków, plujących przez zęby. Należała jakby do nich i oni byli za nią, to się widziało, gdy uśmiechali się ukradkiem, porozumiewawczo, z chytrym przymrużeniem oka.

– O, jak to się do niej zalecają! – zdawali się mówić – oho, jak to koło niej tańczą, a ona tyle dba o to, co pies o piątą nogę.

Zwykle w dni wizytacji korzystała z okazji, ona, funkcjonariuszka Komitetu, aby wystąpić przeciwko temu Komitetowi obecnemu akurat w osobie samego prezesa czy lekarza okręgu, czy kierownika biura.

– O, jaka to zupa!... O, jaki chleb...

I wytargowywała, co chciała, za pomocą obiecujących spojrzeń czy zuchwalstwa – tę tam jakąś większą porcję tłuszczu dla kuchni, buty dla obdartusa, książki dla czytelnika.

– To, co pani robi, jest demagogią – rzekł ze złością prezes, gdy pewnego razu obłączony przez baby wypróżnił swą osobistą sakiewkę. A ona zniosła z lekkim sercem ten „ciężki” zarzut.

Ale podczas gdy tak pozornie zwyciężała, gdy sądziła, że to ona obrabowuje, powstawały wokół niej sprawy, zdarzenia, głosy – których, jak się przyznała, nie mogła znieść. Skrzypek w restauracji Hotelu Angielskiego stał się dla niej szatanem z swą grą targającą trzewia, napędzającą łyzy do oczu, posiadł nad nią władzę wzruszania, zmusił do łez tu, w obliczu siedzącego naprzeciw przy stoliku wroga. Wydawał ją na ich łup swą pieśnią, która była tęsknotą. Która była miłością.

Wiosna, krzaki bzu rozkwitły pod oknem jej izby – to były te rzeczy rozwierające ją, nakazujące płakać i cierpieć. A żeby to jakoś znieść, skryć

się, ominąć okropny kontrast między rankami w kuchni i przepychem sali restauracyjnej, zaczęła pić. Dolewano jej skwapliwie, usłużnie. Gdy była pijana, oszołomiona, uśmiechała się dziecięco i życzliwie.

Cała stawiała się lekkim przyłgnięciem, przyciągała jak głęboka, niezmierna woda. Zdawała się szukać na obcych, męskich twarzach czujnie jakiegoś znanego sobie wyrazu i zdjęta dreszczem, wtulała się w wyciągnięte ku niej ramiona, drobna, uległa, oddana.

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Przechodząc korytarzem profesor usłyszał płacz i stanął jak wryty. Pchnął drzwi i rzucił jakąś prośbę Mariannie. Płacz dobiegał z pokoju Frani. Teraz już było cicho. Usłyszała jego kroki.

Trzeba z tym skończyć.

Dom był pełen. Alisia w popłochu i zdenerwowaniu w gronie tak samo nerwowo napiętych koleżanek przygotowywała się do matury. Brzęczały telefony. Frania krążyła z tacą przekąsek, czarnej kawy i dawek coli. Profesorowa, żadna spokoju i tylko spokoju, zbierała się do wyjazdu na wieś, aby przygotować tam wszystko do letniego pobytu rodziny.

Pootwierano okna, letni wiatr wdzierał się do pokoiów tak dotąd chronionych przed gwarem ulicy. Było duszno mimo to.

Sam zaproponował żonie wspólny wyjazd, ale w ostatniej chwili cofnął tę obietnicę.

Przyjedzie jutro, za kilka dni, za tydzień. Miał uczucie, że nie załatwił jakiejś ważnej sprawy.

Niepokojąca twarz Frani nad tacą i ten płacz. Od tamtego pocałunku nic się nie stało, panował nad sobą. Ale skończyły się łagodne chwile porozumień spojrzzeniami, nastroj oczekiwania.

Coś się do gruntu zmieniło, on sam uległ temu niepokojowi, miał uczucie ciągłego napięcia i napięcia. Jak się ułożą sprawy na wsi? Zdjął go strach przed nieśmiertelnymi akcesoriami natury, przed ślepym pędem ku tej młodej dziewczynie, któremu już raz uległ. Tak. Trzeba było skończyć.

Zadzwonił, czego już od dawna nie czynił, i gdy stanęła we drzwiach, poprosił o herbatę.

Nie patrzył na nią, to mu odbierało odwagę. Gdy powróciła z herbatą i drżącymi rękoma odsuwała z biurka papiery, aby postawić tacę, rzekł, że chce z nią pomówić. Głosem zupełnie pozbawionym wszelkich odcieni oznaczył miejsce i godzinę spotkania – kawiarenkę na placu Świętego

Aleksandra. Widział, jak jej ręce zastygły na skraju biurka, podniósł oczy i zobaczył, że rozbłysła uśmiechem. Przestraszył się. Powinien był to inaczej powiedzieć!...

Ona ma nadzieję. Ona rozumiała to inaczej.

Gdy wyszła, zamykając bezszelestnie drzwi, doznał jednak tego samego uczucia zadowolenia i siły, jak na sali wykładowej wobec słuchaczy kokietujących i zakochanych w swym „interesującym profesorze”, a których uczuciami umiał pokierować i ujać w karby, nie tracąc ich, nie wyrzekając się tej siły podniecającej, jaką się czerpie z wpatrzonego i oddanego audytorium. I później, gdy siedzieli rozdzieleni zimnym marmurem stolika, on i Frania, w kawiarni – nie wypadł z swej roli.

– Moje dziecko – rzekł – chciałem z tobą pomówić i dlatego zaprosiłem cię tutaj. Twoje zajęcie... wydaje mi się za ciężkie i nieodpowiednie. Uczylaś się, prawda?... Zanim opiekunka tak nieszczególnie rozporządziła twoim losem, przysyłając cię do nas. Czy nie odpowiadałoby ci lepiej inne zajęcie?

Przerwał i nie patrząc odczuł, jak była śmiertelnie przerażona. Coś z tego przerażenia udzieliło mu się. To nie była zakochana słuchaczka, przed nim siedział ktoś zrozpaczony i z trudem a dzielnie pracujący nad sobą. Miłość... mój Boże! On był w stanie wzbudzić taką miłość – i wyrzec się jej! Mówił z wysiłkiem.

– Będę szczęśliwy, jeśli mi się uda to urządzić. Lubisz książki. Co powiedziałaś na pracę w bibliotece? W takiej pięknej, dużej bibliotece, po stropy wypełnionej książkami.

Skinęła głową. Była cała biała, blada, usta miała bez krwi, puszysty, skręcony lok jej czarnych włosów leżał na białym policzku. Nie przypuszczał, że tak to przyjmie, bez słowa, natychmiast, z takim okropnym milczeniem. Ramiona jej opadły, siedziała skulona i przygasła naprzeciw niego. Przez chwilę zawahał się, chciał coś jeszcze powiedzieć, coś: „niech tak pozostanie”, ale ogarnął go wstyd, jej zachowanie dziwnie go obowiązywało, usłyszał głos ostrzegawczy. Miał zrobić z tego uczucia miłość? Miał błądzić po korytarzyku kuchennym, miał czyhać na jej ukazanie się, miał ją całować potajemnie? Uczuł znużenie i smutek. Nic więcej nie mógł jej powiedzieć, ogarnął go lęk i obrzydzenie przed słowami nigdy całkowicie nie oddającymi uczuć ludzkich. Nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia, coś, co rozkwitło i uczyniło ich bardzo bliskimi siebie, zgasło. Przywołał tkwiącego pod ścianą kelnera i zapłacił.

– Wrócimy razem.

Tak, teraz już mogli wrócić razem. Szli Alejami, pod gęstym mrokiem drzew w stronę domu. Odpędzał ją. Wypędzona. Była w niebie i strącono ją. To tylko rozumiała z całej rozmowy. Pokochała i przygarnął ją, aby odtrącić. Ona i dom? Jakżeby: ona i miłość? Jej miłość. Przypomniała sobie tych

wszystkich mężczyzn, którzy ją całowali i obściskiwali, drżącą ze wstrętu i nienawiści, uczuła swe ciało tylekroć dotykane ogniem pożądliwych rąk.

Cóż on o niej wiedział? O jej uporczywej obronie i tęsknocie do miłości? O jej poprzednim życiu? Chciała mu powiedzieć, że nigdy, nigdy nie doznała takiego uciszenia jak wtedy, gdy ją pocałował, jak wtedy, gdy ją objął. Chciała mu powiedzieć, że doznała w życiu wszelkiego zła, wszystko, co najgorsze, nędzne, brudne, stawalo na jej drodze. Że odpychała to od siebie w ciągłym, niejasnym oczekiwaniu na coś ważnego, na coś prawdziwego. I wreszcie, kiedy to przyszło... Jęknęła i wpadła pierwsza do bramy. Zobaczył, że już nie panuje nad sobą, i jej nieukrywane cierpienie kazało mu powiedzieć, już na schodach:

– Daruj mi, przyczyniłem ci tyle smutku.

Wtedy poczuła nieomal drgnienie nienawiści do tej dobroci, do tych wygodnych, pięknych słów. O, oni umieli pięknie mówić, ludzie z tego jej wymarzonego świata! Umieli panować nad uczuciami, sięgać po nie w chwili podniecenia i odpychać. Powiedziała, stojąc przed drzwiami:

– Nie, to nic. To ja przepraszam – i uśmiechnęła się nawet blado.

Dom pusty, wysunięte kufty i rozwarne szafy, to było coś tak rozbitego, rozrzuconego, jak ona sama. Na stole w jadalni zastała kartkę Alisi. Alisia pisała: „Wyjeżdżam z mamą, bo nie mogę znieść tej niepewności. Wrócę w dniu ostatecznego wyniku egzaminów”. – I pod spodem drobnymi literkami: – „Jeśli się modlisz, Franiu, to pomódl się za moją maturę”.

Patrzyła bez uśmiechu na wzruszające, nieomal dziecinne przez swą prośbę, litery. Uczuwała jakies omdlenie nóg i ramion, jakies straszliwe rozdrażnienie ciała od wewnątrz. Powtarzała, patrząc na kufty:

– Oddać futra na przechowanie, przeliczyć srebro, oddać futra.

Odsunęła to od siebie, doznała przez chwilę zawrotu głowy od ciemności, która spadła na jej oczy. Czyżby znów miała zachorować? Z wysiłkiem oderwała ręce od stołu i równym krokiem przeszła przez korytarzyk. Odetchnęła, gdy poczuła, iż leży na wznak na łóżku, u siebie, że ciało ma pod sobą oparcie. Przeszywające bóle ucichły, uczuła coś gorącego, zalewającego ją jak fala. I, jakby nie miała już nigdy doznać odpoczynku, wraz z uciszeniem ciała opadły ją myśli: dokąd teraz pójdzie? Jak będzie żyć?

I to minęło, to było nieważne, troska o jakies tam urządzenie sobie życia. Nagle, gdy tak leżała, spadło na nią pożądanie, pragnienie. Usta jej napełniły się gorzkim i słodkim smakiem krwi. Serce załomotało głośnym stukiem.

– Jesteśmy sami w całym domu – pomyślała.

Pamięć nasunęła jej przed oczy jakies jego spojrzenia, poszukiwania jej obecności, uśmiech.

Już nie myślała o miłości... Przejdzie przez życie i nie przejdzie tego, co każdy najnędzniejszy człowiek przeżywa: miłosego oddania. Instynkt

podszepnął jej: pragnął cię i odtrącił!

Zacisnęła ręce na piersi i w mroku szaleństwa, jakie ogarnęło oszołomioną głowę, jęła szeptać błagalne zaklęcia i prośby:

– Niech przyjdzie teraz, o Boże! Niech on przyjdzie... – Potem będzie mogła odejść, o to jedno cię tylko proszę, Boże, o taką jedną chwilę... – Łzy wydostały się zza zaciśniętych powiek i pomknęły gorącą strugą po twarzy.

Krzywa, czarna i nieszczęsna akacja podwórzowa wyciągnęła się w górę aż do okien.

Kiedy się już zwątpiło w cud jej zmartwychwstania, nagle wydała z siebie drobne liście, pokryła się cała bladezieloną chmurą. Oczy Franki spoczęły na tej chmurze. Światło z jego okien, z gabinetu, padało teraz na liście, oświetlało je, liście zrodzone w trudzie i mroku miasta. Pomyślała:

– To tak jak ja. To tak jak miłość moja. W mroku i trudzie. – Zadrżała z uniesienia. Nagle gałąź akacji usunęła się sprzed oczu, utonęła w ciemności, zgasła. To zgasło światło w jego pokoju. Franka usłyszała zgrzyt odsuwanego zatrasku – stuk zamykanych drzwi – po czym zapadła cisza. Odszedł od niej – odszedł od niej teraz! Oderwał się!

Teraz nastąpiły dni, podczas których myślała bezustannie: Kiedy mam odejść? Czy to dziś? Kiedy się to stanie? Jak mam to zrobić? Co miała powiedzieć profesorowej?

Marianna, która przyjechała po rzeczy pana i Alisi, oddała jej list. Wszystko zostało załatwione jak się należy, gładko. Profesorowa pisała: „Droga panno Franiu. Z wielką radością dowiaduję się od męża, iż uzyska dla pani możliwość lepszej i odpowiedniejszej pracy.

Oto bilet, z którym się pani zgłosi do zarządu biblioteki. Niech pani pozostanie w mieszkaniu, póki się nie urządzi, po czym klucze proszę oddać dozorczy, do którego mamy zupełne zaufanie. Alisia przenocuje dziś w mieście z racji jakiegoś koleżeńkiego, pożegnalnego wieczoru. Niech pani przyjmie życzenia najlepsze na nową drogę i zachowa nas w tak dobrej pamięci, jaką i my mamy dla pani. Marianna odda pani pieniądze na pierwsze Jej potrzeby”.

Tak. Wszystko zostało załatwione. Marianna oddała jej pieniądze i długo i szeroko rozwodziła się nad zbawczym wpływem powietrza wiejskiego. Z zamierającym sercem wysłuchiwała opowiadań o dłuższych rozmowach, jakie prowadzili ze sobą państwo, jak od niepamiętnych czasów.

– Alisia dostanie nauczycielkę, która ma z nią przez wakacje obkuwać przegraną maturę. Słyszę, że i pannie Frani dobrze się powiodło!

Skinęła głową, uśmiechnęła się. Po czym pomogła Mariannie w pakowaniu i znoszeniu na wiejski wóz reszty potrzebnych na wsi rzeczy. Stała w oknach salonu, gdy wóz ruszał. Patrzyła długo na walizy umieszczone w słomie, na trzęsącą się od wstrząśnień wozu głowę Marianny... Obeszła

mieszkanie, znalazła się w swym pokoju i usiadła na brzeżku łóżka. – Ogarnęło ją takie straszne znużenie, takie zmęczenie. Ach, gdyby już nigdzie nie trzeba było iść, gdyby nie trzeba było odejść!... Gdyby już nie zaczynać tego „nowego życia” – zetknięcia z nowymi ludźmi, którzy potrafią pisać tak miłe listy i znają sposoby bezbolesnego załatwiania bolesnych spraw!... Zapadła w miłą drzemkę, wśród której można było nie myśleć, nie poszturchiwać sennej woli, nic nie postanawiać...

Zbudził ją ostry odgłos dzwonka u drzwi frontowych. Zerwała się, oszołomiona: było już ciemno. Szalona nadzieja kazała jej pobiec czym prędzej, co sił. To Alisia.

– Dlaczego tak długo muszę czekać, Franiu?

Głos jej drżał, miała dziwnie rozszerzone, jakby zdumione oczy i chwilę patrzyła tymi zdumionymi oczyma na Frankę. Kapeluszek w locie pomknął ku wieszakom.

– Tak wcześnie skończył się wieczorek?

Alisia mruknęła:

– Nie wiem, po co tam poszłam. Musiałam wyjść. Same szczęśliwe, te, które pozdawały! – Poskarżyła się nagle: – Źle się dziś czuję, czy nie masz czegoś, abym usnęła? Wybiłam się zupełnie ze snu przez to kucie i colę.

Przeszła do jadalni i naalała sobie duży kielich wina, ręce jej lekko drżały.

– Chodź do mnie, Franiu, posiedzimy. Nie mogę dzisiaj być sama. – I tam, w tym błękitnym pokoju Alisi, na kanapce, pod złotą kulą światła skargi jej wylały się szeroką strugą. Jakże była podobna do ojca, gdy tak leżała na wznak, z twarzą wzniesioną ku górze, z ramionami podłożonymi pod głowę.

Franka patrzyła na nią chciwie. – Te same oczy – myślała – czoło – rozpatrywała – głos – wspominała z przymkniętymi oczyma. Nie słuchała prawie, co mówi Alisia – ach, bo cóż to było? Czymże były skargi Alisi wobec jej losu, jej skargi? Nie miała siły jej pocieszać.

Słuchała strzępów słów i doznała dzikiego wzruszenia z samego tonu głosu, jakim mówiła Alisia. Były tam skargi na profesorów, na koleżanki, zdradliwe w przyjaźni i głupie, na chłopców, którzy budzili pierwsze uczucia i odchodzili jakby nigdy nic, na rodziców.

Straszny był jakiś matematyk – ach, a przełożona!... W przełożonej, suchej, wykwintnej starej damie skupiało się całe zło, cały fałsz życia, tak starannie spreparowany, w tak niezłomne i słuszne zasady ujęty, że Alisia bladła z wściekłości i bólu na myśl, iż tego fałszu nie można nigdy było udowodnić, wykazać czarno na białym. Nikt jej nie przyznał słuszności w tej utarczce ze szkołą, zawsze wychodziła pokonana! Pokonana! Rodzice mogli przyznać jej słuszność, ale nie chcieli. Nie, życzyli sobie, aby umiała znaleźć formy współżycia z ludźmi, wśród których będzie musiała żyć. Przełożona nie była tylko sobą, to nie była jedna osoba, to był symbol. A koleżanki? To

była klasa, sfera, towarzystwo – i rodzice mieli słuszość, nakłaniając ją do współżycia z ludźmi. Przecież ona dorośnie i one podorastają i powychodzą za mąż – i to będą domy, wśród których będzie się bywać. Ona będzie żyć wśród nich! Całe życie! To było dla Alisi coś nic do pojęcia.

Teraz nadstawiła Franka ucha jej skargom. Ten świat, który Alisia odrzucała w gniewie, a do którego, ona tak strasznie od dzieciństwa dążyła! Świat ludzi delikatnych i światłych, i dobrych, niezdolnych do uczynienia krzywdy. I ona знаła taką przełożoną, i ona miała takie koleżanki na pensji – złe przez głupotę, przez wychowanie, przez formy życia. I ona dążyła do tej matury jak do celu ostatecznego. I ona nie osiągnęła tego, czego tak bardzo pragnęła... I do skarg Alisi dodała swoje, tak bardzo inne i takie jednakowe. Nie miała książek... nie miała butów... nie miała domu... Alisia słuchała błada i nieporuszona. Nagle rzekła:

– Dostałaś list mamy?

Franka skinęła głową. Wtedy tamta dźwignęła się na łokciu i rzekła z szyderstwem:

– A widzisz... Dobrze załatwione, co?... Ja nigdy nie potrafię tak załatwiać spraw życia.

Co wiedziała Alisia? Czy wiedziała wszystko? Niepodobieństwo! Nie wyrzekła już ani słowa, ręka jej padła na ramię Franki i tak pozostała. Milczały. Uczuły się nagle strasznie stare, obydwie rozpatrywały swe życie i nie znalazły w nim nic godnego miłości, godnego uwagi. Podczas tej rozmowy wypily po kieliszku lekkiego wina, ale to nie wino stało się przyczyną, iż popadły w tępe oszołomienie. Obydwie były chore tego dnia. Niedyspozycja, do której nikt nie przywiązywał wagi, która zwalniała Alisję od gimnastyki, a Franki nie zwalniała od codziennych zajęć... Szczególny stan rozdrażnienia, jasnego sądu – wszystko widziało się wtedy bystrzej i jaśniej, i wszystko przyjmowało się z taką straszliwą egzaltacją.

Okropny sprzeciw przeciwko wszystkiemu, co nasuwało się przed oczy i raniło. Gdy tak milczały, Alisia wyciągnięta na sofce i skurczona koło niej Franka – dokonało się w nich jakieś odejście, jakieś dalekie uzyskiwały spojrzenie. Strasznie były znużone, głowy ich po prostu same zapadały w ciemność oszołomienia. Alisia rzekła nie poruszając się:

– Wiesz, Franiu, ja już nie chcę żyć...

Od tego słowa wszystko zaczęło się nagle dziać ze straszliwą szybkością, jakby ktoś piekielną maszynę puścił w ruch. Zerwały się obydwie i stanęły naprzeciw siebie. Błękit pokoju zdawał się wchłonać naraz w siebie całą światłość słonecznej kuli światła u sufitu. Pociemniało. Obydwie miały uczucie, iż w pokoju jest ciemno, i zbliżyły twarze tuż do siebie.

Patrzyły rozszerzonymi oczyma. Siwe oczy Alisi błysnęły przejmującym jasnym błyskiem.

– A ty?

Franka odszepnęła:

– Ja także.

Coś w niej zerwało się, jakaś okropna ulga zwolniła napięcie i bolące członki. Przez chwilę Alisia zniknęła jej sprzed oczu. Usłyszała trzask, który zabrzmiał jak wystrzał armatni. Krzyknęła:

– Alisiu! – i rzuciła się ku drzwiom. Szeptwała w podnieceniu: – Ja też! Alisiu! Droga! Ja też! Nie pozostawiaj mnie! – To tylko trzasnęły drzwi, nagle ujrzała Alisję stojącą w progu gabinetu z czymś błyszczącym i czarnym w ręku.

Przypadły do siebie, drżąc. Objęły się. Doznały rozkoszy w tym objęciu, zdawało się, że ich ciała splonęły dojmującą rozkoszą.

Nie odczuwały uścisku ramion i rąk, tylko lekkie dotknięcie rozdrażnionych, bolesnych prawie ciał. Oczy Franki błysnęły ponuro. Jakże ta Alisia podobna była do ojca... do niego...

Czułość i mściwość zalały ją ogromną falą. Pocałował ją – i odepchnął. Czemuż wtedy nie rozmyślał nad tym, co robi? Czemu wtedy nie był „szlachetny”? Była rzeczą, którą się brało i odsuwało. Była czymś nieżywym, przedmiotem, na którego cierpienia nikt nie zważa. I ta Alisia, teraz... Mruknęła:

– No? – To pytające no – zabrzmiało groźnie. Uścisk Alisi rozplótł się, śmiertelnie blada, nie patrząc odpowiedziała: – Odwróć się. – Stały, oparte plecami, wyprostowane. Alisia spytała nagle i wyraźnie: – Czy ty wierzysz?

– Ja nie wiem – szepnęła sennie Franka. W tej chwili usłyszała trzask, coś strasznego przeszło jej pierś. – Ja nie wiem! – krzyknęła z rozpaczą. Padła twarzą na dywan.

STRACH I DÓŁ

Potyając się szła Bronka środkiem ulicy za trumną Frani. Nikogo, tylko ona. Mieli przed sobą długą drogę, aż na Bródno, i woźnica jechał dość szybko. Sosnowa, niepomalowana trumna, przerżnięta czernią pasów skórzanych podskakiwała wraz z drgnięciami karawanu.

Ludzie przystawali na brzegu chodnika, zdejmowali kapelusze, żegnali się i ruszali w swoją drogę. Z początku wydało się Bronce strasznym iść tak za trumną środkiem ulicy, nieskończonymi ulicami, wśród spojrzeń ludzi, którzy nie wiedzieli nic o losie Frani, o jej losie. Ale skoro karawan ruszył z miejsca, jak pchnięta stanęła tuż za trumną i tak już szła.

Jakiś wysoki pan o dziwnie zmartwiałej twarzy stał przed kostnicą, gdy trumnę przytwierdzano na wozie. Potem szedł brzegiem chodnika. Potem nie widziała go już.

W Alejach kondukt znikł zupełnie w powodzi wozów, aut i ruchu ulicznego. Na Królewskiej ujawnił się wyraźnie i samotnie. Znów zginął na Krakowskim. Gdy znaleźli się na Zjeździe, Bronka uczuła, iż jedna stopa usuwa się za każdym krokiem niepewnie.

– Obcas – pomyślała – abym tylko mogła dojść na miejsce. – Jej obuwie było w okropnym stanie, tyle w ostatnich dniach chodziła, że nie miała czasu zaradzić rozpadaniu się pantofla.

Z zjeżdżającego z góry tramwaju ktoś gwałtownie machnął ręką, krzyżąc. To Kwiryra.

Stała na przedniej platformie z ogromnym wieńcem, ukazując na niedaleki przystanek. Gdy tramwaj stanął, Kwiryra wysiadła i czekała stojąc na skraju chodnika.

– Spóźniłam się i teraz muszę dźwigać wieniec. – Wieniec był ogromny, z wrzосу, z powtykanymi różami z białej bibuły. Od Kwiryry biło zmęczenie i ciepło, dyszała.

– Skąd się dowiedziałaś?

– Z gazety.

– Ja też.

– Oczom nie wierzyłam – powiedziała Kwiryra i umilkła. Ale to, co się stało z Franią, rozsadzało ją po prostu i milczenie jej krótko trwało. – Co, ty kulejesz?

– Nie, tylko coś mi się stało z obcasem.

– Ładna historia! Zajdziesz na Bródno bez pantofla... Dlaczego Raczyńska nie przyszła? To świństwo, żeby nie oddać koleżance ostatniej usługi.

Bronka, ażeby ją uspokoić, ażeby nie słyszeć tego gadania, które ją zniescierpliwilo, rzekła najbardziej oschle:

– Coś się stało z Cechną, pani Raczyńska szukała jej, wczoraj była u mnie, późno, nocą.

– Co ty mówisz? – zdumiała się Kwiryra, po czym ochłonęła i rzekła z pewnego rodzaju pretensją: – A u mnie nie była! A ja mogłabym jej coś o tym powiedzieć...

Bronka szepnęła:

– Nie rozprawiaj tak za trumną, Kwiryro, bo ludzie się oglądają.

Ale Kwiryra odpowiedziała zaraz:

– Oglądają się na taki pogrzeb. Ani księdza, ani krzyża, ani nic. Ja sama, jak zobaczyłam ciebie z tramwaju, za tą trumną, aż mi się niedobrze zrobiło. Okropność, jak to wygląda.

Bronce było wszystko jedno, jak to wygląda, a nawet zrobiło jej się głupio na myśl, że tej trumnie brak czegośkolwiek. Kwiryra szepnęła:

– Spotkałam panią Eugenię i powiedziałam jej o tym. Ale nie przyszła.

Bronka usprawiedliwiła ją:

– Ona tak mało знаła Franię.

– Ale, czy pamiętasz majówkę?

O mój Boże, jakie to wszystko było dalekie: i majówka, i zespół Mietka, i Ignasz, i walc „Piękne róże”. Ujrzała Frankę tak wtedy śliczną, w przerobionej sukni Marii, szarej, z różowymi różyczkami. Frankę deklamującą wiersz Konopnickiej... I płaczącą ze wzruszenia od pochwał pani za „ćwiczenie stylistyczne nr 1...” (ćwiczenie o oknach).

– Ostatnie okno było ciemne, pamiętasz?

Kwiryra wzdrygnęła się od myśli, że Frania zajrzała do ostatniego, tajemniczego okna.

Mżył deszcz. Bruk ulic Pragi już się skończył, szły teraz rozmiękłą drogą, pantofelek przestał dokuczać Bronce. Myślała, że po prostu obcas odpadł, ale to błoto wypełniło lukę między piętą a drzewem obcasa. Odetchnęła. Miała zupełnie mokre nogi, deszcz mżył od kilku dni, od kilku dni wkładała na stopy mokre obuwie. Karawan jechał teraz równo, trumna płynęła gładko przed ich oczyma. Idąc tak, Bronka życzyła sobie śmierci. Gdyby tak się przeziębila śmiertelnie i umarła. To się często zdarza na pogrzebach. Zapłakała tylko raz, krótko, przeczytawszy małą wzmiankę w gazecie. Potem już nie mogła płakać. Kwiryra zapytała:

– Czy widziałas ją? – Potrząsnęła głową. – Kto zapłacił kosztą pogrzebu? W czym została pochowana? – Bronka nie mogła jej odpowiedzieć na te pytania i Kwiryra rozgniewała się. – Ostatecznie, takżeście się przyjaźniły, że mogłabyś się tym zainteresować co się właściwie działo z Franką?

Bronia wytłumaczyła się: Od czasu gdy Franka dostała to miejsce, nie odezwała się ani słówka, a ona bała się narzucać w tym obcym domu.

– Pomyślałam sobie, że Franię mogłoby to krępować.

Karawan stanął przed bramą, woźnica zeskoczył, aby ukazać klucznikowi jakiś papier.

Kwiryra krzyknęła na widok grupki ludzi u wrót cmentarza. Pani Eugenia! Zespół!

Triumfowała i przybrała minę bolejącą, teraz dopiero ogarnął ją żal i wzruszenie, pogrzeb Frani zaczynał być prawdziwym pogrzebem. Wóz ruszył, zespół stanął za trumną, witając się z dyskretną delikatnością. Pani Eugenia usprawiedliwiła się przed Bronką: – Nie mogła zebrać wszystkich, a ci, co przyszli, z trudnością oderwali się od swych zajęć. Pan Karol kaszlał okropnie za ich plecami.

– Czy ma pani jakie wiadomości od Mietka?

Pan Wiktor prędko uściśnął jej dłoń i prędko cofnął rękę: nie domył jej naleyście przed wyjściem z warsztatu. Rumieńce pana Kocia zgasty i pani Eugenia poinformowała, że pan Kocio nie ma zajęcia, nie stoi przy piecu cukierniczym.

– Nie wypieka się teraz tyle ciastek, w cukierniach podają kanapki z chleba...

Od chwili gdy ich Bronka ujrzała, gardło jej ścisnęło się w kleszczach niewytłumaczonego wzruszenia. Dopiero nad grobem, gdy stanęli przy pani Eugenii z białymi zwitkami nut w rękach, zobaczyła ich jakby na nowo, inaczej. Że też przyszedli tutaj, że porzucili pracę, że im się chciało tyle sprawiać kłopotu, aby odśpiewać pieśń na grobie mało znanej im Frani!

Wierni Mietkowi, wierni dawnym dniom, dawnej przyjaźni, trzymający się wątlej nitki pieśni w tych dniach wojny i głodu, gdy wszystko się rozkruszyło, gdy nic nie było dość ważne.

Pani Eugenia, tak jak ongiś Mietek, dała znak ręką. Pan Karol, baryton, zaczął niską strofę:

„W mogile ciemnej śpisz na wieki!” – Trumna już leżała w dole, woźnica siedząc na koźle ściągnął lejce i zatrzymał ruszającego konia. Człowiek z łopata w rękę podniósł pochyloną głowę i spojrzął ze zdziwieniem na małe grono stojące nad grobem. Deszcz mżył ciągle. Pan Wiktor odchrząknął, następowała jego kolej. Pięknym, matowym głosem wywiódł: „na krótki czas, na krótki...” Pani Eugenia odpowiedziała sopranem, rzuciła z nieopisaną żałością: „ach, żegnaj nam! ach, żegnaj...” Zespół wybuchnął razem: „Bo i nas Bóg powoła... powoła tam!”

Głosy mieszały się, następowały na siebie, napierały, każdy głos objawiał inne słowa, śpiewał swoje. Słowa: żegnaj, Bóg powoła – westchnienia: – ach! skrzyżowały się ze sobą w lamencie, niczym okrzyki grozy i rozpacz. Bronka osunęła się na kolana. Zęby jej szczękały, drżała, łzy oblały twarz. Nad tym otwartym grobem Frani, wśród posępnych słów pieśni żegnała swoje dzieciństwo, wszystkie lata, wszystkie zdarzenia, łączące ją ze zmarłą – matkę, Mietka, zespół, siostry – Nowolipki. Sprzeda się!...

Wydało jej się, że wie o sobie wszelką nikczemność. To postanowienie zapadło w niej nagle. Znalazła wreszcie odpowiedź na tylokrotne błagalne nalegania. Nie będzie już wolna, nie będzie już także gubić obcasów po drodze. Koniec z lampą karbidową, z zatechłą norą pokoju w drewniaku, z podartą kołdrą... I wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, podczas gdy Kwiryna nalegała:

– Wstań, Broniu, przeziębisz się, wstań! – Zespół skończył pieśń, woźnica cmoknął na konie i ruszył, człowiek z łopata jął rzucać w głąb wielkie grudy rozmięklej ziemi. Ponad kłęczącą Bronką rozmawiano cicho. Ktoś rzekł:

– Jak to się stało?

Ktoś odpowiedział:

– Kula, prosto w serce, zmarła od razu. Kula poszła w górę.

– A tamta?

– Nic jej się nie stało, lekko ranna w bok.

– Ale dlaczego to zrobiły?

Na to nikt nie umiał odpowiedzieć.

Kwiryna ułożyła swój wieniec na środku mogiły.

– Żegnaj, Franiu, żegnaj!

Pan Karol i pan Wiktor przyklękli i przeżegnali się niezręcznie, wstydliwie, zerkając na panią Eugenię.

Pan Kocio z na wpół otwartymi ustami czyhał na znak.

O Boże, co losy ludzkości

Dzierzysz w dłoni swej,

Stojącym u progu wieczności,

Litość okazać chciej...

Łzy Bronki obeschły, podniosła głowę. Tak, dlaczego to zrobiły? Co to się z nimi stało, z tą leżącą w grobie, z nią, Janką, siostrami Raczyńskimi? – Wchodziły w życie czyste, wystrzegały się kłamstwa, zawiści, pożądania. „Ksiądz z Noskiem” chrzczył je, obmył z grzechu pierwородnego, nauczał je, przygotowywał do pierwszej spowiedzi i przez długie lata nastawiał ucha przy konfesjonale na ich skruszone wyznania win i grzechów dziecinnych.

Wzdychał, pełen ulgi, nad ich niewinnością, odpuszczał im, rozgrzeszał i prostował ścieżki życia. Z tego wszystkiego pozostały w pamięci groźne słowa, rzucone ongiś z kazalnicy:

– Strach i dół, i sidło nad tobą, mówi Pan.

Pan Kocio skończył pieśń, swój popis solo, i ruszyli z miejsca, przypominając sobie nagle porzucone prace. Pan Karol pokaszując zacierał zziębłe ręce i pytał bezustannie Kwiryny:

– No, panno Kwiryno, no, panno Kwiryno?

Kwiryna przekomarzała się, a potem oświadczyła nagle:

– Może prędeż, niż pan przypuszcza.

Znów chodziło o to, jak prędko zespół wystąpi na ślubie Kwiryny z *Veni Creator*. Pani Eugenia jeła dociekać, co jest przyczyną, że na pogrzebach zawsze się mówi o ślubach?

– Musi być w życiu równowaga – rzekł pan Kocio i roześmiał się.

Kwiryna wróciła do swego: jej chłopiec, Roman, został wzięty do niewoli niemieckiej, otrzymała od niego list i stara się o przepustkę na wyjazd.

– Może go przecież zwolnią.

Bronka patrzyła na nich w milczeniu.

– Więc będziemy mieli weselisko – rzekł pan Wiktor. Teraz wszyscy się

roześmieli.

Bronka jednego tylko pragnęła – odłączyć się od nich, nie słyszeć tej rozmowy, tego ich gadania. Wstydziła się w tej chwili swego płaczu.

Frania miała rację: nic ich już nie łączyło z tymi tu, z Nowolipkami, nie należała już do nich, nie umiała z nimi mówić. Ale czy należała do świata Różyckiego, prezesa, pań z kompletów?

Gdzie należała? Strach i dół, i sidło nad tobą. Wzdrygnęła się od smutku.

Rozmyślała, jak by tu pożegnać się i odejść, ale okazało się, że nie tak to łatwo odchodzić od przeszłości. Kwiryra dostrzegła tramwaj i jęła popędzać:

– Prędej, prędej, bo ruszy!

Puścili się pędem w stronę tramwaju. Bronka została w tyle. Odetchnęła. Gestami wskazała wygrażającej ręką Kwiryynie na nieszczęsny pantofel. Nie może biec. Odwróciła się nagle i szła w kierunku pierwszych domów Bródna i Pelcowizny, sama, nie zważając na napominające wrzaski Kwiryny. Coraz trudniej jej było między ludźmi, coraz częściej pozostawała sama.

ZARĘCZYNY

– Co mama robi, niech się mama opamięta – mówi Amelcia – jeszcze mama pożałuje tych dopominań się o prawdę i tych krzyków. Sama mama chciała, aby wszystko załatwiało się cicho.

Ale pani Raczyńska z zaciśniętymi ustami i oczyma opuchłymi od płaczu narzuca na siebie wyszarzałą mantylkę i wyskubane do ostateczności boa z piórek, aby iść do bezirku, dać znać policji; ten dentysta musi wiedzieć, co się z Cechną stało. Całymi dniami tam przebywała, całymi wieczorami, niedawno nawet – nie wróciła na noc, bo do późna majstrowali sztuczne szczęki, a on udaje, że nic nie wie.

– Pieniądze – mówi – wzięła, pensję wzięła, a nawet sama poprosiła, aby jej wcześniej zapłacił.

– A kartki żadnej nie zostawiła?

– Nie. – Pani Raczyńska powtarza w kółko: – Pieniądze to mówi, że wzięła, ale kartki to nie, nie zostawiła. – I wybuchła: – Już ty mnie nie ucz, Amelciu, już ja sama wiem, co zrobić!

Jest przy drzwiach, gdy Amelcia krzyczy:

– Mama na nas nieszczęście ściąga! Co powie aptekarz! Czy mama jest ślepa?! Czy mama wie, co Cechna zrobiła? Zadała się z jakimś oficerem i miała mieć dziecko. – Przerzywa i patrzy, jak matka znieruchomiała przy drzwiach, więc mówi usprawiedliwiająco: – Co mama chce! Teraz inne czasy

– wojna...

Amelcia wiedziała od dawna, że matkę można zagadać i odciągnąć jej myśli od niebezpiecznego przedmiotu, i skierować na jakiś drobiazg. Ale osłupiała, gdy zobaczyła, jak matka rzuca się do sionki i ściąga trzepaczkę z gwoździa.

– Czekaj! Ja ci zaraz pokażę wojnę! Ja ci dam wojnę, jak ci kości porachuję, to zaraz inaczej będziesz mówić!

Trzcina świsnęła w powietrzu. Amelcia, osłaniając twarz wyciągniętymi rękoma, krzyczy w niepohamowanym gniewie:

– Za co mnie mama bije? Za co? To mama nie wiedziała?! Mama mnie sama wypychała do chłopców! Mama mnie zostawiała w pokoju i chciała prezentów i poczęstunków, a teraz mama udaje świętą?

Pani Raczyńska rzuca trzepaczkę i pada na kolana.

– O dzieci, dzieci! – mówi z boleścią – o dzieci... – I Amelka czuje straszny żal, że wypowiedziała tamte słowa.

Skądże mogła pani Raczyńska wiedzieć, mój Boże? Była sierotą na służbie u państwa, nikt jej nie pilnował, a niewinną dziewczyną za męża poszła za nieboszczyka. Tyle lat z nim przeżyła, w domu, u siebie – skądże mogła wiedzieć, że jej córki, jej dzieci tak się poprowadzą?

– Ale czekajcie, już ja sobie z wami dam radę! Już teraz ślepa nie będę! Sama się modliłam, a was przestałam pilnować, czy się modlicie, czy chodzicie do spowiedzi, czy żyjecie po bożemu... To kara na mnie...

Pani Raczyńska wstała, zdjęła mantylkę i boa i zawiesiła do szafy.

– Cechny już szukać nie będę! Ale niech tylko wróci! Niech wróci! Ja was dopilnuję, nie bójcie się! Ciebie i Cechnę! A z aptekarzem też się rozmówię! Dostę tego dobrego!

Amelka ze strachem patrzyła, jak matka zabrała się do sprzątanego ładnego pokoju, jakby się szykując na jakieś ważne święto. Machnęła ręką i chciała wyjść, gdy matka krzyknęła za nią:

– Nie, stój! Pomóż mi!

To była nowość: dotąd matka nie obarczała córek cięższą robotą, oszczędzała je. Wyniosły kanapy do sieni, wszystkie miękkie meble zostały wyniesione na pusty placyk za drewniakiem Mossakowskich i poddane trzepaczce. Tumany kurzu wzbily się w powietrze, Amelka zaczęła kaszlać.

– Patrzcie ją, jaka delikatna! – i tym samym gniewnym głosem pani Raczyńska rozkazała: – Idź do domu! Wytrzymaj podłogi! Zrób porządek!

Ledwie Amelcia odeszła, gdy pani Raczyńska przenosząc już wytrzepany fotel, natknęła się w sionce na wysokiego mężczyznę, sterczącego pod drzwiami Mossakowskich.

– Kogo pan szuka? – Przepraszam panią, dokąd wyprowadziła się rodzina Mossakowskich?

– Wyprowadziła się? – krzyknęła pani Raczyńska. – Oni wyjechali daleko, mój panie! Do Rosji...

Nagle głos pytającego wydał jej się znajomy. Wzruszona niespodziewanie, zawołała:

– Niech no pan tu pozwoli, do światła! Czy ja się myłę, czy mnie oczy zawiodą?... – I u wylotu sionki, załamując ręce: – Pan Ignaś! Pan Ignaś Piędzicki! Serce moje przeczuło, że to ktoś znajomy!

Pociągnęła go na placyk, udekorowany niczym salon porozstawianymi meblami i oto znalazła sobie znów poboczny przedmiot, na którym mogła wyładować swe wzburzenie.

– Wyjechali, wyjechali już dawno, proszę pana! – I ukazywała mu głucho zawarte okiennice mieszkania. – Jak to, to pan o tym nie wie? Przecież pański ojciec kupował od nich warsztat po starym Mossakowskim!

Przybyły zdążył wtrącić:

– Nie byłem jeszcze w domu... – i dodał: – Teraz rozumiem, dlaczego nie otrzymywałem odpowiedzi na listy...

Patrzył z natężoną uwagą na cichy, pusty, opuszczony drewniak. Kasztan, ogołocony z liści, sterczał żałośnie na tle ślepej ściany sąsiedniej kamienicy. Na facjatce, w oknach Wikty widniały uschnięte badyle fuksji.

– Tak, tak, wyjechali. Mieszkanie stoi puste, kto by się tam dziś rozbijał za mieszkaniem... Najpierw wyjechał Mietek z matką i Marią...

Przerwał jej pośpiesznie:

– Jak to, nie wyjechali wszyscy razem?

– Nie, bo to mówili, wie pan, że zaraz wrócą, że wojna długo nie potrwa – a tu jak wyjechali, tak przepadli, śladu popiołu po nich nie ma...

Zapytał głosem zdławionym i zadyszany:

– A Bronka, niech mi pani powie, najmłodsza.

– Bronka? – Pani Raczyńska, wznosząc w górę ręce z trzepaczką i ściereczką: – Lepiej niech pan nie pyta! Lepiej niech pan nie pyta! – I opuszczając się na kanapę, zboląła, zamieniając w swym zrozpaczonym sercu Bronkę i Cechnę, Cechnę i Bronkę, jęknęła: – Na złą poszła drogę, mój panie. Na złą drogę!

Teraz dopiero, rzuciwszy ten okrzyk, spojrzała na Piędzickiego. Stał z gołą głową, maciejówkę trzymał w zaciśniętych palcach, twarz jego była blada, ściągnięta surowo, spod warg błyszczały wysunięte jak do kąsania zęby.

– Więc ona nie wyjechała z rodziną? – wykrztusił.

– Nie, czy nie mówiłam panu? Jak tylko zobaczyłam, że ją z miasta do domu odprowadzał taki elegant i wszedł z nią do mieszkania, to już wiedziałam, co to będzie. I potem wyprowadziła się zaraz.

– Kiedy? – rzucił. – W jakim czasie to było?

– Jak tylko Niemcy weszli.

A więc dlatego nie odpisywała na listy... Wstrząsnął się. Wszystko jedno, czy te listy otrzymała, czy nie... Wyprostowany, skłonił się z daleka swej informatorce...

Pani Raczyńska oprzytomniała na tyle, iż zauważyła jego piękny mundur, buty, całą świetność tej odzieży.

– Jak się ma pańska mamusia, pani Piędzicka?... – szepnęła z szacunkiem.

Odburknął:

– Mówiłem pani, że nie byłem jeszcze w domu. Pierwsze kroki... – przerwał i roześmiał się krótko.

Skłoniwszy się raz jeszcze, szybkim krokiem szedł w stronę sionki. Pani Raczyńska patrzyła za nim w osłupieniu.

– Czy mi się zdaje?... – rzekła do siebie, wspominając wyraz twarzy, z jakim Piędzicki przyjął nowinę o Bronce... – czy mi się zdaje? – I westchnęła: – Ach, te dziewczęta, co one porobiły ze sobą! Co one porobiły!

Wróciła do mieszkania i z tym większą energią wpadła na Amelkę:

– Nie stój w lusterku! Przyczesz się! Włóż lepszą sukienkę i do roboty! – Wyciągnęła z szafy zwój płótna i rozłożyła na stole. – Tu masz siedzieć i robić mereżki, i ani mru-mru, póki cię nie zawołam! – Panie z Sewerynowa dały płótno na wyprawę Amelki, za darmo: – Jak wyjdiesz za mąż, to nam powoli spłacisz. Tak wygadywałaś na ten Sewerynow, a gdyby nie Sewerynow, to wyszłabyś za mąż jak ta dziadówka w jednej koszuli.

Wieczorem nadszedł aptekarz. Małe zostały wyprawione spać. Pokój gościnnie pachniał świeżością. Pani Raczyńska wyszła do gościa w czarnej jedwabnej bluzce z ruszką białą koło szyi i zaraz po przywitaniu przystąpiła do rzeczy. Jej zaczerwieniona po płaczu twarz wyglądała prawie młodo, a błękitne oczy lśniły. Amelka była tak podobna do matki, aż się aptekarz zdziwił i z przyjemnością pomyślał, że Amelka długo zachowa ładny wygląd. Nie mógł brać za złe matce, że się troszczy o los córki, owszem, przeciwnie. Rodzina była uboga, ale porządna, panny wychowane przyzwoicie, ale nie niuńki. O wszystkim można było porozmawiać i w dodatku królować tu, w tym domu, być słuchanym z całą uwagą. A Amelcia prezentowała się wprost ślicznie. Trochę ją odżywić, ubrać elegancko... Rzekł podniośle i szczerze, że czeka tylko na wyjaśnienie sytuacji politycznej, ażeby zakończyć szczęśliwie swoje sprawy osobiste.

– Umyśliłem sobie, aby te dwie sprawy, odzyskanie wolności narodu i moje szczęście, zbiegły się w jednym czasie. Chyba pani zaufa moim przewidywaniom co do tego?

Pani Raczyńska po trzykroć skinęła zapewniające głową i krzyknęła ze łzami radości:

– Amelciu!!!

... I SIDŁO NAD TOBĄ!

Tego wieczoru Bronka późno wyszła ze świetlicy. Ciemna, zaledwie migocąca światłami okien wagonów kolejka stała przed posterunkiem wojskowym. Nigdy nie wiadomo, jak długo trzeba będzie czekać, zanim skończy się rewizja, zanim dadzą znać krzykiem maszyniście, że może ruszać. Chciała już iść pieszo, rewizja ledwo się zaczęła. Ale huczał jesienny wiatr, mżył obrzydliwy deszczyk. W ciemnym wagonie ludzie drzemali z całkowitą obojętnością.

Za szybami ktoś płakał nad utraconym woreczkiem mąki, jakaś kobieta z krzykiem biegła do oświetlonych drzwi posterunku. Niemiecki żołnierz siadł na skraju ławki i wyciągnął w poprzek nogi. Ci, co powracali szczęśliwie z rewizji bez bagażu, prowiantów i z kwitkiem na opłaconą karę, troskliwie przekraczali owe żołnierskie wyciągnięte w przejściu buty. Kobiety unosiły zmoczone kiecki pokornie i lekliwie hycając przez tę przeszkodę bez słowa.

Drzwi rozwarły się. Bronka drgnęła: dotąd jeszcze nie miała dokumentu. Uspokojono ją: w tym wagonie byli, już pytali o „pass”. To wszedł ślepiec, grajek. Wraz z nim wtargnęła świeża fala powietrza. Ludzie, w przemokłych szmatach, drżąc z zimna, zakrzyczeli:

– Zamykać, zamykać!

Kobieta za oknem lamentowała – nie dozwolono jej wsiąść do kolejki.

– Nie ma za co zapłacić sztrafu – rzekł ktoś.

Odpowiedziało mu gromadne westchnienie, ciemność i zaduch wagonów... Ślepiec w kącie uderzył w struny gitary i zamruczał swą pieśń. Pieśń monotonna, prawie bez słów ginących w straszliwym brzęku rozstrojonego instrumentu. Ci, co spali, poruszyli się z trzaskiem kości i ziewnięciem. Huczały drzwi wagonów... Ślepiec zebrał się jakby w sobie, czy ręce mu omdlały, dość, że usłyszano słowa i przyjęto je szmerem. Struny brzęczały glucho i bezsilnie, słowa ciągnęły się monotennie:

– „A gdzie jest moja – Polska ukochana – czyli jest wolna – czy jeszcze zabrana?”

Bronka uczuła, jak coś mocnego i okropnego wstaje w jej piersi i podnosi się ku gardłu.

Ten wagon – to zdychające światło ogarka – ci ludzie – ten drab z wyciągniętymi nogami...

Wstała i szła ku wyjściu z uczuciem, iż sobie głowę roztrzaska o zamknięte drzwi. Nie patrząc, z głową zadartą w górę z całej siły kopnęła wyciągnięte nogi żołnierza. Bydlę.

Zerwał się, myślała, że huknie ją w głowę, ale nagle odsunął się z drogi i usiadł na ławce z nogami skromnie podwiniętymi. Bydlę, po stokroć bydlę!

Ktoś rzekł:

– Z nimi to tak trzeba.

Zeszła w ciemność ze stopni wagonu, pośliznęła się i zaśmiała. Myślała:

– Gdybym nie miała na sobie tego porządnego pałta z futerkiem, kapelusza, trzasnąłby mnie pięścią w oczy. I ja sama nie miałabym tej odwagi. – Wsunęła zziębnięte palce w rękawy i przeszła przez drogę, na ścieżkę wydeptaną przez niezliczonych wędrowców za żywnością. Szła ostro w stronę miasta, teraz było to wielką przyjemnością po zaduchu wagonu i naprężeniu ostatniej chwili – ruch, powietrze, deszcz. Lubiła tak wędrować w zadeszczone dni, śmiano się w świetlicy i w kuchni:

– Już jak deszcz, to wiemy, że pani przyjdzie...

Twarz miała mokrą, ale buty nareszcie całe, stopy suche. Mogła tak iść i iść, przed siebie.

Ku czemu? Ku jakiemu niewiadomemu celowi?

Ale na drodze, przed sobą, ujrzała ciemną, poruszającą się masę. Oddział żołnierzy szedł ku miastu. Już słyszała miarowy odgłos kroków, miękko odbijających od błota. Zresztą pusto.

Drewniaki przy drodze ciemniały za głucho zamkniętymi okiennicami. Dopiero przed Instytutem Weterynarii skąpe uliczne światło padło na drogę. Ludzie przystawali na brzegu chodnika i patrzyli w milczeniu na sunącą kolumnę. Ktoś rzekł niegłośnie, tuż przy Bronce:

– To nasi.

Drgnęła i przysunęła się bliżej skraju chodnika, szła prędko, pragnąc nadążyć, zaczęła biec.

Ogarnęło ją niewytłumaczone wzruszenie: nieomal uniesienie i straszna żalność, gdy zabrzmiały w uszach monotonne słowa pieśni ślepeca: – „czyli jest wolna, czy jeszcze zabrana?” Szli w ciszy, w ponurym osępieniu, w deszczu i błocie, teraz mogła już dostrzec orzelki na czapkach, twarze zlewały się w jedną ogromną białą plamę, sunęły naprzód. Coraz więcej ludzi stawało przy drodze, musiała ich mijać.

– Piechota.

– Nasi.

Wszystkie zakazane pieśni i wiersze dzieciństwa zaczęły w gorących strofach powstawać w niej – biegła z twarzą zalaną łzami, nic nie widząc, ślepa i głucha, porwana.

Biegła przed siebie, co sił, z wyciągniętymi ramionami, odpychając tych, co jej stali na drodze. Aż nagle stanęła jak wryta... Oficer na koniu na przedzie kolumny odwrócił twarz i w milczeniu salutował tłum.

Krzyknęła:

– Ig... – Nie dokończyła, popchnięto ją, zeszła na bok. Stanęła pod parkanem i opartą plecami o nędzne, zmurszałe deski patrzyła, jak

przechodzili w milczeniu nie patrząc na walący bokami tłum. Ktoś tłumaczył żarliwie:

– Im nie wolno odpowiadać na okrzyki. Im zabronili...

Oprzytomniała. Chciała wytrzeć twarz i dopiero teraz zauważyła, że ma puste ręce, że zgubiła czy rzuciła torebkę, rękawiczki. – Znow pogubiłam wszystko – i wspomniała prezesa, jak chodził i zbierał pogubione przez nią przedmioty. Stała, obryzgana błotem, pod parkanem, mokra i zalana świętymi przez wiatr łzami, kochanka tylu kochanków, i przypomniała sobie z trudem ów zapomniany, pierwszy i ostatni list Ignasia:

– Bo jak coś takiego zrobisz, bez miłości, to znać cię nie chcę, to nie chcę cię widzieć na oczy.

OKNO

Cechna wróciła do domu któregoś ranka jakby nigdy nic. Pani Raczyńska nie powiedziała ani słowa, tylko otworzyła drzwi do ładnego pokoju i oznajmiła:

– Tu będziesz teraz spać! – Cechna została wyłączona ze wspólnego łóżka w drugim pokoju, ze wszystkimi. – Gdzie on mieszka?

Pani Raczyńska postanowiła pójść i rozmówić się z łotrem, choćby to był sam generał.

Jeśli dała sobie radę z aptekarzem... Ale Cechna oparła się z miejsca. Może mnie mama zabić. Nie powiem nic.

Głos jej brzmiał metalicznie i głęboko, to nie to, co Amelka, która wróciła ze swej podróży płacząc i chwiejąc się na nogach. Zdumiona, pani Raczyńska odpowiedziała z mocą.

– Zobaczymy. Tu zostaniesz, aż się namyślisz.

– Mamo, niech mama da spokój, mówię mamie. Ja znow wrócę do swojej roboty i będę mamie oddawać pensję, tylko niech się mama do mnie nie wtrąca...

– Coo? Myślisz, że ja będę taką córkę trzymać w domu? Włosy ci ostrzyc i na Tamkę do zakonnicy oddać, tylko na to zasługujesz. Ale masz szczęście, bo aptekarz oświadczył się o Amelkę i w domu musi być cicho i porządnie. Ani słowa!

Trzasnęła drzwiami i wyszła. Pomyślała ze zdumieniem:

– Nic na niej nie znać! Nawet wyładniała...

W nocy usłyszała płacz i jakby rozmowę w pokoju Cechny. Złękła się strasznie, zapaliła lampkę-kopciuszka i boso pobiegła pod drzwi. Czyżby

Cechna wpuściła kogoś do domu?!

Wyraźnie słyhać szept! Pani Raczyńska pchnęła drzwi. Cechna siedziała w koszuli na kanapce, oparta plecami o ścianę, płacząc i nieprzytomnie tuląc coś do piersi.

– Jezus Maria? co ty tam masz?!

To była flaszeczka, flakon z szeroką szyjką i jakąś mętną plamą zgęstniałej cieczy. I Cechna z rozpaczą i błyskiem mściwości w oczach wyznała:

– To moje dziecko! – Płacząc, szeptała: – Mamo, nie mogłam pozwolić, by wyrzucono je na śmietnik, mamoo... – Powtarzała to słowo: – Mamo, mamoo, mamoo! – odwoływała się do matki i pani Raczyńska doznała uczucia, iż włosy jej powstają ze zgrozy na głowie. – Czy mama widzi? Tu są paluszki – takie długie – tu główka...

Pani Raczyńska jęknęła:

– Co ty mówisz, gdzie? Przecież tu nic nie ma.

Ale Cechna widziała i oto zaczęła w oblędzie rozpatrywać ten strzęp swego ciała, dziecko, jej dziecko!

– Podobne do Henryka – spłynęło z jej warg z czułością. Już nie myślała o kochanku swoim, lejtnancie, Henryku, już nie jego wspominała wprost, tylko dziecko. Już nie jego kochała, tylko to dziecko, wydarte jej i oddane w słoiku.

Przez głowę pani Raczyńskiej przebiegła myśl:

– To nieboszczyk tak strasznie kochał dzieci, to po nieboszczyku to ma. – Wspomniała wszystkie lalki Cechny i zaciskając usta wydobyła buteleczkę z drżących dłoni Cechny.

– Jutro zakopię je na cmentarzu, przy grobie nieboszczyka. Niech spocznie w ziemi poświęconej, w spokoju.

W dzień było jako tako, dniem była Cechna zupełnie spokojna. Ale wieczorami zaczynała się kręcić, nucić nowym pięknym głosem, wystawać w oknach, gadać niepowstrzymanie.

Kogo ona tak wypatruje na ulicy? I pani Raczyńska stała przy drugim oknie i nie spuszczała oka z chodnika, czy nie ukaże się ten lejtnant, ten Henryk, którego na oczy nie widziała dotąd.

Ale nie. Ulica była pusta. Szewc Fiszel stawał od czasu do czasu w progu z podartym kapciem w rękę i patrzył w okna mieszkania Raczyńskich. Poczula niepokój:

– Czy on się czego domyśla, ten Fiszel? Czy ludzie wiedzą?

Amelka, ze względu na pomyślnie zakończenie, chodziła teraz wieczorami wprost do apteki i ludzie inaczej zaczęli się odnosić do pani Raczyńskiej – ba, w sklepiku już jej borgowali bez słowa obawy. Tylko ten głupi Fiszel jakby wietrzył nieszczęście.

Jednego popołudnia zjawił się wreszcie w ulicy obcy. Ale to był cywil, elegant. Stał przy samym sklepiku Fiszla, patrzył na dom naprzeciwko. I nagle zdjął kapelusz i uklonił się z uśmiechem. Pani Raczyńska odskoczyła jak oparzona od okna. Komu on się kłania? Nagle zerwała się i pobiegła do ładnego pokoju. To Cechna stoi przy oknie i kiwa głową.

– Komu ty kiwasz głową? Kto to jest?

Cechna odwróciła się, oczy jej błyszczą.

– To dentysta – wie mama, ten, u którego pracowałam. – Spojrzała na matkę i rzekła innym, niedbałym głosem: – Ja nawet nie wiem, dlaczego on stoi i nie wejdzie do mieszkania?...

– Nie kłam, przecież ja byłam u tego dentysty i widzę, że to nie ten sam.

– Ależ mamu, na pewno, mama go tylko nie poznaje, bo jest w kapeluszu.

Pani Raczyńska straciła cierpliwość i krzyknęła:

– A tamten, wojskowy, nie przyszedł, co? Nawet się nie dowiedział! A ty już za drugiego zabierać się myślisz! Mało ci nieszczęścia?! – Dopadła do okna i chyba po raz pierwszy w życiu zaciągnęła firaneczkę. Do tego doszło.

Wieczorem Cechna rzekła cicho i niepewnie:

– Mamu, ja pójdę do Bronki, noże mi się wystara o inne zajęcia.

Odpowiedziała twardo:

– O, nic z tego. Koniec z Bronką. Twoja Bronka rozjeżdża się samochodem po mieście. Bóg się zlitował nad Mossakowską, że wyjechała i tego nie widzi... – Nagle pani Raczyńska zapłakała: – Że nie doczekała tego, co ja! – Cechna wyszła bez słowa z kuchni.

Ale od tego wieczoru już nie było spokoju, ciągle ktoś łąził pod oknami, na ulicy. Ten dentysta. I potem jeszcze jakiś. I znów ktoś nowy. A gdy nikogo nie było, to szewc Fiszl patrzył zaczerwienionymi oczyma w okna ich mieszkania. Pani Raczyńska bała już się nawet wychodzić z domu. Zaczęła zamykać Cechnę, jak tylko usłyszała, że Cechna położyła się, po cichutku przekręcała klucz w zamku. Znów odmawiano wspólne, głośne modlitwy, śpiewano „Kiedy ranne wstają zorze” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Pani Raczyńska wracała raniutko ze mszy do domu i Cechna, leżąc w drugim pokoju, słyszała głos matki:

– Wstawajcie, dzieci, na dworze tak pięknie, słoneczko, piękna polska jesień, to grzech wylegiwać się w łóżku... S płakałam się w kościele, ksiądz tak nabożnie odprawiał mszę świętą... Amelciu, nakrywaj do stołu... Myjcie się!... W imię Ojca i Syna.

Słuchała z osłupieniem, z nienawiścią, ze zgrozą! Wszystko zostanie po dawnemu, wszystkie jej grzechy zostaną przyklepane tym głosem, tymi słowami... Naciągała koldrę na głowę, ale niewzruszony głos dopadał ją i tutaj.

– Cechna, proszę wstawać! W tej chwili! Co to za moda włązić pod

koldrę... to niezdrowo!... – słyszała lekki zgrzyt klucza w zamku.

Więc matka zamykała ją na noc? Czowała, że jest w niewoli. Ze strachem wyrzucała sobie, że ustąpiła matce, że pozwoliła rządzić sobą. Przecież ona już nie wytrzyma w domu z tym klekotaniem, z tą uszczęśliwioną Amelką i spłoszonymi minami młodszych sióstr, którym matka kazała się trzymać z daleka od „niegrzecznej” Cechny.

– O Boże!... – śmiała się cicho niespodziewanym śmiechem. – Oszuka się – myślała o matce – ach, jak się oszuka. Bo oto, po dniach płaczu i rozterki, po dniach zupełnego zgubienia, stracenia się, uczuła w sobie coś nowego, mocnego, niczym krzyk spazmatyczny. Dniem była dawną Cechną, poganianą głosem matki, paplającą nieraz trzy po trzy z nudów, ale nocą leżała na kanapce w oddzielnym pokoju rozbudzona, pragnąca... Twarz Henryka zbladła w tych głuchych marzeniach, jego wspomnienie nie wywoływało – o dziwo! – znanego dreszczu w ciele. Ach, wywołało przykre uczucie opuszczenia, smutku, rozdzierających cierpień, woni lekarstw i środków dezynfekcyjnych... I słoika, który pieściła w pustych, pozbawionych wszystkiego dłoniach.

To działo się samo przez się, że budziła się nagle w nocy i szukała koło siebie niecierpliwymi palcami... Głowa jej wznosiła się w poszukiwaniu miejsca, wgłębienia w męskim ramieniu, gniazda rozkoszy w drugim ludzkim ciele. Suchymi wargami przywierała do chłodnych poduszek, nieukojoła. Odsuwała to jeszcze od siebie, przepelniona pewnością: gdzieś tam za oknami są inni. I zdawało jej się, że słyszy głosy nawołujące, podżegawcze, spragnione. Siadała na swym posłaniu i wpatrywała się z natężeniem i tęsknotą w ciche, zasłonięte szczelnie firanką, ledwie od czarnych ścian jaśniejsze szyby.

Aż pewnej nocy pani Raczyńska usłyszała stuk ramy okiennej o mur. Słyszała ten stuk miarowy przez sen. Ocknęła się. Bosa, po ciemku, wstała i namacała klucz pod poduszką.

Jeszcze myślała po drodze, czy ma jakieś rzeźwiące krople w domu.

Gdy tylko otworzyła drzwi, smagnęło ją ostre zimno po bosych nogach. Okno szeroko otwarte! Pusta kanapa! Cechny nie ma na kanapie! Pani Raczyńska podbiegła do okna i wyjrzała. Cicho, pusto. Tylko w oddali, w takiej odległości od Nowolipek i Smocznej, i Dzielnej – wisiała łuna od świateł nad miastem. Tam uciekła Cechna. Na wieki wieczne.

Teraz już nie wróci. Amen. Pani Raczyńska zawróciła. Zawróciła czym prędzej do tamtej izby pełnej i ciepłej, gdzie były dzieci, senny oddech, zaduch.

Pokój został pusty. Łuna miasta napełniała ściany rudym półmrokiem. Twarde turkoty dobiegały z oddali, niemieckie tabory szły ku Dworcowi Kowelskiemu. Stamtąd też od stacji dochodziło sapanie parowozów i długie

żałosne świsty, brzmiące jak wezwanie. Od centrum miasta przychodził nikły pogwar, znaczący tylko upartym trwaniem przemijanie ciszy. I wreszcie z rzadka, od Wisły, nadbiegł wilgotny i ochryply głos syren ze statków pełniących jakąś służbę, głos podobny do wołania bąka wśród nocy.

Okno zachwiało się, rozwarło i zastygło tak, otwarte na tę ciemność pulsującą dalekim tętnem, ciemność wiecznie pełną młodości, groźby i nadziei...
